

P. 9786 chr. Arch
DLP INP D 1-8-30030300

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/394-8/395 1980



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Z. MYCIELSKI - P. ARIÈS : **PAPIEŻ W PARYŻU**

J. CIECHANOWSKI - J. NOWAK - P. WANDYCZ :

BIĆ SIĘ CZY NIE BIĆ

BRUKSELczyk :

WIDZIANE Z BRUKSELI I Z WILANOWA

St. KORBOŃSKI :

O NAPRAWIE RZECZYPOSPOLITEJ EMIGRACYJNEJ

Zb. BYRSKI :

CZAS PRZESTAJE PRACOWAĆ DLA SOWIETOW

SPIS RZECZY

Zygmunt Mycielski —		
Philippe Ariès:	<i>Papież w Paryżu</i>	3
Jan Ciechanowski — Jan		
Nowak — Piotr Wandycz:	<i>Bić się czy nie bić?</i>	15
Wiktor Sukiennicki:	<i>O geopolityce, Res Publicae, nacjonalnych patologiach i świętym Giedroyciu</i>	39
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	55
Marek Głogoczowski:	<i>Ciuciubabka naukowa</i>	72

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Czas przestaje pracować dla Sowietów</i>	91
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	100
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli i z Wilanowa</i> ..	110
Benedykt Heydenkorn:	<i>Referendum w Quebecu</i>	118

K R A J

Socjusz:	<i>Gesty i praca</i>	123
Kazimierz Białomorski:	<i>Uwagi o pluralizmie, programach i działaniu</i>	130
Jadwiga Kwiatkowska:	<i>Co nowego w Ruchu Niezależnym?</i> ..	139
Wiktor Woroszyński:	<i>Dlaczego aresztowano M. Chojeckiego</i> ..	153
—	<i>Apel KSS „KOR-u”</i>	155
—	<i>Apel TKN-u</i>	158
—	<i>Represje wobec naukowców</i>	159

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	160
Andrej Sacharow:	<i>„List z zesłania”</i>	166
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	168
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	172

SPRAWY I TROSKI

Stefan Korboński:	<i>„O naprawie Rzeczypospolitej Emigracyjnej”</i>	177
Jan Dołęga:	<i>Arka przy rafie</i>	182
Zdzisław Bau:	<i>PIN na gościnnych występach w Waszyngtonie</i>	186

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Warszawskie komedio-dramaty</i>	194
---------	--	-----

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

—	<i>Od Redakcji</i>	199
Marek Łatyński:	<i>Zamiast przedmowy</i>	200
Paweł Zaremba:	<i>Polityczne podłoże koncepcji PRL</i> ..	202

KSIĄŻKI

Henryk Grynberg:	<i>Życie według Vincenza</i>	208
Janina Katz Hewetson:	<i>A Kisiel został tak jak był Kisiel</i> ..	212
Grażyna Nowak:	<i>Polonez anty-Wieniawskiego</i>	216
—	<i>Oficyna Stanisława Gliwy</i>	220
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	220

—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	223
—	<i>Noty</i>	230

H. Czajkowski, A. Koraszewski, List w obronie A. Koraszewskiego, R. Krygier, St. Marcinkowski, Stały czytelnik włoski, W. Ziemiński:	<i>Listy do Redakcji</i>	233
—	<i>Od Redakcji</i>	238

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-sierpień - Juillet-Août 1980

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Krzysztof Bandyk, Winterthur (Szwajcaria)	F. 20,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa (USA), po raz 25-ty — \$ 20,00	F. 82,00
Danuta i Andrzej M. Cisek, Carmel, N.Y. (USA), po raz 5-ty — \$ 52,00	F. 203,00
Jerzy Duracz, Stockholm — w 5-tą rocznicę śmierci Anny Duracz, zamiast kwiatów	F. 300,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 9-ty	F. 100,00
Filipina Oleniecka, Farsta (Szwecja)	F. 1.000,00
A. Podhalicz (W. Brytania) — £ 10,00	F. 95,00
Maria Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz 7-my — \$ 8,00 ..	F. 32,80
Z.M. z Polski dla uczczenia pamięci śp. Zygmunta Hertza ..	F. 250,00
Z.M. z Polski dla uczczenia pamięci śp. Hilarego Krzysztofiaka	F. 250,00
Beziemiennie z Australii, po raz 11-ty	F. 300,00
Beziemiennie z Buffalo, N.Y. (USA) — \$ 94,00	F. 385,50
Beziemiennie z Kolonii (RFN)	F. 232,88
Beziemiennie z Nigerii	F. 300,00
Beziemiennie z Waszyngtonu	F. 1.600,50
Beziemiennie z Australii na pomoc dla opozycji w Kraju	F. 195,00
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich w Polsce, Madison, Wis. (USA) — na pomoc dla prasy niezależnej w Polsce — \$ 35,00	F. 143,50
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na po- moc dla wydawnictw krajowych wychodzących poza cenzurą — \$ 100,00	F. 410,00
K.L., Lidino (Szwecja) — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce — K.S. 500,00	F. 50,00
Józef Wiśniewski, Neu-Isenburg (RFN) sumę zebraną wśród polskich kibiców w czasie meczu Polska - RFN — na pomoc dla Opozycji w Kraju — DM 120,00	F. 276,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS « KOR »

Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Grażyna Nowak, Londyn — honorarium za artykuł	F. 200,00

WPLATY NA P.P.N.

Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii (skarbnik R. Winiarski) — kwotę zebraną wśród społeczeństwa pol- skiego — \$ A. 806,46	F. 3.629,00
---	-------------

WPLATY NA NIEZALEŻNĄ OFICYNĘ WYDAWNICZĄ

Tadeusz Brzostek, Paryż, kwotę zebraną w ramach doraźnej akcji na rzecz uwięzionego w maju br. Mirosława Chojeckiego ..	F. 770,00
Koło S.P.K. w Malmö (Szwecja)	F. 50,00
Monika Mieroszewska, Waszyngton — w trzecią rocznicę śmierci Ojca, Juliusza Mieroszewskiego — \$ 25,00	F. 102,50

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 239)

Papież w Paryżu

„Jestem synem narodu, który przeżył największe doświadczenia historii. Jego sąsiedzi skazali go wielokrotnie, ale naród to przeżył i pozostał sobą. Zachował swoją tożsamość i — pomimo rozbiorów i obcych okupacji — zachował suwerenność narodową, opierając się nie na sile fizycznej, ale jedynie na własnej kulturze”.

Tłumacząc jak potrafię te zdania Jana Pawła II, wypowiedziane 2 czerwca w paryskiej siedzibie Unesco.

Idealnym wprowadzeniem czytelnika *Kultury* w paryski pobyt papieża byłby dobry wybór tekstów z Jego około trzydziestu przemówień.

Niestety, pisząc to przed samym powrotem do Warszawy, dwa dni po wyjeździe papieża z Francji, nie mam pełnych tekstów ani tym bardziej ich polskich przekładów. Siedzę w pokoju zawałonym dziennikami, wycinkami i tygodnikami; z każdej okładki patrzy na mnie papież: biały, w czerwonym płaszczu, w infule, piusce, wsparty na Krzyżu, zamodlony, pozdrawiający, błogosławiący.

Idąc przez Champs Elysées i Concorde mijam ciągnące się od Łuku Triumfalnego rzędy wielkich, trójkolorowych i biało-żółtych sztandarów. Przy obelisku zbierają się pierwsi ciekawscy. Wszędzie pełno policji. Jej wozy nie mogą się skryć pod drzewami, oblepiają Grand i Petit Palais. Szedłem środkiem, cała ta służba porządkowa myśli zapewne, że to ja kontroluję co się tu dzieje? Oczyszczona z ludzi i samochodów jezdnia ciągnie się



P.9786 Chm. Arch.

przez most i cały Boulevard St. Germain po zwalisty maszyw Notre Dame.

Przygotowania, jakich nigdy tu nie widziałem, a znam to miasto od 52 lat, widziałem tu jeszcze pogrzeb Focha. Jak to będzie wyglądać za parę godzin? Próbuja teraz głośników. Huczą stare polonezy, w nie najlepszej instrumentacji, potem dzwony, za głośno.

Myślę o młodym wikarym od świętego Floriana w Krakowie i o Księdzu Metropolicie — kardynale. Jak on szybko i sprawnie załatwiał w Kurii interesantów, podobny w sposobie bycia do swego poprzednika, kardynała Sapiehy. Nie darmo przebywał w pałacu arcybiskupim w czasie okupacji, gdy seminarzyści znaleźli tam schronienie przed łapankami, deportacją i śmiercią.

Idę przez środek wielkiego miasta. Dumne miasto, a może już tylko zarozumiałe? Oś, od Łuku po obelisk, przez most i bulwar, oczyszczona z ludzi i samochodów wygląda po królewsku w tej pustce.

W Krakowie widziałem wjazd Jana Pawła. Ludzie, kwiaty, Wawel i dzwon Zygmunta, bijący. To był ingres królewski. Tu droga wiedzie do Notre Dame, a potem do bazyliki St. Denis, z której prochy królów wyrzucono blisko 200 lat temu. Paryż nie kocha własnych królów. Woli przyjmować obcych. Czy Paryż kocha papieża? Trudno się tej miłości dopatrzeć w historii Francji. Oni tu lubią krytykować, i drwić ze wszystkiego i wszystkich, którzy próbują im narzucić autorytet, ideologię, porządek. A czasami zrywają się, żeby bronić, czy nienawidzić.

Jak papież potrafi mówić wszędzie to samo? Przecież każdy mówi co innego, zależnie od miejsca i czasu. Nie chodzi tu o treść i styl, ale o modę, chwilową i zmienną. W Paryżu zapomina się wszystko. Jego mieszkańcy równie łatwo oklaskują rewolucję, Konsula, cesarza, króla, Komunę, republikę. Gwizdzą, klaszczą, demonstrowają. Wyrzucili prochy swoich królów i strącili z katedr rzeźbione 800 lat temu posągi. Ten świat mścił się tu na własnej historii; czy to było podobne do świata, który zsyła do obozów i morduje własnych obywateli, a jednocześnie złości trumny swoich carów w twierdzy Pietropawłowskiej?



Gazety, kioski, radio i telewizja już są pełne papieża, nawet *Humanité* pisze o nim na pierwszej stronie. Ale ludzie wyglądają jak zawsze. Obojętnie? W oknach niewiele jest biało-żółtych chorągiewek. Paryż widział już wszystko od dziesięciu wieków. Nie znam termometru który by mi wskazał temperaturę zbiorowości. Patrzę, i staram się patrzeć trzeźwo, obiektywnie. Nie

wierzę statystykom, gdy ktoś zadaje 673 osobom pytanie: kochasz, lubisz, szanujesz?, a potem to oblicza i wyciąga wnioski...



W prasie już przed przyjazdem mnóstwo o papieżu. Dużo o „super star”, o Kościele triumfującym, o inkwizycji, o kosztach tego pobytu — podobno aż 6 milionów — o policyjnej mobilizacji i rozdziale Kościoła od państwa. Ale i dużo o Nim, o znaczeniu tej podróży, pierwszej od czasu Piusa VI i Piusa VII.

A ludzie — co?



W Polsce było inaczej. Najpierw byli ludzie. Potem notatki, półgębkiem, w prasie — kilka „przekazów” w telewizji i gęste sito cenzury. Widziałem tekst tajnej dyrektywy, jak bardzo trzeba z tym papieżem uważać, bo on — w dodatku — ma poczucie humoru.

To bardzo niebezpieczne, poczucie humoru, a już zwłaszcza u papieża!

Tu władza i rząd liczą się z ogromnym napływem ludzi, a ludzie nie tak bardzo się tą wizytą przejmują. Organizacje katolickie współdziałają, oficjalny Paryż zrobił co mógł, a miasto czeka.



Już się spóźnił. W Rzymie pękła opona koła od samolotu, premier Barre poczeka dłużej na lotnisku. Przylepiam się do małego czarnobiałego telewizora. Telewizja też czeka. To coś niesłychanego, ile czasu poświęca tej wizycie telewizja i radio!



Wszyscy pytają, ile było ludzi. I czy to się udało czy nie udało. Było ich mniej niż przewidywano, ale było ich mnóstwo. Wybiegłem na Boulevard St. Germain, żeby widzieć jego przejazd do Notre Dame. Okna i balkony pełne, trotuary też. Na dachach sylwetki — jakieś ostre pogotowie. Boją się tu panicznie terrorystów. A papież przejeżdża, stojąc, spokojny, obok kardynała Marty. Pozdrawia, już dwa razy przemawiał, teraz jedzie odprawić Mszę świętą przed wielką katedrą, gdzie dopuszczono kilkanaście tysięcy ludzi za kartami wstępu. Prezydent, rząd — nie wiem, jak to ocenić ściśle, statystycznie. Ale widzę wspólną ceremonię.



Strasznie tu mieszają, w gazetach i komentarzach, politykę do zjawiska, które z godziny na godzinę jakby puchnie, ogarnia swoją aurą niezrozumiałą przestrzeń, dzielącą świat materialny od świata niematerialnego, duchowego.

Przed ratuszem Chirac przyjmuje papieża, Chirac się kłóci z prezydentem. Czy papież będzie miłszy z Giscardem czy z Chiracem, i jak to się odbije na wyborach?

A papież pozdrawia Francję, Francuzów, Paryż — z każdym przemówieniem coraz bardziej wypełnia tę przestrzeń pomiędzy światem, który widzimy i światem innym, którego istnienie coraz bardziej zadziwia słuchaczy. W ciszy padają zdania jakich tu nie słyszano, jakich się tu nigdy nie słyszy.

Po co ten człowiek tu przyjechał? Młodzież na stadionie w Parc des Princes zadaje Mu pytania. Na karteczce którą otrzymałem czytam, po zaleceniach, żeby nie zapomnieć przynieść 2 franków i sandwiczów:

- „Co zamierzasz uczynić dla jedności chrześcijan?”
- „Jak modli się papież?”
- „Czego możemy się nauczyć od Polski? Czy Polska może się czegoś nauczyć od Francji?”
- „Czy Ewangelia może odpowiedzieć na współczesne problemy człowieka?”
- Pytania o życie seksualne, o Kościół zachodni, czy może on być azjatycki, afrykański?

Młodzi hałasują, śpiewają, wiwatują, gdy papież wjeżdża na pełny stadion. Jest ich 50.000. A potem milkną i papież długo odpowiada, punkt po punkcie.

I znowu: poziom Jego słów jest zaskakujący. Poziom i prostota, przy łagodnej stanowczości. Przemawia tonem osobistych zwierzeń, a w jego rozdany tej młodzieży tekście czytam o problemach ciała, ducha i serca, o systemach totalitarnych, które paraliżują ducha, i o systemach ekonomicznych, które służą ekspansji ekonomicznej, tracąc ze swego pola widzenia człowieka. O Bogu, i o świecie bez Boga. „Taki świat, bez Boga, obraca się wcześniej czy później przeciwko człowiekowi”.

Pytaliśmy się w Polsce, jakie właściwie będą konkretne rezultaty wizyty papieża. Tutaj też słyszę podobne pytania. Co ma z tego wszystkiego wyniknąć? Pytania te wydają mi się coraz głębsze.

Laicyzacja Francji jest procesem który trwa od czasów Montaigne'a, Woltera, od rewolucji po Sartre'a. Ale proces laicyza-

cji i „proces boski” jest stary jak świat. Zнали go już filozofowie w Grecji i prorocy Starego Testamentu. Tu widzę „zastrzyk duchowy”, który w ciągu trzech dni zdumiewa ten kraj. Stary kpiarz, San Antonio, poczytny autor kryminalno-pornograficznych elukubracji, kończy swój artykuł w *Le Matin* słowami: „... w owej chwili powiedziałem sobie, że może Bóg nie istnieje, ale — że Polska to coś pięknego”. Oto jedna z przedziwnych tu reakcji!

Prezydent zaprosił do Pałacu Elizejskiego 3, 4 czy 5.000 osób — w każdym dzienniku podają inną cyfrę. Po długiej rozmowie na osobności z prezydentem, o której spreczne opowiadają i piszą plotki, po przedstawieniu Mu rodziny, papież przechodzi „na oku telewizji” do salonu, w którym prezydent przedstawia Mu członków rządu i przedstawicieli partii politycznych. Po raz pierwszy w dziejach znajdują się w jednym pokoju Giscard, Chirac, Mitterand, Marchais, Deferre, Hernu, Pierre Maurois. Mikrofonów tu nie ma, nie słyszę słów które papież ze wszystkimi wymienia. Podobno witając się z Georges Marchais powiedział: „spotkam się wieczorem w St. Denis z Pana przyjaciółmi”, na co uśmiechnięty Marchais odbił piłkę: „ja mam wszędzie przyjaciół”. *Se non è vero...*

Ale potem — przemoczone tysiące gości wtoczyły się z ogrodu do otworzonych im wreszcie salonów i działały się tam sceny dantejskie. Ambasadorowie i cała ta śmietanka paryska, *le tout Paris*, ruszyli szturmem żeby się dopchać, czepiali się firanek i wyłazili przez okna, żeby zobaczyć Jana Pawła. Widziałem fotografie w dziennikach. Telewizja przymknęła swoje oko — nie dopchali się z kamerami do tych salonów. Niczego podobnego Pałac Elizejski nie widział.

A papież jakoś się z Giscardem precisnął i pojechał, spokojny, uśmiechnięty, pozdrawiający.

Co poważniejsi Francuzi zaczęli się drapać po głowie. Co to jest? Jeden z nich, oblatany w „najwyższych tu sferach”, znany mi od dawna ze swego sceptycyzmu, mówi z uniesieniem: „Ten człowiek mówi prawdę, i tylko prawdę. On naprawdę wierzy w każde wypowiedziane słowo. Tutaj nigdy nikt czegoś podobnego nie widział, nie słyszał. Tu nikt nikomu nie wierzy. Trzeba było żeby przyjechał papież, Polak” — itd.

Słucham, zdziwiony. Nie papieżem, ale słowami tego Francuza — pilnego czytelnika *Canard enchainé*, człowieka, który piastował najwyższe stanowiska.

Nawet *Le Monde* się wzruszył. André Fontaine tytułuje swój artykuł „La force de la certitude” i porównuje sylwetkę Jana Pawła do Grzegorza VII i Sykstusa V. Pisz o doskonałym i nieprawdopodobnym w historii Kościoła dialogu z młodymi, o magisterium słowa, którego papież jest niezrównanym szermierzem.



Z przemówienia w Unesco przytoczyłem trzy zdania na wstępie tego szkicu. Trzeba je jednak poznać całe, w dobrym przekładzie. Rola kultury i nauki w życiu narodów została tu określona w perspektywie eschatologicznych już możliwości samozniszczenia, jeżeli wartości etyczne nie powstrzymają tych możliwości technicznych, jeżeli duch nie zapanuje nad materią. Mówiąc o Europie — od Atlantyku po Ural — papież podkreślił związek kultury z chrześcijaństwem w historii wszystkich jej narodów. I dodał zaraz, jak podziwia i szanuje wszystkie inne, pozaeuropejskie kultury, czerpiące treści z innych źródeł i inspiracji religijnych. „Czy nie ma na mapie Europy i świata narodów o wspaniałej suwerenności historycznej, której źródła tkwią w ich kulturze, a które jednak pozbawione są własnej, pełnej suwerenności?”



Jakie jest motto, oś i myśl przewodnia tego papieża? Myślę o tym, jak myślę o pontyfikacie Leona Wielkiego, Grzegorza VII czy Inocentego III. Ale teraz jest za wcześnie żeby o tym pisać.



O siódmej rano zaprosił sobie papież na pierwsze śniadanie kilku intelektualistów i powiedział im coś — jak: „Powiedzcie mi, jak widzicie sytuację świata, ja będę słuchał”. I zaprosił ich potem do Castel Gandolfo, w możliwie rozszerzonym gronie.

Nie byłem tam, ale wiem, jak papież chce wszystko słyszeć i wiedzieć. A potem podnieść to na wyższy poziom. Jak z młodością. Waży wtedy słowa, a przedtem waży myśli i — zapewne w modlitwie — znajduje platformę, która w potocznym, papieskim języku nazywa się „namiestnictwem Chrystusowym”.

Już spotkałem się z zarzutami, że papież nie nazywa rzeczy po imieniu. Ale On wie co robi. On już nie jest arcybiskupem krakowskim. „To Namiestnik Chrystusa na ziemskim padole”.

Nie będę tu cytował wierszy. Nie chcę dolewać słów do mo-

rza komentarzy, panegiryków, krytyk, pretensji i zachwyty na temat Jana Pawła II, które się przelewają od dwudziestu miesięcy przez szpalty gazet i pism wszelkiej maści. Jego przemówienia to już cała biblioteka, której nie mogę opanować, przeczytać. Trudno pojąć, jak to robi. Często myślę, że on się spieszy, że się bardzo spieszy. Chce swoją ufność wpoić światu na zawsze. A nie wie, jakie jest to „zawsze” świata. Chce obrócić człowieka twarzą do Boga, a człowiek leży, obrócony twarzą do ziemi, i twierdzi, że Pan Bóg umarł.

Bez przerwy mówi o człowieku, bo Pan Bóg jest prosty. A człowiek jest straszliwie skomplikowany i z uporem podcina gałęzie na których siedzi. A przy tym ten papież *chce znowu związać kulturę i cywilizację europejską z chrześcijaństwem i rozszerzyć ją na Amerykę, Afrykę — ukazać ją jedną, na całym świecie*. Tu nawiązuje do tradycji, ale pragnie to zrobić „na szczęblu Ducha Świętego”, na szczęblu Ducha Prawdy. Jest to jego Niewątpliwość i gwiazda przewodnia krucjaty, może ostatecznej, bo i te akcenty przewijają się często w posłaniach, powtarzają się jak motto i temat przewodni.

Wierzy w moc Słowa, Ducha i Prawdy. I tu dużo nam się przypomina. My wiemy, jak to płynie z naszego słowa, słowa kilku poetów i myślicieli, którzy w dziwnych wizjach przewidywali, śnili i pisali rzeczy, które nie mogły przebić gęstej zasłony słowa polskiego. I nagle młody księżyk, rodem z Wadowic, przedarł tę zasłonę. Świat się dziwi, słucha, nie wierzy, klaszcze. On idzie, przyspiesza kroku.

Dosyć to straszne, dosyć dziwne i trudno zrozumiałe pod koniec drugiego tysiąclecia, liczonego od chwili, gdy w prowincjonalnym mieście, włączonym do imperium rzymskiego, odbył się sąd i zapadł wyrok nad Człowiekiem, który przyszedł, żeby zbawić świat.

Zygmunt MYCIELSKI

Paryż, 10 czerwca 1980 r.

Philipp ARIES

Samolot mój wylądował na lotnisku w Montrealu mniej więcej w chwili kiedy kardynał kamerling ogłosił z balkonu bazyliki św. Piotra w Rzymie *habemus papam*... Ledwie przyjechałem

do hotelu, włączyłem telewizor i usłyszałem, że papieżem został Polak. Powiadam do żony, że moja angielszczyzna najwyraźniej nie wytrzymała trudów podróży. W kilka godzin później zacna francuszczyzna Quebecu rozwiewa wszelkie wątpliwości — papież jest Polakiem. Dziś jużemy się do tego przyzwyczaili, jest to jednak wydarzenie niezwykle, żeby papieża wybrano nie spośród Włochów. A jeśli już, to mógł być Francuzem albo Niemcem. Tymczasem nie — Polak, przybysz z kraju, który mimo oków nałożonych na Kościół, a może właśnie dzięki tym okomwom pozostaje chrześcijańskim, tzn. krajem w którym Kościół z bliska uczestniczy we wszelkich poczynaniach, tyleż materialnych co duchowych, podobnie zresztą jak w islamie. Powołanie na tron papieski nie-Włocha powinno się było spodobać postępowym katolikom, pragnącym długiego *aggiornamento*, a przede wszystkim „deromanizacji” tronu apostołskiego i władz Kościoła.

Tymczasem szybko spostrzegłem, że wcale nie byli tacy zadowoleni! Trzeba powiedzieć, że Kościół katolicki Quebecu przeszedł w ciągu paru lat drogę od chrześcijaństwa dającego się *mutatis mutandis* porównać z Polską (Kościół bronił mieszkańców Quebecu przed anglicyzacją) do stanu rozpadu, że skurczył się, a przede wszystkim zapomniał kim jest i dokąd zmierza, tak był zajęty określaniem swego stosunku do nowoczesności, do marksizmu...

Wieczorem po wyborze papieża oglądałem w moim pokoju hotelowym dwie interesujące audycje telewizyjne. Pierwszą był wywiad z arcybiskupem Ottawy. On to podejmował biskupa krakowskiego kiedy tamten przyjechał do Kanady odwiedzić polskich emigrantów; podobno był zaskoczony. Jak to?! Zamykanie kościoły, podczas gdy my mimo trudności politycznych wciąż otwieramy nowe?!

Pod przykrywką żartu albo naiwności prałata wyczuwało się niepokój: w naszym kraju wierzący szukają wzorców u niewierzących, albo przynajmniej starają się przybliżyć swój model życia do modelu życia niewierzących. Papież natomiast przybywa z kraju, w którym niewierzący (a przynajmniej ci spośród nich, którzy nie są marksistami — czyli prawie wszyscy) są solidarni z wierzącymi i akceptują *leadership* Kościoła — jak zatem ten papież miałby zrozumieć duchowe rozterki resztek quebeckiego kleru, rozsianego laikatu, księży, zakonników, zakonnic i ześwieczonech, pełnych wątpliwości co do swej tożsamości.

Ten sam niepokój przebiegał z rozmowy dwóch jezuitów z pewnym franciszkaninem. Ten ostatni uczeplił się naiwnie myśli, że znajomość marksizmu pozwoli papieżowi na większą otwartość wobec współczesnego świata przemysłowego, wobec robotników!

Szok jakim był wybór papieża wyrwał tym uczciwym księżom wyznanie, że są w rozterce.

Po powrocie do Francji stwierdziłem, że nieliczne grupy księży i działaczy które nadają ton Kościołowi francuskiemu zdecydowały robić dobrą minę do złej gry. Polski papież natychmiast podbił masy, poczynając od najbardziej buntowniczego ludu rzymskiego. Słyszałem w Montrealu jak zwrócił się do Rzymian: Wasz język... i poprawił się: nasz język, wzbudzając tym falę wzruszenia, która dotąd nie opadła.

Popularny papież, którego czarowi nie chiano się opierać. Jednak nieufność, nawet przewyciężona, tu i ówdzie przebiegała i z czasem zaczęła zataczać coraz szersze kręgi.

Niedwuznaczne wypowiedzi na temat celibatu księży i przezywania ciąży szybko rozwiąły wątpliwości. Sprawa Künga wzburzyła umysły i spowodowała falę wrogich papieżowi petycji. W krótkim czasie okazało się, że część francuskiego Kościoła jest jawnie wroga duchowi nowego pontyfikatu i przygotowuje się do oporu. Jest to niewątpliwie mniejszość, ale mniejszość która trzyma w ręku ster maszyny kościelnej, a zwłaszcza *media*.

Chcąc zrozumieć stan umysłów tej klerykalnej inteligencji, należy zapomnieć o banalnym sporze między progresistami i integrystami, między zwolennikami odnowy i zwolennikami immobilizmu. Niewiele ten spór wyjaśnia, są to bowiem wbrew pozorom problemy nieistotne, z którymi papież łatwo by sobie poradził.

Idea przymierza między nowym Kościołem a nowoczesnością nie będzie miała długiego żywota, bowiem nowoczesność słabnie, a ściślej mówiąc słabnie wiara w jej dobroczynną moc.

Problem jest bardziej złożony i zarazem poważniejszy. W przekonaniu rządzącej nim mniejszości Kościół francuski ma być Kościołem małych grup działaczy, ideowych, przekonanych... i pewnych swej elitarności. Ten Kościół nie chce być sprawą ogółu, sprawą tych, których nazywa chrześcijanami „socjologicznymi” i w których autentyczność wątpi. Socjologia religii, stworzona przed dwoma czy trzema dziesiątkami lat przez Gabriela Lebros, rozróżniała między wiernymi oddającymi się regularnie praktykom religijnym i ich aktywnymi grupami a wiernymi „sezonowymi”, odwiedzającymi kościół z okazji wielkich dorocznych świąt (Wielkanoc, Boże Narodzenie) względnie wielkich wydarzeń życiowych (śluby, chrzty, pogrzeby). Ci sezonowi wierni stanowili część parafii. Proboszcz ich znał i starał się przy nadarzających się okazjach nakłonić ich do regularniejszych praktyk, zbliżyć ich do wiary. W kościele ich przyjmował. Dziś uważa się, że należy ich — często wbrew nim samym — odsunąć od Kościoła,

bo stanowią zbędny balast i Kościół za ich sprawą tonie. Chciałoby się nie być zobowiązanym do udzielania im sakramentów (ślubów, chrztów, a także pierwszej komunii). Minęły czasy parafii, tradycyjnego duszpasterstwa i sakramentów: ksiądz nie jest już ani kapłanem udzielającym sakramentów, ani stróżem obyczajów. Jego obowiązkiem jest uczestniczyć w życiu tego świata i wytyczać nowy wymiar działania religijnego, bardziej świecki, bardziej polityczny i bardziej społeczny.

Głęboka jest przepaść między tym elityzmem, tym ześwieczonym działaniem religijnym a przywiezioną przez papieża z Polski koncepcją zwaną (z wyraźną nutą pejoratywną) „chrześcijańską”. Odnalazł On ją także w czarnej Afryce, gdzie Kościół zachował wiele ze spuścizny misyjnej: sprawną organizację parafii, prozelityzm, potrzebę afirmowania i kultywowania swej tożsamości — cechy w oczach inteligencji eklezjastycznej raczej antypatyczne i to nie tylko we Francji, ale w większości rozwiniętych krajów przemysłowych, w tzw. społeczeństwach konsumpcyjnych. Chrześcijańskie elity rozwiniętych krajów przemysłowych liberalnego Zachodu pragną żyć w symbiozie ze społeczeństwem konsumpcyjnym, penetrować je i zrosnąć się z nim jak przeszczep, chcą zniwelować różnice historyczne które je dzielą od tradycyjnego chrześcijaństwa, rozwinać natomiast ukryte niegdyś i tłumione pokrewieństwa i podobieństwa.

W tych to warunkach papież odwiedzał Stany Zjednoczone i Francję.

Przybył tak jak przybywa wszędzie, jako swego rodzaju życiwy i wyrozumiały prorok, zachowując powściągliwość, którą Sołżenicyn wzgardził, ale tym niemniej zdeterminowany i przekonany.

Zamierzam szczerze opisać me osobiste wrażenia z wizyty papieża we Francji. Stanowiła ona być może wyzwanie wobec rzeczywistości; niechaj każdy wprowadzi własne poprawki.

Odniosłem wrażenie, że:

1) Z jednej strony znaczna i wpływowa część kleru nie zrobiła niczego, aby ułatwić powszechne zgromadzenie ludzi wokół papieża (najbardziej jaskrawy przykład zniechęcenia publiczności dał jednak *Le Monde*, który skorzystał z okazji aby poświęcić całą stronę wypowiedziom niewierzących i wolnomyślicieli*).

2) Z drugiej strony, i jest to uwaga poważniejsza, ludzie dobrej woli, którym zależało na tym, żeby zgromadzenie się udało, okazali się niezdolni do zorganizowania go. Przykładem

* Redaktorzy kroniki religijnej *Monde'u* reprezentują punkt widzenia inteligentów-progresistów katolicyzmu francuskiego.

tej nieudolności była msza na Bourget, gdzie wokół ołtarza i między wiernymi pozostawiono ogromne puste połacie: grupy wiernych tonęły w oddali, jakby obawiano się zbytniego tłoku — może ze względu na porządek publiczny i bezpieczeństwo, dwa obsesyjne zmartwienia francuskich kręgów rządowych. Kler francuski utracił dar organizowania wielkich zbiorowisk ludowych na wzór tych, które raz po raz skupia wokół siebie bazylika św. Piotra w Rzymie, utracił myśl ceremonii i liturgii, przede wszystkim wskutek innowacji muzycznych, które nigdy nie wyszły poza wąską elitę i których masy nie znają.

3) A jednak, mimo tych przeszkód i trudności, mimo deszczu i zimna ludzie przybyli licznie, pełni ciepłych uczuć. Tłum zwyczajny, szczęśliwy, że ma okazję zmanifestować swe uczucia. Znam studentów, którzy wstali o piątej rano, żeby jechać na Bourget.

W Instytucie Katolickim spotkanie z papieżem miało charakter pełnego uroku rodzinnego święta.

W Notre Dame, w Saint Denis, wszędzie tam gdzie tło historyczne wytyczało organizatorom drogę i narzucało im swój własny ład i swoją własną harmonię, ceremonie były piękne mimo ubóstwa pieśni i mimo że tłum nie potrafił ich śpiewać (nawiasem mówiąc mieliśmy w ten sposób okazję ocenić, jak dziś wygląda sztuka sakralna we Francji).

Jednak dla słuchacza radia jak ja najbardziej wzruszające było spotkanie papieża z młodzieżą na stadionie w Parc des Princes. Słyszeliśmy wczoraj zastrzeżenia co do reprezentatywności tej młodzieży. Była ona bardzo liczna zarówno wewnątrz jak i poza bramami olbrzymiego stadionu, i czuło się jak wibruje przy każdym słowie papieża, zwłaszcza wtedy, kiedy odważnie mówił o moralności seksualnej, temacie którego nasi kaznodzieje od dawna już się boją.



W prasie poza zwykłymi w takich okolicznościach banałami dwie fałszywe nuty.

Od jednej aż zadrżały zacne duszyczki: *Libération* dała wielki tytuł *Vade retro papanos*, a jej farba drukarska pachniała kaziidłem: być może bluźnierstwo, raczej jednak zły dowcip zakrystianina albo małego seminarzysty.

Znacznie bardziej zaszokował mnie szkalujący i jadowity persyflaż *Monde'u*. Jego redaktorzy starali się ze wszystkich sił powściągnąć emocje i nadać wydarzeniu jak najmniejszy wymiar. Relację z przejazdu papieża przez Pola Elizejskie zamieścili głów-

nie po to, żeby podkreślić obecność burżujów ostentacyjnie trzymających w rękach modlitewniki w pozłacanych okładkach (*sic!*), jak duchy ze starych powieści Mauriaca.

Papież odjechał, zostawiając nas w zadumie nad Jego niemal brutalnymi wezwaniami rzuconymi z nieludzkiej w swym ogromie równiny w Bourget, gdzie nie uląkł się podać w wątpliwość naszą wiarę: króciutkie zdanie które długo drążyć będzie nasze sumienia, mimo wszystkie wysiłki jakich nie szczędzono, aby je zbanalizować i zapomnieć.

Philippe ARIÈS

NOTA BIOGRAFICZNA

Philippe ARIÈS, wybitny historyk, autor szeregu książek, m.in.: *Histoire des populations françaises*, *L'Enfant et la vie familiale*, *L'Homme devant la mort*. Ostatnio ukazała się *Historien du dimanche*, będąca intelektualną biografią. Twórczość Philippe Arièsa powstała na marginesie jego kariery jako specjalisty od informatyki w rolnictwie tropikalnym.

Bić się czy nie bić?

Jan CIECHANOWSKI

Od czasów rozbiorów Polska jest klasycznym przykładem kraju, który usiłował odzyskać niepodległość drogą zbrojnych powstań, nawet jeśli w istocie tworzyły one pasmo nieustannych klęsk, które pochłonęły bezgraniczną ilość ofiar zarówno materialnych jak i biologicznych. Powstania opóźniały nasz postęp cywilizacyjno-gospodarczy i dziesiątkowały kwiat naszej młodzieży.

Tradycje zbrojnej walki o niepodległość i powstańczych zrywów są niezmiernie żywe i głęboko zakorzenione w naszej myśli i kulturze politycznej. Czym dla Francuzów są ich rewolucje, tym dla nas są powstania.

Większość Polaków uważa, że powstania podtrzymywały naszą świadomość narodową i że typ Polaka powstańca jest ideałem godnym naśladownictwa.

Niemniej powstania a raczej ich skutki zawsze dzieliły Polaków na dwa przeciwne odłamy: ich zwolenników i przeciwników, na „romantyków” i „realistów”.

Spór pomiędzy „romantykami” i „realistami” na temat polskich powstań — ich przyczyn, przebiegu i konsekwencji — toczy się już właściwie od upadku insurekcji kościuszkowskiej i stale przybysują do niego świeże przyczynki i głosy. Dyskusja ta fascynuje i do głębi porusza większość myślących Polaków, czego niezbitym dowodem jest wielkie zainteresowanie jakim się cieszy praca Tomasza Łubieńskiego, wydana w kraju pod wiele mówiącym i znamienym tytułem: *Bić się czy nie bić? O Polskich Powstaniach*¹.

Łubieński zajmuje się trzema pierwszymi powstaniami — kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym — oraz działalnością polityczną Wielkiej Emigracji, która koncentrowała się głównie na przygotowaniu nowej insurekcji i zapewnieniu jej poparcia zachodniej Europy. O tych ważkich sprawach autor pisze w sposób spokojny, obiektywny i żywy. Dokonuje bilansu powstań, rozważa ich zyski i straty, chociaż w zasadzie nie wypowiada się właściwie czy były one potrzebne. Stwierdza jednak, iż przyczyniły się do podtrzymania naszej świadomości narodowej w okresie niewoli.

Pisząc o „wielkim romansie” Kościuszki z Polską, Łubieński stawia znak równania pomiędzy działalnością Stanisława Augusta i Naczelnika, twierdząc że obaj, kierowani „przyczyną patriotyczną”, usiłowali uchronić kraj od zguby. Różniły ich tylko charaktery i metody działania. Król pragnął ocalić Polskę drogą reform i gry dyplomatycznej. Naczelnik zaś, dla którego walka o ojczyznę była „naturalnym obowiązkiem”, poprzez zbrojne powstanie. Obaj przegrali, ale dzięki ich wysiłkom odrodziła się świadomość narodu chylącego się już ku upadkowi.

Zdaniem Łubieńskiego „Król pokazał jak przyczyną patriotyczną można uprawiać w najbardziej nieprzystojnych sytuacjach. Naczelnik, jak jej bronić w najtrudniejszych okolicznościach”.

Król dał nam Konstytucję 3 Maja a Naczelnik Uniwersał Połaniecki i Raclawice. Trzy wydarzenia, które głęboko tkwią w naszej narodowej i historycznej świadomości. O wiele głębiej niż Targowica i Maciejowice.

Natychmiast powstaje jednak dręczące i natarczywe pytanie: może należało czynić wszystko co tylko było w naszej mocy aby uniknąć dwóch ostatnich rozbiorów i doczekać się epoki wojen i wstrząsów napoleońskich we własnym, chociaż wielce niedoskonałym i pozbawionym pełnej niezależności państwie, i wtedy dopiero wszcząć dzieło koniecznej odnowy? Może wtedy nie doszłoby do wymazania Polski z liczby narodów i nie trzeba by było po 1918 roku znowu przyzwyczajać świata do jej istnienia? Co, jak wiemy, sądząc chociażby po wypadkach z lat 1939-1945, było sprawą ciężką i trudną. Może w naszej działalności politycznej należało nade wszystko hołdować prymatowi polityki zagranicznej i nie prowokować naszych potężnych sąsiadów do akcji rozbiorowej wprowadzaniem reform konstytucyjnych i społecznych?

Historia nie dała i nie da już nam odpowiedzi na to zasadnicze pytanie, ale historyk może, a nawet chyba musi je postawić, gdyż warte jest dokładnego rozpatrzenia. Dobrze się więc stało, że Łubieński go nie unika.

Autor słusznie podkreśla, że Król i Naczelnik, uformowani w „ojczyźnie bardzo niedoskonałej, ale niepodległej”, byli psychicznie zdrowsi od ich następców zrodzonych i wychowanych już w niewoli. Wśród których to psychiczne okaleczenie rodziło „ślepy buntowniczy zapal” albo nader wyszukane „rozumienie praw tego świata”, zabijające wolę wszelkiego działania. Obydwie postawy nie sprzyjały działalności niepodległościowej. Pierwsza prowadziła do bezowocnych spisków i beznadziejnej walki. Druga zaś do nadmiernej ugody.

Ani ślepy „romantyzm” ani wyuzdany „realizm” nie był w stanie przywrócić nam niezawisłości, lecz przeciwnie coraz bardziej pogrążał nas w odmetach niewoli.

Omawiając czyn listopadowy Łubieński trafnie stwierdza, że jakiś zasadniczy błąd tkwił w „założeniu tej osobliwej rewolucji rozpętanej przez podchorążych, przegranej przez generałów”. Błąd ten wynikał chyba z tej prostej przyczyny, że wiele środowisk przywykłych do myślenia kategoriami „półniepodległości” nie widziało zgodnie z własnym sumieniem i doświadczeniem żadnych racji, aby ryzykować gwałtem naprawę królestwa.

Co więcej, podchorążowie, którzy uważali „pocziwy spiskowy patriotyzm za całą politykę”, byli w istocie sparaliżowani własną nieodpowiedzialnością, a generałowie, którzy wyszumieli się w młodości za kilka pokoleń, „nie wierzyli w powodzenie sprawy”.

Podchorążowie nie uratowali kraju. Przeciwnie, swoim gestem sprowokowali obcą przemoc do rozprawienia się z kłopotliwą i niebezpieczną formą polskiej półwoli.

Podchorążowie, posługując się „świętą ideą niepodległości”, której nikt nie mógł „bezpiecznie kwestionować”, zmusili cywilnych i wojskowych fachowców do objęcia władzy nad powstaniem i przekształcenia go w regularną polsko-rosyjską wojnę. Nie potrafili jednak zmusić ich do jej wygrania, czy też przemienienia w kampanię bojowo-rewolucyjną. Powstanie listopadowe nie dało nam żadnego aktu prawnego na miarę Konstytucji 3 Maja czy Uniwersału Połanieckiego. Nie przyczyniło się do rozwiązania sprawy włościańskiej, która była kluczowym problemem społecznym ówczesnej Polski.

Generałowie walczyli z wrogiem, chociaż więcej ich zginęło z rąk własnych rodaków niż wroga, ale nie mogli się zdobyć na energiczne prowadzenie wojny, gdyż uważali ją z góry za przegraną. Szarpali się „między patriotycznym sztandarem podchorążych a własnym zmęczeniem” i zarażali wojsko swym pesymizmem.

A tymczasem, nie licząc „cudu napoleońskiego”, zdaniem Łubieńskiego właśnie powstanie listopadowe miało największą

szansę na przywrócenie Polsce niepodległości aż po rok 1918, kiedy jednocześnie rozpadły się wszystkie trzy potęgi rozbiorowe. Na tę chwilę musieli jednak Polacy czekać przez 123 lata długiej i poniżającej niewoli. Powstanie kościuszkowskie było po prostu protestem przeciwko drugiemu rozbiorowi Polski, a styczniowe nie miało w istocie żadnych szans powodzenia.

Prawdopodobnie na rozmachu powstania listopadowego odbiły się złudne rachuby na rozstrzygającą europejską mediację lub pomoc. Niestety Europa wołała kongresowy porządek rzeczy niż niepodległą Polskę, która by go dalej kwestionowała i dochodziła swych praw w Austrii, Prusach i Rosji, które były podstawowymi filarami po-wiedeńskiego świata.

Zdaniem autora po upadku powstania, kiedy Rząd Narodowy udał się na emigrację, jedynym rządem realnym stał się rząd dusz, a ten przeszedł w ręce poetów i myślicieli, pod których „nieformalnymi rządami” przetrwaliśmy okres zaborów. Pod ich „panowaniem” zaczęliśmy żyć pod wpływem naszej wielkiej poezji romantycznej i pod znakiem programu niegodzenia się z klęską.

Staliśmy się, jak twierdził stary Bismarck, politykami w poezji a poetami w polityce.

W tymże okresie nabawiliśmy się kompleksu wyższości właściwego słabym i przegranym oraz zaczęliśmy cierpieć na nasze „przeczuwanie narodowe”, z którym do tej chwili każdy musi się liczyć niezależnie od tego czy chce je zwalczać, czy popierać.

Według Łubieńskiego czyn listopadowy, podobnie jak insurrekcja kościuszkowska, przyczynił się do utrwalenia świadomości narodowej, którą mogliśmy utracić poprzez zbyt ścisły związek z Rosją i caratem.

Bez względu na to jasne jest, iż do upadku polskiego Pięmontu przyczyniliśmy się głównie my sami i że gdyby przetrwał on do wybuchu wojny krymskiej w 1854 roku, nasze losy mogłyby się inaczej potoczyć. Jak to podkreślił jeden z naszych luminarzy: „Nie należy marnować rzeczy niedoskonałych dla niepewnej wizji doskonalszych. Sztuka polityczna polega na tym, aby zachować co się ma i w oparciu o to posuwać się naprzód²”.

Nie sposób też pozwalać podchorążym i studentom aby decydowali o losach państwa i narodu, gdyż brak im do tego koniecznych kwalifikacji i doświadczenia.

Przechodząc do analizy stycznia, autor powiada, iż był on odwrotnością listopada, w czasie którego głównym problemem było pobudzenie zaczepnego ducha i otuchy wśród najwyższych władz powstania. Tymczasem nieliczenie się z rzeczywistością było jedyną taktyką stycznia. W 1863 roku powstańcy nader

ambitnie usiłowali przejść od terrorystycznej partyzantki do powszechnego zrywu i działań wielkich armii wyzwoleniczych.

W styczniu podjęliśmy walkę o nasz byt narodowy bardzo słabymi siłami. Powstańcom brakowało broni, wyszkolenia, dobrej kadry dowódczej, a termin wybuchu walki nie rokował woj-skowego i politycznego powodzenia.

Powstańcy styczniowi byli silni jedynie duchem, co pozwoliło im dłużej niż w listopadzie walczyć z o wiele od nich silniejszym nieprzyjacielem. Ich siła duchowa wpływała z tego, że — przynajmniej początkowo — przeżywali okres wielkiego patriotycznego uniesienia i żyli pełnią swobodnego życia. Byli wolni od ciągłych uciążliwych kompromisów z zaborcą i nędzy lub nudy szarej, powszechniej egzystencji. Czuli się wyżsi moralnie od nie walczących i mieli satysfakcję, że potrafili przeciwstawić się prze-ważającym siłom wroga. Ich powstańcze życie miało wiele swois-tego czaru i uroku, który jeszcze stale przemawia do nas z ówczes-nych wspomnień, rycin i piosenek. Początkowo łatwo im było znosić udręki i bóle walki powstańczego bytu, szczególnie dzięki temu, że walczyli w oparciu o nasze pierwsze państwo podziemne i konspiracyjny Rząd Narodowy.

Ich walka była jednak z góry skazana na przegraną, zwłaszcza gdy Rosjanie zaczęli po swojemu przeprowadzać reformę uwłasz-czeniową, którą pierwszy ogłosił Rząd Narodowy. To rosyjskie posunięcie obezwładniło powstanie i wprowadziło do niego aspekt wojny domowej.

Powstanie zaczęło upadać gdy powstańcy i konspiratorzy walczący z Rosjanami zaczęli tracić poparcie społeczeństwa. Przestali się czuć wśród swoich jak ryby w wodzie, aby użyć chińskiego zwrotu. Dla Rosjan ewentualne poparcie tubylców było pożądanym ułatwieniem, dla powstańców nieodzownym warunkiem prze-trwania. Powstańcy w końcu przegrali, gdyż nie udało im się wyjść z leśnej i miejskiej konspiracji.

Państwo podziemne rozpadało się, jak to zwykle bywa, wśród „poświeceń i łajdactwa”. Ostatni Rząd Narodowy działał już pod kontrolą rosyjskiej policji.

Tak kończyła się twarda i przewlekła walka o legalność między państwem podziemnym a imperium. Walka ta rozpoczynała się wśród sprzeczności między Białymi, Czerwonymi i Wielo-polskim, a toczyła się pod „podwójnym arbitrażem narodu i zaborcy”.

Przegrał ją Wielopolski, gdyż nie wytrzymał gry między własnym społeczeństwem a Petersburgiem i wymusił powstanie roz-porządzeniem o brance. Przegrał, gdyż przecenił własne siły i racje i zlekceważył nastroje rozbudzonego społeczeństwa. Czer-woni przegrali, gdyż zbyt lekko potraktowali obiektywny układ

2. W. Wasiutyński, *Źródła Niepodległości*, Londyn, 1977, str. 51.

sił i podjęli wyzwanie Margrabiego. Biali zaś podzielili ogólny los. Ich polityka ewolucyjnego przejścia od legalnej opozycji do zbrojnego wystąpienia załamała się wobec „patriotycznych emocji” oraz dążeń zaborcy do ostatecznego spacyfikowania ducha narodowego. Rosjanie mogli sobie na to śmiało pozwolić, gdyż reszta Europy uważała w istocie kwestię polską za wewnętrzne rosyjskie zagadnienie. W ostatecznym rozrachunku przegrali i oni, gdyż nie udało im się Polaków wynarodowić.

Łubieński kończy swą pracę twierdzeniem, że pytanie o sens i szansę towarzyszy wszystkim naszym powstaniom, bo jest „natury uniwersalnej, dotyczy celowości ludzkiej walki dla poprawienia świata, pożytku z przegranej”.

Wolno sądzić, podkreśla z emfazą, że szans nie miało żadne powstanie, wszystkie wpędzały tylko naród w coraz cięższą nie-
dolę i niewolę, albo przeciwnie, że właśnie za rzadko wybuchały, były za słabe i za mało radykalne pod względem społecznym i wojskowym.

Pytania te wymagają szczegółowej analizy i głębokiego prze-myślenia, szczególnie gdy zważymy wiele mówiący fakt, że nasi czescy pobratymcy odzyskali niepodległość — w tym samym czasie co my — bez żadnych powstańczych zrywów i wielkich ofiar z ich strony. Głównie z tej prostej przyczyny, że w 1918 roku nadarzyła się ku temu wspaniała okazja, do której wykorzystania przygotował ich stary Masaryk. Co więcej, gdy my co pokolenie przelewaliśmy daremnie krew naszych najlepszych w głębokim przeświadczeniu, że inaczej grozi nam utrata narodowej świadomości, Czesi, po dłuższej niż nasza niewoli i całkowitym prawie zniemczeniu ich klas wyższych, odradzali się jako naród i tworzyli materialne, cywilizacyjne i polityczne podstawy ich przyszłego niezależnego bytu.

Pozwoliło im to na o wiele lepszy od naszego start, stworzenie demokracji i pozyskanie sobie w świecie miana najbardziej „zachodniego” narodu ze wszystkich narodów słowiańskich.

Rozpatrując te pytania warto też zapoznać się z poglądami Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego, dwóch wielkich nauczycieli narodu, na sprawę powstań jako drogi do niepodległości.

Piłsudski, który był spadkobiercą i uosobieniem naszych powstańczych tradycji, uważał, że niepodległość zdobywa się walką, że każde pokolenie krwią swoją dowodzić musi, iż Polska żyje i nigdy nie pogodzi się z niewolą, że główne niebezpieczeństwo grozi jej ze strony Rosji i wreszcie, że na polu walki decydują siły moralne wojska i charakter dowódców.

Dla Piłsudskiego całe porozbiorowe dzieje Polski to „historia najbardziej dzikiej samowoli i ucisku z jednej a bohaterskiej

walki z drugiej strony. Każde pokolenie wyęczało swe siły, żeby się uwolnić od ciężkiego i hańbiącego jarzma. Powstania polskie wybuchały jedno za drugim, oddzielały je jedynie lata uporczywej pracy przygotowawczej”.

Żadne z tych powstań nie zostało uwieńczone powodzeniem, gdyż, zdaniem Piłsudskiego, „lud pracujący w Polsce — z braku świadomości — brał zbyt nieznaczny udział w ruchu prowadzonym głównie przez warstwę wykształconą”.

Dlatego też Piłsudski chciał związać z ruchem niepodległościowym polską klasę robotniczą. Rozumiał, że po upadku powstania 1863 roku i uwłaszczeniu chłopów szlachta polska straciła przewagę ekonomiczną w kraju i przestała być jego główną siłą polityczną; że jej rola jako klasy przodującej dobiegała już kresu.

Piłsudski drogę do niepodległości widział tylko w powstaniu wzorowanym na styczniowym. Powstanie takie usiłował bezskutecznie wywołać w Królestwie w sierpniu 1914 roku. Dla Komendanta nie istniał problem „bić się czy nie bić?” — a jedynie „jak i kiedy?”.

Wybuch pierwszej wojny światowej wydawał mu się wspaniałą okazją do wszczęcia zbrojnej walki o niepodległość. W lutym 1914 roku Piłsudski przewidywał że „zwycięstwo pójdzie z Zachodu na Wschód. Co to znaczy? To znaczy, że Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy, a te z kolei będą pobite przez siły anglo-francuskie, lub anglo-amerykańsko-francuskie. To wskazuje Polakom kierunek ich działania”.

W pierwszej fazie wojny chciał iść z Niemcami i Austrią przeciwko Rosji, w drugiej z Anglią i Francją przeciwko Niemcom³. Jego powstanie miało się więc toczyć zależnie od sprzyjającej mu sytuacji międzynarodowej.

Poza tym Piłsudski dążył i parł do walki, gdyż ani na chwilę nie mógł pogodzić się z niewolą. „Walczyć i umrzeć jedynie dlatego” — pisał w 1908 roku, „że w wychodku jakim jest nasze życie — żyć nie mogę. To ubliża mi... jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów, czy socjalizm, czy polskość, czy co innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę. To nie sentymentalizm, nie maszajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chce zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem okładanym kijem czy nahajką”⁴.

3. Józef Piłsudski o Powstaniu 1863 roku, Londyn, 1963, str. 214.

4. W. Jędrzejewicz, *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, Londyn, 1977, Tom I, str. 264-65.

5. Józef Piłsudski, *Pisma Wybrane*, Londyn, 1943, str. 47.

Z walki tej Piłsudski chciał wyjść zwycięzcą lub zginąć, ale tylko tak aby „nieszczęśliwy koniec” mógł się stać natchnieniem i nauką dla potomności⁶.

Piłsudski był więc zagorzałym wyznawcą powstańczej ideologii, dążącym do pozyskania dla niej większości Polaków oraz wprowadzenia jej w życie. Przygotowywane przez niego powstanie miało otrząsnąć Polaków z marazmu w jaki popadli w następstwie klęski upadku powstania styczniowego i ponownie poderwać ich do walki o niepodległość.

Zdaniem Piłsudskiego narodowe cechy Polaków jak „entuzjazm, pewna lekkomyślność i nie liczenie się z siłami — czyli przewaga uczucia (serca) nad rozsądkiem (mózgiem)” — kierowały ich do powstań. Lecz po 1863 roku nastąpiła reakcja i wysunął się „na czoło rozsądek”.

„Suchy rachunek i rozsądek doprowadziły naród polski do swego rodzaju pokory politycznej i do tej niesłychanej anomalii, że naród ten nie ma żadnego prawa decydowania o sobie. Rozsądek pożarł energię i wolę Polaków. Bogiem ich stało się umiarkowanie”.

W Królestwie po 1863 roku, w opinii Marszałka, panował tylko „rozsądek i tchórzostwo”, i dopiero wejście jego strzelców miało pobudzić królewików do akcji⁷.

Pomimo to miał Piłsudski niezmiernie wysokie wyobrażenie o Wielopolskim, który, jak wiemy, chciał w zarodku zniszczyć powstańcze poczynania „lekkomyślnych” rodaków. Daje to nam wiele do myślenia i początkowo wydaje się wprost niezrozumiałe.

Mówiąc o Wielopolskim, Piłsudski, twórca polskiej siły zbrojnej i zwycięski wódz, podkreślał, że był to „stalowy człowiek z wielką wolą”, który wyzyskując osłabienie Rosjan po przegranej wojnie krymskiej pracował nad uzyskaniem autonomii dla Polski. „Cały aparat rządowy stawał się polski, a odrodzona Szkoła Główna dotąd jest pomnikiem jego zasługi. Do społeczeństwa Wielopolski odnosił się z pogardą, żądając jedynie posłuszeństwa. Posłuch zaś wymuszał gwałtownymi środkami i w niczym nie różnił się od najeźdźców, którzy użyczyli mu w tym celu rąk i aparatu... Odpłacono jemu i jego stronnictwu tym samym. Wyklęty był z narodu, nienawidzony może więcej od najeźdźców...”.

Wbrew temu Piłsudski ponad wszystkich wodzów powstania styczniowego wynosi Margrabię, bo „nie był niewolnikiem” i miał wielką „dumę i godność swego narodu”. „Widzę wspaniałą scenę” — pisze Piłsudski — „Pałac Zimowy w ogromnym Pe-

6. *Tamże*, str. 103 i dalsze.

7. W. Jędrzejewicz, *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego*, Tom I, str. 262.

tersburgu, liczny zastęp dygnitarzy czeka na wejście cara, czekają stojąc pokornie i cierpliwie — margrabia siedzi. Gdy zwrócono mu uwagę by powstał, gdyż majestat rosyjski ma wejść w tej chwili, odpowiedział: Przed królem swoim dopiero powstanę”.

„Padł zduszony obręczą bagnetów z jednej i drugiej strony, padł pod siłą pogardy, gniewiony często potwarzą nienawiści⁸”.

Zafascynowanie Piłsudskiego zniechęconym przez powstańców Wielopolskim jest uderzające.

„W samym początku wojny” — mówi Marszałek — „szedłem drogą gdzie stoi książęca rezydencja Wielkiego Margrabiego. Wielkie zamczysko opustoszałe... Gdzie sala zamczyska — obozowisko. Byłem tam i patrzyłem — cienie przeszłości wracają. Gdym oczy na chwilę zamknął, wielka postać Margrabiego stanęła przede mną. Opasłe cielsko, oparte na kiju, ze wzgardliwym twarzy wyrazem. I znów głos jego ozwał się: „Znów to samo — lecz Ty i Ci twoi, jacyście mali, mała wasza nikczemność, małe bohaterstwo”.

Kolory w jakich Piłsudski przedstawia postać i politykę Wielopolskiego wyraźnie wskazują, że Marszałek nie potępiał jej całkowicie, a nawet uważał za alternatywę do swojej. Wydaje się również, że Piłsudski w przystępach wewnętrznych rozterek gotów był kwestionować i rozważać najbardziej podstawowe założenia własnej linii politycznej — opartej na powstańczych wzlotach, chociaż zawsze do niej w ostateczności powracał.

„Nieraz Polak miota się w trwodze” — wyznaje — „wtedy z mogił, z grobów 1863 roku żywy cień powstaje, cień wielkości epoki, cień Rządu Narodowego, i wtedy mogiły wołają głosem strasliwym: „Idź i czyn!”⁹”.

Słowa Piłsudskiego wspaniale pokazują, jak powstańcze tradycje i wzory wpływały i ciążyły na polityce i poczynaniach ich zwolenników¹¹.

Polityka Wielopolskiego upadła gdyż tradycje te całkowicie odrzuciła i zwalczała. Wielopolski, będąc od 1831 roku przeciwnikiem powstań oraz nie wierząc w poparcie państw zachodnich dla Polski, szedł na współpracę z Petersburgiem i w jej ramach chciał uzyskać autonomię dla Królestwa, a tym samym uchronić jego mieszkańców od powolnej rusyfikacji. Upadł, gdyż dla większości Polaków był zbyt prorosyjski a dla wielu Rosjan zbyt propolski.

Byli Rosjanie, którzy obawiali się polityki Wielopolskiego bardziej niż polskiego powstania, które prędzej czy później wobec

8. Józef Piłsudski, *Pisma Wybrane*, Londyn, 1943, str. 103 i dalsze.

9. Józef Piłsudski, *Pisma Wybrane*, Londyn, 1943, str. 330.

10. *Tamże*, str. 33.

11. „Cień Piłsudskiego”, *Res Publica*, Nr 2/1979, str. 57 i dalsze.

ich przewagi musiało upaść. Zdaniem rosyjskiego historyka naszych powstań, N. W. Berga, Wielopolski był człowiekiem dla Rosji najniebezpieczniejszym, gdyż mając wpływ na decyzje cara wykorzystywał go celem „polonizacji” częściowo już „zrusyfikowanego” Królestwa. W istocie odrabiał skutki upadku Listopada.

Zdaniem Berga Polacy, odrzucając zręczną politykę Wielopolskiego sądzili, że w bohaterski sposób ratowali ojczyznę. „W istocie uratowali, ale nie siebie, lecz rząd rosyjski”. Umożliwili mu, po upadku Powstania Styczniowego, powrót do polityki pełnej rusyfikacji Królestwa, podjętej po raz pierwszy przez Paskiewicza, w imię zasady, że „relacja między Rosją a Polską może być tylko relacją despotycznego mocarstwa do podbitego narodu”¹².

Znienawidzony przez rodaków Margrabia dążył do zmiany tej „relacji” na polską korzyść i za to szanował i poważał go Marszałek, który dążył do tego samego celu innymi środkami. Osiągnął go zaś dzięki sprzyjającej międzynarodowej koniunkturze. Co więcej — osiągnął go, wbrew własnym zamierzeniom, bez wielkiego narodowego powstania.

Jego powstanie, które usiłował wzniecić w sierpniu 1914 roku, spaliło na panewce, a konspiracyjny Rząd Narodowy który miał nim kierować był po prostu fikcją. Powstańcze plany Komendanta nie powiodły się w dużej mierze dlatego, że większość Polaków pod rosyjskim zaborem trwała pod wpływem endecji i Dmowskiego, który od 1904 roku zwalczał pomysły Piłsudskiego. W sierpniu 1914 roku Piłsudski i jego strzelcy sami prawie pozostali na placu boju. Od tej też chwili zaczął się ich rozbrat ze społeczeństwem i dumna, samotna epopea Legionów.

Roman Dmowski, twórca polskiego nowoczesnego nacjonalizmu, zaciekle zwalczał powstania, gdyż przy straszliwej dysproporcji sił nie widział dla nich realnych szans powodzenia. W opinii Dmowskiego powstania były jedynie jałowymi buntami w czasie których naród daremnie trwonił swe najlepsze i najcenniejsze siły. Odrzucał je jako dzieło ludzi młodych, niedoświadczonych i niecierpliwych. Zdaniem Dmowskiego właściwie każdy Polak „wychowany w uczciwej rodzinie polskiej od jakiegoś dziesiątego roku życia był materiałem na powstańca”. Dodawał jednak, że młodzież w miarę jak się uczyła patrzeć i myśleć wyrastała z tych powstańczych zapędów¹³.

Dmowski widział drogę do stopniowego odzyskania niezawisłości w działalności polityczno-dyplomatycznej oraz w pracy organizacyjnej.

12. „Dzieje pewnej książki”, *Res Publica* Nr 2/1979, str. 97-99.

13. Roman Dmowski, *Polityka Polska*, Hanower, 1947. Wyd. 3. Tom I, str. 35.

Zamierzał wykorzystać nadchodzącą wojnę pomiędzy państwami centralnymi i siłami Ententy aby doprowadzić do polsko-rosyjskiego zbliżenia i współpracy. Przewidywał, że w wypadku zwycięstwa Ententy dojdzie do zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara. Główne zagrożenie dla Polski widział ze strony Niemiec, czym różnił się zasadniczo od Piłsudskiego, który nie tylko walczył z Rosją, ale w dodatku był niebezpiecznym socjalistą. Dmowski, przywódca polskich klas posiadających, zwalczając politykę powstań walczył też z postępowym społeczeństwem.

Do wybuchu pierwszej wojny światowej Dmowski dążył przede wszystkim do przekonania Petersburga, że nadanie Królestwu szerokiej autonomii leży w jego interesie.

Nie dostrzegł też „jasnego, logicznie obmyślanego planu w naszych działaniach porozbiorowych; nasze walki o niepodległość — to... zbrojne protesty przeciw niewoli, nie zaś wyraz jakiejś akcji planowanej, mającej przed oczyma cel konkretny. Nikt z tych, którzy je wywoływali i nimi kierowali, nie umiałby odpowiedzieć na pytanie w jakiej postaci Polska będzie odbudowana w razie powodzenia”¹⁴.

Co gorsza, w jego przekonaniu „powstania likwidowały sprawę Polską w Europie: po 63 roku została ona wykreślona z porządku dziennego spraw międzynarodowych i pokryta całkowitym milczeniem”¹⁵. Zdaniem Dmowskiego to powstania wyrobiły nam reputację narodu dla którego nic zrobić nie można, bo on sam nic dla siebie zrobić nie umie.

Dmowski był święcie przekonany, że polityczne skutki powstań były dla nas wręcz zabójcze, gdyż prowadziły do ściślejzego rosyjsko-niemieckiego zbliżenia, a więc miały zrywać więzy niewoli jeszcze bardziej je zacieśniały.

Za wyłącznie słuszną uważał politykę nacisków politycznych zmierzających do skłonienia Rosji do zaniechania polityki rusyfikacji i do pójścia na ustępstwa wobec Polaków. Zdaniem swych zwolenników reprezentował w odróżnieniu od Piłsudskiego „nieromantyczny” kierunek trzeźwego „realizmu politycznego”. Było to dużą przesadą, ponieważ polityka Piłsudskiego była w praktyce syntezą „romantyzmu” i „realizmu” i bardzo rzadko brała rozbrat z rzeczywistością.

Dmowski ze swej strony zupełnie nie doceniał roli czynników irracjonalnych w polityce i nie posiadał instynktu i intuicji politycznej, która zwykle cechuje polityków wielkiej klasy.

Dmowski odrzucał zdecydowanie myśl łączenia sprawy wyzwolenia narodowego z kwestią emancypacji społecznej klas upo-

14. *Tamże*, str. 28.

15. *Tamże*, str. 36.

śledzonych. Na odwrót, jako konserwatysta dążył do zachowania istniejącego porządku społecznego w imię narodowego solidaryzmu. Jego zaś stosunek do mniejszości narodowych i antysemityzm były już wręcz odrażające.

W dziedzinie polityki zagranicznej pragnął złączyć sprawę polską z przymierzem francusko-rosyjskim, zabiegać o zbliżenie z Rosją i przekonać ją, że w walce z Niemcami może liczyć na Polaków. Sądził, że tylko walna rozprawa między Rosją a Niemcami może nas uratować od ostatecznej zagłady. Uważał, że jedynie całkowity pogrom prusactwa może utorować nam drogę do zjednoczenia i wolności. Rozumiał, że nie może do tego dojść bez udziału Rosji. Stąd też widział zasadniczą zbieżność polsko-rosyjskich interesów.

Dmowski zdawał sobie świetnie sprawę, że jego polityka napotka na wiele przeszkód i w Polsce i w Rosji, a jej powodzenie uzależnione będzie od poparcia zarówno rodaków jak i Rosjan. „Cała tradycja porozbiorowa” — skarżył się często — „święcona stale w obchodach listopadowych i styczniowych była przeciw tej polityce. Była to co prawda tradycja klęsk, tradycja stopniowego likwidowania sprawy polskiej. Co gorsza, że autorowie klęsk umieją przemawiać jak mistrze¹⁶”.

Według Dmowskiego tradycja i działalność powstańcza „nie sprzyjały dojrzałości politycznej” Polaków. „W pojęciach przeciwników polityka polska polegała”, jego zdaniem, „na uroczystym deklarowaniu tego czego się chce i na protestowaniu czynnym lub słownym przeciwko temu czego się nie chce¹⁷”.

W praktyce Dmowski do wybuchu pierwszej wojny światowej usiłował wznowić politykę Wielopolskiego w bardziej rozszerzonej i przystępnej dla Polaków formie. Zawiedziony brakiem odzewu ze strony Rosjan na swoje apele o rosyjsko-polskie pojednanie, w roku 1915 wyjechał na Zachód, aby tam szukać poparcia dla sprawy polskiej.

Dmowskiemu nie wystarczała polityka bezskutecznych protestów przeciwko niewoli. Usiłował więc zastąpić ją własną wersją *Realpolitik*, opartej na politycznym i społecznym darwinizmie, zgodnie z którym Polacy w ich starciu z zaborcami mogli skutecznie przeciwstawiać się „zacofanym” Rosjanom, ale musieli ulec „rozwiniętym” Niemcom. Stąd też był zwolennikiem i krzewicielem orientacji prorosyjskiej. Dmowski nie przewidywał rewolucji w Rosji i upadku caratu.

Piłsudski szukał wyjścia z polskiego dylematu poprzez rozbięcie imperium rosyjskiego na jego narodowe pierwiastki. W latach

16. Roman Dmowski, *Polityka Polska*, Hanower, 1947. Wyd. 3. Tom I, str. 28.

17. J. Wolikowska, *Roman Dmowski*, Chicago, 1961. Str. 96.

1919-20 dążył „z rewolwerem w rękę” do stworzenia związanej z Polską Ukrainy, Litwy i Białorusi. Miało to zapewnić Polsce niepodległość i uczynić ją dostatecznie silną, aby mogła się ostać wszelkim zakusom na jej ziemie. Zamiary Piłsudskiego nie powiodły się. Jego Polska, jak się o tym przekonaliśmy we wrześniu 1939 roku, nie była mocarstwem.

Dmowski przeciwstawiał się wschodniej polityce Piłsudskiego, gdyż odmawiał Ukraińcom i Białorusinom prawa do niezawisłości i dążył do podziału ich ziem między Polskę i Rosję, do czego zresztą częściowo doszło w Rydze. Doprowadziło to do powstania Piemontu ukraińskiego w naszych granicach, który Rosjanie niemal za wszelką cenę starali się zlikwidować. Tutaj też należy chyba szukać jednej z zasadniczych przyczyn paktu Mołotow - Ribbentrop, który przesądził o losach Drugiej Rzeczypospolitej. Czym dla Niemców był „Polski Korytarz” który dzielił Rzeszę na dwie części, tym dla Rosjan był „Piemont Ukraiński” na naszych kresach, gdyż mógł stać się źródłem niepokoju na ich ukraińskich terenach.

Jak widzimy, Piłsudski i Dmowski różnili się zasadniczo nie tylko w sprawie powstań, ale i co do struktury państwa polskiego.

Dla Piłsudskiego powstania były wielkimi, chociaż nieporadnymi krokami na drodze do niepodległości, dla Dmowskiego zaś po prostu bezsensownymi i daremnymi protestami przeciwko niewoli.

Co Piłsudski i Dmowski powiedzieliby o powstaniu warszawskim, możemy się jedynie domyslać. Sądzę, że nie byłiby nim specjalnie zachwyceni. Piłsudski zżymałby się na sposób jego przeprowadzenia, a Dmowski gromiłby już samą koncepcję tego powstania.

Kto dzisiaj zajmuje się polityką polską, powinien dokładnie i uważnie przestudiować co o polskich powstaniach pisali Piłsudski i Dmowski, gdyż tylko wtedy w pełni doceni znaczenie postawionego przez Łubieńskiego pytania: bić się czy nie bić? Pojmie też w jak wielkim stopniu spór o powstania wpływał i nadal wpływa na naszą świadomość narodową oraz myśl i działalność polityczną.

Zrozumie, że do pytania: bić się czy nie bić? — które jest niezmiernie złożone — należy podchodzić w sposób bardzo ostrożny, gdyż pomyłka w tej materii może nas znowu drogo kosztować.

Jan NOWAK

Bić się czy nie bić? Podobnie jak w tytule tak i w treści swej rozprawy poświęconej trzem powstaniom doby rozbiorowej Tomasz Łubieński wolał postawić raczej znak zapytania aniżeli dać kategorię odpowiedź. Zamiast prowadzić do jednoznacznej tezy każe czytelnikowi snuć dalej tok rozumowania aż do ostatecznej konkluzji. Jest to więc książka, która nie popada w uproszczone i znane schematy lecz pokazuje kilka aspektów bardzo złożonego problemu. Dzięki temu zdołała obudzić odwieczny spór toczący się nie tylko między tymi, którzy już dawno opowiedzieli się za albo przeciw, ale także w umysłach ludzi wciąż szukających rozstrzygnięcia swoich własnych wątpliwości.

Jak dalece autor postawił pytanie w zawieszeniu świadczyć może to, że recenzenci odczytują jego książkę każdy inaczej. Zdaniem jednych Łubieński podprowadza blisko do wniosku, „że to wszystko było jednak daremne” (Jan Demboróg, *Tygodnik Powszechny*, 3 września 1978) albo, że książka jest „jawną apoteozą polityki ugody z zaborcami” (Jan Łojek, *Życie Literackie*) podczas gdy inni uważają, że autor „gromadzi argumenty po obu stronach, przeciwstawia je sobie po to, by dojść do wniosku, że racja była po tej stronie, która chciała się bić” (Ernest Skalski, *Kultura*, Warszawa, 22 października 1978).

Oczywiście ci, którzy argumentują, że bić się nie miało sensu, mają sytuację ułatwioną. Ujemne następstwa powstań w postaci represji, strat ludzkich i moralnych oraz konsekwencji politycznych występowały bezpośrednio po każdej klęsce, były namacalne i wymierne. Natomiast skutki pozytywne, które przytaczają apologety, miały charakter długofalowy i objawiały się w nieuchwytnej domenie ducha i świadomości. Obrońcy odwołują się do niesprawdzalnej hipotezy co by było, gdybyśmy się nie bili.

Słaba strona rozprawy Łubieńskiego polega na tym, że szukając odpowiedzi na pytanie: bić się czy nie bić — rozpatruje trzy powstania epoki rozbiorowej w oderwaniu od tego, co było przed nią i co się stało po niej. Uczestnicy trzech wielkich zrywów okresu niewoli bili się bez szans zwycięstwa, ponieważ poprzednie pokolenia bić się nie chciały. Polska utraciła suwerenność bez jednego wystrzału nie w roku 1795 lecz w roku 1704 i nie w wyniku przegranej wojny lecz sojuszu, który pozwalał Rosji wprowadzać wojsko w granice Rzeczypospolitej bez pytania o zgodę. Jak słusznie pisze Jasienica, w ślad za wojskiem idzie władza. Jeszcze przez blisko sto lat państwo polskie figurowało na mapie, ale poza krótką przerwą Sejmu Wielkiego i Insurekcji

było niepodległe tylko na papierze. Od roku 1704 wojska rosyjskie i w ogóle obce wojska maszerowały przez Polskę kiedy chciały. Elekcja drugiego Sasa odbywała się w asyście 10 tys. wojsk saskich i 30 tys. rosyjskich. Kilkadziesiąt tysięcy obcych bagnetów osadziło Augusta III na tronie. Stanisław August był nominatem Katarzyny II, choć jak się później okazało, chciał służyć Polsce. Wojska rosyjskie czuwały o 3 mile od pola elekcyjnego. Bezkarne przemarsze obcych armii, nie napotykające na żaden opór, prowadziły najprzód do narzucenia obcej władzy a później do rozbiorów. „Kto chciał — pisze W. Konopczyński („Dzieje Polski Nowożytniej”) — rozbijał u nas namioty, stawiał magazyny, rekwirował, tratował niwy, rozwałł śpichrze, aresztował, bił i zabijał mieszkańców”. Rosja narzucała nie tylko królów, ale formy rządów uniemożliwiające naprawę ustroju. Wszystko to działo się bez żadnego oporu zbrojnego. Straciliśmy niepodległość, bo naród nie chciał jej bronić. Właściwie nie naród a jedyna jego świadoma część — jednomilionowa warstwa szlachecka żyjąca w dosyć kosztownych pozostałościach 10 mln. — nie tylko sama nie chciała się bić, ale skąpiła pieniędzy, by bili się za nią inni. Sejmy odmawiały pieniędzy na zaciąg wojsk własnych i najemnych. Cyfry przytoczone przez Konopczyńskiego mają miażdżącą wymowę. Państwo liczące przeszło 21 milionów mil kwadr. i 11 milionów mieszkańców miało w połowie XVIII wieku 12 tysięcy ludzi pod bronią. W tym samym czasie Rosja dysponowała armią z 331 tys. żołnierzy, Prusy — 145 tys., Austria — 139 tys. Dopiero Wielki Sejm uchwalił podniesienie wojska do 30 tys. Pacyfizm, brak gotowości już nie tylko do poświęceń życia, ale nawet do wyrzeczeń materialnych, sięgał zresztą do czasów panowania Wazów. Wielkie państwo przypatrywało się biernie narastającej potęgze sąsiadów, nie było zdolne zapobiec w porę niebezpieczeństwom. „Wojen zaczepnych — pisze Konopczyński — lub choćby przewencyjnych naród nie chciał, wojny rewindykacyjne podejmował zagnany, niechętnie”. Raz po raz marnowano okazje wzmocnienia państwa, odzyskania Śląska, rozszerzenia dostępu do morza... W epoce saskiej nawet ta garść wojska, która pozostała, nie chciała już nadstawiać karku. W czasie zawieruchy hajdamackiej gromady liczące czasem nie więcej niż 600 rezuńów trzymały w szachu znaczną część wojska komputowego...

Przebudzenie przyszło za późno. Dążenie do reformy ustroju nie miało osłony w sile zbrojnej, wskrzeszona wola walki stawiała wobec przygniatającej przewagi zaborcy. Ludzie, którzy w drugiej połowie osiemnastego wieku walczyli o uratowanie państwa i przywrócenie mu suwerenności, znaleźli się w sytuacji równie beznadziejnej co ich następcy w czasie zaborów. Co więcej —

trudno nie zgodzić się z Pawłem Jasienicą, że ten ożywczy ruch, to nieprzemyślane dążenie do oswobodzenia się z więzów zależności przyspieszyło rozbiory i upadek państwa, uniemożliwiło przetrwanie choćby w postaci szczątkowej do momentu wyłonienia się lepszej koniunktury. Po roku 1704 — twierdzi Jasienica — Rzeczpospolita mogła ocaleć w dawnych granicach i uniknąć podziałów tylko za cenę pełnej uległości wobec Rosji unikając drażnienia potężnego protektora. Tylko bowiem pełni i niekwestionowany protektorat mógł odebrać Katarzynie jakiegokolwiek racje dzielenia się z innymi czymś, co w całości i bezpiecznie znajdowało się w jej rękach. Pierwszy rozbiór nastąpił po uśmierzeniu Konfederacji Barskiej sprzymierzonej przeciw Rosji z Turcją. Wprawdzie Konfederacja występowała w obronie zachowania wolności szlacheckiej ze wszystkimi jej przywilejami, ale ponieważ wypowiedziała wojnę obcej przemocy więc przeszła do historii jako pierwszy zryw powstańczy. Reakcją na Konstytucję 3 Maja była wojna polsko-rosyjska z 1772 roku i drugi rozbiór. Klęska powstania Kościuszkowskiego przyspieszyła ostateczną katastrofę. Trzeci rozbiór nastąpił na trzy lata przed śmiercią Katarzyny II i na dziewięć lat przed pogromem Prus i Austrii przez Napoleona. „Gdybyż państwo polskie doczekało końca panowania Katarzyny II choćby w formie szczątkowej...” — wzdycha Jasienica... „Utonęliśmy tuż przy brzegu”.

Można mieć co do tego poważne wątpliwości. Już po pierwszym rozbiorze Rzeczpospolita wciąż wprawdzie zajmowała ogromny obszar, ale w sensie etnograficznym była resztówką. Rdzennie polskie ziemie na południu wcielone zostały do Austrii, na zachodzie do Prus. Po pierwszym rozbiorze polska masa etniczna w granicach państwa polskiego stanowiła mniejszość. To co pozostało po drugim podziale nie było już na dłuższą metę zdolne do samodzielnego bytu, podobnie jak nie mogło być samodzielnym organizmem ani Księstwo Warszawskie ani Królestwo Kongresowe. Wskrzeszenie resztówki przez Napoleona I i utrzymanie jej w nieco innych granicach i pod inną nazwą przez Aleksandra I nie ocaliło ani wolności wewnętrznej ani pół-niepodległości.

Wola orężnej walki o niepodległość obudziła się w społeczeństwie dopiero gdy zdało sobie sprawę, że ją utraciło. Za późno, by uratować państwo ale w porę, by ocalić naród. Co było ważniejsze? Pytanie to wypada postawić, bo w praktyce jedno wykluczało drugie. Przeczekać Katarzynę czyli biernie znosić obcą okupację, wszechwładzę rosyjskiego ambasadora, porywanie i wywożenie ludzi, gwałty i rabunek, narzucanie na każdym kroku obcej woli mogłoby znieść tylko społeczeństwo pogrążone jak za czasów saskich w apatii, bierności, zacofaniu, sobkostwie i mo-

ralnym upadku. Być może to państwo nierządem stojące doczekałoby się śmierci Katarzyny II i lepszej koniunktury zewnętrznej. Czy jednak przetrwałby naród, który osiągnął takie dno upadku? Czy państwo wciśnięte między Prusy, Rosję i Austrię miałoby szanse niezależnego bytu, gdyby jego obywatele nie chcieli go bronić? I czy upadek państwa bez uzdrowieńczych procesów nie oznaczałby także zagłady narodu? Po trzecim rozbiorze Szczęsny-Potocki mówił, że „znikło już to państwo i to imię jak znikło tyle innych w dziejach świata. Każdy z przeszłych Polaków ojczyznę sobie wybrać winien”. A więc wzywał nie tylko do pogodzenia się z utratą państwa ale także do jak najszybszej zmiany narodowości. Naród nie zastosował się do tej rady i nie poddał się wyrokowi zagłady, który w ostatecznym traktacie podziałowym zapowiadał usunięcie wszystkiego „co mogłoby zachować pamięć istnienia Królestwa Polskiego”. Dążenia do odzyskania wolności, obudzone w drugiej połowie XVIII wieku, okazały się tak mocne, że wybuchały żywiołowo w trzech zrywach powstańczych, które skończyły się klęską i w czynie zbrojnym, który w latach 1914-1921 przyniósł w końcu niepodległość, odbudowę państwa i utrwalenie jego granic. Z tego dążenia narodziła się poezja, literatura i sztuka, które w epoce podziału jednoczyły społeczeństwo i sprawowały rządy dusz. Między dwiema datami: 3 maja 1918 a 11 listopada 1918 istnieją ścisłe związki, bo bez odrodzenia narodowego u schyłku żywota Pierwszej Rzeczypospolitej nie doszłoby do wskrzeszenia państwa po 123 latach a więc w czwartym czy piątym pokoleniu.

Na pytanie: bić się czy nie bić — nie można więc odpowiedzieć nie uwzględniając tego zrywu zbrojnego, którego Polska dokonała w czasie pierwszej wojny światowej i po jej zakończeniu. Dla Europy 11 listopada 1918 jest datą zakończenia działań wojennych, ale dla Polski był to początek walki orężnej o zachowanie niepodległości zagrożonej od pierwszego dnia, walki o zjednoczenie rozerwanych dzielnic i wyrabianie granic państwa. Obie strony walczące były śmiertelnie wyczerpane czteroletnią wojną, żołnierze mieli jej dosyć, chcieli pokoju, demoralizacja armii rosyjskiej stała się jednym z głównych elementów wykorzystanych przez bolszewików w rewolucji październikowej. Polska jako drugi po Belgii i północno-wschodniej Francji najważniejszy teatr działań wojennych była doszczętnie zrujnowana, wyniszczona i głodna. Żołnierz, który walczył w szeregach austriackich, niemieckich i rosyjskich, czy pod własnymi znakami, był także zmęczony, także miał prawo odczuwać tęsknotę za domem i spokojem. Tymczasem czekały go trzy lata ciężkich zmagani: walka o Lwów, Powstanie Wielkopolskie, wojna z bolszewikami, walki o Śląsk Cieszyński i o Wilno, trzy Powstania

Śląskie... Pierwszym zagrożeniem niepodległości była klauzula zawieszenia broni w Compiègne nakazująca wojskom niemieckim pozostanie na ziemiach polskich i na wschód od nich aż do dalszych postanowień. Następnego dnia — 11 listopada, Polacy przystąpili do rozbrajania Niemców. Połączone siły POW, Dowórczyków, zwykłych cywilów, młodzieży akademickiej, nawet dzieci nie wynosiły w tym dniu więcej niż 9 tysięcy. W samej Warszawie był 30-tysięczny garnizon doskonale uzbrojonych żołnierzy niemieckich, w całej środkowej Polsce 80 tys. Ale przewaga była po stronie Polaków, którzy byli zdeterminowani na wszystko, podczas gdy Niemcy bić się nie chcieli, byli odrętwiali, chcieli wracać do domu tylko za jedną cenę: uratowania własnego życia. W rok po odzyskaniu niepodległości biło się na frontach wojsko złożone z 20 dywizji. W sierpniu 1920 w chwili największego zagrożenia walczyła 800 tys. armia w sporej części ochotnicza. Korpus oficerski był zlepkiem oficerów zawodowych trzech armii zaborczych. Naczelny Wódz, który wygrał wojnę klasycznym napoleońskim manewrem dwukrotnie powtórzonym, był samoukiem wojskowym, którego doświadczenie bojowe ograniczało się do dowodzenia na szczeblu brygady. Ale wygrał ją także naród.

Oczywiście zasadnicza różnica między powstaniami kończącymi się klęską a czynem orężnym w latach 1918-1921 polegała na tym, że po raz pierwszy mieliśmy szansę zwycięstwa. Zapominamy jednak o tym, jak łatwo było tę historyczną okazję zaprzepaścić. Stałoby się to niechybnie, gdyby społeczeństwo nie chciało się bić, gdyby żołnierz nie był gotowy oddać swego życia a kraj nie zdobył się na nadludzki wysiłek w momencie śmiertelnego znużenia i osłabienia.

Byłoby uproszczeniem twierdzić, że między zwycięską walką o niepodległość w latach 1818-1921 a trzema powstaniami istnieje związek przyczyny i skutku. Chociaż czyn zbrojny legionów Piłsudskiego nawiązywał i wyrósł z powstania styczniowego, był reakcją na trójlojalizm i ugodę. Bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że wszelkie przejawy walki i buntu w latach upadku Pierwszej Rzeczypospolitej, w okresie rozbiorów i wskrzeszania państwa wpływały z tego samego żywiołowego dążenia do wolności choćby za cenę największych poświęceń i ryzyka. Nie można podkreślić dostatecznie mocno, że wszystkie nasze wystąpienia orężne poczynając od powstania kościuszkowskiego a kończąc na roku 1939 i 1944 nie były dziełem sztabów i nie wpływały z decyzji powziętych za biurkiem i narzuconych społeczeństwu odgórnie. Odwrotnie — to dowódcy działali pod wpływem nastrojów społeczeństwa, które sami dzielili z wyjątkiem 1831 r. „Generałowie” — pisze Łubieński — „dowodzili emocjami, na-

pięciami, których sami również doświadczali”. Kościuszko uważał pomysły powstania za przedwczesne, usiłował nakłaniać do cierpliwości, przestrzegał, że „smutno byłoby lekko i nierozmyślnie zacząć, by upaść”, lecz uległ naleganiom i postawiony został wobec faktu dokonanego, gdy Józef Madaliński nie czekając na Naczelnika rozpoczął walkę. Powstaniem listopadowym, wznieconym przez grupę podchorążych, dowodzili generałowie, którzy byli mu przeciwni. W roku 1939 rząd, który przyjąłby warunki Hitlera zostałby zmieciony z powierzchni. W roku 1944 byłem naocznym świadkiem okoliczności w jakich zapadała decyzja. Głośno się o tym nie mówiło, ale dowództwo podziemia wojskowego i cywilnego było głęboko przekonane, że w chwili wycofywania się Niemców z Warszawy dojdzie do wybuchu tak czy inaczej i jeśli rozkaz nie wyjdzie od AK — dowodzenie przejmie PPR.

Dopiero w tym szerokim kontekście można pokusić się o odpowiedź na pytanie: bić się czy nie bić?

Z naszych i obcych doświadczeń historycznych wynika niezbicie, że naród, który bić się nie chce i wyrzeka się walki orężnej w obronie swego państwa albo w dążeniu do odzyskania niepodległości wydaje na samego siebie wyrok zagłady. W chwili kiedy to piszę, młodzież amerykańska protestuje na cały głos przeciwko rejestracji, która nie oznacza jeszcze przymusowego zaciągu do wojska. Brak chęci do poświęcenia w razie konieczności własnego życia, do jakiegokolwiek ryzyka a nawet do wyrzeczeń materialnych zgubił niegdyś Rzeczpospolitą i stanowi obecnie największe zagrożenie pogrążonego w dosyć świata zachodniego.

Z twierdzenia tego wcale nie wynika, że trzeba bić się na ślepo, podejmować walkę bez względu na jej szanse, nawet wtedy kiedy jest z góry skazana na klęskę. Gdyby przyjąć, że bez wszystkich trzech powstań — Polska nie odzyskałaby niepodległości, prowadziłoby to do absurdu tezy, że dla podtrzymania woli walki w narodzie potrzebne jest co 30 lat powstanie i nowa katastrofa.

Próba sformułowania jakiegoś postulatu, który byłby równocześnie syntezą, natrafia na jedną zasadniczą trudność. Jeśli przyjąć że we wszystkich naszych powstaniach przeważał element żywiołowy i spontaniczny — nie da się ich zrationalizować. Trudno nie zgodzić się z poglądem wyrażonym w amerykańskiej prasie polonijnej z okazji rocznicy powstania styczniowego, że ruchy oporu mają swój własny dynamizm wymykający się spod kontroli nawet najbardziej umiarkowanych prowodyrów. W roku 1956 dowódców w ogóle nie było. Byli tylko mówcy, pisarze i dziennikarze. Nie doszło do rewolucji i interwencji sowieckiej ponieważ w masach pamięć katastrofy Powstania Warszawskiego

była jeszcze świeża i żywa. Po drugie nie można z góry przyjmować, że dążenia wyzwolenicze, odmowa pogodzenia się z istniejącym stanem rzeczy będą zawsze tak żywe i silne, że odezwą się w najspokojniejszej chwili. W polskiej naturze element buntu i walki prowadzący do największego bohaterstwa sąsiaduje blisko ze skłonnościami do uległości i oportunizmu łatwo przeobrażającymi się w serwilizm, nawet podłość. Przykładów jednego i drugiego modelu nie brakuje. W różnych sytuacjach jedna albo druga właściwość naszego charakteru narodowego bierze górę. Często skłonność do ugody i kompromisu podyktowana jest najczystszyimi pobudkami patriotycznymi i wymaga większej odwagi niż wystąpienie z bronią w rękę. Łubieński niezwykle trafnie pisze o tym, że kadłubowa pół-niepodległość resztówki, jaką było Królestwo Kongresowe przed powstaniem listopadowym wytwarzała „zniewalający duch myślenia... kategoriami pół-niepodległości, pół-Polski... mniejszego, średniego i większego zła, kompromisu, który jest nieuchronny, obowiązuje, który dowodzi prawdziwie odważnego patriotyzmu”. Lecz właśnie ta mentalność sprawiła, że dowódcy obdarzeni władzą wbrew swej woli bili się bez przekonania, nie wierzyli w powodzenie sprawy i nie widzieli w niej szans. Komplement „odważnego patriotyzmu” dla ugodowców kłóci się z pochwałą dla podchorążych „którzy swoim gestem niewątpliwie sprowokowali obcą przemoc, która rozprawiła się z kłopotliwą, niebezpieczną formą kongresowej, polskiej pół-wolności. Na szczęście, skoro bowiem niewykluczone iż owa forma była dla wolności naszej może bardziej jeszcze podejrzana niż obca przemoc, to w samą porę została przekreślona. Spiskowcy... zaatakowali ową rozsądną, progresywnie posuwającą się świadomość, która groziła czymś poważniejszym od utraty kadłubowej państwowości, bo właściwie nieodwracalną być może utratą świadomości narodowej”.

Podobne słowa można odnieść do trójlojalizmu, jaki panował w Polsce w początkach stulecia. Po wybuchu wojny światowej mówiło się „nasi” o wojsku austriackim w Krakowie i we Lwowie, o rosyjskim w Warszawie. I tu i tam służyli przecież Polacy. Akceptacja była podyktowana upływem lat, beznadziejnością, wspomnieniami klęsk, pół-wolnością w Galicji i liberalizacją po 1905 w Kongresówce. Elementy obu orientacji działających na rzecz odzyskania niepodległości odmiennymi drogami stanowiły niewielką mniejszość. Rosjanie dziwili się, że mobilizacja w Królestwie idzie tak sprawnie. Rachuby Piłsudskiego na wywołanie powstania na tyłach frontu rosyjskiego nie znalazły pokrycia w nastrojach. Przebudzenie przyszło dopiero pod wpływem wydarzeń na frontach, wzajemnej licytacji o Polskę obu stron walczących i rosnących nadziei a także pod wpływem tych,

którzy od początku stulecia starali się przygotować społeczeństwo do walki zbrojnej. W chwili, gdy historia zastukała do drzwi, społeczeństwo było już w pełni duchowo zmobilizowane, gotowe do wykorzystania niepowtarzalnej okazji.

Dylemat bić się czy nie bić sprowadza się do tego, jak utrzymać wolę oporu i walki, jak nie dopuścić do pogodzenia z tym co jest, bez rozpaczliwych wybuchów pozbawionych szans, po to by — jak pisze Łubieński — „jeśli się zdarzy święta okazja naród jej nie przespał”. I jak ten nakaz przekazać szerokim masom.

Jan NOWAK

Piotr WANDYCZ

Wydana w 1978 roku niewielka książka Tomasza Łubieńskiego pt. *Bić się czy nie bić?* wywołała duży oddźwięk i dyskusje w kraju i za granicą. Szeroki zasięg debaty zdaje się świadczyć o tym, że temat powstań narodowych, tylekroć poruszany przez historyków, publicystów i polityków, jest wciąż jeszcze aktualny, a forma eseju historycznego przemawia, od czasów Jasienicy, bardziej do czytelnika niż naukowe rozprawy i źródłowe opracowania.

Nie ulega wątpliwości, że tomik Łubieńskiego stanowi interesującą lekturę. Autor daje nam swoją wizję powstań, od Insurekcji Kościuszkowskiej do Powstania Styczniowego, wykazując przy tym duże wycucie epoki jak też i odczytanie w tej dziedzinie. Nie oznacza to oczywiście, że historyk podziela wszystkie poglądy autora, zwłaszcza gdy operuje on z konieczności pewnymi skrótami. Niezależnie od tego jak ocenimy efekt rzezi galicyjskiej, liczba ofiar sięgała więcej niż „kilkudziesięciu zmasakrowanych”. Czytelnik zasugerowany wzmianką o belgijskich sztucernach w 1863 roku może nie zwrócić uwagi na późniejszy zwrot o „kiepskiej broni”; a już zupełnie wprowadzić w błąd może stwierdzenie, że nikt ze Szkoły Głównej nie wziął udziału w Powstaniu, jeśli się nie wie o motywach tej decyzji. Ale nie o to chodzi. Eseiści historyczni musi być traktowani na innych prawach niż zawodowi historycy i takie czy inne uproszczenia czy nawet przeinaczenia nie są tu chyba rzeczą najważniejszą.

Jaki jest cel tej książki i do jakiego stopnia autor dał odpowiedź na postawione w tytule pytanie? Krytycy nie są co do tego zgodni i dla każdego z nich zarówno temat książki jak i postawione pytanie „bić się czy nie bić?” daje pole do nieco

innych skojarzeń i refleksji. Na przykład Demboróg w *Tygodniku Powszechnym* uważa, że Łubieński daje w efekcie odpowiedź przeczącą, choć książka jest ambiwalentna. Jerzy Łojek znany w swej działalności historycznej zarówno z efektownych tez jak i skrajnych sądów zdaje się upatrywać w książce Łubieńskiego gloryfikację ugody z zaborcami. Skulski w *Kulturze* (warszawskiej) wprowadza do swych rozważań wątek Piłsudski - Dmowski i konkluduje, że Łubieński w gruncie rzeczy stwierdza, że bić się należało. Adam Bromke w emigracyjnym *Związkowcu* ma wątpliwości czy Łubieński daje odpowiedź negatywną czy pozytywną, ale skupia się w swych rozważaniach nad celowością walki w dzisiejszym kontekście. Wyraźnie książka Łubieńskiego ma dla niego politycznie-aktualny podtekst. Przyjmując możliwość różnorakich odpowiedzi w odniesieniu do powstań, Bromke daje jednoznacznie negatywną odpowiedź odnośnie Powstania Warszawskiego i obecnej rzeczywistości. Tak więc sprawą sporną jest nie tylko to jaki jest morał *Bić się czy nie bić?*, ale także (w każdym razie w wypowiedziach emigracyjnych) czy książkę Łubieńskiego należy przede wszystkim odczytywać aluzyjnie czy też nie.

Osobiście wydaje mi się, że tematem Łubieńskiego są nie tyle powstania co reakcja ludzi wobec pewnych krytycznych sytuacji dziejowych. Ludzie bowiem interesują Łubieńskiego przede wszystkim, i to zarówno takie jednostki jak Stanisław August, Kościuszko, Skrzyniecki, Prądyński czy ks. Adam Czartoryski, jak też i jednostki przez małe j: przede wszystkim Polacy, lecz także Rosjanie a nawet niemieckie mieszczki. W dużej mierze tomik Łubieńskiego to próba odtworzenia reakcji ludzkich i jak gdyby studium psychologiczne, dziedzina najtrudniejsza chyba dla historyka i dająca największe możliwości subiektywnych ocen i naświetleń.

Książka składa się z czterech rozdziałów, z których każdy jest dłuższy od poprzedniego. „Król i naczelnik” — to konfrontacja dwóch postaw, ale w wydaniu jakby nietypowo polskim. Autor zaznacza, że zarówno Kościuszko jak i Król Staś byli inni od ogółu, i wielokrotnie podkreśla zwrot „przyzwoitość patriotyczna”, coś w rodzaju *fair play* uprawianego przez nich obu. Przyzwoitość tę zdaje się łączyć z faktem, że nie byli oni urodzeni w niewoli, ale we własnym wolnym państwie. Następny esej „Generałowie i podchorążowie” kontrastuje wyższą kadrę zawodowych oficerów, prowadzących wojnę, ze sprawcami powstania. Obraz Powstania Listopadowego ukazany jest przez pryzmat jak gdyby dwóch postaw i oczywiście nie ma w nim miejsca na sejm, rząd i kierunki polityczne. Mamy więc znów do czynienia głównie ze studium psychologicznym. Jeśli można się

z autorem zgodzić, że w Powstaniu nie było idei, doktryny, dyspozycji, to wydaje mi się, że nie da się udowodnić twierdzenia na temat duszy generałów: „dusze stanowczo zbyt czułe, obolałe i zmęczone moralnie, jak na godzinę ogólnonarodowej próby istnienia”. Może tak, może nie. Powstanie Listopadowe jest wdzięcznym tematem do samobiczowania narodowego — ileż tu błędów, swarów, straconych okazji i niewykorzystanych możliwości. Nie wiem czy pokusił się ktoś o studium porównawcze z jakąkolwiek inną przegraną wojną, ale to tylko uwaga na marginesie.

Rozdział trzeci, „Dom i pół świata”, to oczywiście Wielka Emigracja. W trakcie czytania nie byłem z początku pewny czy celem autora jest pokazanie rosnących sprzeczności Kraj - Emigracja czy też kontrastu między emigracyjną Lewicą a obozem Czartoryskiego. Wydaje mi się, że chodzi jednak głównie o to drugie. Rozdział czwarty, „Bez barwy i broni”, zajmuje się Powstaniem Styczniowym. Być może, że autor jest tutaj bardziej w swym żywiole niż w poprzednich esejach, ale to tylko niczym nie poparta supozycja. Dylematy walki powstańczej, podziemia, sploty postaw etyczno-polityczno-psychologicznych są przedstawiane, zwłaszcza pod koniec rozdziału, w taki sposób, że zaciera się chronologiczna granica 1863 roku. Sporo tu nawiązań do podziemia Drugiej Wojny a także rozważań ponadczasowych.

Książka, powtarzam, jest interesująca i eseista ma tutaj wyraźną przewagę nad zawodowym historykiem skrępowanym kanonami metodologii, troszczącym się o wszechstronne naświetlenie tematu i wyważenie swych sądów. Łubieński tak traktuje swój temat, że nietrudno jest wyciągnąć z jego uwag sprzeczne wnioski odnośnie pytania: bić się czy nie bić? Z klęski zarówno Króla jak i Naczelnika zdaje się wynikać morał, że „nigdzie nie jest powiedziane, że miłość Ojczyzny musi się jeszcze opłacić”. Autor nie żałuje też kadłubowej Rzeczypospolitej po drugim rozbiórce. Podobnie w rozdziale o Powstaniu Listopadowym mamy zdanie o podchorążych, ratujących świadomość narodową, ważniejszą od kadłubowej państwowości Królestwa Kongresowego. Zwolennicy powstania w okresie Wielkiej Emigracji są rycerzami straconej sprawy, a jednak „robią swoje, aby jeśli zdarzy się święta okazja, naród jej nie przespał”. Przegrana styczniowa była oczywista, ale idea wolności przetrwała „na jakiś czas oczyszczona z monopoli stronnictw, z klasowych interesów, dzielnicowych ograniczeń”. Pojawiła się znów „pod postacią równie oczywistą, prostą, bogatą w słowa, pieśni i kolory, jak prawo do chleba”. To ostatnie zdanie odnosi się jawnie do schyłku dziewiętnastego i początków dwudziestego stulecia i szkoda, że w książce brak jest tego „ostatniego rozdziału”.

Cytowane urywki z książki Łubieńskiego stwarzają z pewnością wrażenie, że przychylam się do tych krytyków, którzy uważają, że na pytanie bić się czy nie bić Łubieński odpowiedział twierdząco. Otóż tak nie jest. Zaryzykowałbym twierdzenie, że dla autora tytuł jest pytaniem retorycznym, na które nie chce dać odpowiedzi. Być może nawet, że odpowiedź nie jest dla niego istotna. Jeśli przyjąć tezę, że książka ta jest głównie studium psychologicznym Polaków wystawianych na najcięższe próby, to odpowiedź na to czy mieli rację ci czy tamci nie ma właściwie znaczenia. Ważna jest złożoność zagadnienia. Ważna jest ewolucja psychiki narodowej od „patriotycznej przyzwoitości” poprzez narastający „garb” kompleksów aż do schyłku wieku XX-go, gdy „każdy układ pachnie zdradą, każde umiarkowanie — kapitulacją”. Wydaje mi się, że autor ma tu na myśli nie tylko sytuację sprzed stu lat, ale książkę Łubieńskiego każdy odczytuje w jakiś inny sposób. I to może stanowi jej największą wartość.

Piotr WANDYCZ

TOM 297 BIBLIOTEKI „KULTURY”

JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

„BYŁO TAK...”

Literacka Historia Polski od zarania dziejów
do śmierci Marszałka Piłsudskiego.

Str. 200.

F. 45,00.

O geopolityce, „Res Publicae”, nacionalnych patologiach i świętym Giedroyciu

I

Nie niemiecki („hitlerowski”) generał Karol Haushofer, lecz brytyjski uczony i polityk Halford MacKinder był twórcą nauki, która uzyskała nazwę „geopolityki”. Już w 1904 roku wygłosił on w Królewskim Towarzystwie Geograficznym w Londynie referat o „geograficznej dźwigni historii” (*The Geographical Pivot of History*), a w latach następnych w wykładach na londyńskim uniwersytecie i szkole nauk ekonomicznych i politycznych mówił o bezpośrednim wpływie na dzieje gromad ludzkich geografii fizycznej terenów ich osiedlenia. Urodzajność gleby decydowała o ich liczebności i stanie ekonomicznym, a od łatwiejszych lub trudniejszych do przekroczenia „granic naturalnych” zależało z jednej strony ich zabezpieczenie przed najazdami z zewnątrz, z drugiej możliwość własnej ekspansji. Sięgając daleko w przeszłość, do starożytnego Egiptu, Grecji i Rzymu, i dochodząc do czasów współczesnych, MacKinder wykrywał pewne prawidłowości w zależności od tego, czy dane społeczeństwa były ruchliwsze na lądzie czy na wodzie, i w związku z tym mówił o odmiennych punktach widzenia ludzi morza i ludzi lądu (*The Seaman's and Landman's Points of View*).

Pierwsi od zarania dziejów wykorzystywali siłę wiatru, toteż cechowała ich większa ruchliwość i szerokość horyzontów; od XVI wieku, po wielkich odkryciach Kolumba, Da Gamy i Magellana, cały niemal glob był w ich zasięgu. Drudzy mogli poruszać się znacznie wolniej, wykorzystując do XIX wieku jedynie siłę mięśni zwierzęcych (koni i wielbłądów); spotykali na drodze nieznane na morzu przeszkody naturalne (góry, pustynie, bagna,

rzeki) i byli ograniczeni do swoich „wysp”, które nazywano „kontynentami”.

Zasady geopolityki opartej na rzeczywistości geografii fizycznej kuli ziemskiej MacKinder wyłożył w opracowanej pod koniec pierwszej wojny światowej książeczce pt. „Demokratyczne ideały a rzeczywistość”. Jej podstawową tezę było, że ideały te — wolność jednostek i narodów w ładzie prawnym — były szczególnie zagrożone przez oparte na podbojach ustroje absolutystyczne, toteż opanowanie całego globu przez jedno mocarstwo groziłoby im śmiertelnym niebezpieczeństwem. Zdaniem MacKindera rzeczywistość geograficzna takiej ewentualności nie wykluczała, toteż w pracy swej wskazywał na środki mogące temu zapobiec.

Polityczne sugestie MacKindera zostały zignorowane przez paryską konferencję pokojową, natomiast jego koncepcja „geopolityki” wzbudziła duże zainteresowanie w pokonanych Niemczech. Po dojściu do władzy Hitlera w Monachium powołany został specjalny Instytut Geopolityki, kierowany przez generała, profesora doktora Karola Haushofera; cele jakie sobie stawiał Instytut były antytezą intencji MacKindera — miał on służyć nie zapobieganiu, lecz ułatwieniu opanowania globu, przy czym w jego pracach geografie polityczną uwzględniano w większym stopniu niż geografie fizyczną. Podczas kiedy MacKinder doszukiwał się pewnych obiektywnych prawidłowości, myśląc teoretycznie w skali kontynentów i stuleci, Haushofer, jego instytut i mocodawców interesowały przede wszystkim sprawy bieżące; nie „naturalne”, czyli prawie niezmiennie „linie graniczne” ustalone przez przyrodę (warunki geograficzne), lecz umowne, dowolnie ustalane a zatem zmienne granice polityczne. W takim rozumieniu „geopolityka” przedstawiała być obiektywną nauką i stawała się tylko rodzajem polityki, uwzględniającym w większej niż przeciętnie mierze warunki geograficzne. Dlatego też wydawca wznowienia książki MacKindera po drugiej wojnie światowej nazywał teorie Haushofera „pseudo-naukowymi” i zarzucał im „niebezpieczne uproszczenia i wypaczenia” (*dangerously oversimplified and distorted*).

W tej właśnie wypaczonej czy zwulgaryzowanej formie „geopolityka” stała się popularna w Polsce; ostatnio z jej to „stanowiska” Stefan Kisielewski omawiał zagadnienie „Czy geopolityka straciła znaczenie?” w pierwszym numerze nowego pozacenzuralnego czasopisma warszawskiego *Res Publica*.

Wychodząc z założenia, że „nasza sytuacja geopolityczna skonkretyzowała się drastycznie podczas drugiej wojny światowej” oraz twierdząc, że osobiście ma „wobec geopolityki pewne długi, a także życiowe sentymenty”, gdyż była ona „jedyną formułą”,

której mu pozwoliła przez dekadę między 1956 a 1965 r. brać „pewien udział w oficjalnym polskim życiu politycznym”, gorsząc się, że „problematyka geopolityczna często jest nieobecna w publikacjach opozycyjnej młodzieży” i nie sądząc by „polityka wielkich mocarstw w Europie uczyniła aktualnymi problemy regionalne”, lub by „po prostu minęła umysłowa moda na geopolityczne rozważania”, Kisielewski dochodzi do ostatecznego sformułowania tezy, że:

„problematyka geopolityczna, zaniechana w dużym stopniu przez opozycję z winy ekipy Gierka, wobec zaabsorbowania się myślącą młodzieżą rewoltującą sytuacją wewnętrzną i skupienia uwagi na kwestiach ideowo-ustrojowych — nie straciła wcale swego znaczenia. Wrażenie, iż jest przeciwnie, to złudzenie, wywołane dość długą stabilizacją sytuacji międzynarodowej w Europie, swego rodzaju geopolitycznym zawieszeniem broni. Ale to zawieszenie broni nie będzie trwać wiecznie, wydaje się, że zbliża się ono do końca. Geopolityka może się zmienić i to wcale nie na naszą korzyść...”.

Z powyższego wynika, że ze „stanowiska” Kisielewskiego w *Res Publicae* „geopolityka” jest widziana w jej formie „niebezpiecznie uproszczonej i wypaczonej” — nie jako obiektywna nauka ustalająca wpływy naturalnej geografii fizycznej na politykę, lecz jako bieżąca polityka, licząca się z aktualnymi, czyli ulegającymi zmianom granicami politycznymi.

Zobaczmy więc, jak ze stanowiska Kisielewskiego wygląda sytuacja geopolityczna Polski, „dramatycznie skonkretyzowana” ostatnio i mogąca się zmienić „wcale nie na naszą korzyść”. Referując to, opierać się będę na cytatach z obszernego artykułu, ograniczając się w zasadzie do spraw długofalowych („strategicznych”) i przeważnie pomijając doraźne zagadnienia „taktyczne”.

„Gdy żyje się między Niemcami a Rosją i nie jest się mocarstwem... trzeba zdecydować się na jednego wroga i jednego przyjaciela... Do rangi zwycięskiego przyjaciela awansowała Rosja... Musimy mieć zaufanie Rosji... Żyjemy w takim prowincjonalnym zakątku Europy i świata, gdzie geopolityczne racje i siły zawsze jeszcze w końcu zatryumfują... Naród wprawdzie 1000-letni i 35-ciomilionowy okazał się po wielokroć w swej historii tak terytorialnie jak i ludnościowo mało stabilny... Na porządkujące świat rozstrzygnięcia uniwersalne trudno w naszej sytuacji, w roli owego dziwnego i zapomnianego zakątku Europy, liczyć... Kiedyś, za dawnych carskich czasów o geopolityce mówiła 'reakcja' (konserwa, endecja), żeby wytłumaczyć dlaczego należy iść z Rosją i caratem. Ostatnio na fali fluktuacji gospodarczych i instynktownych reakcji ludowych zyskała wiatr w żagle opozycja inteligentna... Dostrzeżono wreszcie i zrozumiano konsekwentną od roku 1971 (dopiero? — W.S.) linię sowietyzacyjną w dziedzinach duchowych i politycznych... Polska nie jest (przynajmniej dotąd) krajem nędzy, lecz krajem olbrzymiego centralnie zawinionego marnotrawstwa i dezorganizacji. Jest krajem gigantycznego zakłamania... Cóż z tego, że formalnie mamy państwo, gdy stajemy się sowiecką prowincją, a mimo wychwalanej jedności etnicznej tracimy z dnia na dzień swą narodową tożsamość...”.

Osobiście sędzę, że jeśli z politycznych dzieł młodego czy średniego Dmowskiego więcej dziś mamy aktualnej korzyści niż z romantyczno-taktycznych impresji zawartych w pismach Piłsudskiego, to wynika to z faktu, że Dmowski w swych głównych książkach dał nam kurs bystrej a gruntownej analizy geopolitycznej... Sprawa niemiecka 'powróci na tapetę' i stanie się motywem zmian geopolitycznych w Europie — uważam to za pewnik... Na pytanie o przyszłość Niemiec trudno odpowiedzieć jednoznacznie... Jedni uważają zjednoczenie Niemiec pod egidą Rosji a za zgodą Ameryki za niezwykle korzystne, inni za katastrofalne. Pozostawienie stanu obecnego dla istniejącej państwowości polskiej wydawałoby się najkorzystniejsze, co nie wyklucza jednak realności zmian, które będą dla nas raczej niekorzystne. Z drugiej strony optowanie za *status quo*, wobec wciąż nieznośniejszej sytuacji wewnętrznej w Polsce staje się dla coraz większej ilości Polaków nie do przyjęcia, bo grozi nieobliczalnymi stratami w postaci ogólnej degeneracji społecznej, upadkiem patriotyzmu i utratą tożsamości narodowej¹.

Tak w bardzo ogólnikowym skrócie wygląda „geopolityczna” sytuacja naszkicowana w artykule datowanym w Warszawie w styczniu 1979 roku. Sędzę, że bez większych zmian w treści artykuł taki mógłby zostać napisany w styczniu 1779 lub kiedykolwiek pomiędzy tymi dwiema datami. Fakt, że sześć czy siedem pokoleń musiało wciąż się zastanawiać, co należy robić, aby utrzymać lub odzyskać „państwowość polską” i nie dopuścić do „ogólnej degeneracji społecznej” i „utrąty tożsamości narodowej” sam przez się świadczy, że geopolityka nie straciła znaczenia; oparta na niezmiennej lub mało zmiennej geografii fizycznej, jest czynnikiem w zasadzie stałym i od woli ludzkiej niezależnym, lub mało zależnym.

A jak wygląda rola i sytuacja Polski z punktu widzenia geopolityki nie Polsko-centricznej i nie „niebezpiecznie uproszczonej i wypaczonej”? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy we wspomnianej wyżej pracy MacKindera z 1919 roku. Oto usystematyzowane streszczenie zawartych w niej przewodnich myśli¹:

Jak obecnie wiemy, kula ziemna jest oblana wodą, oceanem, na którym znajdują się mniejsze lub większe wyspy. Osiedle na nich gromady ludzkie mają tendencje do ekspansji i podbojów innych gromad. Ruch po ziemi jest utrudniony przez różne naturalne przeszkody i ograniczony do terytorium danej wyspy. Ruch po wodzie umożliwia osiąganie wybrzeży wszystkich wysp oraz w większości wypadków przenikanie w głąb ich terytoriów przez rzeki i jeziora. Pozwala również na łatwiejsze dowożenie posiłków oraz środków technicznych do odpowiednich baz, niezbędnych do utrwalenia dokonanych podbojów. Zbyt daleko posunięte ekspansje lądowe z powodu braku dopływu posiłków i pomocy zmuszone były niekiedy do rezygnowania z trwałych pod-

1. H. J. MacKinder, *Democratic Ideals and Reality* published by Pinguin Books (Pelican Books), London, 1943, cytaty w tekście według tego wydania.

bojów i bądź to wycofywały się do swoich siedzib (Mongolowie), bądź rozpyływały się i wsiąkały w masę miejscowych mieszkańców. Na wielką skalę miało to miejsce w Azji (Chiny i Indie), na mniejszą w Europie (Waregowie w Europie Wschodniej, Sasi i Normanowie na wyspach brytyjskich).

Mieszkańcy podbitych terytoriów (kolonii), początkowo traktowani jako niewolnicy, później byli upośledzeni w prawach; dopiero od Rewolucji Francuskiej ustala się zasada „praw człowieka”, co prowadzi do zniesienia niewolnictwa, otwiera drogę demokracji i podważa legalność podbojów; prawa grup ludzkich (narodów) uzupełniają prawa jednostki — człowieka. Ideałem utrwalającej się w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej demokracji staje się świat złożony z wolnych narodów, które z kolei składają się z wolnych jednostek. W rzeczywistości jednak tendencje i aspiracje autokratyczne do panowania nad całą ludzkością nie zanikają całkowicie i MacKinder w pracy swej rozważa geopolityczne możliwości ich praktycznego zrealizowania.

Spśród mnóstwa wysp na kuli ziemskiej wyróżnia jedną największą, złożoną z kontynentów Azji, Afryki i Europy i nazywa ją Wyspą Światową (*World Island*). Jest ona siedzibą większości ludzkości i wszystkie inne „wyspy” świata z brytyjskimi, japońskimi, indonezyjskimi, australijskimi i amerykańskimi (północną i południową) włącznie muszą być uważane za jej satelitów.

Na Wyspie Światowej MacKinder wyróżnia obszerne terytorium niedostępne drogą wodną od oceanu i nazywa je „Sercowiną” (*Heartland*). Obejmuje ona zlewiska rzek wpadających do stale zamarniętego Oceanu Lodowatego oraz do mórz śródlądowych Kaspjskiego i Aralskiego, czyli w sumie prawie połowę Azji i ćwierć Europy. Do tego dodać należy także zlewiska rzek wpadających do Morza Czarnego i Bałtyckiego, których dostęp do Oceanu może być łatwo zamknięty. Ta niedostępna dla „ludzi morza” śródlądowa „Sercowina” może stać się geopolityczną bazą przy próbie podbicia czy opanowania całej kuli ziemskiej, w szczególności gdyby znalazła poparcie Europy wschodniej. Rozumowanie to doprowadza MacKindera do sformułowania trzech geopolitycznych twierdzeń:

KTO RZĄDZI WSCHODNIĄ EUROPĄ, PANUJE NAD SERCOWINĄ.

KTO RZĄDZI SERCOWINĄ, PANUJE NAD WYSPĄ ŚWIATOWĄ.

KTO RZĄDZI WYSPĄ ŚWIATOWĄ, PANUJE NAD ŚWIATEM.

W tym miejscu podkreślić należy, że zdaniem MacKindera granica geopolityczna między zachodnią i wschodnią Europą

przebiega między Morzem Północnym i Adriatykiem na zachód od Niderlandów i Wenecji, jak również tych części Niemiec, które od zarania historii Europy były niemieckie. Natomiast Berlin i Wiedeń leżą na wschód od tej linii, gdyż „Prusy i Austria są to kraje przez Niemców podbite i steutonizowane przy użyciu większej lub mniejszej przemocy”.

Do sprawy „naturalnej” geopolitycznej granicy niemieckiej od wschodu MacKinder powracał w swej pracy parokrotnie, pisząc m.in.:

„Kluczem do całości sytuacji we wschodniej Europie jest fakt, o którym należy dobrze pamiętać, że Niemcy zmiierają do panowania nad Słowianami. Wiedeń i Berlin znajdują się tuż poza granicą zachodniej Europy i, leżąc na terytorium które we wczesnym średniowieczu było słowiańskie, stanowią pierwszy krok niemyzyny ze swego rodzinnego kraju do podbojów na wschodzie. Rzeka Sala i Łaba oddzielały Słowian od Niemców za czasów Karola Wielkiego i po dziś dzień, niedaleko od Berlina na południe, w okręgu Chociebuża (Kottbus) chłopci mówią po łużyczku (Wendish), w języku słowiańskim używanym przed kilku wiekami przez całą ludność. Poza tą małą łużyczką pozostałością słowiańscy chłopci przejęli język niemieckich baronów rządzących swoimi włościąmi. W południowych Niemczech, gdzie włościąństwo jest naprawdę niemieckie, ziemia pozostała w posiadaniu drobnych właścicieli... Aczkolwiek zazwyczaj mówi się tylko o junkrach pruskich, autokratami byli przed wojną wielcy właściciele ziemscy zarówno w Prusach jak w Austrii, a chłopstwo w obu krajach do stosunkowo niedawna było w stanie niewolnym” (str. 96-97).

W ciągłym marszu na wschód Niemcy zrobili wiele kroków i ich faktyczne wpływy sięgały znacznie dalej niż formalne rządy. Zdaniem MacKindera w XVIII i XIX wieku faktycznie zarządzili oni Rosją, gdyż „rosyjska biurokracja, od której carat był zależny, rekrutowała się w znacznej mierze spośród młodszych synów rodzin baronów niemieckich z prowincji nadbałtyckich” (str. 100).

W ten sposób w Europie wschodniej powstała wielka „troista” organizacja niemieckiego panowania nad słowiańską przeważnie ludnością, aczkolwiek zakres władzy niemieckiej niewątpliwie nie był jednakowy na różnych terytoriach” (str. 100-101). Z geopolitycznego punktu widzenia nie było to bezpieczne: gdyby Niemcom udało się całkowicie opanować Europę wschodnią, otworzyłoby to im drogę do „Sercowiny”, a poprzez nią do opanowania całej „Wyspy Światowej” i dalej do zapanowania nad ludzkością. By tej ewentualności zapobiec, MacKinder zalecał w książce dwukrotnie wydawanej w końcowych okresach obu wojen światowych wbicie geopolitycznego klina pomiędzy Niem-

ców i Rosjan, czyli w praktyce odtworzenie dawnej Rzplitej. Tego jednak wyraźnie nie mówił i w ogóle jak gdyby nie wiedział, że przez wieki „trzeci system państwowy” rozdzielał niemieckie i rosyjskie imperia. Pisał jedynie o odwiecznej walce niemyzyny ze słowiańszczyzną i o niemieckich podbojach, od Sali i Łaby poczynając a na „na wpół niemieckim rosyjskim caracie” kończąc. Nie wskazywał również „naturalnej” geopolitycznej zachodniej granicy „właściwej Rosji” (*the real Russia*), aczkolwiek twierdził, że takie granice „w wielu miejscach były niemal równie dokładnie wykreślone na lądzie jak wybrzeża Francji czy Hiszpanii”.

„Narysujmy na mapie linię na wschód od Piotrogradu (Leningrad) wzdłuż górnej Wołgi do jej wielkiego zakrętu pod Kazaniem, a stamtąd wzdłuż Wołgi Środkowej do drugiego zakrętu pod Caryynem (Stalin czy Wołgograd) i wreszcie na południowy zachód wzdłuż dolnego Donu do Rostowa i Morza Azowskiego. Wewnątrz tej linii, na południe i na zachód od niej, mieszka powyżej stu milionów ludu rosyjskiego. Główna masa Rosjan zaludnia równinę między Wołgą i Karpatami oraz między Bałtykiem i Morzem Czarnym z przeciętną gęstością 150 osób na milę kwadr. i ta ciągła masa urywa się nagle na zewnątrz nakreślonej linii...” (str. 89-90).

Uznając w ten sposób, że ekspansja rosyjska na północ i wschód od wskazanej linii była trwałym podbojem, umożliwionym przez obszerną bazę, MacKinder pozostawiał otwartą niezwykle istotną sprawę „naturalnej” geopolitycznej granicy „właściwej Rosji” od zachodu. Ograniczał się do ogólnikowej wzmianki, że przebiega ona gdzieś pomiędzy Bałtykiem i Morzem Czarnym, ale wyraźnie jej nie wskazywał. A przecież w kilkanaście lat po przekroczeniu Wołgi i podbiciu Kazania na wschodzie (1552) miało miejsce ostateczne podbicie Nowgorodu na zachodzie (1570), przy czym stosunek do ludności obu miast był identyczny: ich mieszkańcy zostali bądź wysiedleni, bądź wymordowani na miejscu i zastąpieni przez przybyszy z „bazy”².

2. Po podboju Kazania pozostało w Rosji na wieki powiedzenie *kazanskaja sirota* dla określenia kogoś nie mającego nikogo bliskiego na świecie. O podboju Nowgorodu brytyjski historyk Sir Bernard Pares, znany ze swych prorosyjskich sentymentów, pisał: „(Iwan Groźny) ruszył na miasto w styczniu 1570, niszcząc kraj i mordując na prawo i lewo. Całe rodziny wrzucane były do rzeki, a ludzie na łodziach pchali je pod wodę; te okropności trwały przez pięć tygodni. Potem Iwan zwrócił się do pozostałych przy życiu obywateli, mówiąc: 'Ludzie Nowgorodu pozostali przy życiu mordercy do Boga za naszego religijnego suwerennego władcę o jego zwycięstwo nad wszystkimi ujawnionymi i nieujawnionymi wrogami'. Liczne zastosowane przez niego kary były zbyt okropne by je opisywać” (*A History of Russia*, London, 1955, str. 143).

Niezależnie od tego, gdzie przebiegała geopolityczna zachodnia granica Rosji, dla MacKindera nie ulegało wątpliwości, że chcąc zapobiec powstaniu autokracji światowej należało wzdłuż tej granicy wbić klin, oddzielający Rosjan od Niemców. Kilkakrotnie pisał o tym w sposób kategoryczny:

„Warunkiem trwałości terytorialnej reorganizacji Europy wschodniej jest jej podział pomiędzy trzy, a nie dwa systemy państwowe. Życiową koniecznością jest pas (*tier*) niezależnych państw pomiędzy Niemcami a Rosją” (str. 118).

„Obecnie, gdy wszystkie narody zostały sprzęgnięte (*locked*) w jeden światowy system Związku Narodów, idealisci, słusznie w nim widząc jedyną alternatywę dla „piekła na ziemi”, skupiają swą uwagę na właściwym podziale (*subdivision*) Europy wschodniej. Pas naprawdę niezależnych państw oddzielających Niemcy od Rosji (*Middle Tier of Really Independent States between Germany and Russia*) jest tam konieczny. Zwykła linia rozgraniczająca mocarstwa niemieckie i Rosję... nie zapobiegnie rywalizacji między Niemcami i Słowianami i nie może zapewnić trwałej stabilizacji. Jedynie 'Pas Środkowy' (*middle tier*), korzystający z poparcia innych narodów Związku Światowego, zdoła osiągnąć cel rozdzielenia wschodniej Europy na więcej niż dwa systemy państwowe” (str. 127).

„Ze strategicznego punktu widzenia szczególnie ważny jest fakt, że najbardziej kulturalne z owych środkowych państw Europy Wschodniej, Polska i Czechy, leżą na północy w pozycji najbardziej narażonej na pruską agresję. Narody polski i czeski mogą być bezpiecznie niezależne tylko jako wierzchołek szerokiego niezależnego klina od Adriatyku i Morza Czarnego do Bałtyku...” (str. 123).

Znamienne jest, że trwałe istnienie naprawdę niepodległej Polski i innych narodów w pasie między Niemcami i Rosją MacKinder uzasadniał nie tyle ich własnym interesem, co interesem całej ludzkości, jako konieczny warunek uniknięcia „piekła na ziemi”. Tego specyficznego „plusu” naszego położenia geopolitycznego Kisielewski ze swego Polsko-centrycznego „stanowiska” nie dostrzegł i pisze o „dziwnym i zapomnianym... prowincjonalnym zakątku Europy i świata”.

Czy jednak do wypowiedzi sprzed przeszło 60-ciu lat, wypowiedzi brytyjskiego geografa, wprawdzie uczonego ale politycznego „idealisty” można dziś przywiązywać jakąś wagę? Tego, że były one dwukrotnie zignorowane przy próbach porządkowania świata po wojnach światowych nie można uważać za ich dyskwalifikację — od czasów co najmniej Oxenstierny wiadomo, że światem nie rządzi mądrość. Poważniejsze mogą być obiektywnego rodzaju.

Aczkolwiek geografia fizyczna globu nie uległa zmianie, dla ludzi drugiej połowy XX wieku świat stał się zupełnie inny niż był dotąd. MacKinder widział zasadniczą różnicę pomiędzy „ludźmi morza” i „ludźmi lądu”, a nie uwzględniał „ludzi powietrza”, gdyż za jego czasów lotnictwo było w powijkach, i samoloty

uważał jedynie za nową broń „ludzi lądu”, rodzaj „nowej kawalerii amfibijnej”. Dziś różnice pomiędzy „ludźmi morza” a „ludźmi lądu” się zatarły, zaś dla ludzi powietrza znikły wszelkie lądowe przeszkody terenowe, w związku z czym znaczenie strategiczne „Sercowiny” znacznie się zmniejszyło.

W erze lotniczej i nuklearnej kula ziemską „zmałała” do tego stopnia, że jej całkowite zniszczenie stało się technicznie możliwe. Toteż w strategii globalnej decydująca stała się baza zapewniająca posiadanie źródeł niezbędnej dla korzystania z nowoczesnych środków technicznych energii, a nie bierna tylko (bo niedostępna) baza śródlądowa. W tym sensie w światowej geopolityce nastąpiły zmiany istotne, niemniejse bodaj w swych skutkach od tych, jakie w swoim czasie spowodowało odkrycie „nowego świata”. Czy z punktu widzenia „ideałów demokratycznych” było to dla ludzkości i Polski istotne i korzystne?

MacKinder widział grożące tym ideałom niebezpieczeństwo tylko od strony Niemiec. Mówił o Niemcach, którzy wyleli się z Europy Zachodniej i przez kilka wieków konsekwentnie parli na wschód z intencją podboju całej Europy wschodniej, następnie „Sercowiny” i wreszcie globu. O Rosjanach mówił niewiele, może dlatego, że pisał swą pracę wówczas gdy Rosja wydawała się tonąć w rewolucyjnej anarchii; dla niego Rosjanie zlewali się całkowicie ze Słowianami w ogóle.

Akcentując zasadnicze przeciwieństwa pomiędzy germańszczyzną a słowiańszczyzną, MacKinder nie zwrócił uwagi na rażące podobieństwa, jakie w toku historii zarysowały się pomiędzy pewnym specyficznym rodzajem zarówno Germanów jak i Słowian, tj. między tymi co wyszedłszy z terenów swego pierwotnego osiedlenia podbijali obce ziemie, wyrzynali lub asymilowali ich mieszkańców i przybierali sobie ich dawne nazwy. Zarówno Prusy jak Moskwa (od miejscowej mordwińskiej nazwy rzeki) były początkowo swego rodzaju teokracjami (Zakon Krzyżacki i „strażniczka prawdziwej wiary” Moskwa), i przez pewien czas podlegały władzy zwierzchniej potężniejszych sąsiadów — Polaków i Tatarów. Następnie zdołały same tych sąsiadów ujarzmić i doszły do takiej potęgi, że stały się hegemonami wśród swych germańskich względnie słowiańskich współplemięnców, co im otwierało drogę do dalszych podbojów na jeszcze większą skalę. Gdyby MacKinder uwzględnił te podobieństwa, prawdopodobnie by uważał, że „ideałom demokratycznym” śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażało nie tylko z powodu podbojów posuwających się z zachodu na wschód. Co więcej, dziś musiałby stwierdzić, że to przed czym dwukrotnie przestrzegał stało się rzeczywistością po drugiej wojnie. Dziś niemal cała Europa wschodnia i „Sercowina” mają jednego władcę — Rosję Sowiecką, która dzięki

temu — zgodnie z geopolitycznymi twierdzeniami MacKindera — mogłaby panować nad „Wyspą Światową”, zmierzać do rządzenia nią i dążyć do zdobycia panowania nad globem.

W obliczu takich perspektyw zmiany jakie nastąpiły w światowej geopolityce i globalnej strategii trudno uważać za niekorzystne.

II

Niezależnie od zmian jakie nastąpiły w strategii globalnej geopolityczne położenie Polski zmianie nie uległo — pozostaje ona w pasie pomiędzy Niemcami i Rosją. Z tego geopolitycznego faktu Kisielewski wyciąga wniosek, że, nie będąc mocarstwem, „trzeba się zdecydować na jednego wroga i jednego przyjaciela”, pomijając przy tym inny geopolityczny fakt, że pomiędzy Niemcami i Rosją Polska nie jest SAMA. Jeśli od strony zachodniej Niemcy stali się bezpośrednimi sąsiadami Polski, po faktycznej eksterminacji zachodnich Słowian, którzy kiedyś ich rozdzielali, od strony wschodniej to JESZCZE nie nastąpiło i dzisiejszą PRL oddzielają od Rosji jeszcze nie całkowicie zrusyfikowane narody bałtyckie, Litwini, Białorusini i Ukraińcy. Czy tego geopolitycznego faktu nie należy brać pod uwagę przy decydowaniu się na wrogów i przyjaciół?

Gdy w swoim czasie MacKinder, w interesie całej ludzkości — dla uniknięcia ewentualności „piekła na ziemi” — postulował wbicie klina pomiędzy Niemcy i Rosję, pisał, że Polacy i Czesi mają stanowić „wierzchołek szerokiego niezależnego klina od Adriatyku i Morza Czarnego do Bałtyku”. Nie znaczyło to, aby ów klin miał mieć szeroką podstawę tylko na południu — od Adriatyku do Morza Czarnego — a bardzo ostry wierzchołek na północy, strategicznie znacznie od południa ważniejszej. Zadaniem „klina” było zabezpieczenie „demokratycznych ideałów” w „świecie wolnych narodów składających się z wolnych jednostek”, a zatem i na północy „klin” winien był obejmować nie tylko Polaków i Czechów, lecz również i inne narody zamieszkałe w pasie pomiędzy Rosją a Niemcami.

Do końca XVIII wieku na odcinku północnym pomiędzy Niemcami a Rosją istniała jedna Rzplita Obojga — czy więcej — Narodów. Po jej upadku kilka pokoleń niegdyś zespolonych narodów podejmowało bezskuteczną walkę o odtworzenie tej wspólnej Rzplitej, następnie ich drogi zaczęły się rozchodzić i Rzplita odtworzona po pierwszej wojnie światowej nie była już wspólnym państwem kilku narodów, lecz — teoretycznie przynajmniej — narodowym państwem jednego — Polaków. Jej obywatele

nie-Polacy stali się nieznanymi w dawnej Rzplitej „mniejszościami narodowymi”, których prawa obywatelskie miały się znajdować na mocy międzynarodowych traktatów pod ochroną Ligi Narodów. Dziś w PRL „mniejszości narodowe” praktycznie nie istnieją i obecna Polska stała się istotnie państwem jedn narodowym. Dawni pełnoprawni obywatele I Rzplitej, a później „uprzywilejowane” — czy też upośledzone — narodowe mniejszości — Białorusini, Litwini i Ukraińcy — znaleźli się poza granicami narodowego państwa polskiego, nie przestali jednak być sąsiadami Polaków.

Ewolucja od wielokulturowej Rzplitej do jedn narodowego państwa wiązała się z rozwojem od drugiej połowy XIX wieku teorii nacjonalistycznych. Pisarze polscy odegrali przy tym rolę wybitną. W 1892 Zygmunt Balicki wydał obszerne studium o „narodowym egoizmie”, a w 10 lat później Roman Dmowski zaczął ogłaszać *Myśli nowoczesnego Polaka*, które wywarły ogromny wpływ na kilka pokoleń nie tylko Polaków, lecz i innych narodów wchodzących niegdyś w skład wspólnej Rzplitej.

Zdaniem Dmowskiego, który przejął i rozwinął teorię narodowego egoizmu, nowoczesne narody stanowić miały specyficzne „organizmy społeczne”, wielkie Lewiatany pochłaniające całkowicie poszczególne jednostki („komórki organizmów”) i prowadzące pomiędzy sobą walkę o byt, w której nie obowiązywały żadne zasady etyczne. Dojrzałe, w pełni rozwinięte „organizmy” przybierały formę państw narodowych, których jedynym zadaniem i celem był rozrost narodowego „organizmu”, jego potęgi i siły. Z tego stanowiska państwa kilkunarodowe były anomaliami i Dmowski był przeciwny odbudowywaniu dawnej Rzplitej i potępiał jej zwolenników, „demokratów i patriotów starej daty”, uważając iż ich gotowość racjonalnego uwzględniania interesów wszystkich narodów niegdyś w skład wspólnej Rzplitej wchodzących była sprzeczna z zasadą narodowego egoizmu i zagradzała drogę do niepodległości i utworzenia narodowego państwa polskiego. Z — jak pisał — „Litwinami, Rusinami, Żydami itd.” nie chciał szukać racjonalnego kompromisu, opartego na zasadzie wzajemnych ustępstw, współdziałania i współpracy, lecz zalecał bezwzględną walkę z nimi w celu pomnożenia polskiego „organizmu narodowego”, czyli rozszerzenia granic i zwiększenia materialnej i ludnościowej potęgi narodowego państwa polskiego.

Jak wspomnieliśmy, sugestywnie sformułowane teorie Dmowskiego wywarły ogromny wpływ nie tylko na kilka pokoleń Polaków; nie powołując się na Dmowskiego, Litwini, Ukraińcy i Białorusini przejęli jego teorie o rozwijających się i krzepnących w walkach narodowych organizmach i w rezultacie w XX wieku na terenach dawnej Rzplitej toczyły się walki narodowo-

ciowe o nieznanym tam dotąd natężeniu. Jak zwykle, gdzie dwóch się kłóci, trzeci korzysta; Rosjanie i Niemcy wyzyskiwali we własnych interesach antagonizmy pomiędzy narodami dawnej Rzplitej, nierzadko celowo je podsycając. Na razie skończyło się na tym, że wszystkie one znalazły się w jednym „obozie”, z tym jednak że w zonie polskiej reżym jest nieco liberalniejszy niż w innych. Czy aby na długo?

Ze swego Polsko-centrycznego „stanowiska” w *Res Publicae* Kisielewski ma co do tego wątpliwości. Píše:

„Cóż z tego, że formalnie mamy państwo, gdy stajemy się sowiecką prowincją, a mimo wychwalanej jedności etnicznej tracimy z dnia na dzień swą narodową tożsamość”.

Jeśli tak wygląda obecna sytuacja, to czy jego teoria jednego wroga i jednego przyjaciela zdaje egzamin? Pomimo wyraźnych pod tym względem wątpliwości, Kisielewski pozostaje w swym artykule o geopolityce na stanowisku dalszego uprawiania gry tylko we trójkę; zaczyna od tego, że skoro Rosja zaawansowała do rangi zwycięskiego przyjaciela, musimy mieć jej zaufanie, w końcu zaś uważa za pewnik, że „sprawa niemiecka powróci na tapetę” i stanie się motywem zmian politycznych w Europie, które będą dla nas „raczej niekorzystne”.



W numerze drugim *Res Publica*, w dziale „Zygziem przez prasę” Kisielewski zamieścił notatkę „O niektórych patologiach nacjonalnych”. Formalnie jest to omówienie ogłoszonego na początku 1978 roku numeru *Kultury* z dialogiem Miłosza z Venclovą, który to numer miał wzbudzić w autorze „trochę dziwnych niepokojów”. W zestawieniu z tytułem można się było spodziewać, że niepokoje te wzbudziły niezdrowe objawy jakichś „nacjonalnych patologii”, ale z artykułu trudno zrozumieć, co autor uważa za „patologie”.

Chodzi mu, jak pisze, „o pobratymców ze Wschodu, Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, którym redaktor Jerzy Giedroyc od dziesięcioleci poświęca swą chwalebą przyjaźń i uwagę”. „Przy okazji — pisze dalej Kisielewski — urządzamy sobie czsto samobiczowanie, oskarżając Polaków o nacjonalny bzik, szowinizm, o egocentryzm i rozczulanie się nad sobą, z pomijaniem innych, co też cierpieli i cierpią”. Ze zdania tego jasno nie wynika, co właściwie autor uważa za patologiczne objawy — „nacjonalny bzik, szowinizm i egocentryzm” czy też „samobiczowanie” czyli stosunek krytyczny do własnego narodu oraz przyjaźń i uwagę poświęcaną innym, co też cierpieli i cierpią? To

co dalej pisze o potrzebie „wpuszczenia w te sprawy trochę innego, zachodniego powietrza”, by „nie usnąć w samobiczowaniu”, podczas gdy inni, też „usypiani w ruskiej łódówce”, „zwariują na swój sposób”, jest może piękną poetycką metaforą, ale istoty sprawy „patologii nacjonalnych” nie wyjaśnia. Wciąż nie wiadomo, jakie to patologie spowodują, że gdy „w końcu zbudzimy się wszyscy trochę (lub bardzo) pomyleni”, „świat idący swoim torem daleko nam ucieknie”. Wiemy jedynie, że dzieje się coś niedobrego: my usypiamy w samobiczowaniu (dziwny to zaiste środek nasenny), inni wariują na swój — a nie nasz! — sposób, a świat tymczasem idzie swoją drogą. Dokąd idzie?

Zanim autor ujawni nam pod koniec notatki swą zaiste apokaliptyczną i „surrealną” wizję przyszłości, na kilku stronach ironizuje i krytykuje wszystko i wszystkich, a przede wszystkim:

— Wilno, które przed wojną „znał dobrze” i którego „specjalny duchowy mikroklimat” został „zniszczony przez wojnę, szaulisów, Rosjan, Hitlera, lichy wie kogo jeszcze”, tak że dziś stało się ono „światem zabitym deskami i sowietyzowanym na potęgę”;

— Miłosza, który „kokietuje” swą nostalgią za Litwą i „z sentymenciku do nastrojów prowincji robi światopogląd”, że „niby to nie wie dobrze kim jest, choć każdy jego czytelnik mówi sobie: ‘Miłosz to Polak, jak Mickiewicz, i kwita!’”;

— Venclovę, ze słów którego „tchnie litewski obłędzik” i „dziwaczny dla nas klimacik zgorzkniałego nacjonalizmu słabych wciąż się przebija”, a przecież „szowinizm słabych wcale nie jest bardziej wybaczalny niż szowinizm silnych, a ci co cierpią niekoniecznie przez swe cierpienia pięknieją, może właśnie raczej degenerują się i dziwaczej”;

— „Ukrainofila” Łobodowskiego, który, wybrawszy się z odczytami do Stanów i Kanady, „użył tam jak pies w studni” — „Ukraińcy oskarżyli go, że pochodzi od Łobody, więc jest renegatem, zaś niektórzy Polacy krzyczeli, że jest zdrajcą, bo w ogóle zajmuje się i interesuje Ukrainą; dowiedział się też, że ‘wolna Ukraina’ nie potrzebuje żadnych sojuszników i że należy się jej, oprócz oczywiście Lwowa i Wołynia, także... Sandomierskie, Kieleckie, Radomskie, nie mówiąc już o Łemkowszczyźnie, Lubelszczyźnie, Bełżczyźnie, Lubaczewszczyźnie, Chełmszczyźnie i Podlasiu... Tu już sam Łobodowski nie zdzierzył i ryczy jak ranny łos — biedny Łoboda...”.

Po omówieniu tych, jak można sądzić w rozumieniu autora klasycznych objawów „patologii nacjonalnych” pisze on w konkluzji notatki:

„Sądziłem, że to tylko Polacy tu i ówdzie, ciężko przez historię w tyłek

hici, w końcu nie wytrzymali i poszaleli — tymczasem bzik nie gorszy ogarnął i pobratymów. Emigracyjna schizofrenia, patologia nieszczęśliwych — powiecie? Hm. Nie mogę się jednak opędzić od pewnej surrealistycznej wizji. Oto, gdy po latach stanie się wreszcie według proroctwa świętego Giedroycia i mużulmanie, Gruzini, Bałtowie oraz Ukraińcy rozwalą w kawały murszejące Imperium Radzieckie, gdy zabraknie wschodniego żandarma, co wtedy będzie z naszą Polską? Rzuca się oto na nią wyposzczone Litwiny, Białorusy, Ukraińcy i — rozszarpia na sztuki. (Nie miałeś litości, Panie... I my nie znajmy litości! Szarpmy ciało na sztuki. Niechaj nagie świecą kości!). Ostatni rozbiór Polski. *Finis Poloniae!* Z tego już nie powstaniemy. Wielka skleroza, wielka schizofrenia, wielkie Bałkany jako wynik patologii czyli ekscesów nowoczesnej historii?! Wielka Apokalipsa Głupstwa zaiste!..

Wizja istotnie makabryczna. Szczególnie zaskakujący jest wynikający z niej wniosek, że jedyną ręką istnienia jakiejś takiej Polski jest potężny Związek Sowiecki. Niech tylko jego Imperium zmurszeje i „zabraknie wschodniego żandarma”, natychmiast nastąpi *finis Poloniae*, ostateczny i nieodwołalny...!

A co leży u podstaw owej wizji? Gdzie szukać źródeł owej „wielkiej schizofrenii... czyli ekscesów nowoczesnej historii”? Owego „bzik” który ogarnął zarówno Polaków jak ich pobratymców?

We wschodniej Europie najwplywowszym teoretykiem nowoczesnego nacjonalizmu był Roman Dmowski, autor osławionych *Myśli nowoczesnego Polaka*. W uprzednim numerze *Res Publica*, w omówionym wyżej poważnym artykule Kisielewski wypowiedział osobisty sąd, że „z politycznych dzieł młodego czy średniego Dmowskiego więcej dziś mamy aktualnej korzyści niż z romantyczno-taktycznych impresji zawartych w pismach Piłsudskiego”. Czy pisząc to miał na myśli również dzieło napisane przez Dmowskiego w wieku lat trzydziestu kilku — *Myśli nowoczesnego Polaka*? Jeśli tak, dlaczego nazywa „wielką sklerozą” i „wielką schizofrenią” ewentualne wyciągnięcie z tego dzieła „aktualnej korzyści” przez „wygłodzone organizmy narodowe” Litwinów, Białorusinów czy Ukraińców i bezlitosne szarpanie na sztuki aż do nagich kości „organizmu narodowego” Polaków? Wszak Dmowski w *Myślach* uczył, że narodowe organizmy „trywialnie mówiąc, muszą jeść” i że w ich świecie nie obowiązują żadne etyczne czy prawne zasady i o wszystkim decyduje tylko siła. Jeśli z tych myśli Dmowskiego mamy dziś mieć aktualną korzyść, czy można mieć pretensje do „pobratymców” za przyswojenie nauk polskiego teoretyka i ewentualną próbę wyciągnięcia z nich „aktualnej korzyści” dla siebie?



Jakież wnioski nasuwają się z tych rozważań na tle błyskotliwych artykułów Kisielewskiego w warszawskiej *Res Publicae*?

Opanowana dziś przez Rosję Sowiecką Europa wschodnia straciła w strategii globalnej swą dotychczasową wyjątkową pozycję na rzecz krajów ropodajnych. Geopolityczna sytuacja Polski w pasie pomiędzy Niemcami a Rosją zmianie nie uległa. Nie znaczy to jednak by z niej wynikała konieczność wybrania jednego wroga i jednego przyjaciela, co w dalszej perspektywie zagrażałoby zachowaniu narodowej tożsamości.

W analogicznej z nami sytuacji znajdują się inne narody zamieszkałe w tym pasie. I one nie mogą liczyć na zachowanie swej tożsamości przez zbytne zbliżenie („przyjaźń”) z Niemcami lub Rosją. Będąc w podobnej sytuacji i mając analogiczne interesy mogą i powinny wytworzyć blok państw czy narodów „niezaangażowanych”, pozostających w możliwie najlepszych stosunkach z obu mocarstwami a jednocześnie broniących swych wspólnych — czy równoległych — interesów — zachowania swej tożsamości narodowej.

Największą przeszkodą w powstaniu takiego bloku jest schizofreniczny „bzik” nacjonalny, jaki ogarnął zarówno Polaków jak i ich dawnych „pobratymców” i przeniknął bardzo głęboko. Białoruski chłopak, urodzony w latach dwudziestych na północy Wileńszczyzny i wychowany w szkołach pod hitlerowską okupacją nie słyszał zapewne nazwiska Dmowskiego, a jednak posługuje się jego terminologią. Znalazłszy się pod koniec wojny w polskim Drugim Korpusie i wysłany na kurs szkoły podchorążych w Anglii, pisze o sobie, że w Mińsku „był częścią społecznego narodowego organizmu, a tu jest kruszyną w obcym ciele”, które zmierza do jego strawienia — asymilacji. Stanowczo się temu przeciwstawia i chociaż jest „przyjemnie zdziwiony” stosunkiem do niego kolegów z kursu, którzy go „szanowali i cenili”, Polaków jako takich nienawidzi i nimi pogardza³.

Wyzwolenie się z tego „bzik”, powrót (?) do chrześcijańskiego pojęcia wolnej jednostki ludzkiej jako autonomicznej wartości moralnej, a nie jakiejś tylko „komórki w organizmie”, czy śrubki w mechanizmie zbiorowym, przyjęcie i stosowanie w życiu zasady miłości bliźniego niezależnie od tego czy jest on „Grekiem czy Żydem” jest konieczną przesłanką dla możliwości wspólnego działania w obronie wspólnych interesów i osiągnięcia wspólnych celów.

A „samobiczowanie”? Wśród psychiatrów istnieje różnica zdań w sprawie stosowania kuracji szokowej. „Samobiczowanie” jest rodzajem takiej kuracji, i przesadzać z nim nie należy (ani

3. Konstantyn Akała, *Zmagarnia darogi*. Powieść. Toronto-Monachium, 1962, str. 512-513.

też „zasypiać” w trakcie). „Nacjonalny bzik” należy zwalczać wszędzie i w równym stopniu, zarówno wśród obcych jak i wśród swoich.

Przed wszystkim zaś w naszej sytuacji pamiętać należy, że znajdujemy się w jednej wspólnej łodzi żeglującej pomiędzy Scyllą i Charybdą i tylko zgodne współdziałanie może nas uratować.

Wiktor SUKIENNICKI

Kalifornia, w marcu 1980.

Pasjonująca książka

JULIANA KULSKIEGO

DYING, WE LIVE

THE PERSONAL CHRONICLE OF A YOUNG
FREEDOM FIGHTER IN WARSAW (1939 - 1945)

„Julian Eugeniusz Kulski ma z pewnością jedną z najbardziej zdumiewających biografii spośród Polaków zamieszkałych w Ameryce. Syn wiceprezydenta Warszawy miał lat dziesięć gdy wybuchła II wojna światowa, dwanaście gdy został zaprzysiężony do Podziemia, trzynaście gdy trafił na Pawiak, piętnaście gdy walczył w Powstaniu Warszawskim.

Dzienniki chłopca-powstańca ukazały się nakładem nowojorskiej firmy Holt Rinehart and Winston. Kulski spisał swe wspomnienia niemal dzień po dniu. O wydarzeniach wojennych zachował niemal fotograficzną pamięć. Bez patosu, oczyma chłopca opisał codzienne dni okupacji, zawiązywanie się formacji podziemnych, ćwiczenia wojskowe, akcje, tragedię Żydów w getcie warszawskim i katolików poza murami getta, naloty sowieckie i niemieckie, represyjną politykę okupantów i dramatyczne zmagania powstańców”. (*Tydzień Polski*).

304 stron druku, 159 fotografii, 6 map.

Oprawa sztywna, kolorowa obwoluta.

Cena £ 10. Przesyłka £ 1.50. Lotnicza £ 3.50

VARZARA, ORLEAN, VIRGINIA 22128, U.S.A.

Publicité

Dziennik pisany nocą

Neapol, 28 kwietnia 1980

Choroba, przykra i nudna; grzebanie wśród opowiadań „staroświeckich”, tych co podczas lektury dają złudzenie słuchania czyjegoś przyciszzonego głosu obok łóżka. Lubię, zawsze lubiłem, ich tradycyjne chwytby narracyjne. „Goście już dawno się rozjechali. Zegar wybił północ. Przy stole pozostali pan domu oraz X i Y. — A więc postanowione — rzekł pan domu — każdy z nas musi opowiedzieć dzieje swej pierwszej miłości”. Albo: „W drugim dniu podróży zaczęła wieczorem dopalać się świeca w kącie przedziału, a konduktor gdzieś zginął. Mój towarzysz podróży zdawał się na to tylko czekać. Popłynęła jego opowieść, poprzedzona prośbą bym jej cierpliwie wysłuchał. — O świcie pożegnaliśmy się i nigdy więcej nie spotkamy, ale odtąd ktoś będzie znał moją tragedię. Ta myśl przynosi mi dziwną ulgę”.

Czy można tu jednak mówić o „chwytach narracyjnych”? Istniała kiedyś specyficzna poetyka, ba — filozofia „zwierzeń”, w której zegar wybijający północ, dopalająca się świeca miały przygotowywać do odsłonięcia „desenu losu” w drobnym choćby skrawku; do odkrycia, że nic *mnie* przypadkowego niż to co nazywamy „przypadkiem”, „zbiegiem okoliczności”.

Kto wie czy to nie choroba właśnie wydobywa pewne rzeczy z całkowitego zapomnienia, ukazuje je w ostrym świetle, pozwala zobaczyć ukryte i zawiłe między nimi związki... Grzebanie wśród „staroświeckich” opowiadań, początek *Pierwszej miłości* Turgeniewa... Czyjś przyciszony głos obok łóżka, opowiada, opowiada, czyj to głos? Głos Z. w namiocie na pustyni irackiej, rok 1942,

tyle lat, tyle lat. „Każdy z nas musi opowiedzieć dzieje swej pierwszej miłości”.

Z. przydzielony został do naszej baterii na kilka dni przed tą nocą 1942 roku. Trzymał się na uboczu, rozmawiał skąpo i niechętnie, nie wiadomo było zresztą czemu przeniesiono go do nas z innego pułku. Robił wrażenie chorego nerwowo. Wyznaczeni razem na wartę, leżeliśmy obok siebie w namiocie wartowniczym, czekając na naszą kolej. Noc była widna, naprażona dziennym upałem i tak duszna pod moskitierami, że trudno było zdrzemnąć się bodaj na chwilę. To on zaproponował wymianę opowiadań o pierwszej miłości dla zabicia czasu. Pamiętam jak byłem tym zaskoczony i jak zaśmiałem się odmawiając. Dziś wiem, że nie było się czemu dziwić: potrzeba „zwierzeń” rodzi się niespodzianie, jest nagłym, niczym nieuzasadnionym i szybko przemijającym impulsem. Z. nie czuł się zrażony moją odmową, jakby jej w ogóle nie dosłyszał; i zaraz, obróciwszy się na wznak i przymknąwszy oczy, zaczął opowiadać.

Był jedynym synem małego właściciela ziemskiego w Lubelskim, osieroconym wcześniej przez matkę. Po śmierci matki ulokowano go u dalekiej rodziny w Warszawie i tam zapisano do szkoły. Do ojca jeździł co roku na całe lato. Miał siedemnaście lat, gdy ojciec ożenił się z o wiele od siebie młodszą kobietą. To była jego pierwsza miłość; i ostatnia miłość jego ojca. Tego roku na początku września, pod koniec jego wakacji w domu, spadły gwałtowne deszcze. Którejś nocy obudził go ojciec: staw groził wylewem, należało natychmiast otworzyć wszystkie stawidła w upuszcie. Nigdy, nigdy, dopóki żyje, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie: czy ojciec runął głową w dół, na deski upustu i sterczące między nimi głazy, szarpnięty przez łańcuch opuszczonego naraz stawidła, bo ześliznęła się sztanga hamownicza z zębatego koła; czy też to on, syn, obsunął ją bezwiednie w jakimś ślepym porywie nienawiści i... pierwszej miłości? Po pogrzebie ojca wrócił do Warszawy. I nie pojawił się więcej w domu macochy.

Potem widzę go na warcie. Stoi na piaszczystej wydmy za obozem, wysoki, chudy, lekko zgarbiony pod karabinem, tak zniechęcony jak gdyby spał na stojąco.

Nazajutrz zabrano go z naszej baterii, znowu nie wiadomo dlaczego. Straciłem go z oczu. Mogłem myśleć, że na zawsze. Mogłem też myśleć, i pewnie chwilami myślałem, że cały ten epizod był stopem przywidzeń sennych i meandrów wyobraźni w przegrzanym namiocie pustynnym.

Miską nazywano pod Monte Cassino dolinę, w której część żołnierzy z różnych oddziałów oczekiwała ostatniego natarcia na

Klasztor; każdy z nas w jednoosobowym schronie, wkopanym płytko w ziemię składaku z kamieni. Nocami szły ścieżkami Miski, pod ostrzałem moździerzy niemieckich, transporty amunicji i prowiantu na mułach. Czasem ryk ranionego zwierzęcia, przeciągły i rozdzierający, potrząsał ciemnością w dolinie tuż po chłasknięciu pocisku z moździerza. Jednej nocy wyrwało mnie z krótkiego snu szarpnięcie za nogę. Postać skulona przy włączu do schronu wyszeptała drżącym głosem: „To ja, Z. Dowiedziałem się, że tu jesteś. Pozwól mi położyć się obok. Nie wytrzymuję nocnej samotności w moim schronie”. Ośmieliła go najwidoczniej do tej prośby świadomość, że byłem depozytariuszem (może jedynym) jego „zwierzenia”. Przed świtem przemknął się do własnego schronu. Jak dwa lata temu, straciłem go z oczu. Po wojnie znalazłem jego nazwisko na liście poległych w bitwie pod Osimo.

29 kwietnia

Dziwaczny (wczorajsza gorączka?) zapis, wszystko niby jest w nim prawdą, ale wolno tak zagęszczać i miniaturyzować rzecz, która mogłaby być kolejną opowieścią o pierwszej miłości?...

8 maja

Dwie godziny przed telewizorem, transmitowany wprost po grzeb Tity; nie mogłem się oderwać mimo monotonii obrazów, przykuwało mnie do ekranu niejasne jakieś uczucie *déjà vu*. Zrozumiałem je wreszcie gdy teleobiektyw, porzuciwszy na dłużej sam kondukt, zajął się z większą dokładnością tłumem. Tak, pogrzeb Piłsudskiego. Podobny nastrój, podobny wyraz twarzy w Warszawie 1935, w Belgradzie 1980. „Dziadek” umarł, *Stari* umarł, co teraz będzie? Nie trzeba wcale być dziś w Jugosławii titoistą, jak nie trzeba było być wtedy w Polsce piłsudczykiem, by wiedzieć że skończył się cud wielkiego przywódcy w niewielkim i zagrożonym kraju, a równocześnie zamknął pewien rozdział w historii Europy, jeśli nie świata.

Zajrzałem w moim dzienniku do opisu wizyty u Dżilasa w listopadzie 1969 roku. Wracał często w tej rozmowie do armii jako głównego filaru Jugosławii w okresie post-titoizmu, zaznaczając przy tym z porozumiewawczym i smętnym uśmiechem, że w wyższym dowództwie przeważają Serbowie „tradycyjnie grawitujący ku Rosji”. W tegorocznej rozmowie z Ungerem jego ton jest zaniepokojony, ale umiarkowane. Od jego przyjaciół słyszę, że

off record jest najczarniejszym pesymistą. Wśród niebezpieczeństw na dalszy plan odsuwa bezpośrednią inwazję sowiecką. Ma rację; tym razem należy w Moskwie zadbać o dobre alibi. „Scenariusz” generała Hacketta w książce o trzeciej wojnie światowej — konflikt Słowenii z centralnymi władzami federacji, powstanie w Belgradzie komitetu prosowieckiego i apel do „towarzyszy radzieckich” — wydaje się zbyt szablonowy. Po pierwsze, świeży precedens Afganistanu nie zachęca do mechanicznej powtórki. Po drugie, Jugosławia bez Tity i z taką masą wewnętrznych problemów otwiera pole dla operacji delikatniejszych i o mniejszym ryzyku. Co powiedziawszy, wypada dla porządku pamiętać, że o istnieniu sowieckiego planu inwazji Jugosławii „Polarka” rozwodził się dość obszernie w roku 1968 zbiegły z Pragi generał Sejna.

W gazetach wieczornych pierwsze reportaże z pogrzebu. Breżniew ocierał płynący z czoła pot, czy ciekące z oczu łzy? Łzy, łzy, zapewnia reporter, przytaczając komentarz członka jednej z delegacji zagranicznych: „Z oczu, nie jak Maria Teresa, która w trakcie rozbioru Polski jednym tylko okiem płakała, a drugim wyraźnie się śmiała”.

14 maja

W wieku dwudziestu czterech-pięciu lat Nietzsche uchodził za człowieka silnego i zdrowego, nie skarżył się na żadne dolegliwości z wyjątkiem rzadkich i przelotnych bólów, przypuszczalnie pamiętki po upadku z konia. We wszystkich świadectwach z tego okresu mowa o jego wyśmienitym zdrowiu, szczególnie w świadectwach siostry. Tylko wielka edycja historyczna dzieł zebranych zawiera w piątym tomie „adnotację autobiograficzną”, która zdaniem redaktorów napisana była między jesienią 1868 i wiosną 1869, „niewątpliwie w stanie szalonego wzburzenia”. Brzmi ona dosłownie tak: „Czego się boję, to nie strasznej figury za moim krzesłem, lecz jej głosu; i nawet nie słów, lecz straszliwie nieartykułowanego i nieludzkiego tonu tej figury. Gdybyż mówiła chociaż jak mówią ludzie!”.

Curt Paul Janz, w ogromnej biografii filozofa, zastanawia się czy nie było w tym okresie takich adnotacji więcej, zwłaszcza że po wielu latach chory już Nietzsche napomynał o swoich atakach epileptycznych (bez utraty przytomności) w młodości. Całkiem możliwe, że siostra Nietzschego „oczyściła” wczesne zeszyty z analogicznych adnotacji a tej, wplecionej w zapiski filologiczne, po prostu nie zauważyła. Możliwe również, według biografów, że młody Nietzsche miewał częste halucynacje, był nimi wstrząśnięty

i przerażony, ale dopiero figura za krzesłem, przemawiająca straszliwie nieartykułowanym i nieludzkim głosem, popchnęła go do odnotowania wizyty „wysłannika królestwa do którego miał sam wejść dwadzieścia lat później”. Zaczyna i wierny biograf nie umie tu powściągnąć własnego przejęcia: „Nie wiemy ile razy demon najgłębszych otchłani i najzawrotniejszych szczytów pojawił się za krzesłem dwudziestoczteroletniego uczzonego, pogrążonego w pracy i medytacjach; nie wiemy co mu na ucho szeptał tym swoim straszliwie nieartykułowanym i nieludzkim głosem, co takiego przenikało słuchającego do szpiku kości; nie wiemy jak głęboko wnikał w niego ten demon, i w jakim stopniu Nietzsche odczuwał jego podziemną obecność także w pełnym świetle dnia; wiemy jednak że walczył z nim, że go pokonał i spętał na dwadzieścia lat. I może też być, że w ciągu tych długich dwudziestu lat nie spuszczał go nigdy z oka, a później, gdy go w pełni rozpoznał, złączył się z nim jak z najbardziej intymnym i sekretnym Ty”.

Bardzo dobre to ostatnie zdanie, widać że Janz biegły jest w demonologii. Nie tak dawno pisałem w dzienniku, na marginesie noweli Edgara Poe *The Black Cat*, o swoistej demonologicznej dialektyce „diabła poza mną” i „diabła we mnie”. Oto ona w biografii Nietzschego: dwadzieścia lat filozof trzyma na uwierzy „straszną figurę za krzesłem”, „wysłannika podziemnego królestwa”, aby w końcu wyrzucić z siebie słowa Iwana Karamazowa z jego dialogu z diabłem: „Ty to ja”. Ale przy uderzających zbieżnościach między Nietzschem i Dostojewskim w tych samych mniej więcej latach zeszłego wieku (Nietzsche pisał w liście do Gasta, że lektura Dostojewskiego daje mu poczucie obcowania z bliskim krewnym), jedna i ważna różnica, która w pewnym sensie nadaje dziś osobistemu doświadczeniu Nietzschego większą dramatyczność i aktualność, niż powieściowej wizji Dostojewskiego. „Zawsze rozumiem co pleciesz”, woła w dialogu Iwan Karamazow, zgodnie z tradycją diabła, nosiciela zła i księcia ciemności, posługującego się jednak ludzkim językiem. A diabeł Nietzschego? „Gdybyż mówił chociaż jak mówią ludzie!”. I w nim, w strasznej figurze za krzesłem filozofa, a nie w rozmówcy Iwana Karamazowa, rozpoznajemy protoplastę diabła nam współczesnego, tego co język zbliżony do ludzkiego zastąpił nieludzkim, nieartykułowanym, ciemnym bełkotem.

16 maja

Wyszła tu po włosku, w „pierwszym wydaniu światowym”, opracowana w Moskwie korespondencja Cwietajewa-Pasternak-

Rilke z lata 1926. Przeczytałem ją jak romans epistolarny. Utwierdzając się po raz Bóg wie który w przekonaniu, że jeżeli ktoś kiedyś napisze uczciwe i dokładne *Życie Cwietajewoj*, będzie to wielka książka o rewolucyjnych i porewolucyjnych dziejach inteligencji rosyjskiej, na miarę *Doktora Żiwago* i wspomnień Nadieжды Mandelsztam.

20 maja

Carlo Falconi jest historykiem Kościoła i „watykanistą” lewicowego tygodnika *Espresso*; podobno za młodu miał zostać księdzem; i podobno lubił go i cenił Paweł VI. Literacki pomysł jego książki *L'uomo che non divenne papa* polega na tym, że Falconi występuje w niej jedynie w roli kuratora autobiografii anonimowego prałata watykańskiego, właśnie „człowieka który nie został papieżem” mimo że marzył o tiarze od dzieciństwa niemal, wychowywany w murach Watykanu jako syn architekta papieskiego, a od młodości zaczął się ku niej świadomie pięć po szczeblach kariery w Kurii Rzymskiej. Decydujące o dalszej wspinaczce szczeble przypadają na ostatnie lata pontyfikatu Piusa XII, za Jana XXIII następuje przyhamowanie, u progu pontyfikatu Pawła VI wraca możliwość i pokusa kontynuacji, lecz nagle kandydat na papieża rezygnuje ze swych niebotycznych ambicji, wyjeżdża w misji na Daleki Wschód i tam po jakimś czasie umiera.

Prałat z „watykańskiej historii” (podtytuł książki) Falconiego jest człowiekiem ambitnym, z usposobienia konserwatystą, w gruncie rzeczy nie wierzącym w Boga a w każdym razie pozbawionym wrażliwości religijnej, jakkolwiek podaje go się za wzór skrupulatnej wierności świętym obrzędom. Fascynuje go przede wszystkim polityka papiestwa, podziwia instytucję i jej władzę, kocha jej „rzymskość”. Pieczętuje się zwrotem Tertulliana *Romanitas omni salus*. Wielbi, za mistrza i nauczyciela uważa Piusa XII, idealną symbiozę Kościoła i Kurii Rzymskiej. Stałby się, z tą swoją *quasi idolatria per papa Pacelli*, odpowiednim rzeczywiście kandydatem na papieża kiedyś w przyszłości, gdyby styl papieski Leona XIII, Benedykta XV, Piusa XI, rozwinięty i do perfekcji doprowadzony przez Piusa XII, miał być kultywowany także przez jego następcę. Ale „zwrot” Jana XXIII, *la svolta giovannea*, ustanawia supremację Dobrego Pasterza nad mężem stanu i dyplomata (jak to określił sam Roncalli), co w praktyce oznacza między innymi radykalne ograniczenie wpływów Kurii Rzymskiej. Nasz nie wierzący w Boga i marzący o tronie

papieskim prałat watykański wie czym to pachnie równie dobrze jak jego kurialni przełożeni i koledzy, nie podziela jednak ich wrogości wobec Jana XXIII. W jakiś sposób sympatyczny mu jest ten brzuchaty, rzekomo pocziwy i dobrotliwy „dziadzio w bamboszach”, w istocie doświadczony purpurat przekonany o potrzebie i nieodwracalności głębokich zmian w Kościele. Odzrucając instynktownie potrzebę, dostrzega chyba i on nieodwracalność, czuje w duchu że ma się ku końcowi epoki w której mógł się narodzić i dojrzewać jego sen o tiarze. Toteż odnosi się sceptycznie do kurialnych rachub na restaurację po wyborze Montiniego; krucha jest według niego nadzieja Kurii Rzymskiej, że Paweł VI będzie „Piusem XII przebrany dla niepoznaki w szaty Jana XXIII”. Liczy się raczej z pontyfikatem przejściowym, opartym na „syntezie”, przed właściwą inauguracją nowej epoki.

Niezbyt udana literacko, skażona nadużywaniem mętnego i powierzchownego miernika „postępowości” (co pozwala przeoczyć lub lekceważyć wiele naiwności i głupstw pontyfikatu Jana XXIII), książka Falconiego jest przecież ciekawa nawet dla laika w dziedzinie „watykanistyki” dzięki naciskowi na zmierzch atrybutów polityczno-dyplomatycznych papiestwa. Być może Falconi ociera się chwilami o obsesję w wyolbrzymianiu potęgi i apetytów Kurii Rzymskiej, potrafiliby o tym coś powiedzieć tylko bardziej od niego zrównoważeni znawcy przedmiotu. Wydaje się za to trafiać w sedno sprawy, gdy pokazuje jak od Piusa XII (z jego wojennym „milczeniem”) Watykan szedł nieuchronnie ku wyborowi: albo instytucja wyposażona w pewne instrumenty władzy i posłuszna prawom dyplomacji, lecz na dalszą metę skazana na ciągłą redukcję swego statusu w nowoczesnym świecie; albo instancja moralna szanowana także przez niewierzących, obojętnych, „letnich”, z perspektywą stałego wzrostu swego znaczenia i autorytetu w świecie materialistycznego wyjałowienia, agonii lub co najmniej kryzysu przeróżnych „ideologii”, totalitarnej przemocy z jednej strony a częstej bezradności demokracji z drugiej, polityki sprowadzanej do podchodów zbójeckich i sztuczek złodziejskich, kultury wydrążanej z treści duchowych, obyczajów na najlepszej drodze do całkowitego zdżyczenia.

Rozmawiałem w zeszłym roku z wieloma zaprzyjaźnionymi i znajomymi Włochami na temat papiestwa. Wszyscy moi rozmówcy z różnych sfer społecznych podpisaliby się prawdopodobnie (z wyjątkiem jednej pani, o której potem) pod zwięzłą wypowiedzią S., starego chłopca od lat zbuntowanego przeciw Kościołowi: „Jana XXIII pamiętam już słabo. Pawła VI nie lubiłem. Szkoda że tak szybko umarł Jan Paweł I, byłby dobrym papie-

żem. Ale naprawdę dobrym papieżem jest Jan Paweł II. Nareszcie papież który wierzy w Boga i człowieka, więc i jemu można wierzyć". Owa pani zaś, należąca do *aristocrazia nera*, do „czarnej arystokracji” związanej z Kurią Rzymską: „Proszę darować szczerość, ale dla mnie *papa Wojtyła* ma w spojrzeniu coś okrutnego”.

22 maja

Kiedyś interesował mnie bardzo Graham Greene, uważnie śledziłem jego twórczość, sporo o nim pisałem. Aż do powieści o leprozorium w Kongo *A Burn-Out Case*, wydanej jakieś dwadzieścia lat temu. Właściwie i ona powinna mnie była interesować, skoro świadomie czy nieświadomie podejmowała pewne motywy *Dżumy* i *Upadku Camusa*, a mój wcześniejszy znacznie od niej szkic był próbą zestawienia „dwóch świętości”, katolickiej Greene’a i laickiej Camusa. Zamknąłem ją jednak z uczuciem: no dość tego. Była powieścią o głośnym architekcie katolickim, budowniczym kościołów, znudzonym naraz swoją wiarą w Boga. Wczoraj dostałem w prezencie nową powieść Greene’a *Doctor Fischer of Geneva*, nie wypadało jej nie przeczytać. Jest powieścią o szwajcarskim milionerze, dość przejrzystą metaforą Boga znudzonego ludźmi. Wierni znudzeni Bogiem, Bóg znudzony wiernymi, w tym uniwersalnym ziewaniu z nudów co jeszcze mogłoby ożywić troszkę Greene’a? Pewnie tylko literacka nagroda Nobla, do której jest od dawna jednym z głównych kandydatów jako najwybitniejszy po śmierci Mauriaca powieściopisarz katolicki.

23 maja

Sto lat temu, w sobotni poranek 8 maja 1880, Flaubert obudził się w Croisset z zamiarem pojechania do Paryża. W swoim długim szkarłatnym szlafroku przygotowywał się do podróży, gdy około jedenastej nastąpił wylew krwi do mózgu. Ułożono go na kozetce w gabinecie, obok stołu przeżwanego w którymś z listów „galerą”. Konanie trwało godzinę. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat.

Jest sporo prawdy w twierdzeniu, że ostatnią wydaną za życia książką, *Trzema opowiadaniem*, podsumował jakby całe swoje pisarstwo (z wyjątkiem nieskończonego jeszcze *Bouvarda i Pécucheta*). Można czytać *Proste serce* — opowiadanie wspaniałe! — jak kondensację dwóch flaubertowskich dewiz. Jedną była „książ-

ka o niczym, bez zewnętrznych zaczepów, trzymająca się sama wewnętrzną siłą stylu, jak ziemia trzyma się w powietrzu bez potrzeby podparcia; książka prawie bez tematu lub przynajmniej taka w której temat byłby, jeśli to możliwe, niewidzialny”. Drugą był okrzyk: *Je suis mystique et je ne crois à rien!*

Wpatrywanie się w nic, w jednostajny bieg zdarzeń, w rzeczywistość pokrytą pleśnią banalności, w życie odmierzane narodzinami, zgonami, porami roku. Opisywanie niczego, beznamietne, cierpliwe, precyzyjne, stylem któremu obojętny jest przedmiot opisu. Wtem poprzez rzeczywistość prześwituje słabe światło, jej własne ukryte dotąd światło, mistyczny błysk nicości. Félicité z *Proste serce*, przeżywszy życie które ofiarowało jej na koniec tylko wypchaną papugę Lulù, zostaje sama, chora i głucha, z sercem wypełnionym nicością. „Ponieważ nie utrzymywała już z nikim stosunków, żyła w odrętwieniu somnambuliczki... W kościele kontemplowała zawsze wizerunek Ducha Świętego; i spostrzegła w nim pewne podobieństwo z papugą. Podobieństwo wydało jej się jeszcze jaskrawsze w kolorowej rycinie, która przedstawiała chrzest Naszego Pana. Z purpurowymi skrzydłami i szmaragdowym ciałem był portretem Lulù. Félicité kupiła rycinę i powiesiła ją na ścianie tak, by móc jednym spojrzeniem ogarnąć papugę i Ducha Świętego... Wpadła w bałwochwalczy zwyczaj odmawiania na klęczkach modlitw przed papugą. Niekiedy słońce, wsączając się przez okno, uderzało w szklane oko ptaka i wykrzesywało promień światła, który wprawiał ją w ekstazę”. Przyszynę że za każdym razem, czytając epilog *Proste serce*, przeżywam... trudno nawet powiedzieć co, mieszaninę bólu, gorzkiego uśmiechu i uniesienia, tak, uniesienia. „Chociaż papuga była wypchana, zżerały ją robaki; jedno ze skrzydeł było złamane, pakuły wyłaziły z brzucha. Ale Félicité, już ślepa, pocałowała ją w czoło i przycisnęła do policzka”. Procesja Bożego Ciała wchodzi na podwórze: „Błękitnawy obłok dymu kadzideł wtargnął do pokoju umierającej. Félicité rozděła nozdrza, wchłaniając zapach z mistyczną zmysłowością; potem przymknęła powieki. Na jej wargach zjawił się uśmiech. Uderzenia serca stały się powolniejsze, coraz bardziej nieuchwytnie, jak zanikające źródło, jak milknące echo; i kiedy Félicité wydała ostatnie tchnienie, zdawało jej się że widzi w rozchylonych niebiosach ogromną papugę szybującą nad jej głową”.

Żadne to odkrycie, że wbrew tytułowi najważniejszą w *Pani Bovary* postacią jest Charles Bovary. W jego „prostym sercu” odbywa się, po śmierci Emmy, flaubertowskie misterium rzeczywistości: mistycznej niewiary, modlitw odmawianych na klęczkach przed wypchaną papugą, którą zżerają robaki.

25 maja

Może niektórzy czytelnicy mojego dziennika pamiętają że dwa lata temu, w zapisach o porwaniu Moro przez terrorystów włoskich, posłużyłem się między innymi *Tajnym agentem* Conrada (czyli motywem obcej ambasady za kulisami terroryzmu) wśród hipotez na temat Czerwonych Brygad. Celem — myślałem głośno — dzisiejszego odpowiednika conradowskiego Vladimira z obcej ambasady w Londynie byłoby, prócz oczywistej „destabilizacji” Włoch, zaszachowanie komunistów włoskich z lewa, przy równoczesnym przypomnieniu im, że *lunga manus* Moskwy pozostała wciąż dostatecznie długa; i to w sytuacji wyjątkowo dramatycznej, sprzyjającej projektom utworzenia Rządu Jedności Narodowej.

W reakcjach na moje rozumowanie i podejrzenia przeważał, delikatnie mówiąc, sceptycyzm. A byłem, jak się teraz okazuje, na dobrym tropie. Komisja parlamentarna, powołana do zbadania sprawy Moro, zaczęła w tych dniach przesłuchiwać świadków. Na pierwszy ogień poszedł ówczesny premier Andreotti. Jeden z członków komisji Sciascia, świetny pisarz i poseł do parlamentu z listy radykalnej (niegdyś dość bliski komunistom), zapytał go czy potwierdza następującą okoliczność: „Berlinguer powiedział mnie i Guttuso (znany malarz, członek partii i senator z listy komunistycznej) że w roku 1977 pan, jako premier, nosił się z zamiarem wydalenia z Włoch dwóch dyplomatów czechosłowackich za ich związki z terrorystami włoskimi”. Na co Andreotti, „zakłopotany”: „Nie pamiętam”.

To mi zupełnie wystarcza dla weryfikacji motywu z powieści Conrada. Pytania w rodzaju: skąd ten nagły atak amnezji, i to nie w błażej bynajmniej kwestii, u polityka uchodzącego we Włoszech za personifikację idealnej pamięci, u autora diariusza czynności prowadzonego codziennie z legendarną skrupulatnością? dlaczego zamiar premiera wydalenia z Włoch dwóch dyplomatów czechosłowackich zawisł w próżni, czy zablokował go Berlinguer i z jakiego powodu? czemu Sciascia i Guttuso zostali przez Berlinguera w całą rzecz wtajemniczeni, przypuszczalnie podczas pobytu Moro w „więzieniu ludowym”? — takie pytania wkraczają w inne rejony i dotyczą innej historii. Dość tutaj wiedzieć że Andreotti, faworyt Piusa XII i kiedyś chadek „prawicowy”, jest od jakiegoś czasu głównym w chadecji rzecznikiem „kompromisu historycznego” z komunistami.

Przegapiłem jeden szczegół. Berlinguer zdementował natychmiast rozmowę w trójkę, ujawnioną przez pisarza z komisji par-

lamentarnej. Sciascia odparował ironicznie: „Berlinguer dementuje mnie, ja jego, więc remis”.

To jeden aspekt terroryzmu, jego niedostrzeganie jest ślepotą, jego lekceważenie głupotą. Ale naturalnie nie jedyny. Kiedy rozgrywał się dramat Moro i do gazet napływały co parę dni komunikaty Czerwonych Brygad, komunistka (usunięta z partii) Ros-sanda wyznała, że ich lektura przypomina „przeglądanie albumu rodzinnego”. Ta formułka oburzyła Berlinguera i towarzyszy, zużyli wiele polemicznej energii na jej zwalczanie. Spór o rodowód terroryzmu przygasał powoli, aby wybuchnąć ostatnio z dawną gwałtownością po wizycie Jana Pawła II w Turynie. Stało się wiadome, że tekst jednego z przemówień papieskich zawierał zdanie o korzeniach terroryzmu tkwiących w marksizmie; i że papież zgodził się je skreślić na prośbę arcybiskupa Turynu, miasta rządzonego przez komunistycznego burmistrza. Nie bez kozery atak na formułę „albumu rodzinnego” zajmuje ważne miejsce w dzisiejszym wywiadzie z Berlinguerem w *Giornale*.

„Album rodzinny”, marksizm jako naturalna gleba terroryzmu, tak i niezupełnie tak. To prawda że „czerwoni brygadziści” obnoszą się ze swoim komunizmem i marksizmem, więcej — uważają się za „autentycznych” komunistów i marksistów w przeciwieństwie do „zdradców klasy robotniczej”, którzy dali się „oswoić” i „obłaskawić” przez „system”. Prawdą jest również, że można znaleźć — i zrobił to pewien włoski badacz marksistowskiego pisma świętego po ujawnieniu zdania Jana Pawła II — u Marksa i Engelsa passusy brzmiące jak zachęta do akcji terrorystycznej w okolicznościach „szczególnych”. Z tym wszystkim upieram się przy uwadze, która kilkakrotnie już pojawiła się w moim dzienniku: nie zrozumie się w pełni zjawiska terroryzmu bez zobaczenia w nim produktu *gnicia* wszelkich „ideologii”. Terrorysty są robakami zalęgłymi w trupach. Robakami, jak „brygadziści” włoscy, półczerwonymi i półczarnymi. I często z żółto nakrapianymi główkami; wielu starszych startowało w szkołach katolickiego integralizmu.

27 maja

Bywa, i to wcale nierzadko, że tak zwane „nocne rodaków rozmowy” po długich kołowaniach ogniskują się w pewnym momencie na liście Norwida do Michaliny Zaleskiej z roku 1862. „Oto jest społeczność polska! — społeczność narodu, który, nie zaprzeczam, iż o tyle jako patriotyzm wielki jest, o ile jako społeczność jest żaden... Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jes-

teśmy wielkim sztandarem narodowym... Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo, a pierwszy na planecie naród... Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł... Słońce nad Polakiem wstawa, ale zasłania swe oczy nad człowiekiem”.

List Norwida należy do tej kategorii wypowiedzi, o których mówi się zazwyczaj: „Przesada, ale coś w tym jest”. Przesadą jest tak radykalne separowanie pojęć społeczeństwa i narodu. Z tego że się nie we wszystkim pokrywają nie wynika, że stanowią dwa przeciwległe bieguny. Walory narodowe częściowo przynajmniej opierają się na społecznych; i na odwrót. A na absurd zakrawa antynomia Polaka olbrzyma i człowieka karła, jakby ludzka małość nie wywierała żadnego wpływu na narodową wielkość; i na odwrót. W mądrości Norwida więcej było błyskotliwych a niekiedy i genialnych intuicji, niż solidnych przemyśleń.

Lecz „coś w tym jest”, intuicja Norwida wychwytyje rzeczywistość i istotną cechę większości Polaków. Bez wątpienia narodowość działa na Polaków bardziej „podniecająco” (jakby się wyraził Stendhal, wyborny obserwator cech narodowych), niż się to dzieje u innych narodów. W ludzkiej i zarazem w przewrotnie polskiej rozprawie z nadmiarem polskości u Polaków tkwi esencja twórczości Gombrowicza.

Zapędziłem się jednak za daleko, Norwid z listu do Zaleskiej odezwał się wczoraj w mojej rozmowie z gościem z Warszawy o bardzo konkretnej sprawie opozycji w kraju. Załóżmy na chwilę, że wolno posługiwać się uproszczonym i radykalnym po działem na naród i społeczeństwo. Sowietyzm (powtórzmy ten truizm) w bez porównania wyższym stopniu atakuje życie społeczne, niż poczucie narodowe; niekiedy, na przykład w wydaniu perelowskim, usiłuje dość znacznymi koncesjami na rzecz uczuć narodowych załonić i „osłodzić” wzmaganą wciąż akcję niszczenia więzi społecznych i ludzkich; końcowym produktem tego procesu ma być „naród socjalistyczny”, któremu pozwala się z takimi czy innymi tabu i ograniczeniami uprawiać narodowy ogród na pustyni społecznej. Gdyby zmartwychwstał Norwid, uznałby może że w wypadku Polaków, z ich tradycją „pierwszego na planecie narodu” i „ostatniego na globie społeczeństwa”, stworzenie polskiego „narodu socjalistycznego” jest realne i względnie nawet łatwe. I rzeczywiście, jeśli oddziela się całkowicie naród od społeczeństwa, to kto wie... Ale oddzielać całkowicie nie wolno: w ślad za niszczeniem społeczeństwa idzie powolne umieranie narodu, choćby trzymał mocno w dłoni i wysoko podnosił „wielki sztandar narodowy”.

Wolno natomiast, przywróciwszy w liście Norwida właściwe

proporcje, czyli uznawszy po prostu że polska wrażliwość narodowa ma przewagę nad społeczną, zastanowić się co to oznacza z punktu widzenia oporu przeciw sowietyzmowi. Oznacza siłę w początkowym stadium natarcia sowietyzmu, zwłaszcza wobec tak mocnego splotu świadomości narodowej z przywiązaniem do Kościoła. Oznacza słabość na dalszą metę, jeśli się zważy że świadomość społeczna, więzi społeczne, rozwój prawdziwego życia zrzeszonego są głównym przedmiotem ataku sowietyzmu (tzw. „sowiecki człowiek” jest istotą głęboko aspołeczną, tresowaną za to w stadnych refleksach warunkowych na beneficjusz władzy). Było więc i zrozumiałe i rozumne, że pierwsza w kraju grupa opozycyjna oparła swą działalność na zasadzie „samoobrony społecznej”; skoncentrowała się na tym co bardziej zagrożone, a zatem ważniejsze. Ale od jakiegoś czasu dokoła tej rozumnej zasady rozpełtała się swoista, czasem demagogiczna, licytacja patriotyczna hasała „czysto narodowych”; takich mianowicie, które chcą odwrócić porządek zagrożenia i ważności. Tu intuicja Norwida, po odrzuceniu jego przesady, odsłania swą ostrość...

29 maja

Całe przedpołudnie słoneczne, rzadkość podczas tej obrzydliwej wiosny-nie-wiosny. Udał mi się więc pierwszy po chorobie dłuższy spacer, pojechałem wyciągiem do górnego Neapolu, na taras panoramiczny Floridiany, skąd widok zatoki i miasta jest równie piękny jak z dachu Pałacu Królewskiego na Capodimonte. I tam, siedząc na ławce obok parapetu, szczęśliwy ale równocześnie zmęczony jakbym miał za sobą wielokilometrowy marsz, zastanawiałem się czy w dwudziestą piątą rocznicę zamieszkania w Neapolu uchowało się coś jeszcze z mojej zadawnionej do niego niechęci (mówiąc eufemistycznie).

Zatoka była pusta, tylko daleko na horyzoncie sunął wolno, tak wolno że chwilami wydawał się nieruchomy, jakiś okręt. Na lewo, w stronie portu, natrysk słoneczny zamazywał wszystko prócz kolorów: krwistej „czerwieni śródziemnomorskiej”, żółto-zielonej patyny kopuł kościelnych, jaskrawej bieli domów, lazurowej emalii nieba. Neapol, gdy się nań patrzy z góry, jest miastem które wynurzyło się nagle, po latach zatopienia, z morza; albo miastem, które wstrząs tektoniczny wydobył w gotowym już kształcie z wnętrza ziemi, a ręce ludzkie uzupełniły cierpliwym dolepianiem. Miastem, innym słowy, najmniej „architektonicznym”, „zaplanowanym”, ze wszystkich mi znanych; najbardziej zaś zrośniętym z miejscem, jakie mu wyznaczyła natura.

Kto się w Neapolu nie urodził i nie ma go we krwi, będzie tu zawsze obcym. Nie wykluczone, że to przeczucie właśnie zrodziło i z roku na rok podsycalo moją niechęć.

Lecz dziś, w słońcu na tarasie Floridiany, ze wzrokiem to ślizgającym się po zatoce to pełnącym wzwyż warstwami zabudowań, nie znalazłem w sobie nic z owej niechęci. Ćwierć wieku roztopiło ją w przyzwyczajeniu? Wyjście z choroby, samą tylko ulgą fizyczną, stępiło starą alergię? Zapewne, zapewne, podejrzewam jednak że trzeba do tych czynników dorzucić rezygnację. Bardzo długo żyłem nostalgią, bądź też wmawiałem ją sobie na siłę. I nie dopuszczałem myśli, że z biegiem lat co ocaliła pamięć niknie bezlitośnie jak obrazy na szkle zmywane deszczem. Nie chciałem dokonać na sobie zabiegu, o którym pisał kiedyś z odzieniem wyzwania Andrzej Bobkowski: profilaktycznego zabiegu wycięcia tęsknoty. Odbywało się to od pewnego czasu samo i dopełniło teraz. Tu żyję, tu prawdopodobnie umrę; można na emigracji, gdy trwa tak długo, uratować bardzo dużo, z wyjątkiem jednej rzeczy: żywej bliskości kraju rodzinnego. Nie ma tedy sensu bronić się uporczywie przed pokochaniem Neapolu...

Może mi się za to przydarzyć, i przydarza się chyba licznym emigrantom, chwila przejmująco opisana przez Gombrowicza w końcowych partiach dziennika. „Wtedy zaleciały mnie (gdym spacerował po berlińskim parku Tiergarten) pewne wonie, mieszanina z ziół, z wody, z kamieni, z kory, nie umiałbym powiedzieć z czego... tak, Polska, to było już polskie... Zamknął się cykl, powróciłem do tych zapachów, więc śmierć”.

1 czerwca

W dzisiejszym *Corriere* artykuł paryskiego korespondenta, z którego wynika że Jan Paweł II wyraził „zrozumienie” dla podróży Giscarda do Warszawy na spotkanie z Breżniewem. Nie chce mi się wierzyć, ale ostatecznie *Corriere* jest poważnym dziennikiem, a Bocchi uczciwym dziennikarzem. Jeśli wiadomość odpowiada prawdzie, to pociemniało trochę nawet na tym jedynym jasnym dotąd odcinku, wolnym zdawałoby się nareszcie od pokus „dyplomacji”.

8 czerwca

Teraz dopiero dzięki historykowi faszyzmu włoskiego Renzo De Felice mamy pełne naprawdę wydanie dziennika Ciano, *Diario*

1937-1943, przeszło siedemset stronic dużego formatu. Jest to lektura pasjonująca, nie żałuję poświęconych jej kilku wieczorów.

Przede wszystkim sama postać. Skrzyżowanie wielu sprzecznych niekiedy, kłócących się ze sobą, cech. Chytrus, ale nie z instynktu, raczej z zimnego wyrachowania. *Inguaribile monello livornese*, jak go nazywano, „nieuleczalny wisus z Livorno”, ze skłonnością do cynizmu, lecz temperowaną często odruchowym, arystokratycznym wstrętem do faszystowskiego chamstwa i gwałtownictwa, szczątkowymi ciągotami do pewnej rycerskości. Dość odważny. W duchu przywiązany do monarchii, w duchu też gardzący faszyzmem. Opętany myślą o karierze, nie na tyle jednak by bezwarunkowy oportunizm uczynić jej wyłącznym narzędziem. Nienawidzący podskórnie Niemców, szanujący po cichu Anglików. Zakochany w Mussolinim, w miarę wpływu lat (i mnożenia się idiotyzmów *Duce*) miłością „na przekór”, „wbrew”, a przecież niesłabnącą aż do zamachu stanu w lipcu 1943, miłością w której sporo było skautowskiego zapatrzenia w Wodza. I inteligentny, nie tak oczywiście jak Dino Grandi, ale bez wątplenia najinteligentniejszy w bezpośrednim otoczeniu Mussoliniego. Bystro również, co widać choćby z zapisu podczas wizyty w Polsce (luty-marzec 1939): „Niewiele mogę powiedzieć o reżymie wewnętrznym, gdyż niewiele dane mi było zobaczyć. Lecz daleko tu do reżymu totalitarnego, także dlatego że jedynym głosem jaki się w Polsce liczy jest głos umarłego, Piłsudskiego, i za dużo tu takich co ubiegają się o tytuł prawdziwych depozytariuszy jego mądrości. Zresztą sam fakt że pozostał dyktatorem pośmiertnym dowodzi, że nie ukształtowała się jeszcze i nie ujawniła nowa siła, w przeciwnym bowiem razie i Piłsudski, jak wszyscy umarli, pogalopowałby szybko”.

Dziennik Ciano jest w znacznej mierze dialogiem z Mussolinim: dialogiem rzeczywistym w ramach posłuchań, rozmów, wspólnych podróży państwowych, memoriałów; dialogiem myślowym na dystans. Z nutami ostrożnie i delikatnie polemicznymi ze strony Ciano, gdy gromowładny Wódz i jego minister spraw zagranicznych, plebejski teść i jego arystokratyczny zięć, znajdują się oko w oko; z śmielszymi i ostrzejszymi akcentami polemicznymi, gdy *Duce* milczy a *conte* przemawia jedynie z kart sekretnego dziennika. Właściwie obaj zgodni są co do tego, że ideałem byłoby obłowić się, załapać ile się da, bez przystępowania do wojny, z zachowaniem *non belligeranza*. Różnice sprowadzają się do dwóch pytań: uda się na dalszą metę, do końca wojny, tę pozycję utrzymać? i czy wypada ją utrzymać? Ciano odpowiada podwójnym: tak. Mussolini podwójnym: nie, powodo-

wany lękiem (zwłaszcza po błyskawicznej klęsce Francji) że nie zdąży lub za karę nie zostanie dopuszczony do podziału łupów, troską o mit swego marsowego oblicza, strachem przed Hitlerem i Trzecią Rzeszą, okresowymi wysypkami dumy narodowej, koniecznością dochowania wiary „ideologicznym” zasadom faszyzmu. Dla Ciano wszystkie te względy są mniej ważne, w każdym razie warto je stłumić, albo przynajmniej zapanować nad nimi chwilowo, w imię i w interesie wielkiej „gry politycznej”.

Przystąpiwszy wreszcie do wojny, Wódz wystawia swoje marsowe oblicze na dość ciężkie i przykre próby. Naturalnie zwała całą winę na generałów, ale jego własna doktryna wojenna brzmiała w styczniu 1938 (według dziennika Ciano) tak: „Dziś Duce w wyborzym humorze; powiedział, że Garibaldi był na szczęście analfabetą; gdyby umiał czytać, przeczytałby Clausewitz’a i przegrałby wszystkie bitwy”. Natomiast pierwszy bilans „ideologiczny” faszyzmu, wyjątkowo szczerzy, słyszy Ciano z ust Mussoliniego w grudniu 1940: „Muszę przyznać, że Włosi z roku 1914 byli lepsi od dzisiejszych. Niezbyt to dla reżymu piękny rezultat, ale tak rzeczy wyglądają”. Trzeba więc na gwałt usztywnić „kręgosłup ideologiczny”, o czym świadczy zapis z 22 grudnia 1941: „Mussolini piorunował dzisiaj przeciw Bożemu Narodzeniu. Dziwi się, że Niemcy nie znieśli jeszcze tego święta, upamiętniającego tylko narodziny Żyda, który podarował światu teorie osłabiające i podcinające męskość, oraz wykiwał szczególnie Włochy za pośrednictwem rozkładowego działania papieżstwa. Duce wydał prasie zakaz wspomniania Bożego Narodzenia”. Męskość, męskość, *la virilità fascista*, jeden z głównych filarów „ideologii”. Zapis z kwietnia 1942: „Rozmowa Mussolini Alfieri... Duce był w żywym i wesołym usposobieniu. Mówiąc o Karolu Wielkim, najbardziej podziwiał jego męskość, gdyż zgadza się całkowicie z filozofem francuskim, że *le génie c'est les génitiaux*”.

Partie dziennika Ciano do wybuchu wojny, choć się o tym wszystkim z grubsza wie, nie mogą dziś zwłaszcza nie budzić ponurych asocjacji. W obozie demokracji bezustanna karuzela ustępstw, zaklęć, umizgów, prawie błagań: jeszcze jeden „sondaż dyplomatyczny”, jeszcze jedna prośba o „nie zatrząskiwanie drzwiami”, jeszcze jedno „zrozumienie” dla stanowiska potencjalnego przeciwnika, jeszcze jedna „gorąca zachęta do pertraktacji”, jeszcze jedna deklaracja „gotowości do rozpatrzenia rozsądnych postulatów i żądań”. 27 stycznia 1939 Ciano notuje: „Perth przysłał nam do wglądu tekst przemówienia, które Chamberlain ma wygłosić w Izbie Gmin, prosząc o ewentualne warianty z naszej strony. Duce zaaprobował z następującym komentarzem:

Pierwszy chyba w historii raz szef rządu brytyjskiego przedkłada obcemu rządowi tekst swego przemówienia do korekty; zły dla nich znak”. Ale w roku 1939 dewiza Hitlera brzmi: „Ekspansja plus wojna, koniecznie wojna”. Raymond Aron sformułował niedawno dewizę Breżniewa na bieżącą, przedostatnią dekadę stulecia: „Koniecznie ekspansja, w miarę możliwości bez wojny”. Ma ona większe szanse powodzenia wśród obecnych sterników Abendlandu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

**NIEWYCZERPANE KSIĄŻKI
GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO
W BIBLIOTECIE „KULTURY”**

TOM 51 — „SKRZYDŁA OŁTARZA”

Str. 120.

F. 10,00.

TOM 93 — „DRUGIE PRZYJŚCIE”

Str. 250.

F. 13,50.

**TOM 111 — „INNY ŚWIAT”
(wydanie trzecie)**

Str. 246.

F. 45,00.

Ciuciubabka naukowa

Pozytywista: Czuć i wiara więcej mówią do mnie...
 Romantyk: Wolę mędrca szkiełko i oko...

I

Ta scena wydaje się być naigrawaniem ze znanych stereotypów osobowości romantycznej i pozytywistycznej, ale wcale nie jest ona wyimaginowana: jest to dokładne streszczenie wymiany poglądów jaką miałem ze znanym teoretykiem biologii francuskiej — A. Danchinem. W ostatnim liście do mnie Danchin pisze: „Brakuje ci pewnego organu: serca. Kiedy czytam Twe XV* opinie, jestem zmuszony do myślenia, że otrzymałeś bardzo potężne wychowanie totalitarne i że byłbyś niezwykle okrutnym dyktatorem (*extremely cruel dictator*); znowu: brak serca. [...] Patrz na innych, próbuj ich zrozumieć i kochaj ich, w ten sposób znajdziesz drogę do faktów i logiki, patrz w serce!”.

Nie znając prawdopodobnie Mickiewicza, mój francuski kolega zdefiniował zarówno metodę poznawczą jak i program nauk biologicznych w jednym z najpoważniejszych krajów zachodnich: „MIEJ SERCE I PATRZ W SERCE”. Dla czytelników nie orientujących się w stosunkach ilościowo-jakościowych kadr nauki francuskiej muszę dodać, że Danchin należy do bardzo silnego ugrupowania naukowego — jak mi to przedstawił z ironią historyk nauki z *La Recherche* Pierre Thuiller, należy on do *la bande à Changeaux* (taki rodzaj „bandy czterech”: Changeaux, Danchin, Jacob i śp. Monod). Opanowali oni redakcję *La Recherche* i sporą część instytutów naukowych. Jako swój wkład do nauki Danchin opublikował niedawno książkę „*Ordre et dynamique*

* Chodzi o książkę którą kiedyś napisałem *The Not Too Divine Comedy*.

du vivant” („Porządek i dynamika żywego”), w której udawał, że życie jest całkowicie definiowalne w terminach fizyki, którą tak dobrze poznaliśmy dzięki studiom nad obiektami martwymi.

Taka teza naukowa jest całkowicie sprzeczna z pewnym podstawowym prawem logiki o którym będziemy mówić później. Wydaje się zatem, że drogę do faktów i logiki dla poparcia swej tezy o żywym-nieżywym mój kolega znalazł przy pomocy metody przez siebie proponowanej: dzięki obserwacjom, miłości i zrozumieniu potrzeb mas naukowych — ja też przecież pisałem w którejś z *Kultur* o „marzeniu naukowego ludku o kryształowym ogródku”.

Tak więc od czasów Mickiewicza zmieniło się coś niecoś na świecie: z jednej strony pojawili się uczeni o płomiennym (z wyrachowania?) sercu, wczuwający się w „ducha mas” i tworzący na ich zamówienie nowe prawa w nauce. Z drugiej strony, tenże lud też przeewoluował, zwłaszcza w krajach rozwiniętych: nie wierzy on już w bardzo starego, pocziwego i bezsilnego Pana Boga, ale za to absolutnie wierzy w wartości nowe — w Technologię, Pieniądz i Cztery Litery, jak kiedyś zdefiniował ten nowy system wartości Hamilton w warszawskiej *Kulturze*.

Skąd się bierze pojęcie „totalitaryzm naukowy”? Jak to było z tą moją „potężną totalitarną edukacją”? Pamiętam, jak kiedyś w Berkeley stary profesor geofizyki (Verhoogen) zadał grupie doktorantów jakieś fachowe pytanie i po wysłuchaniu rozlicznych opinii powiedział: „Widzicie, nauka to nie demokracja, ten problem rozwiązuje się w taki sposób”. Studenci dziwnie łatwo zgodzili się uznać autorytet profesora: autorytet ten był oparty na znajomości faktów i na rozumowaniu logicznym. Gdyby któryś ze studentów potrafił wykazać błędy logiczne w jego rozumowaniu, profesor prawdopodobnie uznałby wyższość takiej niezgodnej z autorytetem interpretacji.

To „doświadczenie życiowe”, które dość dobrze utkwіło mi w pamięci, jest ilustracją skąd się biorą (lub przynajmniej brać się powinny) naukowe autorytety i „totalitaryzm naukowy”: jest to niewątpliwie „niezwykle okrutna tyrania” obserwowanych faktów i myślenia logicznego. Przy takiej definicji nauki koncepcje naukowe sprzeczne z faktami i logiką winny być zaklasyfikowane jako antynaukowe.

Mój kolega Danchin twierdzi, że organizmy żywe mogą być całkowicie opisane w terminach fizyki. Podobne założenie leży u podstaw dość silnego prądu umysłowego zwanego behawioryzmem, większość laureatów nagrody Nobla w zakresie biologii mo-

lekularnej hołduje takiemu pogładowi i im bardziej na Zachód, tym bardziej „obowiązkowe” staje się takie „całkowicie fizyczne” widzenie organizmów żywych. Mimo iż wyznawcy tych poglądów zdominowali dziesiątki prestiżowych zakładów naukowych, bardzo łatwo można wykazać *ściłą antynaukowość* takich konceptów. Do przeprowadzenia dowodu użyjmy jednego z podstawowych praw logiki, które mówi, że żadnego systemu logicznego nie da się zdefiniować całkowicie w jego własnych terminach. Według tego prawa, jeśli twierdzimy że dokładnie wiemy co to jest fizyka, koniecznym systemem logicznym przekraczającym ramy fizyki. Ponieważ człowiek należy do kategorii organizmów żywych, istnieją więc organizmy żywe posiadające własności metafizyczne. (Jak pamiętam, gdy przytoczyłem ten argument kilka miesięcy temu na „International School of Logic and Scientific Methodology” w Erice, zgromadzonym filozofom otwarły się gęby ze zdziwienia i uciechy, że to takie proste).

Dzięki temu argumentowi logicznemu możemy od razu (autorytatywnie, czyli, jak chce Danchin, totalitarnie!) zawyrokujeć: wszystkie „monizmy”, „inanimizmy” i inne „materializmy totalne”, które tak bogato zakwitły nam w nauce w ciągu ostatnich stu lat nie są nawet teoriami nie-naukowymi (nie nadającymi się do obalania, jak na przykład dogmy religijne), ale ściśle anty-naukowymi i nasz „wiek postępu” być może zostanie zakwalifikowany kiedyś jako „wiek anty-nauki”.

Gdzie dokładnie ukryta jest ta tak nie lubiana przez współczesnych „uczonych” metafizyka? Jak to było przed chwilą udowodnione, własności poza-fizyczne są nam konieczne potrzebne do poznania, co to jest fizyka, i na podstawie tej obserwacji możemy przypuszczać, że *nasze możliwości poznania czym jest świat wynikają z naszych cech poza-fizycznych*.

Jak wskazują bardzo ogólne obserwacje, człowiek nowoczesny dysponuje dwiema drogami poznania świata:

a) *Poznanie aktywne* — kiedy to podmiot poznania musi wykonać cały szereg często skomplikowanych i długotrwałych czynności badawczych nad przedmiotem poznania.

b) *Poznanie bierne* — kiedy to podmiot „ładuje się” (*imprint*) informacją (wiedzą) o świecie, jaką mu przekazują często wyszukane urządzenia technologiczne.

(W artykule tym słowa „informacja” będziemy używać zarówno w jego potocznym znaczeniu (wiedza), jak i w bardziej cybernetycznym znaczeniu, używanym w biologii — jako stopień zorganizowania struktur molekularnych).

Teoria poznania aktywnego została dość dobrze opracowana przez J. Piageta, dzięki jego szczegółowym obserwacjom rozwoju

umysłowego u dzieci. Według tej teorii podmiot poznania aktywnie eksploruje swe otoczenie i pod wpływem otrzymanych od tego otoczenia bodźców (zaburzeń) konstruuje w sobie struktury molekularne, które zezwalają mu na ułatwione „poruszanie się” w danym środowisku. Ten rodzaj poznania, nazwany przez Piageta „asymilacją otoczenia przez struktury poznawcze”, można zauważyć w czasie jakiegokolwiek treningu, umysłowego czy nawet mięśniowego. Dobrym przykładem jak przebiega konstrukcja zachowania zezwalającego na dominację otoczenia jest nauka jazdy na nartach: na początku narciarz jest zdolny tylko z trudem utrzymać równowagę na stoku. Dzięki wielokrotnie powtórzonemu „doświadczeniu osobistym” następuje stopniowa koordynacja jego odruchów utrzymania równowagi i z czasem dochodzi on do prawie doskonałego opanowania stoku narciarskiego.

Na podstawie tego prostego przykładu można uogólnić wniosek, że *kojarzenie (asocjacja) zaprogramowanych genetycznie odruchów bezwarunkowych w bardziej złożone odruchy warunkowe jest podstawą powstawania informacji (struktur molekularnych) zezwalających na uzyskanie przez organizm lepszej kontroli nad otoczeniem*. Ten ogólny wniosek jest dobrze zilustrowany przez powstawanie skojarzeń umysłowych u człowieka czy u zwierzęcia: sygnały (światłne, słuchowe i inne) otrzymywane w czasie obserwacji (słuchania, etc.) wywołują w komórkach nerwowych pewne odruchy bezwarunkowe. Skojarzenie tych odruchów zezwala na konstrukcję wewnątrz mózgu „wiedzy o świecie”.

Prostym przykładem osiągnięcia lepszej kontroli otoczenia dzięki skonstruowanej wiedzy może być kot mojej znajomej: zaobserwował on, że otwarcie drzwi jest zawsze poprzedzone naciśnięciem klamki. W pewnym momencie skojarzył te obserwacje i sam zaczął skakać na klamkę uzyskując w ten sposób swobodę poruszania się po mieszkaniu.

Znając trochę historię nauki, bez żadnej przesady możemy powiedzieć, że wszystkie jej zdobycze opierają się na takim właśnie prostym mechanizmie kojarzenia przez uczonych zjawisk (zarówno obserwowanych bezpośrednio jak i wyobrażanych), systematycznie występujących jednocześnie lub w kolejności. (Na przykład skojarzenie powtarzających się systematycznie na sejsmogramach wyraźnych skoków amplitudy doprowadziło do konstrukcji bardzo szczegółowego modelu wnętrza Ziemi).

Jak zaznaczyliśmy to wcześniej, „konstrukcja” informacji (wiedzy) kojarzy się z procesem przekraczającym ramy fizyki. Można nawet udowodnić, że tak jest istotnie: podstawowym prawem w informatyce (nauce o złożonych układach fizycznych) jest stop-

niowa utrata informacji w czasie jej przetwarzania. Dzięki takiemu prawu cybernetyki możemy ustanowić ścisłe rozgraniczenie między przyrodą ożywioną i nieożywioną: informację są zdolne tworzyć tylko organizmy żywe, zaś informacja (zorganizowana struktura) widoczna w ludzkich produktach (pisma, maszyny etc.) jest tylko „wyjawieniem” (wyrażenie J. Monoda) informacji powstałej w mózgach twórców tych urządzeń.

Na Zachodzie, a zwłaszcza na Dalekim Zachodzie, mamy całe szkoły naukowe, których jedynym celem stało się obalanie, wyśmiewanie (albo ukrywanie) tych prostych spostrzeżeń jako „przesądów przed-naukowych”. Jak doszło do takich patologicznych zjawisk w nauce?

Od momentu powstania pisma, a zwłaszcza od czasów wynalazku Gutenberga, na tę bardzo biologiczną metodę zdobywania wiedzy przez „doświadczenia życiowe”, ewentualnie ułatwioną dzięki nauczycielom którzy zebrali już te doświadczenie, zaczął się nakładać inny rodzaj „zdobywania wiedzy”: *poznanie bierne*. W tym wypadku człowiek nie tworzy informacji o swym otoczeniu, jak to było w przypadku poznania aktywnego, ale tylko biernie konsumuje informację przekazywaną mu przez innych czy przez media. Przy takim rodzaju poznania, jeśli konsumowana informacja nie wywołuje żadnego wysiłku aby ją osobiście zinterpretować, człowiek nie „konstruuje” się sam, ale jest konstruowany przez swe środowisko: książki, gazety, telewizory, maszyny do uczenia etc. Tę teorię najlepiej rozwinął Skinner i szkoła behawiorystyczna: odruchy ludzkie są tylko uzewnętrznieniem informacji nabytej przez *całkowicie dobrowolną* (bardzo ważne!) indoktrynację.

Taki model uczenia się człowieka nie wymaga żadnej metafizyki; jak w zwykłym komputerze, informacja jest dostarczana z zewnątrz i jest tylko przetwarzana według genetycznych schematów, w które człowiek został wyposażony. Ponieważ w tym wypadku człowiek nie tworzy *osobiście* wiedzy (informacji) o swym otoczeniu (cała informacja zezwalająca na ewentualną kontrolę otoczenia pochodzi z otoczenia), nie uzyskuje on żadnej możliwości kontroli tego otoczenia: jak zauważył Skinner w znanej książce „Poza wolnością i godnością”, zachowanie człowieka jest całkowicie zdeterminowane przez jego środowisko. Jest on niewolnikiem w takim samym znaczeniu, w jakim można mówić o niewolnictwie komputera, który jest zmuszony przez swą konstrukcję do przetworzenia otrzymanych sygnałów według programu w jaki został wyposażony.

Oczywiście, jest to model tylko teoretyczny, człowiek jest

istotą żywą i ciągle tworzy informację — nawet na podstawie tych „informacji” których mu dostarczyło jego środowisko.

Wraz z postępem technologicznym rozszerzyły się znacznie możliwości poznania biernego, a ponieważ wszystko co się dzieje w krajach technologicznie zaawansowanych zwykło kojarzyć się z postępem, metodologia naukowa „poznania biernego” zaczęła się uczonym kojarzyć z postępem naukowym (kojarzenie to następuje według schematu poznania aktywnego i stworzona dzięki niemu „nowa informacja” daje dobrze kojarzącym uczonym możliwość lepszej kontroli ich otoczenia: zdobycia katedr profesorskich, kontroli czasopism naukowych itp.).

Znany pies Pawłowa po skojarzeniu otrzymania jedzenia z zapaleniem świata, po pewnym treningu jest zmuszony przez swój organizm do wydzielania śliny na widok zapalonego światła. Zupełnie podobne zjawisko możemy zaobserwować u uczonych, którzy postęp naukowy zaczęli kojarzyć z akumulacją i całkowitą dominacją oderwanej od podmiotu poznania („obiektywnej”) wiedzy: na samą myśl o przed-technologicznych metodach poznania świata automatycznie wydzielają oni twórczość naukową o takiej mniej więcej konsystencji: „Jakimż to względem mamy darzyć nie-naukowy, czy przed-naukowy dobry sąd, czy wycucie sytuacji, bądź też zrozumienie (*insight*), uzyskane przez doświadczenie osobiste. Jest nauka albo nic”.

To zdanie profesora Skinnera jest prostym przykładem, że nie ma żadnej jakościowej różnicy między kojarzeniem psa czy uczonego. Gatunek *homo* (człowiek) nosi dumny przymiotnik *sapiens* (rozumny), który oznacza, że jako jedyne zwierzę jest on zdolny do myślenia refleksyjnego, do zastanowienia się nad swym własnym zachowaniem. Sądząc po przytoczonym zdaniu, Skinner nie należy do pod-gatunku *sapiens*. Gdyby był zdolny do zastanowienia się nad napisanym przez siebie zdaniem, to by zauważył, że jest ono niewątpliwie rezultatem jego osobistego zrozumienia świata osiągniętego dzięki jego własnemu doświadczeniu życiowemu (inaczej przecież być nie może). Zgodnie z zawartą w nim instrukcją należałoby to zdanie, jak i całą subiektywną teorię Skinnera, wyrzucić na śmietnik nauki...

O jakim rodzaju nauki mówi Skinner gdy stawia sprawę ostro: jest nauka albo nic? Skinner wyznaje behawioryzm, czyli naukę, której podstawowym aksjomatem jest brak jakichkolwiek cech pozafizycznych u organizmów żywych. Jak to było udowodnione na początku, jest to teoria nawet nie przed-naukowa bądź nie-naukowa, ale ściśle anty-naukowa. Jakie dalsze wnioski możemy wydedukować z tej teorii? Z praw fizyki wynika, że obiek-

ty nie posiadające własności metafizycznych nie są w stanie tworzyć jakiegokolwiek informacji.

A zatem mądrość, której naucza Skinner jest po prostu bardzo specyficzną nauką o tym, jak nie osiągnąć żadnej indywidualnej wiedzy (informacji), czyli o tym, jak zostać całkowicie zdominowanym przez otoczenie. Na przykład: jak pracując po 15 godzin w laboratorium naukowym osiągnąć stan umysłowy zezwalający tylko na produkcję polucji naukowej.

We wstępie do swej książki Skinner chwali się, że „prawdziwa nauka” (przy czym ta amerykańska „prawda” jest wyraźnie wzorowana na moskiewskiej *Prawdzie*) w dziedzinie nauk o życiu nareszcie osiągnęła wymiar, który przekracza możliwości dyskusji nie-specjalistów. Platon i Sokrates nie mają nic do powiedzenia w świecie nowoczesnej nauki. Jako dowód na całkowitą odmienność nowej nauki jest przytoczony znany przykład Sokratesa, który poprzez umiejętne „naprowadzanie” ucznia powoduje odkrycie przez niego nowej prawdy: na podstawie obserwacji trójkątów prostokątnych uczeń przy pomocy nauczyciela odkrywa twierdzenie Pitagorasa. Grecy nazywali tę naukę odkrywania nowych prawd maieutyką i Sokrates przyrównywał rolę „naprowadzającego” nauczyciela do roli akuszerki pomagającej przy narodzinach dziecka.

Według Skinnera rola nowoczesnego uczzonego jest całkiem odmienna od jego funkcji w czasach antycznych. Nie oznacza to jednak, że współczesny Sokrates miałby jakiegokolwiek trudności ze znalezieniem analogii dla roli spełnianej przez „nowych uczonych”: należałoby ich przyrównać do biochemików produkujących wyrafinowane środki antykoncepcyjne, czy ginekologów wyspecjalizowanych w sztucznym poronieniu — tak aby ludzie nigdy nie odkryli prawd, które są w nich ukryte. Do podobnych wniosków na temat rozwoju nauk o życiu doszedł Michael Thompson, antropolog angielski o podobnym mi duchu (wyprawy na Annapurnę i Everest), który napisał niedawno*:

„The deed must appear all the more shocking to those who believe in the progress of knowledge; in the idea of scientists and scholars leaving no stone unturned in their unswerving determination to draw ever closer to the truth. For them, the path of sociology must present a sinister betrayal: a systematic channelling of enquiry in order to impel knowledge ever further from the truth; to prevent people from ever seeing how things really are — 'la trahison des clercs'”.

(Ten wyczyn (zakrycie zdolności poznania u człowieka) musi się wydawać szokującym dla tych, którzy wierzą w postęp wiedzy, którzy wierzą w ideę uczonych nie zostawiających żadnego kamienia nie

odwróconego w ich niezachwianej determinacji, by znaleźć się ciągle bliżej prawdy. Dla nich droga socjologii musi oznaczać ponurą zdradę: systematyczne ukierunkowanie badań tak, aby odsunąć wiedzę coraz dalej od prawdy, aby nie dopuścić, by ludzie kiedykolwiek zobaczyli, jak rzeczy naprawdę wyglądają — „zdrada klerków”).

Dzięki analizie pism znanych ideologów postępu naukowego udało nam się odkryć główny kierunek rozwoju (finalizm, cel albo teleologię) nauk o życiu w krajach „rozwinętych”: jest to społeczne uwarunkowywanie uczonych tak, aby utracili zdolność do samodzielnej obserwacji: antykoncepcja umysłowa. W dalszej części tego artykułu, wierni ideałom jak należy konstruować naukę, ideałom odziedziczonym jeszcze od Greków, spróbujemy wygrzebać trochę prawdy naukowej spod setek ton papieru produkowanego przez „uczonych, którzy zdradzili” (jak chwalą się ci uczeni, ich twórczość polega na przetwarzaniu zgromadzonych faktów według programu narzuconego im przez ich środowisko).

II. DZIWNĄ HISTORIA NOWOCZESNEJ BIOLOGII

Zadanie, którego się podejmuje, wydaje się być przedsięwzięciem na miarę Herkulesa. Jak pamiętamy z mitologii, Herkules zamiast rozwijać mięśnie przy oczyszczaniu znanych nam stajni, użył rozumu: puścił poprzez nie strumień wody. Podobną metodę, zapożyczoną od teoretyka nauki K. Poppera, proponuję przy pracy nad oczyszczeniem „stajni nauk o życiu” o Augiaszowych zaiście wymiarach: będziemy się starać spuścić wodę za każdą teorią naukową, z której wynikają wnioski sprzeczne z doświadczeniem bądź z prawami logiki.

Badaniami nad nowoczesną biologią w jej szczegółowym wydaniu zająłem się ponad dwa lata temu, gdy w książce Th. Dobzhanskiego na temat ewolucji znalazłem następujące zdanie:

„... Dlaczego na przykład ćwiczenie wzmacnia mięśnie zamiast je osłabiać? Adepti tych teorii (typu Lamarckowskiego) są zmuszeni do postulowania, czy to *explicite* czy *implicite*, że organizm posiada moc, niedostępną dla doświadczenia, reagowania w sposób adaptacyjny na wymogi środowiska. Ale to jest gadanie a nie wytłumaczenie”...

To zdanie zastanowiło mnie: jak można budować teorię ewolucji z pominięciem tak oczywistych faktów jak adaptacja, a z drugiej strony, jakąż to mamy obecnie znajomość biologii, skoro biolodzy nie wiedzą skąd się bierze wzmacnianie mięśni pod wpływem wysiłku?

Mając dobre przygotowanie ogólne, zarówno w historii nauki jak i w fizyce ciała stałego, zacząłem grzebać w szczegółach:

* M. Thompson, *Rubbish Theory*, Oxford University Press, 1979.

zarówno w historii powstania idei w biologii jak i w ostatnich pracach biologii molekularnej. Dzięki tym, czasami dość żmudnym, *aktywnym i osobistym* badaniom wyłonił się przede mną obraz nauk biologicznych bardzo daleki od oficjalnych zapewnień na temat postępu.

Od strony historycznej nowoczesna biologia pojawiła się jako nauka pod koniec XVIII wieku, a ściślej w 1802 roku, kiedy to Lamarck wymyślił słowo BIOLOGIA. Postać Lamarcka dominuje pierwszą fazę rozwoju nauk biologicznych: skonstruował on metodę systematyzacji w biologii, której używamy do dzisiaj, jego koncepty rozwoju systemu nerwowego są ciągle u podstaw nowoczesnej neurologii; metodologię naukową zaproponowaną przez Lamarcka warto wyklądać na nowoczesnych uniwersytetach przysypanych lawiną prac szczegółowych, spod których przestało być widać fakty bardziej ogólne.

Współcześnie Lamarck jest bardzo nie lubiany przez większość biologów, zwłaszcza w krajach anglosaskich: skonstruował on teorię ewolucji, która stanowi bezpośrednią konkurencję dla teorii neodarwinowskiej, ostrzegał przed deformacją nauki, jaka może wynikać z powodu powstania klasy uczonych ograniczonych do „małych faktów”, które będą próbować bezkarnie ekstrapolować do rozmiarów wielkich teorii, nie był demokratą, zauważył zagrożenie istnienia gatunku ludzkiego przez rozwój ekonomii, polucję i nasilającą się walkę wewnątrzgatunkową.

Teoria ewolucji u Lamarcka była oparta na bardzo widocznym fakcie rozwoju bądź zaniku organów pod wpływem ich używania bądź nie-używania. W wielkim skrócie, powstanie nowych odgałęzień biologicznego drzewa genealogicznego Lamarck wyobrażał sobie następująco: zmiana warunków życia → powstanie nowych potrzeb → powstanie nowego zachowania dla zaspokożenia tych potrzeb → rozwój (lub atrofia) organów używanych (lub nie używanych) przy nowym zachowaniu → (po bardzo długim okresie czasu) dziedziczny rozwój lub atrofia tych organów: (→ oznacza: powoduje).

W pięćdziesiąt lat później Darwin wystąpił ze swą teorią „powstawania gatunków”, która w przeciwieństwie do teorii Lamarcka stała się teorią znaną szerokim masom. Darwin przejął praktycznie wszystkie rzeczowe dowody Lamarcka i wzbogacił je przez swe własne obserwacje na temat zmian dziedzicznych u roślin i zwierząt pod wpływem udomowienia.

Do argumentów Lamarcka dorzucił on znaną teorię selekcji naturalnej.

Problem się zaczął w momencie, gdy miał podać przykład tej selekcji. W jego sławnej książce „O powstawaniu gatunków”

rozdział „Ilustracje działania selekcji naturalnej bądź przeżywania najlepiej dopasowanych” zaczyna się od zdania: „Aby pokazać jasno, jak, moim zdaniem, działa selekcja naturalna, muszę prosić o zezwolenie na podanie jednego lub dwóch *wyimaginowanych przykładów*”. Czyli Darwin przyznaje się, że wymyślił tę teorię bez obserwacji jakichkolwiek faktów na jej poparcie. W dodatku, jak zauważył to Grassé, wyimaginowany przykład, jaki daje Darwin na poparcie swej teorii (selekcja najzwinniejszego wilka), jest sprzeczny z obserwacją zwyczajów wilka polującego w zorganizowanych stadach i dzielącego się zdobyczą.

Biolodzy, którzy wyspecjalizowali się w obserwacji zwierząt na wolności, statystycy (mój profesor A. Jacquard), którzy próbują oceniać ilościowo zmiany genetyczne pod wpływem selekcji, czy paleontolodzy (P. P. Grassé), obliczający szybkość tych zmian, stwierdzają zgodnie zupełny brak pokrycia danych obserwacyjnych z tą teorią. Czyli, według metodologii zaproponowanej na początku prac oczyszczających, należałoby spuścić wodę po teorii naturalnej selekcji. Nie jest to jednak całkiem słuszne. Udało mi się znaleźć przykłady pokrywające się z tą teorią:

1) Naturalna selekcja najbardziej agresywnych i rozmnażających się najszybciej komórek rakowych;

2) Naturalna selekcja „wielkiego *bussines'u*”, wypierającego nieubłagane małe i mało dynamiczne przedsiębiorstwa i sklepy.

Pierwszy przykład jest przypadkiem patologicznej ewolucji komórek organizmu, zaś przykład „eliminacji biedniejszych przez bogatszych” dotyczy tylko sfery produktów ludzkich; od strony biologicznej widać raczej selekcję odwrotną: biedni rozmnażają się zazwyczaj szybciej niż bogaci.

Jak twierdzą znawcy przedmiotu, z powodu wytępienia zwierząt w Anglii Darwin znalazł ideę selekcji naturalnej poprzez skojarzenie postępu ewolucyjnego z postępowaniem przemysłowym Wielkiej Brytanii w XIX wieku. Jeśli wytniemy z prac Darwina teorię selekcji naturalnej jako opartą tylko na osobistych skojarzeniach, to całość jego, bardzo skądinąd interesujących prac stanowi... najlepszy materiał jakim dysponujemy do obalenia teorii selekcji naturalnej.

Nie wchodząc w szczegóły, dowód dany przez Darwina na niemożliwość wydajnej selekcji naturalnej jest następujący:

- 1) W momencie powstania warunków niesprzyjających dla danego osobnika zaczyna się znana „walka o przeżycie” (*struggle for life*);
- 2) Organy używane w czasie tej walki winny się rozwinąć;
- 3) Z czasem walka o przeżycie winna stawać się łatwiejsza.

W dodatku Darwin opracował całą teorię „gemmuli” (molekuł przekazujących komórkom rozrodczym wyprodukowane w rozwiniętych organach wytyczne do kierunku rozwoju), tak że kolejne pokolenia winny być lepiej dopasowane do nowych warunków życia, a więc z czasem selekcja naturalna winna być zneutralizowana.

Pod koniec XIX wieku nastąpił decydujący zwrot w historii biologii. Przytoczona tutaj teoria Lamarcka-Darwina została „obalona” przez teorię neo-darwinowską, została zanegowana jakakolwiek możliwość przekazywania następnym pokoleniom „instrukcji” o kierunkach rozwoju, które zostały skonstruowane przez osobnika dzięki jego własnej walce o byt.

Przeprowadzony dowód doświadczalny należy do najdziwniejszych eksperymentów naukowych, jakie kiedykolwiek zostały wykonane. Znany uczony nazwiskiem Weismann przez pięć pokoleń obcinał ogony u około tysiąca myszy. Naturalnie ogony te z uporem ciągle odrastały. Prawie powszechna akceptacja przez świat nauki argumentu Weismanna, że amputacja jest zjawiskiem tego samego typu co atrofia bądź hipertrofia, świadczy o głębokim przełomie umysłowym u uczonych, przełomie, którego skutki trwają do dzisiaj (patrz cytowany na początku Dobzhański): uczeni przestali rozróżniać między bezpośrednim wynikiem oddziaływań między otoczeniem a organizmem (amputacje, okaleczenia, zmęczenie mięśni pod wpływem wysiłku etc.) a reakcją biologiczną na te straty (np. przerost regeneracji mięśni powodujący ich rozwój, czy przerost produkcji krwi jako reakcja na jej częsty ubytek).

Dzięki sukcesowi doświadczenia z obcinaniem ogonów, we wpływowych kołach naukowych zdecydowano, że nie może być żadnego przyczynowego związku między fenotypową (ograniczoną do życia pojedynczego osobnika) atrofią wzroku u zwierząt wychowanych od urodzenia w ciemności a dobrze znanym faktem dziedzicznej atrofii wzroku u podgatunków żyjących w jaskiniach, czy też między dziedziczną degeneracją skrzydeł u ptaków udomowionych a ich trybem życia nie zmuszającym do latania.

Ponieważ te ostatnie fakty świadczą akurat za wnioskiem wręcz odwrotnym, zacząłem sam szukać jak to było z tym całkowitym brakiem dowodów na dziedziczenie adaptacji, bo argument Weismanna, że nie ma różnicy między amputacją a adaptacją jest dobry dla biologów- specjalistów, ale nie dla kogoś choćby tylko średnio rozgarniętego. Arthur Koestler napisał niedawno doskonałą książkę „The Case of the Midwife Toad”, na temat austriackiego biologa Kammerera, któremu wyszły doświadczenia wskazujące, że adaptacje się dziedziczą. Kammerera załat-

wiono w sposób naukowy: podbarwiono trochę jego stare preparaty, od piętnastu lat tkwiące w muzeum, zdecydowano, że jego doświadczenia były sfałszowane, Kammerer popełnił samobójstwo.

Po tym „doświadczeniu naukowym” biolodzy, nie przekonani jeszcze do nowo odkrytego prawa, woleli się przestać afiszować z takimi, często bardzo żmudnymi, badaniami.

Czy rezultaty Kammerera były, czy nie były wiarygodne? Najpoważniejsza praca Darwina (nie ta szeroko znana publicystyka jak „Powstawanie Gatunków”, ale książka specjalistyczna „Zmiany (Wariacje) u roślin i zwierząt pod wpływem udomowienia”) zawiera *tysiące* zaobserwowanych przykładów dziedzicznych adaptacji. Według najznakomitszych ogrodników i hodowców Francji, Niemiec i Anglii, dziedziczne „wariacje” pojawiające się u roślin i zwierząt po niewielu pokoleniach żyjących w zmienionych warunkach były bazą do selekcji nowych odmian, opóźniona o kilka pokoleń aklimatyzacja roślin, czy opóźnione zmiany morfologiczne u zwierząt za czasów Darwina były doskonale znane wszystkim specjalistom od rolnictwa i hodowli. W sto lat później identyczne zjawiska zaobserwowane przez Łysenkę (ponoć zdolnego ogrodnika) były już oceniane przez anglosaski świat nauki jako zupełne brednie.

Ponieważ sam nie robiłem żadnych doświadczeń w tym zakresie, mogę tylko podać, jakie zdanie mają autorytety i na jakiej podstawie: z jednej strony mamy większość laureatów nagrody Nobla, twierdzących, że dziedziczenie adaptacji jest absolutnie niemożliwe (przy czym twierdzenie to jest poparte doświadczeniem dokumentującym niedziedziczność amputacji), z drugiej strony mamy najlepszych specjalistów od rolnictwa zarówno na zachodniej jak i na wschodniej półkuli, dla których opóźnione o kilka pokoleń dziedziczenie adaptacji jest podstawą ich codziennych prac nad ulepszaniem gatunków.

W latach pięćdziesiątych naszego stulecia pojawiła się nowa nauka: biologia molekularna. Znana książka J. Monoda *Przypadek i konieczność* jest summum osiągnięć tejże biologii sprzed około 10 lat. Najistotniejszym odkryciem w tej dziedzinie jest tak zwany „dogmat centralny”: informacja (ukształtowanie struktury molekularnej), jaką reprezentuje poszczególna komórka, jest „wyjawieniem” pod wpływem sygnałów bądź zewnętrznych bądź wewnętrznych informacji zawartej w jej kwasach nukleinowych. W bardziej popularnym ujęciu możemy powiedzieć, że całe bogactwo struktur morfologicznych jak i bogactwo zachowań (zachowanie jest zmianą w czasie tych struktur)

u organizmów żywych jest li tylko „wyjawieniem” informacji zakodowanej na DNA. Ponieważ „dogmat centralny” zabrania możliwości przekazywania (*imprinting*) informacji od struktur białkowych w kierunku kwasów rybonukleinowych, praktycznie wszystkim specjalistom (patrz Monod) zaczęło się wydawać, że biologia molekularna definitywnie wyklucza jakąkolwiek możliwość związku między zmianami strukturalnymi, osiągniętymi przez „doświadczenia życiowe” (rozwój bądź atrofia, refleksy warunkowe, etc.), a strukturą genetyczną organizmu, którą już od czasów Weismanna zaczęto uważać za „nieśmiertelną” — pozostającą poza jakimkolwiek wpływem zmian zachodzących w organizmie w czasie jego życia.

Tymczasem jeśli się dobrze przyjrzyć mechanizmowi „wyjawiania” informacji genetycznej (mechanizmowi dobrze przedstawionemu w książce Monoda), można zauważyć, że implikuje on logicznie coś, o czym prawie wszyscy biolodzy molekularni nie chcą wiedzieć: powstanie odruchów warunkowych, które polegają na kojarzeniu (łączeniu, asocjacji) genetycznie zaprogramowanych odruchów bezwarunkowych, absolutnie wymaga powstania nowych struktur genetycznych, tak aby wyuczone przez wielokrotnie powtórzone doświadczenia osobiste nowe odruchy mogły być „wyjawieniem” tej nowopowstałej informacji. Zatem nowe, dające osobnikowi większą kontrolę nad otoczeniem struktury genetyczne muszą powstawać w czasie „aktywnego poznania” świata! (Zgodność tego prostego odkrycia z prawami biologii molekularnej potwierdził mi J. Ninio, autor dość ciekawej książki „*Les approches moléculaires de l'évolution*”).

Muszę przyznać, że moje odkrycie nie wymaga większego wysiłku umysłowego niż odkrycie, że w trójkącie prostokątnym $c^2 = a^2 + b^2$. Warto by wskazać, jakie środki antykoncepcji umysłowej zostały zaangażowane w celu niedopuszczenia, aby ta prawda biologii molekularnej wyszła na jaw. Monod na przykład rzuca na szalę swój autorytet laureata nagrody Nobla, by przekonywać wszystkich, że „przypadek jest jedynym źródłem wszelkiej nowości, wszelkiej twórczości w biosferze... To centralne pojęcie nowoczesnej biologii jest jedynym możliwym do pomyślenia, jako jedyne, które jest zgodne z faktami danymi przez obserwację i doświadczenie. I nic nie zezwala nam przypuszczać (lub nawet tylko mieć nadzieję), że nasze koncepty w tej materii powinny, bądź nawet mogłyby być zmienione”.

Na podstawie tego sławnego zdania laureata Nagrody Nobla możemy skonstruować interesujący model metodologii poszukiwań naukowych w dziedzinie biologii: przed przystąpieniem do badań kontrolowani przez środowisko uczeni zawiązują sobie do-

browolnie oczy, aby wyzwolić się od „uprzedzeń” (*preconceived ideas*), które się same narzucają, jak się patrzy uważnie na biologię. Potem zaczynają pracować, często po 15 godzin na dobę i jak przy zabawie w ciuciubabkę włączają co pewien czas na ewidentne fakty. Ponieważ mają zawiązane oczy, nie mogą w tych faktach nic rozpoznać i na podstawie dziesiątków lat pracy dochodzą do dumnego wniosku, że wszystkie interesujące zjawiska w biologii (łącznie z ich pracą w laboratoriach naukowych) są... dziełem przypadku.

A tych „przypadkowo ujawnionych” faktów w biologii molekularnej zebrało się całkiem sporo. Tak jak dziesięć lat temu uczonym wydawało się, że DNA pozostaje poza możliwością jakiegokolwiek kontroli ze strony struktur białkowych, tak obecnie znane są setki enzymów zajmujących się rozcinaniem, sklejanym (*splicing*) fragmentów DNA i RNA, tworzeniem nowych kombinacji genetycznych, naprawą uszkodzonych części genów czy kontrolowanym przemieszczaniem całych grup genetycznych.

Ponieważ te fragmenty DNA, które są często „odczytywane” (które służą jako matryca do produkcji RNA) są o wiele bardziej narażone na zniszczenie niż inne, ich naprawa także powinna być częstsza. Naprawa ta polega na wycięciu okolicy uszkodzonego miejsca i na zrobieniu nowej kopii wyciętej części przy użyciu do tego drugiego zwoju „podwójnej spirali” DNA. Ewentualny przerost tej naprawy winien doprowadzić do wzmocnienia często „odczytywanych” fragmentów genetycznych. Ten całkowicie nieortodoksyjny mechanizm „rozwoju DNA wskutek jego użycia” pokrywa się z mechanizmem rozwoju mięśni: jak już od czasów Weismanna przestali to zauważać biolodzy, używanie mięśni nie prowadzi bezpośrednio do ich wzmocnienia. Rezultatem wysiłku jest zmęczenie i tylko przerost naprawy szkód spowodowanych przez użycie mięśni prowadzi do ich rozrostu. W dodatku naprawa zarówno zużytych mięśni jak i zużytych części DNA jest prowadzona przez bardzo podobne enzymy.

Dysponuję pracami, których autorzy zaobserwowali wzmocnienie (aż do 200 razy) fragmentów genetycznych używanych do produkcji enzymów zezwalających na przeżycie kolonii komórek, których rozmnażanie próbowano przez pewien czas zahamować przy pomocy środków chemicznych. Z tego „wzmocnienia genów wskutek ich użycia” wynikają dalsze ciekawe cechy organizmów żywych. Chemicznie spontaniczne łączenie się wzmocnionych fragmentów DNA jest podstawą dyscypliny zwanej „inżynierią genetyczną”. Wielokrotnie powtórzone odruchy bezwarunkowe winny z czasem prowadzić do wzmocnienia wy-

rażanych w czasie tych odruchów fragmentów DNA (RNA jest automatycznie wzmocnione w czasie częstej transkrypcji — odbijania segmentu RNA z jego matrycy DNA). Gdy dwa lub kilka odruchów bezwarunkowych powtarza się często jednocześnie lub w kolejności, według reguł inżynierii genetycznej istnieje duża szansa, że nastąpi asocjacja chemiczna wzmocnionych fragmentów. W tym wypadku sygnał zewnętrzny powodujący „odczytanie” (refleks bezwarunkowy) pierwszego elementu nowej kombinacji genetycznej winien, według reguł biologii molekularnej, spowodować także „odczytanie” kolejnych fragmentów, które zostały doń doklejone — powstanie odruch warunkowy. Ten model wymaga aby „skojarzenia” powstawały na poziomie pojedynczej komórki — i listopadowy numer *Pour la Science* relacjonuje eksperymenty wskazujące że tak jest istotnie. Powstawanie bardzo skomplikowanych skojarzeń u zwierząt i u ludzi wymaga współpracy ogromnej ilości komórek nerwowych. Podanie szczegółowego schematu powstawania połączeń (*synaps*) między tymi komórkami staje się możliwe przy założeniu, że pojedyncze komórki są wyposażone w taką bardzo prymitywną „inteligencję”. Te rozważania przekraczają jednak wymiar artykułu publicystycznego.

Jak już pisałem, odruchy warunkowe dają wytłumaczenie skąd się bierze zdolność organizmów żywych do uzyskiwania kontroli nad ich otoczeniem, ich nieznana w świecie nieożywionym umiejętność konstruowania informacji (wiedzy), co to jest to otoczenie. Można łatwo udowodnić, że „autokonstrukcja” (wyrażenie J. Piageta) organizmów dzięki ich wewnętrznym reakcjom na doświadczenia życiowe przekracza możliwości jakiegokolwiek maszyny. Maszyna taka musiałaby mieć zaprogramowaną w sobie zdolność nie tylko rekonstrukcji ale i wzmocnienia *wszystkich* zużywanych części. (Jest to podstawowe prawo biologii sformułowane przez Lamarcka). Zaś według praw logiki nie można skonstruować programu, który by wiedział wszystko o sobie samym.

To co zmieściłem tutaj w ogromnym skrócie na kilku stronach to implikacje logiczne wynikające z prostych mechanizmów biologii molekularnej. Te implikacje oznaczają, że organizmy żywe posiadają bardzo specyficzny cel (finalizm, teleologię) swego zachowania: rozwijanie i wzbogacanie tego zachowania. Ten cel dobrze uwidocznił J. Piaget w tytule swej ostatniej książki „Zachowanie, motor ewolucji”. Dzięki temu aktywnemu zachowaniu organizmy są w stanie przezwycięzać agresję otoczenia, tworzyć informację, konstruować wiedzę o świecie. Finalizm ten jest z konieczności metafizyczny, gdyż przekracza ramy finalizmu

zachowania substancji nieożywionych: powrót do równowagi termodynamicznej połączony z wolną utratą informacji.

Nauka jaka rozwinęła się w cywilizacji europejskiej jest jednym z przykładów realizacji tego pozafizycznego celu jakim jest poznanie świata. Niestety zbyt szybki rozkwit Wielkiej Nauki w ostatnich kilku dekadach doprowadził do alienacji produktu poznania (wiedzy zawartej w bibliotekach) od podmiotu poznania, jak to wskazuje przytoczone zdanie Skinnera, domagającego się eliminacji poznania osiągniętego dzięki ludzkim doświadczeniom osobistym w imię wyalienowanej nauki. Ponieważ bez tych doświadczeń osobistych nie ma żadnej możliwości konstruowania wiedzy, wyalienowania nauka winna, zgodnie z prawem fizyki, zacząć tracić zgromadzoną przez stulecia informację i stać się z czasem antynauką: gromadzeniem i nauczaniem ignorancji.

Potwierdzmy tę tezę kilkoma przykładami. Od czasów jeszcze Demokryta ludzi, tłumaczących, że zjawiska przyrodnicze są dziełem przypadku, uważano za zwykłych ignorantów, celem nawet przed-sokratycznej nauki było przyczynowe wytłumaczenie zjawisk. Po dwóch tysiącach lat postępu naukowego mamy już laureatów nagrody Nobla (F. Jacob), twierdzących, że wszystkie procesy biologiczne, z historią ludzkości włącznie, są dziełem przypadku.

W jaki sposób wymyślili biolodzy tę interesującą teorię? Od czasów kiedy wiadomym się stało, że wszystkie procesy życiowe są wyjawieniem informacji zakodowanej na DNA, u zainteresowanych w nieobserwacji procesów życiowych biologów pojawiła się bardzo zrozumiała chęć, aby DNA „samo z siebie”, przypadkowo, produkowało rozmaite wariacje genetyczne, z których mechaniczna naturalna selekcja mogłaby wybrać warianty nadające się do przeżycia.

By udowodnić tę teorię, zaczęto robić proste doświadczenia na bakteriach. Przy odpowiednim ujęciu statystycznym (prace Lurii i Delbrücka z 1943 roku) wyniki były zachęcające: duży rozrzut statystyczny ilości kolonii bakteryjnych, założonych przez bakterie które przetrwały inwazję wirusa zdawał się potwierdzać tezę, że mutacje dające odporność pojawiły się już wcześniej, jeszcze przed zastosowaniem selekcji przy pomocy wirusa. Przy robieniu tych doświadczeń zanotowano pewien szczegół, który wydawał się mało ważny: w setkach przebadanych kultur pierwsze bakterie zdolne się rozmnażać w obecności wirusa pojawiały się dopiero w kilkanaście godzin po zastosowaniu selekcji. Sprawdziłem ten szczegół w kilkudziesięciu innych pracach dotyczących selekcji bakterii lub zwierzęcych linii komórkowych. W każdym przypadku był zaobserwowany trwający czasami wiele ty-

godni „okres opóźnienia” między zastosowaniem substancji selekcyjnej a pojawieniem się pierwszych komórek lepiej zaadaptowanych do nowego środowiska.

Podobne opóźnienie, trwające czasami kilka lub kilkanaście pokoleń, zauważył już Darwin przy opracowywaniu wyników prac nad udoskonalaniem gatunków roślin i zwierząt. W dodatku doświadczenia z liniami komórkowymi wskazują, że mutacje w zmienionych warunkach życiowych występują w sposób bardzo podobny do adaptacji alpinistów na wysokości: zdolność do życia w bardzo trudnych warunkach można osiągnąć tylko poprzez stopniowe zwiększanie trudności, po pokonaniu pierwszego progu selekcji czas pokonywania kolejnych progów jest wyraźnie krótszy, gdy zezwolić komórkom od czasu do czasu na „wytnięcie” od zmienionych warunków życia, o wiele większa ich ilość będzie zdolna się zaadaptować, itd.

Czyli bajeczka o całkowitej przypadkowości mutacji jest dobra, ale na poziomie znajomości biologii przez laureatów nagrody Nobla, którzy na wszelki wypadek nie pofatygowali się sprawdzić jak w szczegółach wyglądają prace mające poświadczać tę przypadkowość. Dzięki decyzji uczonych, że mutacje mogą wystąpić tylko przez przypadek, udało się znokautować możliwość jakiegokolwiek racjonalnego wytłumaczenia i przewidywania zjawisk biologicznych. Zniknęła na przykład możliwość zrozumienia na czym polega specyficzna choroba komórek wyższych organizmów zwana rakiem (podobnie jak w doświadczeniach z liniami komórkowymi *in vitro*, w wypadku raka dobrze widać często wieloletni „okres opóźnienia” między lokalną zmianą środowiska — zastosowaniem środków mutagennych a potem mitogennych, a powstaniem pierwszych komórek rakowych).

Jeśli całe zachowanie człowieka jest tylko wyjawieniem w odpowiednich warunkach posiadanej przez niego informacji genetycznej i tę strukturę może zmienić tylko wypadek genetyczny, to nasze odkrycia naukowe można wytłumaczyć tylko przez wyjawienie tego przypadku. Całkowita przypadkowość odkryć wyklucza możliwość jakiegokolwiek metodologii poszukiwań naukowych. Zostało zatem zgaszone światło w dyscyplinie o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości nauki.

W osiągniętych ciemnościach zaczęły się mnożyć i napełniać świat „nowym światłem” nauki oparte na całkowitym oderwaniu się od logiki czy od elementarnych biologicznych i fizycznych obserwacji: teoria neodarwinizmu oparta na niezniszczalności prostych substancji chemicznych (DNA), spontaniczne (samo z siebie) powstawanie informacji w strukturach dysypatywnych

(teoria Ilii Prigogina), omawiany już behawioryzm, czy „syntezytyczna teoria ewolucji” — socjobiologia.

Na oficjalnym zebraniu „Institut de France” Grassé otwarcie nazwał socjobiologię imbecyлизmem — jak można zredukować możliwości zachowania się człowieka do poziomu insektów, które jak wiadomo mają zdolność uczenia się tego co nieznane (inteligencję) wielokrotnie niższą niż zwierzęta. Zarówno Grassé jak i Thuiller twierdzą, że za socjobiologią ukryty jest najzwyklejszy rasizm, nie mogą jednak zbyt przejąć się tym rasizmem: ci rasiści zajęci są głównie udawaniem, że sami są najgłupszymi ze zwierząt.

Mimo dość frywolnego tonu zupełnie poważnie twierdzą, że zasadniczy problem jaki mamy do rozwiązania w domenie nauk o życiu to zupełnie medyczna patologia tych nowoczesnych nauk. Podobną opinię mają osiemdziesięciokilkuletnie już zazwyczaj „stare autorytety”, których jeszcze kilku żyje: J. Piaget, P. P. Grassé, J. Weiss, K. Lorentz. Ta patologia wcale nie jest dziełem genetycznego przypadku i chwila zastanowienia pozwala wytłumaczyć skąd się ona wzięła.

Biologia, w przeciwieństwie do fizyki, jest nauką posiadającą bezpośrednie sprzężenie zwrotne (*self-referring science*), jej odkrycia zakomunikowane szerokim masom mogą wpłynąć wyraźnie na ich zachowanie („odkrycie” selekcji naturalnej niewątpliwie wzmogło ludzką walkę wewnątrzgatunkową). Od chwili jej powstania nowoczesna biologia jest wykorzystywana dla celów zarówno zbiorowej polityki jak i prywatnej etyki, przy czym zastąpiła ona w tej ostatniej dziedzinie podupadającą etykę religijną. Lamarck był ponoć jednym z ideologów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, z niepotwierdzonej czymkolwiek teorii „naturalnej selekcji najlepiej przeżywających” podszyta tchórzem burżuazja utkała natychmiast swój sztandar postępu.

Biologom doby stalinizmu zarzuca się, że chcieli zmieniać człowieka przez zmianę jego środowiska (czy chodziło o jego uodpornienie na brak komfortu i na indoktrynizację?). Jak twierdzi na podstawie własnych doświadczeń P. P. Grassé, ruch hitlerowski miał silne poparcie wśród biologów, wyobrażających sobie społeczeństwo ludzkie na kształt termitiery. Ogromny sukces socjobiologii w Stanach Zjednoczonych jest oparty na propagowanych przez nią zachęcających możliwościach zduszenia indywidualności ludzkiej przez pozbawioną jakiegokolwiek inteligencji anonimową masę.

Rozmawiałem o tym otwarciu w departamencie J. Piageta — w całej tej „ciubiubabce naukowej” jaką przedstawia zachodnia biologia, chodzi o ukrycie najważniejszej rzeczy: degeneracji czło-

wieka pod wpływem ułatwień życiowych. Jak to chyba zauważył każdy z czytelników, Zachód jest całkowicie zdominowany przez „ludzi interesu”, wypychających technologię komu się da i gdzie się da. Jest zatem całkiem zrozumiałe, że ci ludzie mają duży interes w odwróceniu uwagi ludności zajętej konsumpcją technologicznych środków narkotyzujących od ujemnych wpływów tych środków. Można sobie świetnie wyobrazić „naturalną selekcję” laureatów Nagrody Nobla, którzy teorią przypadkowości ogólnej będą starali się zakryć atrofię poznawczą zarówno swoją jak i zdominowanej ludności. (Skądinąd Nobel był sam zasłużonym dla ludzkości wynalazcą — dynamit! — i człowiekiem interesu). Jak jasno wynika z ich teorii, neodarwiniści uprawiają naukę aby walczyć o swój byt, więc w ramach zabezpieczania sobie (od) bytu winni prowadzić badania w kierunkach sownie opłacanych przez ludzi interesu. Ot i cała banalna a zarazem ponura historia nowoczesnej biologii w wykonaniu „uczonych, którzy zdradzili”.

Specjalistom zarówno od psychologii jak i neurologii dobrze jest znany następujący fakt: jeżeli człowieka czy zwierzę wytrenuje się, zwłaszcza we wczesnej młodości, w niewidzeniu czegoś, to po pewnym czasie traci on zdolność do widzenia w zasłoniętym kierunku. Dzięki temu nie ma żadnej szansy aby specjaliści od niewidzenia sami zauważyli, że są ślepi. W dodatku dzięki „cenzurze naukowej” nie istnieje prawie możliwość jakiegokolwiek „otworzyć oczy” krytyki naukowej. (Słyszałem, jak P. P. Grassé oficjalnie stwierdził, że w Stanach Zjednoczonych lamarckiści nie mają żadnej możliwości publikacji w czasopiśmie naukowym).

Nie trzeba być biologiem aby zauważyć, że aktywnie dopasowująca się do swej protezy technologicznej ludzkość rozwinięta jest mniej więcej tak, jak noga wsadzona do gipsu. Jeśli rozwój biologii potoczy się dalej w kierunku jaki mu wyznaczili „ludzie interesu”, to rzeczywiście będziemy wkrótce mieli naukowy wynik przewidziany już przez Lamarcka: zagładę zupełnie ślepej ludzkości.

(Szczegółowe materiały i referencje są, bądź (mam nadzieję) będą publikowane w aktualnych numerach *Bulletin biologique de la France et de la Belgique*; wywiady z częścią przytaczanych w tym artykule autorów są zebrane w książeczce „Le darwinisme aujourd'hui”, Editions Seuil, 1979).

Marek GŁOGOCZOWSKI

Genewa, styczeń 1980

Archiwum polityczne

Czas przestaje pracować dla Sowietów

W historii ostatnich stuleci akcja jednego narodu mająca na celu wyłącznie upokorzenie drugiego należy do zjawisk wyjątkowych. Wymieniam „ostatnie stulecie”, ponieważ chodzi mi o epokę, w której pojęcie narodu zaczęło się kształtować — czyli o erę w której o losach narodów decydowała nie tylko wola monarchy i nielicznej górnej warstwy możnych, lecz również inne społeczne ugrupowania. Od tych czasów począwszy — a nastanie ich związane było z położeniem geograficznym i strefą kulturowo-cywilizacyjną — konflikty międzypaństwowe miały na ogół jeden cel. Służyły zdobyciu korzyści materialnych, rozszerzeniu wpływów i panowania. Obraża godności narodowej — czy jakkolwiek to nazwiemy — nie leżała nigdy w interesie zwycięskiego mocarstwa. Szukając korzyści i potęgi, skłonne było ono raczej łagodzić bolesne, ale nie przynoszące realnych zdobyczy skutki klęski przeciwnika. Wychodziło również ze słusznych przesłanek, że wczorajszy wróg może być jutrzejszym sprzymierzeńcem¹.

Osobliwością sytuacji irańskiej jest uwięzienie zakładników przez kraj militarnie i przemysłowo niezmiernie słaby, ale który dzięki sprzyjającym okolicznościom międzynarodowym może so-

1. Że na pewno nie było to powszechnie obowiązującą regułą, dowodzi przykład przynajmniej jednego dyktatora — Hitlera, gdy w roku 1940, dla większego upokorzenia pokonanej Francji, zażądał od dowództwa francuskiego, aby delegacja Francji podpisała zawieszenie broni w tym samym wagonie kolejowym w Compiègne, w którym w 1918 roku kapitulowały wilhelmskie Niemcy.

bie pozwolić na rzecz w rozumieniu jego władcy bezcenną: upokorzenie potężnej niegdyś Ameryki w taki sposób, w jaki żaden kraj za naszej pamięci nigdy upokorzony nie został. Ayatolla i jego najbliżsi zwolennicy osiągnęli swój cel. Spowodowało to w Ameryce — jak mi się wydaje — dość nieoczekiwany przełom. Gdyby mułowie i studenci wraz z ze swym przywódcą kierowali się materialnymi czyli — w rozumieniu Amerykanów — bardziej ludzkimi względami, spotkaliby się może ze zwykłą cierpliwością, a nawet pasywnością dość zobojętniałych na poczucie godności narodowej Amerykanów. Ale ponieważ najzupełniej wyraźnym i niezakamuflowanym celem Iranu było upokorzenie Ameryki wobec świata, nastąpił wstrząs. Podzielał on z opóźnionym zapłonem, który zresztą po długim okresie oczekiwania spalił na panewce. Ale nie to było najważniejsze, ponieważ w umysłach przytłaczającej części Amerykanów nastąpiła już zmiana. Zrozumieli grozę swego położenia. Inwazja w Afganistanie była tylko drugim dopełniającym elementem. Carter zareagował na nią gwałtownie, ponieważ nastrój po-irański przekonał go, że n-tego z kolei podboju Sowietów odłożyć *ad acta* ani rozwozić w mętnych negocjacjach nie podobna. Detonatorem nowej sytuacji, której etapem było odejście Vance'a, stał się jednak nie Afganistan, a irańscy zakładnicy. Od tego momentu Ameryka zwolna wkracza na inną drogę. W ten sposób demoniczny starzec ze świętego miasta Qum wyświadczył Sowietom najgorszą przysługę.

Operacja *Blue Light* przyniosłaby była, w razie powodzenia, skutki nieskończenie przerastające swą wagą samo ocalenie zakładników. W całej bowiem sprawie — jeśli się rozważy jej tło i następstwa — nie powinno chodzić tylko o to, by zakładników utrzymać przy życiu, ale aby ich wyrwać z rąk ich oprawców. Gdyby jednak władze irańskie doszły do wniosku, że dotychczasowa niewola amerykańskich dyplomatów wypełniła czarę upokorzenia Ameryki i dalsze ich przetrzymywanie jest bezcelowe — zwolnieniem zakładników przypieczętowałyby klęskę Stanów. Jakkolwiek Ameryka ma za sobą długą historię kapitulacji, takie zakończenie tej sprawy byłoby nawet dla niej bezprecedensowe. Dlatego w interesie tego kraju, a — jak będę się starał uzasadnić — także w interesie świata zachodniego leży, by do tego nie dopuścić.

Zatrzymanie zakładników przez tak zwanych studentów z błogosławieństwem ayatolli nie służyło temu, by na Ameryce wymusić wydanie szacha, bo w Teheranie nikt przy zdrowych zmysłach w to nie wierzył. Nie chodziło również o sąd nad rzekomymi szpiegami, korzystającymi z immunitetu dyplomatycznego — po-

nieważ, jak wszyscy wiemy, temu właśnie celowi przeważa liczba ambasad na świecie służy².

Jedynym celem uwięzienia amerykańskich pracowników Ambasady było poniżenie Stanów Zjednoczonych w oczach świata i ukazanie ich niemocy. Jak dotąd cel ten został w pełni osiągnięty. Ale pasja i nienawiść Imama i jego paladynów zatacza coraz szersze kręgi.

W momencie gdy piszę te słowa upłynęło ponad 210 dni od chwili zatrzymania zakładników. Sprawa od dawna stała się międzynarodową i obchodzącą wszystkich, chociaż bynajmniej *nie dlatego*, że rząd ayatolli pędeptał prawo międzynarodowe — rozmaite prawa gwałci się na świecie codziennie setki razy i żadne trybunały, ani międzynarodowe ani zwykłe, nie przejmują się tym nadmiernie. Natomiast wydarzenie irańskie, któremu nieprzypadkowo nadano rozgłos niemal kosmicznej sensacji, wytworzyło sytuację, w której to niespotykane w historii Ameryki upokorzenie stało się poniżeniem całego Zachodu.

Czy nie przesadzam, rekomendując Anglii, Francji, Holandii i innym krajom zachodniej strefy, by dzieliły smak hańby z Amerykanami? Ci ostatni przecież dobrze na owe gorzkie kluski zasłużyli całą swoją historią ustępstw i kapitulacji. Zwłaszcza, że przecież w Teheranie ani francuskich ani włoskich dyplomatów nie zamykano i nie na nich urządzano polowania na ulicach miasta. To prawda, ale wielu naocznych świadków twierdzi, że pod fasadą antyamerykańskich transparentów i sloganów w tłumie paradowających Irańczyków czuć było pulsującą wrogość do całego Zachodu. Dla Trzeciego Świata Ameryka od dawna była symbolem uprzemysłowionej potęgi całego Zachodu, a obecnie jest wygodnym celem, do którego strzela się jak do kukły.

Oficjalnym uzasadnieniem aresztowania zakładników był gwałtowny wybuch gniewu ludu, wzburzonego nie tylko udzieleniem szachowi łóżka w amerykańskim szpitalu, ale całą 50 czy 75-letnią eksploatacją Iranu. Czy rzeczywiście o to chodziło?

Sztuka rozpalać gniew ludu jest nam znana z bliższych, bardziej swojskich od Iranu okolic świata. Dlatego też miałem poważne wątpliwości nie tyle co do temperatury owej nienawiści — bo niewątpliwie była ona wysoka — ile co do jej zasięgu. Poza tym nasuwało się pytanie, jak dalece defilujące na uli-

2. Przy okazji warto przypomnieć, że przy bezhołowi jakie powstało w wyniku obezwładnienia organów wywiadowczych USA właśnie placówki amerykańskie są pod tym względem słabo wydajne. W Moskwie, zamiast trudnić się wywiadem, ambasada USA jest sama obiektem szpiegowskich operacji KGB.

cach Teheranu tłumy wierzyły w szatańską moc Ameryki? Chyba od lat nikt jeszcze tak dalece tego kraju nie upokarzał i nie demonizował jednocześnie.

W miarę jak trwały marsze na ulicach Teheranu a nienawiść tłumu rzekomo nieprzerwanie wzbierała, chociaż nie miała świeżej pożywki, wątpliwości narastały. Demonstracje ludowe nie są samograjem. Wymagają bezustannych bodźców. Kukła Cartera, nad którą codziennie pastwił się kwiat militanckiej młodzieży, była substytutem absolutnie niewystarczającym, żeby podniecić tłum, który nie jadł, nie pił, tylko nienawidził. Jaki był cel tej przeciągającej się mobilizacji mas ludowych pod budynkami ambasad i na ulicach Teheranu? Sytuację oświecił nieco sam ayatolla.

— Nie lękamy się — powiedział — ani amerykańskich sankcji, ani zbrojnej interwencji. Nasz naród gotów jest ponosić ofiary i wyrzeczenia. To, czego się lękamy — to „kolonialnych uniwersytetów”. Ów „kolonialny uniwersytet” w Iranie zabrzmiał nieco zagadkowo, ale ayatolla wkrótce rzecz wyjaśnił. Właśnie w owym czasie bowiem skrajne ugrupowanie mułłów usiłowało ograniczyć naukę na uniwersytecie głównie do studiów nad Koranem i analizy tekstów znawców pism Proroka. W ten sposób słowo „kolonialny” było w ustach ayatolli kryptonimem „zachodni”, zaś uniwersytety „nie kolonialne” — to wprawdzie nie takie, w których zabrania się uczyć dyscyplin świeckich, ale takie, które są wolne od wpływów zachodnich. Albowiem w przekonaniu ayatolli kultura zachodnia dokonała najcięższych spustoszeń w jego ojczyźnie, którą szyicki dostojnik chciałby widzieć w niepokalanym dziewictwie Islamu.

Tak więc, choć tzw. rewolucja islamska w Iranie ostrze swe skierowała przeciwko Ameryce, atak dotyczy całego Zachodu. I tak samo jak niektórzy amerykańscy politycy oszukują się, twierdząc, że Iran postawił się w izolacji, zrażając do siebie międzynarodową wspólnotę (co jest nieprawdą, bo zraził do siebie tylko państwa zachodnie, wywołując nawet podziw u tak wątpliwych sojuszników Ameryki jak Pakistan), tak samo oszukują się mężowie stanu Francji, Anglii i Włoch, udając, że sprawa zakładników i Iranu nie ich dotyczy, a tylko tych skłopotanych i pechowych Amerykanów, którym można nawet okazać sympatię i współczucie. Oczywiście bez nadmiernego zaangażowania.

Sprawa zakładników nie urosłaby do takich rozmiarów, a przede wszystkim nie doszłoby do niej wcale, gdyby nad całym światem nie zawisło widmo sowieckiego panowania. Skoro właśnie w tym momencie w letargicznej od lat opinii amerykańskiej problem zakładników podzielał jak mechanizm rozbudzający, to

— jakkolwiek oceniana jest sprawa zakładników — tę sprzyjającą okoliczność należy wykorzystać. Nie tylko i nie tyle dla ocalenia zakładników, ile dla uratowania świata od podboju sowieckiego. Decyzja Cartera — wydarcia zakładników z rąk irańskich sił, jakkolwiek przyniosła fiasko, ma ogromną wagę. Carter znał nie tylko techniczno-wojskowe, ale i globalne ryzyko akcji. Jeśli przy całej swojej chwiejności podjął ją, dając Sowietom potencjalny pretekst do zbrojnej interwencji, znaczy, że zrozumiał, iż bezczynność stanowi większe ryzyko niż akcja militarna.

Możemy się zastanawiać, dlaczego pobożny Imam, który nienawidzi „zachodnich uniwersytetów”, zgadza się na to, by setki tysięcy irańskich studentów zatrąwało się zachodnią nauką w ośrodkach akademickich Europy i Ameryki. Wypadałoby się też zadumać, dlaczego aprobowany przez niego prezydent republiki Bani Sadr słabo włada językiem ojczystym, za to swobodnie posługuje się francuskim. Dlaczego desygnowany przez niego przedstawiciel w ONZ jest naturalizowanym Amerykaninem, etatowym wykładowcą na kalifornijskim uniwersytecie, i że ani etatu ani obcego obywatelstwa nie zamierza się wyrzekać, by oddać się bez reszty świętej sprawie rewolucji islamskiej. Tu nachodzi nas myśl, że sam ayatolla, który tak nienawidzi Zachodu, jest w jakiś szczególny sposób w swej ojczyźnie izolowany. Tak jest, mimo, że na jego wezwanie wylegną zawsze na ulice Teheranu setki tysięcy demonstrantów. To jednak, co łączy ten tłum, to nie wizja idealnego państwa Islamu — ta istnieje tylko w głowie ayatolli — ale nienawiść do zdziwców, tyranów i eksploatatorów identyfikowanych z Zachodem i Ameryką. Ów motor napędowy irańsko-mahometańskiej nienawiści będzie się musiał prędzej czy później wyczerpać, bo nie można nim w nieskończoność karmić ludu. Wiedzą to doskonale sowieccy obserwatorzy. Dlatego nikt lepiej nie docenia przejściowości obecnych rządów w Iranie od sowieckiego Politbiura. Sowiety nie wkroczyły do Afganistanu ani dla samego Afganistanu (o czym wszyscy wiemy) ani po to, by niezwłocznie po jego opanowaniu rozpocząć okupację Persji. Sowiety siedzą w Afganistanie jak klient w poczekalni adwokackiej w oczekiwaniu na spadek. Tyle, że spadek ten zamierzają egzekwować nie przy pomocy testamentu, ale pistoletu. Na masę spadkową po rewolucji islamskiej przyjdzie im może poczekać rok albo i dłużej. Wkroczą wtedy, gdy uznają, że bezrządy w Iranie dają im dostateczny pretekst. Jeśliby do tego doszło, a zakładnicy do tego czasu nie byłiby zwolnieni, Amerykanie mogą być pewni jednego. Pierwszym z posunięć wkraczającej armii sowieckiej będzie wyzwolenie amerykańskich za-

kładników i odstawienie ich z fanfarami i honorami do najbliższej ambasady amerykańskiej — dokładnie tak jak sobie tego życzyć będzie Departament Stanu.

Zwolnienie zakładników przez sowiecką armię będzie najbardziej klasycznym posunięciem strategii politycznej Sowietów. Natychmiast po nowym podboju akt dobrej woli, gest przyjaźni i to pod czym adresem? Pod adresem Ameryki, która tak strasznie szkalowała Związek Sowiecki. Czy można sobie wyobrazić coś piękniejszego? Jak roztkliwiać się będzie nad pomyślnym załatwieniem konfliktu irańsko-amerykańskiego Kurt Waldheim! Ile głosów zachwyty podniesie się z łam prasy amerykańskiej, że oto nareszcie mamy naszych rodaków całych i bezpiecznych w domu!

Prawda — dodadzą niektórzy — okupacja Iranu będzie następnym i niebezpiecznym posunięciem Sowietów, które ponownie postawi pod znakiem zapytania *détente*. Ale może byśmy z powrotem poprosili Cyrusa Vance'a? Jego uśmiechom i jego dyplomacji nie oprze się nawet dowódca Paktu Warszawskiego marszałek Kulikow.

To wszystko co w tym paragrafie napisałem, to zwykły zły sen. Sen, który się nikomu nie śnił. Ale czy nie może się coś takiego zdarzyć naprawdę?

Co wobec tego należy zrobić obecnie?

Ekspedycja ratowania zakładników, która już u startu zakończyła się fiaskiem, miała zapewne poważne szanse powodzenia. Jak poważne, nie dowiemy się nigdy, mimo maksymalnej niedyskrecji prasy i amerykańskich czynników oficjalnych. Cel jej był ograniczony, będąc zarazem próbą sił — a przede wszystkim dowodem, że Ameryka jest mimo wszystko zdolna do ryzyka. To ostatnie było dla Kremla najważniejsze i stanowi najsilniejszy hamulec powstrzymujący agresywność Sowietów. Moskwa nie jest zainteresowana w globalnej konfrontacji, bo wciąż lęka się Ameryki. A nawet teraz, po nieudanej próbie ratowania zakładników, lęka się jej bardziej niż dawniej. Wciąż liczy na to, że uda się jej wygrać trzecią wojnę bez walki i że pomogą jej w tym sami Amerykanie, a jeszcze bardziej — jak mają prawo sądzić obecnie — ich europejscy alianti. Politycy i generałowie sowieccy trafnie oceniają sytuację, upatrując prawdziwą i nieodwracalną klęskę Ameryki nie w nieudanej operacji czy przegranej bitwie — bo takich przegranych bitew mają Amerykanie w swej historii wiele — ale w uchylaniu się od walki w imię ratowania ludzkości i innych szczytnych haseł, które Sowiety wprowadzają również z wielkim szumem głoszą, ale znacznie słabiej praktykują. Z tego powodu troska o bezpieczeństwo tego świata nie jest kijem o

dwóch końcach, tylko — o jednym. W każdym razie nie można tym kijem bić sowieckich polityków. Nie poczuja³.

Jeśli chodzi o przyjętą powszechnie opinię, że okupacja Afganistanu stanowi krok w kierunku opanowania Iranu i zatoki Perskiej, to ani Ameryka, ani jej alianti nie mają w tej chwili żadnych możliwości zabezpieczenia tego rejonu. Zwolennicy niekończących się ustępstw wobec Sowietów zalecają wstrzemięźliwość: „Jakakolwiek interwencja amerykańska — powiadają — mająca zapobiec okupacji rosyjskiej Iranu, wywoła skutek przeciwny tj. sowiecką inwazję, z tym że Moskwa wystąpi wówczas w charakterze obrońcy neutralności Persji”.

Argument ten, w którym brzmi stara nuta „nie prowokujmy Rosji”, ma niestety tym razem swą nieodpartą wymowę. Albowiem na co sobie mogła pozwolić Ameryka piętnaście lat temu, na to nie może sobie pozwolić obecnie. Wiemy, że wielu z tych, którzy tym argumentem szermują, w intencjach swoich nie zalecają niczego innego jak kontynuowanie kapitulacji. Abstrahując jednak od ich pobudek, realia są nie do zwalczenia. Ameryka nie jest w stanie wkroczyć do Iranu w obronie swych interesów i interesów zachodniej Europy. Nie dlatego, że miałaby przeciwko sobie cały naród irański. Nie dlatego, że wzbudziłaby antagonizm w całym świecie muzułmańskim (odwrotnie — nareszcie wzbudziłaby dla siebie respekt), ale dlatego, że stanęłaby oko w oko z całą potęgą armii sowieckiej, której obecnie nie może sprostać. Ponadto takie wystąpienie Ameryki, wywołałoby prawdopodobnie ogólną panikę wśród jej europejskich aliantów, może z jedynym tylko wyjątkiem — Anglii. Rozpoczęłyby się masowe pielgrzymki do Moskwy z przyrzeczeniami ścisłej neutralności. Oczywiście oferty byłyby przyjęte z najwyższą łaskawością. Ameryka — niedozbrojona i psychicznie do wojny wciąż nieprzygotowana — zostałaby izolowana. Nie pozostałoby jej nic innego jak czekać na następny etap.

Obecnie Sowiety wciąż liczą na to, że czas pracuje dla nich: że proces moralnego rozbrojenia Zachodu posuwa się dalej. Ich obecna ofensywa pokojowa — aż niewiarygodna w swych prostackich kłamstwach i obłudzie — nie pozostała bez odzewu. I to bynajmniej nie dlatego, że ktokolwiek wierzy zapewnieniom Breżniewa i jego politycznym komiwojażerom. Ani Helmut Schmidt ani Giscard d'Estaing nie mogą mieć chyba żadnych złudzeń co

3. Sprawa zgoda odmiennych kryteriów w ocenie wartości życia ludzkiego jest groźniejszą bronią Sowietów i ich sojuszników z Trzeciego Świata niż najbardziej zaawansowane rakiety międzykontynentalne i najnowsza broń laserowa. Ta asymetria moralności, o której wspominałem w nr. 5/392 *Kultury* na str. 20, wymaga przywrócenia tradycyjnych wartości wyznawanych w XIX wieku. Innymi słowy, Zachód musi z powrotem odnaleźć imponderabilia, które zasługują na ofiarę życia.

do zamiarów Moskwy. Najprostsze doświadczenie poucza ich, że po każdym podboju sowieckim przywódcy KPZS próbowali nakłonić Zachód do pogodzenia się z faktami i że zawsze cel ten osiągnęli, choć każdy nowy sowiecki nabytek stanowi groźniejsze memento od poprzedniego, a to z tej prostej przyczyny, że na razie nie możemy uciec przed Sowietami w przestrzeń kosmiczną. Ale właśnie to co powinno kraje zagrożone przez Moskwę, wprowadzić w stan pogotowia powodowało jedynie ALARM NA TRWOGE, przy czym w miarę umacniania się sowieckiej potęgi znacznie więcej było trwogi niż alarmu. Od lat za ten stan rzeczy największą część odpowiedzialności ponosiła Ameryka. Obecnie jednak sytuacja uległa zmianie. Co prawda inaczej załamuje się ona w amerykańskich *mass mediach*, inaczej w sferach rządowych, kongresowych, a jeszcze inaczej w opinii publicznej. U tej ostatniej — i to ma decydujące znaczenie — przybrała ona charakter rokujący nadzieje na dalszą ewolucję. Publiczność amerykańska wydaje się naprawdę zniecierpliwiona latami upokorzeń i bezkrwawych klęsk, które zbierały na swym koncie kolejne administracje waszyngtońskie.

W mniejszym stopniu da się to powiedzieć o prasie i telewizji. Gdy Cyrus Vance podał się do dymisji, w opinii niektórych komentatorów uchodził niemal za bohatera, zmuszonego do ustąpienia intrygami prof. Brzezińskiego. Na niego też w pierwszych dniach po ustąpieniu Vance'a rozpoczęto generalny, choć krótkotrwały atak. Łagodnego, taktownego i ponoć tak lubianego w kołach dyplomatycznych Zachodu Vance'a (też reklama!) przeciwstawiano „nie przebiegającemu w środkach” dr. Brzezińskiemu, gotowemu na wszystko, by uzyskać wpływ na politykę zagraniczną Stanów w duchu zaostrzenia jej antysowieckiego kursu. Ten „antysowiecki kurs” wciąż jeszcze w oczach wielu komentatorów uchodzi za ciężki błąd i chętnie demaskuje się go przy pomocy nieboszczyka Joe McCarthy'ego, kiedy to — jak twierdzą niektórzy — Stany jęczały w okowach faszyzmu. Co się zaś tyczy owych rzekomo brutalnych metod, przy pomocy których dr Brzeziński rugował Cyrusa Vance'a z jego resortu, to nie przypominam sobie, by któryś z poruszających ten temat dziennikarzy zadał sobie trud wytyczenia choćby jakiejś mglistej granicy pomiędzy bezpieczeństwem Stanów a polityką zagraniczną tego kraju. A przecież każdy musiał sobie uprzytomnić, że sprawy te w najważniejszym kontekście stosunków z Sowietami są w ogóle nie do rozgraniczenia. Roztkliwiając się nad cnotami osobistymi Vance'a, jego taktem i lojalnością wobec Cartera, nie kwapiono się, by przedstawić rachunek strat w polityce zagranicznej Stanów w okresie jego trzyletniego urzędowania. Tak

jakby nie ten właśnie przerażający bilans, a osobisty czar Vance'a miał być probierzem talentów Sekretarza Stanu. Sporo też nadziei wiązano z Edmundem Muskie, wierząc, że będzie dalej kontynuatorem powściągliwej dyplomacji Vance'a. Wkrótce jednak temperatura pochwał znacznie spadła. Zwłaszcza po „niedyplomatycznej” mowie nowego Sekretarza Stanu w Wiedniu.

Jednym z najtragiczniejszych w swym fałszu założeń polityków i politologów amerykańskich, zwłaszcza tych, którzy chowali się w liberalnym klimacie świata intelektualnego Nowej Anglii, było przekonanie, że w postępowaniu sowieckich mężów stanu należy dopatrywać się tych samych pobudek, które przyświecają Ameryce i Zachodowi. Stąd wiara, że wszystkie spory można usunąć na drodze racjonalnych rozmów i że jeżeli kiedykolwiek dojdzie do starcia, będzie to wynikiem tragicznego nieporozumienia. Jednym z dodatkowych atutów sowieckich było i to, że tej wierze hołdowali nie oni, a tylko i wyłącznie Zachód. W ten sposób sytuacja była podwójnie asymetryczna. Na szczęście wydaje się, że ta naiwna wiara mocno ostatnio nadwątląta. To, czy skłonnościom tym poddaje się w jakiejś mierze nowy sekretarz stanu, jest rzeczą ważną, ale nie najważniejszą, ponieważ decydujący jest głos opinii publicznej, która otrzeźwiała. Dzięki niej Carter musiał obwieścić światu, że przejrzał podstępny grę sowiecką, której przedtem nie dostrzegał. Dzięki niej musiał podjąć, ryzykowną i nieudaną operację ratowania zakładników przemocą, a nie przy pomocy Waldheima. Dzięki niej musiał odejść Vance, co nie obeszło się bez płaczów i zgrzytania zębami. Za jej głosem będzie musiał, jak sądzę, pójść i Muskie. Głos ludu wbrew przysłowiu nie jest wprawdzie głosem Boga, ale bywa (czasami) głosem rozsądku. Przeważnie w okresach narodowego niebezpieczeństwa, gdy dach tli się już nad głowami.

Wydaje się, że w ostatnich miesiącach Ameryka wkroczyła w nową epokę przemian. Że od kilku miesięcy — w szczególności od czasu kryzysu irańskiego — czas przestał pracować dla Sowietów. I tu kluczowe są dwie sprawy. Pierwsza: zmodernizowanie i rozszerzenie arsenału NATO wraz z podniesieniem kwalifikacji personelu wojskowego. Druga: przemiany w postawie narodów zagrożonych penetracją sowiecką. Obydwa te warunki są w równym stopniu nieodzowne i niedopełnienie któregośkolwiek z nich przekreśla szanse obrony. Ameryka i Europa Zachodnia muszą się zdecydować, czy należy płacić wysoką cenę ryzyka wojny, żeby wojny uniknąć, czy tkwić, dalej w samooszustwie, które przyniesie klęskę i pokój — być może nie jednemu, ale kilku przyszłym pokoleniom. Jaką cenę przyjdzie za ten pokój płacić, dowiedzą się ci, którzy przyjdą po nas.

Ostatnio ci, którzy przestrzegają przed ryzykiem konfrontacji, szukają analogii w okolicznościach, które towarzyszyły wybuchowi pierwszej wojny światowej. Twierdzą, że nastąpiła ona w wyniku eskalacji nieporozumień i wzajemnego przesadnego lęku przed zarządzeniami wojskowymi przeciwnika. Wojna wybuchła, choć nikt jej nie chciał. Ta fałszywa analogia jest ponowną próbą przedstawienia Sowietów jako zwierciadlanego odbicia ich zachodnich adwersarzy. Nic bardziej od tej teorii nie może dogodzić panom na Kremlu. Oczywiście nieporozumienie! Brak wspólnego języka! Siadajmy za wspólnym stołem! Urządzmy spotkanie na szczycie — a gdy wszystko zaklepiemy i podpiszemy, damy wam długą, długą chwilę odpoczynku. Może rok. Może półtora!

Bujda, proszę Państwa! Analogie są tu w ogóle niepotrzebne, bo Sowiety nie mają żadnego wzorca w przeszłości. Postępowanie ich między innymi w najmniejszym stopniu nie przypomina szaleńczej agresywności Hitlera. Hitler pragnął podbojów, ale w równej mierze parł do wojny, bo gotów był płacić każdą cenę za laury zwycięzcy. Sowiety chcą osiągać zwycięstwa bez wojen. W każdym razie nie zamierzają płacić za nie każdej ceny, jako że w ogóle nie lubią płacić. Przed rokiem 1939 świat podejrzewał Hitlera o bluff i prowadzenie wojny nerwów. Popełniono wielką pomyłkę. Natomiast wojnę nerwów trzeba podjąć obecnie z Sowietami. Na początek — w odpowiedzi na aluzję Politbiura do spotkania na szczycie — podtrzymałbym kontrpropozycję: unieważnienie Traktatu w Helsinkach⁴. Traktat niewykonany przez jedną stronę nie może obowiązywać drugiej. Jeśli ktoś nazwie to prowokacją, odpowiem: jedyna prowokacja wobec Sowietów — to bierność.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 31 maja 1980 r.

4. Propozycja wysunięta przez Williama Safire'a w *New York Times*ie z dn. 24 maja 1980 roku.

Korespondencja z Rzymu

Pontyfikat w zwierciadle krytyki

W doskonałym artykule pt. „Po pierwszym roku pontyfikatu” zamieszczonym na łamach *Tygodnika Powszechnego*, w którym

znać rękę cenzora, biskup Ignacy Tokarczuk stwierdza: „W ciągu pierwszego roku różnie próbowano ocenić postawę nowego Papieża. Próbowano często dać mu etykietkę czysto społecznie-polityczną: postępowiec czy konserwatysta, lewicowiec czy prawicowiec — wszystkie te szufladki nie pasują do misji papieskiej”. W obliczu przede wszystkim duszpasterskim prymatu papieskiego i nowym stylu sprawowania urzędu papieskiego, jak zauważa słusznie ordynariusz przemyski, „na miejsce abstrakcyjnych, anonimowych zbiorowości wchodzi indywidualni ludzie”. Bp Tokarczuk odnotowuje ujemne, kryzysowe zjawiska w życiu Kościoła, zwłaszcza na Zachodzie, jakie zastał Jan Paweł II, a mianowicie: chaos doktrynalny, zachwianie się dyscypliny i ładu, pomieszanie dobroci z miękkością, złe pojętą wolność, utratę tożsamości Kościoła („zachowywał się tak, jakby przepraszał że istnieje”). Papież jako „autentyczny humanista zdał sobie sprawę z tragicznych skutków tych zjawisk”. Ordynariusz przemyski stwierdza w zakończeniu, że obecny pontyfikat będzie musiał swój wielki krzyż dźwigać i dziękuję Bogu, że do tej pory, „mimo tak jasnego i bezkompromisowego stawiania spraw przez Ojca Świętego, otwartych przeciwników działających *mala* czy *bona fide* jest stosunkowo niedużo, choć to nie znaczy, że tak musi być zawsze”.

Faktycznie już w drugim roku pontyfikatu liczba tych adwersarzy, działających w złej bądź w dobrej wierze, zaczęła gwałtownie wzrastać. Pierwsi często świadomie zniekształcają sens wystąpienia papieża, a nawet wręcz jego słowa. Przykład: lewicowa, podszyta antyklerykalizmem gazeta włoska *La Repubblica* twierdzi, że wizyta „papieża-konserwatysty we Francji rozczarowała zwolenników dialogu, uradowała natomiast tradycjonalistów”. A przecież wezwanie papieża do Kościoła i katolików francuskich, sprowadzone do języka potocznego, brzmiało: przestańcie zajmować się jałowymi sporami między postępowcami i tradycjonalistami, są sprawy ważniejsze. Wychylcie się poza wasze opłotki. Ciekawostka: autor wyżej wymienionej relacji paryskiej, były franciszkanin zredukowany do stanu świeckiego z górą 10 lat temu, zarzuca papieżowi, że chce „nauczać” biskupów francuskich, UNESCO itd. Krytykuje papieża z pozycji politycznej, nie religijnej, choć swe preferencje pseudo-lewicowe mistyfikuje przy pomocy terminologii religijnej. Podejrzana żarliwość dla ideałów chrześcijańskich, oddawanych na usługi „progresizmu” i zlaicyzowanego katolicyzmu, wykazują dziś często właśnie kapłani lub zakonnicy sprowadzeni do stanu świeckiego. Szczególnym brakiem umiaru w krytycznych ocenach, a nawet zacietrzewieniem, odznaczają się intelektualiści uformowani przez burżuazyjny indywidualizm. We Włoszech ten współczesny nurt określa się mianem „radical-chic”. Rzecz charakterystyczna, że włoska prasa komunistyczna jest bardziej wyważona w sądach o pontyfikacie. Stosuje jednak metodę selektywną. Organ partii komunistycznej *Unità*, komentując podróż papieża do Afryki, twierdzi, że „papież ma podwójną osobowość”. Oznacza to prak-

tycznie, że niektóre jego wystąpienia mogą być wykorzystywane propagandowo (np. krytyka fałszywego humanitaryzmu i egoizmu państw zachodnich, uprawiających politykę neo-kolonialną ze szkodą dla młodych krajów afrykańskich). Inne zaś, jak np. krytyka dominacji ideologicznej, nie nadają się do instrumentalizacji. Dlatego pierwsze są przedmiotem pochwał, drugie — nagany. Komentator para-komunistycznej gazety *Paese Sera* stwierdza: „Papież ma obsesję ideologii materialistycznych”. Obsesja papieża? To przecież nie papież, ale społeczeństwa żyją w obsesji dławienia wolności i godności człowieka przez materializm i totalitarne ideologie. Tendencja do nadania pontyfikatowi określonej wymowy politycznej, wobec jej niepowodzenia, kończy się w praktyce na maskowanych (gorzej lub lepiej) zabiegach zmierzających do obniżania popularności papieża i redukowania skuteczności oddziaływania jego pontyfikatu. Warto odnotować jeszcze jedno zjawisko: kiedy w Kościele bierze górę spoistość dyscyplinarna, jasność zamiast konfuzji doktrynalnej, pewność zamiast relatywizmu interpretacyjnego (uchwał soborowych i w ogóle magisterium), zachodzi pewna prawidłowość jaką łatwo dziś rozpoznać. Rozmaici katolicy „postępowi” i lewicowe pięknoduchy (w istocie rzeczy usprawiedliwiający totalitarny integralizm) zarzucają mu, że jest „autokratyczny” i zmierza rzekomo do „restauracji”.

Krytyczne głosy w dobrej wierze pod adresem pontyfikatu występują w trzech aspektach: recepcji przez *mass-media*, klasycznej optyki rzymskiej (w sensie perspektywy instytucjonalnej papieskiego Rzymu) i wątku polskiego, irytującego szczególnie pewien odłam włoskiej społeczności (w Kurii Rzymskiej i poza nią). Wydaje się, że okres bezprecedensowego wprężenia środków masowego przekazu na rzecz pontyfikatu, magistralnych przemówień i dokumentów papieskich oraz podróży apostolskich Jana Pawła II dobiega końca. Po okresie nadzwyczajnego *boom'u* następuje zwolna to co włoscy „watykanolodzy” nazywają zjawiskiem *assuefazione*, tzn. przywyknięciem o znamionach pewnego przesytu, znużenia. Dziennikarze różnych nacji, akredytowani przy Watykanie, narzekają nie od dziś na nadmierną ilość publicznych wystąpień papieża, których nie są w stanie przetrwać. Napotykają na trudności w wyłuskaniu spraw istotnych. Teksty papieskie są „rozciągliwe”, dziennikarze, zwłaszcza agencyjni, nie potrafią nieraz dokonać należytej selekcji czy streszczeń. Komentatorzy nie mają czasu na ewaluację i głębszą analizę — jeden tekst czy wydarzenie nakłada się na drugie, niemniej ważne. Tego samego dnia krzyżują się nieraz dwa dokumenty papieskie, a przecież można by uniknąć tej zbieżności, niepożądaną z punktu widzenia skuteczności oddziaływania *mass-mediów*. Typowy przykład: zaprezentowanie na konferencji prasowej w dn. 18 grudnia ub.r. orędzia papieża na światowy dzień pokoju i równoczesne ogłoszenie deklaracji Kongregacji dla Doktryny Wiary w sprawie Künga, aprobowanej przez papieża. Efekt: nazajutrz wrzawa wokół Künga, a o orę-

dziu małe wzmianki na dalszych stronach gazet. Takich przypadków, aczkolwiek mniej rażących, było więcej. Przy całej sympatii i uznaniu dla mrówczej pracowitości papieża i jego wrażliwości na znaczenie *mass-mediów*, nie umniejsza to, w pojęciu sprawozdawców i komentatorów watykańskich, faktu, że „coś nie gra”. Panuje w tej dziedzinie wyraźny niedowład, zarówno koncepcyjny jak i organizacyjny. Watykańskie biuro prasowe przepuszcza wszystko przez filtr biurokratyczny, nie troszcząc się o dopomożenie „watykanistom” w ich warsztacie pracy. Można by wprowadzić np. *briefings* z udziałem zainteresowanych przedstawicieli dykasterii Kurii Rzymskiej, umożliwić akredytowanym sprawozdawcom kontakt z upewnomocnionym rzecznikiem, kompetentnym dla danej dziedziny. Nikogo to nie obchodzi. Daje się niestety mocno odczuć brak abp. Andrzeja Deskura, przewodniczącego Papieskiej Komisji dla Środków Społecznego Przekazu, który na skutek złego stanu zdrowia (i tak cud że żyje i powrócił do pełnych władz umysłowych) nie może spełniać normalnie swych funkcji. Nie wszystkie narzekania i głosy krytyczne są uzasadnione. Wielu sprawozdawców watykańskich utyskuje, że dziennik *Osservatore Romano* jest fatalnie redagowany (tu mają dużo racji — redaktor naczelny V. Volpini, znany katolicki pisarz i krytyk literacki, nie jest fachowcem) i nie daje wykładni linii pontyfikatu. Dawniej — wypominają — można było uważać *Osservatore Romano* za głos Watykanu, cytować artykuły wstępne, powoływać się na urzędową interpretację. Zarzut niesłuszny. Po pierwsze, *Osservatore Romano* jest tylko półoficjalnym organem, za oficjalne uznaje się jedynie „Akta Stolicy Apostolskiej”. Po drugie, skończyły się czasy wygody, kiedy „watykaniści” byli przyzwyczajeni do gotowych recept; dzisiaj są zmuszeni do samodzielnego myślenia i pracy wymagającej pewnego wysiłku intelektualnego.

W optyce rzymskiej, czyli na płaszczyźnie wewnątrz-watykańskiej, krytyczne obserwacje wypływają z nawyku do patrzenia na Stolicę Apostolską jako na centrum władzy, instytucjonalny wierzchołek Kościoła, a nie centrum ewangelizacji promieniujące na zewnątrz. Jan Paweł II powiedział że czuje się nie tylko następcą św. Piotra, ale i Pawła-Apostoła. Jest więc zobowiązany do wprowadzania w życie nakazu: „Idźcie i nauczajcie narody”. Nie docenia się wagi przesunięcia dokonanego przez papieża na rzecz oddziaływania na Kościoły lokalne (którym przywraca poczucie własnej tożsamości i autonomii), na inne Kościoły chrześcijańskie i wyznania nie-chrześcijańskie oraz na świat współczesny w ogólności. Na tle dramatycznego kryzysu wszelkich autorytetów politycznych i społecznych stał się wyrocznią moralną w dużej mierze również dla ludzi dalekich od Kościoła. A trzeba się spieszyć, by zapobiec jeszcze gorszym konsekwencjom jakim grozi powszechne załamanie się istniejących modeli życia zbiorowego. Nie wiem czy papież czytał przejmującą diagnozę sytuacji światowej Sołżenicyna i jego *j'accuse* pod adresem grzechów

i ślepoty zachodnich polityków. Mam jednak podstawy by twierdzić, że podziela słuszność jego przestróg.

Papież ma zresztą prawo do własnego stylu sprawowania najwyższego urzędu. Potrzebuje — i wie na pewno dla jakich powodów — ciągłych, żywych kontaktów z osobami duchowymi i świeckimi, różnej rangi, kategorii, mocarzami i maluczkimi. Ten styl podniósł ogromnie autorytet papieża i Stolicy Apostolskiej w świecie. Kuria Rzymska niełatwo przystosowuje się do tego stylu. Tu i ówdzie stosuje bierny opór. Początkowo budziły zastrzeżenia ruchliwość papieża i częstotliwość jego podróży. Dzisiaj zastrzeżenia ustały, uważa się prawdopodobnie, że dzięki temu pozostawia większą swobodę poszczególnym dykasteriom, nie mając dostatecznego czasu na wgląd w ich działalność. Doszło w ten sposób do zachwiania równowagi w kierunku odwrotnym, tzn. na niekorzyść instytucjonalnych zadań centralnego rządu Kościoła. Pewne mechanizmy Kurii Rzymskiej przypominają — zdaniem wytrawnych obserwatorów — silnik który się zaciął. Skoncentrowanie się papieża na akcji zewnętrznej, częste wychodzenie poza Spisową Bramę na spotkanie tłumów włoskich i zagranicznych doprowadziło — według nich — do zaniedbania względnie zepchnięcia na drugi plan spraw związanych z normalnym funkcjonowaniem centralnych agend aparatu watykańskiego, który pracuje „na zmniejszonych obrotach”, ponieważ na zasadzie siły bezwładu. Trudno mi to osądzić, nie sposób laikowi rozeznąć się w jakiej mierze te zarzuty odpowiadają prawdzie. Wiadomo mi jednak że liczne sprawy leżą odłogi, czekają zbyt długo na załatwienie czyli na decyzję papieską, na co papież nie ma wpływu bo nie dociera doń w stosownym czasie. Stąd „szemrania” w kręgach kurialnych, przyzwyczajonych do tego że w czasie pontyfikatu Pawła VI-go aparat funkcjonował sprawnie, kierował nim bowiem kardynał Benelli, zastępca Sekretarza Stanu, znany z twardej ręki (dla tego miał wielu adwersarzy) i ingerowania w polityczne życie włoskie. Sam Paweł VI *nota bene* wyrósł w Kurii Rzymskiej, znał na wylot jej mechanizmy, wyposażając — poprzez reformę Kurii w roku 1967 — Sekretariat Stanu w funkcję filtru i kontroli działalności poszczególnych dykasterii. Pewien analista watykański twierdzi, że dzisiaj ten dawny stan rzeczy wielu „opłakuje”, a nawet przeciwnicy Benelliego (od 1977 roku jest arcybiskupem Florencji) odczuwają nostalgię wspominając: „ten to umiał rządzić”. Papieżowi brak dziś tego typu sprężystego menadżera, co nie oznacza w żadnym razie możliwości wezwania kard. Benelliego z powrotem do Rzymu. Kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu, człowiek papieżowi bardzo oddany, ogromnie uzdolniony, wytrawny negocjator i dyplomata, takim menadżerem na pewno nie jest. Sprawa jest złożona, jak wszystko zresztą co dotyczy funkcjonowania Kurii Rzymskiej. Na obiedzie u radcy ambasady włoskiej przy Stolicy Apostolskiej spotkałem kiedyś młodego kapłana włoskiego zatrudnionego w Radzie d/s Publicznych Kościoła (ekwiwalent ministerstwa spraw zagranic-

nych), który z entuzjazmem i przekonaniem mówił o „prawdziwej satysfakcji”, jaką dziś odczuwają on i jego koledzy. „Przy tym papieżu każdy z nas czuje się potrzebny i zmobilizowany, nie odwała kawałków, widzi w jakiś sposób owoce swej pracy”. Młodsze pokolenia (w Watykanie oznacza to: poniżej 60 lat) reagują na pewno lepiej na obecny pontyfikat niż zaawansowani w wieku prałaci i biskupi, przyzwyczajeni do starych porządków i schematów.

Trzecim wreszcie wątkiem krytycznych wypowiedzi i ocen, wywołującym najwięcej chyba nieporozumień, jest polski, słowiański pierwiastek pontyfikatu. Pewien był jezuita amerykański na zamkniętej konferencji prasowej z kardynałami francuskimi w czasie listopadowego konsystorza zwołanego przez papieża imputował mu: *Ce pape interprète le Concil à sa façon, c'est-à-dire à façon polonaise*. Na zapytanie jednego z kardynałów co rozumie przez *façon polonaise*, zaczął coś bąkać, ale sens był jasny: papież rodem z Polski może być tylko konserwatystą, nie rozumie „postępowej rzeczywistości” na Zachodzie. Pewien odtam prasy radykalnej i marksizującej, zwłaszcza włoskiej, podszytej szowinizmem, upatruje w jego rodowodzie pasterskim i kulturalnym źródło rzekomego integralizmu. Nie budzi dostatecznego zainteresowania lekcja pogładowa z doświadczeń konfrontacji Kościoła polskiego, zarówno z totalitaryzmem jak i z marksizmem (nie akademickim i socjologizującym jak na Zachodzie). Przeciwnie, wychodzi nieraz na jaw lekceważący, pogardliwy, nawet o cechach rasistowskich, stosunek do świata słowiańskiego. Są oczywiście i rozsądne środowiska lewicowe. Organ teoretyczny włoskiej partii socjalistycznej *Mondo Operaio* w artykule pt. „Polityka Wojtyły i lewica” stwierdza: „Jan Paweł II wybrał dwa obszary, na których międzynarodowy ruch robotniczy potyka się i upada od zarania swych dziejów, obszar narodów i obszar wartości moralnych. Uniwersalizm katolicki w planie Wojtyły wprowadza zamieszanie w środowiska lewicy, kwestionuje jej język, kulturalne punkty odniesienia i symbole. Zachodzi ryzyko zapędzenia lewicy w ślepy zaułek jej partykularzy. W kraju 'socjalizmu realnego', który od 30 lat prowadzi politykę ateizacji kultury poprzez monopol oświaty, informacji i stowarzyszeń, katolicyzm rzymski święci triumfy. Jeśli pewne symbole zachodniej lewicy obaliła antytalitarna opozycja socjalistyczna, to teraz krzyż katolicki, z którym — jak sądziliśmy — od stu lat zrobiliśmy rachunki, witany jest na Wschodzie jako znak niezależności i wyzwolenia.. I to w sercu Europy”.

Mimo to wciąż wywołuje nieporozumienia, a nawet obawy, rzekoma chęć papieża narzucania modelu polskiego. Pewien wybitny socjolog włoski o formacji katolickiej stawia następujące pytanie: „Jaki Kościół polski ma odegrać rolę modelu dla całego katolicyzmu, czy ten dewocyjny, Kościół masowych procesji i pielgrzymek do sanktuariów, czy też ten moralnie potężny, zdolny do stania się schronieniem i fortecą dla wszystkich, Kościół

który zaangażował się w obronę praw człowieka?”. Oczywiście fałszywy dylemat, bo zarówno „jeden” jak i „drugi” są nierozdzielne. Bezzasadna jest też obawa o przeszczepianie go jako modelu do innych zupełnie sytuacji. Papież daleki jest od takiego zamiaru, aczkolwiek na pewno uważa polskie doświadczenia za nader cenne, wzbogacające cały Kościół Powszechny, za doświadczenia z których Zachód może i winien czerpać natchnienie, naukę i bodźce. Ma rację Jerzy Turowicz, kiedy w wywiadzie w *Le Point*, przed podróżą papieża do Francji, stwierdza: „Papież bynajmniej nie pragnie narzucać polskiego modelu katolickiego Kościołowi Powszechnemu. Model ten posiada zresztą braki i nie stanowi produktu eksportowego”. Mało kto na Zachodzie rozpoznał tak trafnie osobowość papieża i jej polski pierwiastek jak Alberto Cavallari, wybitny publicysta włoski (12 lat temu przeprowadził wywiad z Pawłem VI, pierwszy i dotąd jedyny w dziejach papiestwa). Na łamach *Corriere della Sera* pisze 4 czerwca: „Papież jest bardzo polski, to znaczy bardzo uniwersalny w swym uporczywym przypominaniu, że świat może stać się wielką Polską, wstrząsaną wojnami, uciemiężoną hegemoniami, udręczoną exodusami i pogromami, jeśli nie znajdzie innej polityki, innych myśli i uczuć i zwłaszcza jeśli 'systemy' nie przestaną 'manipulować człowiekiem'...”. Przypomina, że każde rozprawianie na temat pokoju powinno zaczynać się od uznania praw człowieka i poszanowania praw narodów. W tym sensie jego logika ujawnia się jako autentycznie polska ponieważ uprzywilejowuje 'mikro' wobec 'makro', ludzi wobec instytucji, każdą jednostkę wobec systemów. Nie jest rzeczą łatwą dla współczesnej kultury zrozumienie tego polskiego orędzia. Kultura liberalno-technokratyczna usiłuje organizować człowieka w obrębie 'imperiiów' ekonomicznych w gospodarce kapitalistycznej, marksistowska natomiast usiłuje go organizować w państwie kolektywistycznym... Głos kapłana z Wadowic brzmi jako jedyny głos zdolny do proklamowania prawdy, z którym liczą się ludzie Wschodu i Zachodu. Nie można nie doceniać papieża, który rzuca cały swój ciężar na szalę praw człowieka po stuleciach mówienia tylko o jego obowiązkach. Każdy człowiek jest więc w jakimś sensie 'Polakiem', drobnym i bezbronnym stworzeniem zgniecionym przez bezlitosne giganty”. Rzadko zdarza się, by cudzoziemiec tak celnie potrafił ująć „polskość” papieża i równocześnie tej polskości oddać to, na co zasługuje.

„Polacy nie gęsi...”

W przytoczonym na wstępie artykule bp Tokarczuk ostrzega rodaków by „nie żyli ciągle w nastroju taniego triumfalizmu”. Święte słowa i przestroga wciąż bardzo na czasie. Stałe zachłystywanie się nie oddaje przysługi papieżowi. Nie potrzeba mu laurów i kadzideł, w czym rej wodzą osoby nieraz powołane, ale i niepowołane, jedne i drugie nieobeznane z tutejszym podmi-

nowanym terenem. Robi to na cudzoziemcach (wcale nie tylko na włoskich monsignorach) wrażenie nieokrzesania, prowincjonalnej megalomanii. Dotyczy to zarówno jednostek jak i grup kapłanów i wiernych przyjeżdżających z kraju, przenoszących na tutejszy grunt swe nawyki myślowe i styl postępowania, nie zawsze licujący z majestatem urzędu papieskiego i powagą instytucji. Papież pragnie dowartościować polski Kościół w odbiorze Zachodu, dowartościować w ogóle wschodnie tradycje chrześcijańskie, nadać im równe prawa w życiu Kościoła Powszechnego, przywrócić, jednym słowem, równowagę zwichniętą na skutek nadmiernej okcydentalizacji tego Kościoła. Potrzebuje kontaktów z rodakami, czemu nie można się dziwić. Jeden z członków naszego episkopatu przyznaje: „Chociaż znam go od dawna, nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak sentymentalny. Nie należy jednak tego sentymentalizmu nadużywać”. Otóż to właśnie. Nie można powiedzieć by liczni polscy pielgrzymi przestrzegali tego nakazu. Byłem kiedyś na nabożeństwie majowym odpwanianym przez biskupa Głępszą, w obecności Jana Pawła II, dla kilkuset pielgrzymów z kraju w pięknej kaplicy paulińskiej (gdzie zbierają się kardynałowie przed *Conclave*). Nabożeństwo odbyło się w skupieniu przy chóralnym śpiewie. Papież przemówił na zakończenie, wyrażając rodakom wdzięczność za to spotkanie, podnosząc znaczenie majowej, maryjnej tradycji narodowej i prosząc o uczestnictwo w jego apostolskiej misji. Wszyscy przeszli następnie do sąsiedniej, wspaniałej *Sala Reggia* (Królewska), gdzie w kolejnych grupach „podchodzili” i otaczali papieża dla pamiątkowej fotografii. Ta część familijna spotkania trwała chyba godzinę, dłużej niż samo nabożeństwo. O.K. Przydatek, kierownik ośrodka dla pielgrzymów, nie mógł dać sobie rady z niesforną gromadą. „Najbardziej pchali się księża” — zauważył potem z uśmiechem. Najlepiej zachowali się przedstawiciele krakowskich cechów rzemieślniczych w tradycyjnych ubiorach. Tego rodzaju narodowo-religijne spotkania w obrębie Pałacu Apostolskiego rażą watykańskich oficjałów, którzy i tak bez tego są dostatecznie poirytowani. Dochodzi czasem do faktów na granicy aberracji. Wśród pewnej grupy pielgrzymów przybyłych w maju krążył grafomański tekst, osobiście przeróbka hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”. To „dzieło”, podobno jakiegoś kapłana, zawierało m.in. zwrotkę na cześć papieża: „prowadź nas Wojtyła”. Autorowi i odczuwającym analogiczne ciagoty „literackie” rodakom wypada przypomnieć pewien epizod historyczny. Kiedy w latach stalinowskich Bierut zwrócił się do Broniewskiego o adaptację hymnu, otrzymał odpowiedź: „Mazurek Dąbrowskiego to dobry hymn. Panie Prezydencie, hymnu narodowego nie tyka się”. Bardzo przepraszam jeśli kogoś urazi to zestawienie, ale może podzielać ostudząco na zapały i niewydarzone inicjatywy. „Polacy nie gęsi, też swój język mają” — pisał mistrz Mikołaj Rey z Nagłowic.

Zachodzi obawa, że stan nieustannej euforii zagrozi zatarciem wielkiej szansy wyprowadzenia z zaścianka na arenę mię-

dzynarodową tego co najcenniejsze w polskiej myśli i praktyce chrześcijańskiej, w ogóle w kulturze narodowej. Stosunek naszego społeczeństwa do papieża obciążony jest kompleksami, pewną newrozą. Jako Państwo i jako Kościół napotykalismy w Watykanie na przestrzeni dziejów na niezrozumienie kulturotwórczej roli Kościoła i Polski na Wschodzie. Rozczarowań nie brakowało. *Polonia semper fidelis* nie otrzymywała z Rzymu tego, na co zasługiwała. Z drugiej strony, zaniedbywaliśmy sprawę ugruntowania naszej obecności w papieskim Rzymie, obsadzania stanowisk w Kurii (w przeciwieństwie do Francuzów, Niemców, Hiszpanów), wykazania „rzymskości” naszego Kościoła przez przeniesienie jej na płaszczyznę uniwersalizmu Kościoła (w przeszłości równoznaczne z eurocentryzmem). Prof. Jerzy Kłoczowski, najwybitniejszy znawca historii Kościoła i chrześcijaństwa w Polsce, zwraca słusznie uwagę („Papieżstwo a Polska”, *Więź*, nr 3, 1980), że w świecie łacińskim, katolickim, byliśmy krajem peryferyjnym i psychologicznie bardzo odległym od Rzymu. „Papieżstwo w odczuciu społeczeństwa kojarzyło się z Chrystusem” — pisze Kłoczowski — „z liturgią, obrazem Ojca Świętego, z tym co w religii najistotniejsze, najbardziej święte”. „Szeroki ogół” — zauważa — „nie spotykał się, jak we Włoszech, z władzą papieską, z arbitralnymi decyzjami papieskiego dworu”. Stąd niedostatek zrozumienia dla roli Stolicy Apostolskiej jako instytucji, centralnego rządu Kościoła, w tym co w nim było (i jest) dobre i co było (i jest) złe. „Autorytet papieski w Polsce” — przytoczmy ponownie prof. Kłoczowskiego — „łączył się nie tyle z władzą publiczną Kościoła, ile z funkcją ojcowiską traktowaną bardziej w kategoriach religijno-moralnych aniżeli prawnych”. To nieposzanowanie dyscypliny i publicznego autorytetu Stolicy Apostolskiej odbiło się negatywnie na nieprzygotowaniu psychicznym do nowego rozdziału, jaki otworzył się w historii naszych stosunków z papieżem.

Jednym z przykładów pozytywnych, jak należy pojmować nowe zadania stojące przed nami, stanowi symposium rzymskie w kwietniu bież. roku przy udziale historyków polskich, francuskich i włoskich. Symposium — które znalazło dobry oddźwięk w prasie, a w którym poza uczonymi z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wziął udział historyk o światowej sławie, prof. Aleksander Gierys — było poświęcone wydanej po włosku zbiorowej książce czternastu wykładawców KUL-u pt. „Dzieje chrześcijaństwa w Polsce” (1966-1945 r.) pod redakcją i ze wstępem prof. J. Kłoczowskiego, a dedykowanej papieżowi (przyjął autorów i towarzyszących im włoskich i francuskich uczonych na specjalnej audiencji). Innym analogicznym przykładem jest apel krakowskich prawników do prawników całego świata, który wraz z listem adwokata A. Rozmarynowicza do Jana Pawła II opublikowaliśmy w *Kulturze* (w numerze majowym). Jeśli nie uda nam się w najbliższych latach wywindować na wyższy szczebel polskiej kultury, wykazać przeszłego i aktualnego wkładu

polskiej niezależnej myśli religijnej, historycznej, prawnej, społecznej i politycznej do kultury światowej, zaprzepaścimy wielką szansę dziejową. Taka koniunktura nie powtórzy się na pewno.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 czerwca 1980 r.

WIADOMOŚCI Z WATYKANU

Minął rok od Konsystorza, na którym Jan Paweł II powołał do godności kardynalskiej dwóch polskich biskupów, Franciszka Macharskiego i Władysława Rubinę. Pierwszy z nich jeszcze w styczniu ub. roku objął metropolię krakowską, drugi natomiast czeka od roku na „przydział”, tzn. na nominację na stanowisko kierownicze w Kurii Rzymskiej. Według krążących od dłuższego czasu pogłosek ma otrzymać nominację papieską na prefekta Kongregacji dla Kościołów Wschodnich (znajdujących się w unii z Rzymem) jako następca kardynała Paul Philippe'a, którego kadencja upłynęła w kwietniu bież. roku. Nieznane są powody przeciągania decyzji w sprawie tej nominacji. Kardynał Rubin tymczasem jest nadal formalnie Delegatem Prymasa Polski dla duszpasterstwa emigracji, chociaż po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego powinien być zwolniony z pełnienia tej funkcji. Zachodzi przypuszczenie, że odkładanie decyzji wynika z trudności na jakie napotyka powierzenie tej funkcji biskupowi Szczepanowi Wesołemu, dotychczasowemu zastępcy delegata dla opieki duszpasterskiej nad emigracją.

Komisja ekumeniczna katolicko-prawosławna obradowała od 30 maja do 3 czerwca najpierw na wyspie Patmos (gdzie św. Jan Ewangelista napisał Apokalipsę), następnie na wyspie Rodos na Morzu Egejskim. Było to pierwsze spotkanie komisji mieszanej powołanej do życia w czasie wizyty Jana Pawła II w listopadzie ub. roku w Fanarze, siedzibie Dymitra, patriarchy ekumenicznego Konstantynopola. W obradach komisji uczestniczyło 30 przedstawicieli Kościoła Katolickiego i 30 przedstawicieli 14 patriarchatów względnie autokefalicznych Cerkwi Prawosławnych (por. „Wizyta Papieża w Turcji” w korespondencji D. Morawskiego w nr. 1/2 z 1980 r.). Delegacji katolickiej przewodniczył kardynał Willebrands, stojący na czele Sekretariatu dla Jedności Chrześcijan; delegacją prawosławną — metropolitą Meliton, przedstawiciel patriarchy ekumenicznego Dymitra. Przedmiotem obrad był problem różnie doktrynalnych pomiędzy Kościołem Rzymskim a Prawosławiem (m.in. uznanie istoty Sakramentów).

Jan Paweł II przyjął 6 czerwca na specjalnej audiencji Katolikosę Ilyja II, patriarchę Cerkwi Prawosławnej Gruzji. W skład pięcioosobowej delegacji wchodził biskup Nikołosi z Suchumi i Abchazji, który reprezentował patriarchat gruziński na inauguracji nowego pontyfikatu. W czasie tej audiencji papież wygłosił przemówienie, oświadczając m.in.: „Spotykamy się jak bracia. Kościół w Gruzji przechowuje w skarbcu kult dla św. Andrzeja, Kościół Rzymski — dla św. Piotra. Jako spadkobiercy Andrzeja i Piotra spotykamy się dziś jako bracia w Chrystusie. Troska Waszej Świątobliwości o odnowę Kościoła, mocno zakorzeniona w tradycji apostolskiej i szczególnych tradycjach Kościoła Gruzji, stanowi powód do specjalnej radości. Tę troskę o odnowę przejawia również Kościół Rzymski.

Dlatego świadomi jesteśmy potrzeby i obowiązku przywrócenia pełnej jedności pomiędzy naszymi Kościołami. Cieszę się, że dwaj biskupi, Nikołosi i Dawid, wzięli udział w waszej delegacji na pierwszym spotkaniu wspólnej komisji dla dialogu teologicznego pomiędzy Kościołem Katolickim i wszystkimi Patriarchatami Prawosławnymi, jaka zebrała się na wyspie Patmos".

Widziane z Brukseli i z Wilanowa

Trzej panowie Ubu

„Rzecz dzieje się w Polsce czyli nigdzie”, powiedział Alfred Jarry w pierwszych słowach swego eposu o władzy pt. „Król Ubu”. Trzej panowie, którzy spotkali się w maju nigdzie czyli w Wilanowie, też odegrali rzecz o władzy. Sztuka była aktorsko znakomita, świetnie obsadzona, ale mniej zabawna, jeżeli w ogóle można używać tego słowa w tym tzw. kontekście.

Spotkanie Breżniew-Giscard d'Estaing-Gierek było „szczytem” bez precedensu w historii współczesnej dyplomacji. Było także pudłem bez precedensu w historii dyplomacji zachodniej, sukcesem bez precedensu w historii dyplomacji sowieckiej i Leonida Breżniewa osobiście. Rola Edwarda Gierka w tej sztuce też jest bez precedensu, ale niekoniecznie w tej samej skali.

Spotkanie w Wilanowie rozpoczęło się od próby dowcipu podjętej przez Breżniewa i Gromykę, co znając poczucie humoru obu panów nie zapowiadało niczego dobrego. „Czy wiosna już nadeszła w Rosji?”, zapytał sprytnie i dwuznacznie Giscard. „Nie — odpowiedział Breżniew pozornie rzeczowo — jeszcze nie”. Pointa należała do Gromyki. „Zachód, powiedział, nie dał jej wizy”.

Kiedy minął szal śmiechu, odpowiedź Gromyki nasunęła dwie refleksje. Po pierwsze Gromyko nie zna Zachodu, wizy wyjazdowe tam nie istnieją, a wizy wjazdowe należą do kompetencji państw docelowych. Inaczej mówiąc, co nie stanowi niespodzianki, wiosna w Rosji nie nadeszła nie z powodu braku zachodniej wizy wyjazdowej, a z braku sowieckiej wizy wjazdowej. Po drugie, Giscard (odmiennie niż wiosna) wizy nie potrzebował, a jeżeli potrzebował to dostał. A szkoda...

Ręce czyste ale puste

Powiedzmy od razu, choć to może niepopularne, że w polityce nie należy przesadzać: Warszawa 1980 to nie Monachium 1938,

Giscard to ani Chamberlain ani Daladier. Giscard rzeczywiście nie uczynił w Wilanowie żadnej koncesji, gdyby zresztą nawet chciał kapitulować to i tak nie miałyby z czego. Odwrotnie bowiem do tzw. monarchijczyków, obecni przywódcy Europy zachodniej nie mają już żadnych Sudetów do zaofiarowania (z wyjątkiem własnych, ale na to jeszcze za wcześnie). Do przehandlowania pozostał już właściwie tylko Izrael i to za naftę, a nie za „pokój na jedno pokolenie”, ten jednak zna los Czechosłowacji i mógłby się nie zgodzić (piszę te słowa w przeddzień europejskiej konferencji w Wenecji, gdzie ta właśnie m.in. sprawa będzie na porządku dnia. Kupcy z Wenecji, skąd ja to znam...).

Można więc założyć, że wyjeżdżając z Wilanowa Giscard miał w zasadzie czyste ręce. Pytanie jednak pozostaje: po co tam pojechał? Sądząc z jego własnych wypowiedzi, chodziło mu o dwie rzeczy. Po pierwsze, chciał w obecnej chwili wysokiego napięcia międzynarodowego utrzymać dialog i łączność z Kremlm. Po drugie, chciał z tej łączności skorzystać, aby Breżniewowi wygarnąć wszystko, albo prawie, co o nim myśli.

Pozornie, Giscard osiągnął swe cele. Według jego własnych oświadczeń i oświadczeń jego ministra spraw zagranicznych p. François-Poncet, „Francja przemówiła do Kremla słowami pełnymi stanowczości”. Jest rzeczą istotną, aby ZSSR „wziął pod uwagę nasz niepokój, mogę nawet powiedzieć — podkreślił z pozą — minister — nasze ostrzeżenie”.

Jak wykazała natychmiastowa przeszłość, Breżniew nie wziął pod uwagę ani niepokoju ani ostrzeżenia. Wynika z tego również, że ręce Giscarda po powrocie z Wilanowa choć były czyste, to były puste. Jak na męża stanu jest to program szlachetny, ale mało przekonujący. Coś tak, jak „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”, co (jak zauważył chyba Słonimski) nie wystarcza za program dorosłego państwa i narodu. Puste ręce i czyste, to lepiej niż puste ręce i brudne, ale nie zastąpią normalnej i skutecznej dyplomacji. Z tego punktu widzenia Breżniew wygłosił w Wilanowie na użytek Giscarda bardzo wszechstronny wykład na temat: „do czego służyć powinny ręce polityka”.

Odzyskane dziewictwo

Już od dłuższego czasu wyrażane były obawy związane z coraz większą różnicą skuteczności między dyplomacją wschodu i zachodu. Powiadano np. że objęcie Departamentu Stanu przez senatora Muskie osłabi fachowość dyplomacji amerykańskiej. Wskazywano, że jego sowiecki partner p. Gromyko przeżył w ciągu swej 40-letniej kariery dziesięciu amerykańskich sekretarzy stanu, kilku prezydentów USA i trzech przywódców ZSSR. Dodawano z pewnym zażenowaniem, że jedyną misją zagraniczną Muskie'go jest jego zeszłoroczna podróż do Warszawy z listem

Cartera do Gierka, która niestety skończyła się fiaskiem, albowiem Muskie nie potrafił przekonać swego rodaka Gierka o celowości wydania paszportów kilku polskim pisarzom, m.in. Barańczakowi dla objęcia katedry w Harvard.

Tymczasem, ku ogólnemu zdziwieniu Muskie, bez żadnego doświadczenia, nie dał się nastraszyć „pogromcy sekretarzy stanu” Gromyce, a nawet na niego publicznie nakrzyczał w czasie pierwszego spotkania w Wiedniu. Natomiast prezydent Giscard, taki doświadczony polityk, otrzymał w Wilanowie bardzo upokarzającą lekcję dyplomacji. Carter zauważył niedawno (niepotrzebnie zresztą), że w ciągu 48 godzin po inwazji Afganistanu dowiedział się więcej o ZSSR niż przez całe swoje życie. Giscard może powiedzieć to samo po Wilanowie, tyle że nie po 48 a po 24 godzinach. Wiedza ta da się streścić w kilku punktach.

Po pierwsze, podając w wilanowskich salonach rękę Breżniewowi, Giscard uroczyście zamknął okres poafgańskiej kwarantanny ZSSR. To dzięki przyjazdowi Giscarda do Wilanowa Breżniewowi udało się w niecałe 6 miesięcy po inwazji, u szczytu pacyfikacji Afganistanu, ustanowić na nowo przyczółek, jeżeli nie most między Wschodem i Zachodem. *La respectabilité*, ten typ międzynarodowego dziewictwa, które, wydawało się, Moskwa na dłuższy czas utraciła w Afganistanie, zostało mu przez Giscarda oficjalnie przywrócone.

Po drugie, zasiadając przy jednym stole z Breżniewem akurat kiedy napalm palił Afganów, Giscard zaakceptował tezę Breżniewa o podzielności *détente*. Afganistan, mówi Breżniew do Europy zachodniej, to detal i margines. Co to was tak naprawdę obchodzi? Czy warto, pyta Moskwa, w obronie jakichś dzikusów azjatyckich, uznających, o zgrozo, prawo pierwszej nocy, narażać nasze stosunki na niebezpieczeństwo? Wasza chata z kraja, wasza wieś spokojna, wróćmy do *business as usual* — kusi Kreml. Czy źle wam było przed Afganistanem?

Po trzecie, jadąc na spotkanie Breżniewa w tajemnicy przed sojusznikami, ale w komitywie z szefem komunistycznego państwa, Giscard ofiarował Breżniewowi najcenniejszy punkt w sowieckiej kampanii dzielenia Zachodu, a zwłaszcza separowania Europy od USA. Nie wiadomo, przynajmniej ja nie wiem, jakimi środkami udało się Kremlowi nakłonić Giscarda do tak skrajnego ośmieszenia się „sekretem”. Mimo iż w piątek wieczorem depesze z polskich źródeł mówiły już wyraźnie o niedzielnym spotkaniu, mimo że sprzątano salony wilanowskie, Francuzi jeszcze w sobotę odmawiali puszczenia farby. Nawet w Neapolu, gdzie odbywała się konferencja ministrów EWG, François-Poncet odmawiał potwierdzenia sygnałów z Warszawy. Dopiero w ostatniej chwili Giscard zadzwonił do Schmidta i Margaret Thatcher, a do Cartera wysłał jedynie list.

W ten sposób, według Paryża, Francja potwierdziła swoją całkowitą niezależność i niepodległość. Od USA, oczywiście. Na zarzut działania niezgodnego z zasadami solidarności zachodniej Paryż wysuwa dwa argumenty. *Primo*, że dwa dni przed Wilano-

wem spotkali się w Wiedniu Muskie i Gromyko, a nikt wtedy nie wołał, że zdrada. *Secundo*, że Schmidt jedzie do Moskwy, a nikt go nie posądza o handel zasadami.

Oba argumenty odpadają. Gromyko-Muskie było spotkaniem ministrów spraw zagranicznych, a nie szefów państw. Rozmowy ministrów, tak jak rozmowy kolejarzy czy meteorologów, będą zawsze miały charakter techniczny i wykonawczy. Tylko spotkania szefów państw mogą mieć także charakter ideologiczno-symboliczny. Co do Schmidta, którego podróż do Moskwy też nie wzbudziła entuzjazmu w USA, to jednak ujawnił on zaproszenie sowieckie w dniu otrzymania go, a nie w dniu wyjazdu. Ponadto, program wizyty Schmidta w Moskwie jest przedmiotem sojuszniczych konsultacji, głównie z USA i z... Francją, podczas kiedy, z wyjątkiem epizodu o wiośnie, treść rozmów Giscarda z Breżniewem stanowi do dziś tajemnicę. Satyryk amerykański trafnie to ujął, rysując Muskiego, który czyta Carterowi depeszę z Paryża: „Oni mówią, że będą u naszego boku zawsze kiedy znajdą się w zagrożeniu”. Czy jawność projektu podróży Schmidta do Moskwy w czymkolwiek umniejszała niezależność RFN? Czy otoczenie tajemnicą wyprawy do Wilanowa umocniło niezależność Francji? Wobec kogo? Jak należy rozumieć, że to co było tajemnicą dla całego Zachodu, nie było tajemnicą dla p. Doumenga, „czerwonego miliardera”, człowieka który pośredniczy w całym handlu rolnym ze Wschodem i który jest członkiem francuskiej partii komunistycznej?

Ku nowej Jałcie?

Punkt czwarty jest naprawdę ciekawy. Jeżeli się nie mylę, to mamy tutaj do czynienia z jedną z najbardziej sprytnych operacji epoki kultu Breżniewa. Niektórzy z francuskich czytelników *Kultury* pamiętają może jeszcze bardzo ponure noworoczne orędzie Giscarda, zawierające m.in. passus na temat specjalnej odpowiedzialności „kilku mężów stanu, od których zimnej krwi zależeć mogą losy świata”. Wśród tych kilku figurują naturalnie obaj protagoniści z Wilanowa. Otóż, jakby na potwierdzenie prawdziwości swego politycznego myślenia, Giscard przywiózł z Wilanowa zgodę Breżniewa na spotkanie „kilku szefów najbardziej odpowiedzialnych państw świata”. Oczywiście, powiedział Giscard, spotkanie takie wymaga przygotowania i nie mogłoby się odbyć przed 1981 rokiem. Chodzi, tłumaczyły dyskretnie koła zbliżone do prezydenta, o koncesję ze strony Breżniewa, albowiem obradujący tuż przedtem, w tym samym prawie miejscu, Pakt Warszawski zaproponował także szczyt, ale inny, bo ogólnosiwiatowy.

Otóż krótki egzamin prowadzi do dwóch spostrzeżeń. Po pierwsze, pomysł spotkania „kilku najbardziej odpowiedzialnych szefów” był nie sowiecką koncesją, lecz sowieckim pomysłem. Zaproponował to nie Giscard a Gromyko, nie w Wilanowie a

w Wiedniu, nie wobec Breżniewa a wobec François-Poncet. Po drugie, Breżniew wiedział, że pomysł światowego *jamboree* szefów jest obłąkany i nierealny, natomiast zależało mu właśnie na szczycie ograniczonym do kilku osób odpowiedzialnych za los świata.

Każdy rzeknie od razu: to brednia, to samobójstwo. Po cóż Kremlowi taki mały szczyt? Jakie są szanse ZSSR przy stole, gdzie, nawet jeżeli Francja zasiądzie między dwoma krzesłami, to na wprost Breżniewa zasiądą szefowie USA, Anglii i Chin, których nawet Moskwa nie może nie uznać za kraje odpowiedzialne za losy świata. Pozornie — słusznie, pomysł szczytu nieodpowiedni. W istocie jednak nie jest to wcale takie proste.

Oto bowiem inna wersja, Kreml chce nowej Jałty, chce uznania nowego podziału świata, chce legalizacji jego nowej strefy wpływów, granic jego imperium afro-azjatyckiego, prawa wglądu w to, co się dzieje w rejonie Oceanu Indyjskiego, prawa udziału „w zapewnieniu bezpieczeństwa źródła ropy”, jak to zgrabnie powiedział Breżniew po inwazji Afganistanu.

W strategii i psychologii Kremla inwazja i okupacja Afganistanu (mniejsza teraz o ich powody) jest tylko etapem większego planu, wyznaczonego najpierw umocnieniem bazy w Europie wschodniej (Węgry 56, Czechosłowacja 68, modernizacja arsenału w garnizonach w Polsce i NRD), a potem podbojem Angoli, Etiopii, Yemenu i całych Indochin, a i to nie koniec jeszcze. Na żadnym z tych etapów Zachód nawet się nie obejrzał, nikt nie protestował. O co więc nagle chodzi, dlaczego akurat Afganistan? Poczekajcie, mówi Kreml, nie denerwujcie się, nie wierzcie demagogom, nie podejmujcie żadnych nieodwracalnych kroków, przypomnijcie sobie Czechosłowację, furia wam wtedy szybko minęła, były Helsinki i wesoły *détente* oberek.

Oczywiście i Kreml jest tego świadom, Jałta nie jest w tej chwili możliwa. Afgański szok jest jeszcze zbyt świeży. Kreml potrzebuje czasu na przygotowanie Zachodu do uznania *status quo* w Kabulu i uznania potrzeby nowej Jałty. Francuski — a w istocie sowiecki — pomysł szczytu „szefów o zimnej krwi” pozwala Kremlowi właśnie na zyskanie na czasie bez konieczności uczynienia najmniejszych nawet ustępstw w Afganistanie.

Giscard mówi „najwcześniej w 1981 roku”. Kreml pyta: gdzie się spieszyć? może być później, ważny jest cel. Kreml wie, że im później tym lepiej, że pamięć ludzka, zwłaszcza u polityków o zimnej krwi, ma tendencję optymistyczną, któż za kilka lat pamiętać będzie o Afganistanie? A wtedy zobaczymy, wtedy się spotkamy. Z zimną krwią. Jest to stara taktyka sowiecka: polityka małych kroków, ale w kierunku jakiegoś pragnie Kreml. Przyjazd Giscarda do Wilanowa był bardzo wielkim „małym krokiem”.

To w tym właśnie kontekście należy zanotować pewne inne małe kroki: znamienne zmiany w atmosferze, cienkie aluzje do drugorzędnej w istocie znaczenia Afganistanu dla pokoju w

Europie zachodniej, przestrogi przed stawianiem ZSSR w sytuacji bez wyjścia, tezy o „obronnym charakterze” operacji afgańskiej (to wymyślił francuski Poniatowski, to chyba naprawdą nie potomek bohatera znad Elstery), zawołanie Grassa „nam nikt nie zagraża”, tzw. manifesty selektywnie oburzonych intelektualistów, którzy odróżniają inwazje dobre i złe, postępowe i reakcyjne, ofiary lewicowe i prawicowe...

Prawidłowy wybór

Nie bądźmy niesprawiedliwi. Nie należy poddawać w wątpliwość ani patriotyzmu prezydenta Francji, ani jego inteligencji, ani jego znajomości polityki. Po prostu miał on swoją kalkulację. Giscard nie jest ani Pétainem ani de Gaulle'm. Francja 1980 nie jest tą z 1940 roku (właśnie minęła 40 rocznica i kapitulacji Pétaina i apelu londyńskiego de Gaulle'a). W operacji wilanowskiej Francja i jej prezydent brali udział nieprzypadkowo. Wcale nie dlatego, że jakiś „Topaz” ukrył się w Pałacu Elizejskim, a dlatego, że Francja spełnia określone warunki, konieczne dla przeprowadzenia operacji. Nigdzie, jak we Francji, polityka zagraniczna nie jest tak zależna od polityki wewnętrznej i od układów międzypartyjnych; Paryż ani na chwilę nie przerwał kontaktów na wysokim szczeblu z Moskwą, nawet nazajutrz po inwazji; Francja pierwsza potwierdziła udział w olimpiadzie w Moskwie; ambasador francuski był jedynym przedstawicielem Zachodu na trybunie pierwszomajowej na Placu Czerwonym; Francja to jedyny kraj, gdzie podstawową obelgą polityczną jest zgodność poglądów z... USA; Francja nie jest członkiem wojskowej struktury NATO; nie uczestniczyła w decyzji zainstalowania rakiet Pershing i Cruise; to we Francji publicyści zastanawiają się czy w oczach większości zachodnio-Europejczyków finlandyzacja jest rzeczywiście czymś katastrofalnym...

Tak że prezydent Francji „pasował” do Wilanowa. Nie ma w tym stwierdzeniu niczego ujemnego, był po prostu jedynym politykiem z kategorii „zimnokrwistych”, któremu wyprawa wilanowska mogła przynieść określone korzyści, głównie, a raczej wyłącznie, wyborcze. Chodzi nie o byle co, a o nowy siedmioletni mandat prezydencki.

Spotykając się „z zimną krwią” z Breżniewem, Giscard trafił od jednego strzału w dwie dziesiątki. Po pierwsze, zneutralizował komunistów, którzy nie mogą go oskarżać o antysowietyzm i awanturniczość, skoro sam Breżniew uważa go za partnera do rozmów o przyszłości świata. Po drugie, Wilanów zneutralizował gaulistów. Po tym akcie pogardy dla najbardziej podstawowych zasad lojalności sojuszniczej, nawet największy gaulista nie może oskarżyć Giscarda o atlantyckość, sprzyjanie USA, lojalność wobec przyjaciół i inne herezje antynarodowe i antyfrancuskie.

Ambasador ZSSR Czerwonienko powiedział w Paryżu, że wy-

cofanie się Rosji z Afganistanu „stanowiłoby prezent dla USA”. I słusznie. Francja też nie będzie robić prezentów dla USA. Jak przy tej okazji zauważył pisarz Pierre Daninos, 36 lat temu Francja brała prezenty od USA, na wybrzeżach Normandii przeważnie, ale Daninos to humorysta i nikt go poważnie nie wziął. W skrócie mówiąc, nikt nie będzie mógł się przeciwstawić w wyborach Giscardowi z pozycji obrony niepodległości Francji. Niepodległość Francji, jak wykazała podróż do Wilanowa, nie ma lepszego obrońcy niż prezydent Giscard d'Estaing.

„Duch Warszawy”

W kilka dni po Wilanowie okazało się, że życie jest bardziej skomplikowane. „Twarde ostrzeżenie”, przekazane Breżniewowi dzięki uratowaniu dialogu i łączności w Wilanowie, albo nie zostało właściwie zrozumiane, albo nie zostało poważnie wzięte pod uwagę. Wprost przeciwnie. Nie bacząc na ostrzeżenia Rosja przystąpiła do krwawej rozprawy z Afganami: do akcji weszły czołgi, helikoptery i napalm, aby umożliwić korpusowi ekspedycyjnemu w sile 125.000 żołdatów zlikwidowanie „małych grupek najemnych agentów CIA, Chin i syjonizmu”, które napadły na bezbronny Afganistan, wymordowały kilku kolejnych jego prezydentów i zagroziły bezpieczeństwu Związku Socjalistycznych Republik Rad wzdłuż jego południowych granic. Wspomniany już ambasador Czerwonienko powiedział w Paryżu do prasy dyplomatycznej, tak aby nie mogło to ująć uwagi Pałacu Elizejskiego, że „żadne rozwiązanie polityczne nie będzie możliwe bez uznania przez Zachód nieodwracalnego stanu faktycznego w Kabulu” i że „wycofanie ograniczonych kontyngentów wojsk sowieckich stacjonujących czasowo w Afganistanie” będzie mogło nastąpić dopiero po tym uznaniu. P. Czerwonienko wie co mówi: był ambasadorem w Pradze w 1968 roku. Nie chce niczego nadzwyczajnego: proponuje Zachodowi aby zachował się tak, jak po inwazji Pragi, gdzie już od 12 lat stacjonują także czasowo ograniczone kontyngenty wojsk sowieckich, a mimo tego wszyscy byli tak zadowoleni, że pojechali do Helsinek aby to uczcić.

Nie ma więc nic dziwnego w pozytywnej ocenie jaką p. Czerwonienko sformułował na temat Wilanowa jako przykładu prawidłowej dyplomacji. Prasa sowiecka wprowadziła przy tej okazji nowy termin do słownika politycznego: „duch Warszawy”, oraz nie taiła zadowolenia z „owocnego dialogu”, „zgodności poglądów” i „logicznego charakteru” spotkania w Wilanowie.

Tego było za dużo jak na spotkanie o „poważnym ostrzeżeniu”. W tym miejscu wchodzi na scenę Edward Gierek. Nie jest tajemnicą, że ekspedycja afgańska stanowiła zaskoczenie dla stolic w Europie wschodniej. Breżniew także zapomniał poradzić się swych sojuszników. Według poważnych pism amerykańskich, o inwazji na Kabul Gierek dowiedział się z... Wolnej Europy. Podobno — ciągle według Amerykanów — był tak wściekły, że

przez kilka dni nie chciał przyjąć ambasadora Moskwy, gotowego do konsultacji... *post factum*. Nie jest także tajemnicą, że kraje Europy wschodniej nie mają żadnego interesu w pogarszaniu się sytuacji międzynarodowej. *Détente* dla KDL-ów to ważna sprawa gospodarcza: amerykańskie zboże, RFN-owskie kredyty i technologia. Sama tylko NRD ciągnie z *détente* ponad 3 miliardy zachodnich marek rocznie. *Détente* to także ważna sprawa polityczna: zaostrzona sytuacja międzynarodowa ułatwia Moskwie zaciskanie śruby, a Gierek — i nie tylko on — chciałby bardzo tego uniknąć. To nie jest moment na awantury.

Ale nawet dziecko wie, że gdyby Kreml spotkania z Giscardem sobie nie życzył, to Gierek, cokolwiek by w duszy myślał o zbrodni kabulskiej, nie mógłby takiego pomysłu sam wylanować. Kiedy to ważne spostrzeżenie wyszło na jaw w Paryżu, trzeba było sfabrykować dowód na niezależność i spontaniczność inicjatywy Gierka. I wtedy w prasie francuskiej ukazały się długie wywody, z których wynikało, że spotkanie wilanowskie doszło do skutku nie z pomysłu Breżniewa i potrzeb strategii ZSSR, a tylko dzięki wyjątkowo dobrym stosunkom prywatnym między Giscardem i Gierkiem.

Jedna z gazet zauważyła, iż zbieżność poglądów i sympatia między tymi mężami stanu osiągnęła stopień nigdy jeszcze nie zanotowany między szefami państw francuskiego i komunistycznego. „Mówiąc krótko — pisze gazeta — to wielka miłość. To zrozumiałe (dodaje natychmiast autor), trudno bowiem znaleźć na Wschodzie osobistość równie otwartą, równie sympatyczną, tak bardzo na swoim miejscu jak p. Gierek, który nauczył się naszego języka w kopalniach Francji i Belgii... P. Helmut Schmidt — podkreśla dziennik — jest zresztą niemniej niż Giscard wrażliwy na urok tego człowieka, któremu zdarzyło się prywatnie powiedzieć: „Nasze stosunki z Bonn? Są za dobre...”.

Pierwszy medal

Oczywiście prywatne stosunki i osobisty urok przywódców grają poważną rolę w polityce międzynarodowej. Nie przypuszczam jednak, aby Breżniew, choć tak lubi całować, pojechał do Wilanowa skuszony urokiem Gierka czy Giscarda. Wobec tego interpretacja Wilanowa, jaką nam dała prasa francuska, nosi wszelkie znamiona denuncjacji równocześnie Giscarda i Gierka. Pierwszy może być oskarżony o to, że w kwestiach polityki zagranicznej kieruje się nie takimi kryteriami zasadniczymi jak np. stosunek sił na świecie, lecz urokiem polityków. Gierek zaś może popaść w niełaskę na Kremlu, który na podstawie prasy francuskiej może go oskarżyć o zdradę miłosną, o utrzymywanie za dobrych stosunków z rewanżystowską RFN i o podejrzaną zbieżność poglądów z Giscardem, z którym wszak właśnie w Wilanowie Breżniew zmuszony był stwierdzić poważne rozbieżności poglądów, nie mówiąc już o poważnym ostrzeżeniu.

Komentując spotkanie w Warszawie, p. Chaban Delmas powiedział: „Świat idzie albo ku ogromnemu przetargowi między supermocarstwami, albo ku totalnej wojnie. Nie chciałbym aby Rosjanie lub Amerykanie przy tej okazji przyprawili Francji rogi...”.

Za późno. Już po fakcie. W związku z pewną oziębłością wojenną we Francji w 1939 roku, kiedy nie było z Polską wielkiej miłości i niewiele osób w Warszawie było na swoim miejscu, narodził się w Paryżu okrzyk-zdziwienie: *Mourir pour Dantzig?* Dziś, w związku z udziałem Francji w igrzyskach olimpijskich w Moskwie, można by wylansować inny okrzyk-zdziwienie: *Courir pour Kaboul?*

W konkurencji „bieg przez Kabul do Wilanowa” prezydent Francji wygrał w tej olimpiadzie pierwszy medal.

Nie ze złota.

BRUKSELCZYK

Pisane 12 czerwca 1980 r.

Referendum w Quebecu

WALKA O JEDNOŚĆ KANADY

W październiku 1976 roku doszedł do władzy w prowincji Quebec rząd separatystyczny — Parti Québécois — na czele którego stanął René Lévesque, odniósłszy przytłaczające zwycięstwo w wyborach dnia 15 tegoż miesiąca. To data historyczna, tak jak i następna: 20 maja 1980 roku — dzień referendum, ale żadna z nich nie zadecydowała o przyszłości Kanady jako jednolitego federalnego państwa ani też o pozycji Quebecu w tym organizmie lub też poza nim.

Być może byłoby ściślej określić wyraźnie toczącą się w ostatnich dwóch dziesiątkach lat batalię polityczną w Kanadzie jako walkę o niepodległość Quebecu aniżeli jako walkę o jedność Kanady, gdyż stroną aktywną są rzecznicy oderwania się Quebecu podczas gdy federaliści — przytłaczająca większość ludności innej aniżeli francuskojęzyczna, wykazywali do niedawna zdumiewającą wręcz pasywność czy obojętność. Poważna część ludności, szczególnie pochodzenia anglosaskiego, zdawała się w ogóle nie rozumieć złożonego zagadnienia francuskojęzycznej prowincji Quebec. Nawet poważni politycy, głównie konserwatyści, skłonni byli uważać, że to tylko jacyś młodzi, nieodpowiedzialni zapaleńcy, być może nawet inspirowani z zewnątrz, usiłują podważyć tradycyjny stan rzeczy. Działające w latach 1960

tajne organizacje separatystyczno-niepodległościowe jak Front Wyzwolenia Quebecu (FLQ) dokonywały różnych aktów terrorystycznych, organizowały demonstracje itp., ale nie zdobyły poparcia w społeczeństwie. Największa akcja tej grupy — porwanie w 1970 roku brytyjskiego przedstawiciela handlowego w Montrealu i zamordowanie ministra pracy Pierre Laporte — zakończyła w gruncie rzeczy jej żywot.

René Lévesque, jeden z najbardziej dynamicznych polityków, był zawodowym dziennikarzem, bodajże najwybitniejszym komentatorem radiowym i telewizyjnym w Quebecu. Jest błyskotliwym publicystą, świetnym mówcą, doskonałym polemistą i — jak wykazały dalsze wypadki — ambitnym przywódcą politycznym zmierzającym do wytyczonego celu. Do czynnej polityki wkroczył w 1960 roku uzyskawszy mandat z ramienia Partii Liberalnej do Izby Ustawodawczej prowincji Quebec, po czym wszedł do rządu tej partii, która zainicjowała i przeprowadziła tzw. „cichą rewolucję”: zasadnicze zmiany, znakomicie rozszerzające autonomiczne uprawnienia prowincji. W czerwcu 1966 roku rząd liberalny premiera Lesage poniósł nieoczekiwane klęskę wyborczą. Władzę w prowincji objęła L'Union Nationale, na czele której stał Daniel Johnson.

Jego program polityczny głosił tezę dwóch narodów w jednym państwie: *égalité ou indépendance*. On to towarzyszył gen. de Gaulle kiedy ten z balkonu ratusza w Montrealu w lipcu 1967 roku wznosił okrzyk „*Vive le Québec libre!*”, powtórzony entuzjastycznie przez zgromadzonych. Ten okrzyk zamienił się w programowe hasło ugrupowań separatystycznych, które jednak nie miały żadnego poważnego przywódcy.

L'Union Nationale zmierzała wprawdzie do umocnienia postulatów Quebecu, ale nie była to partia zdolna do zrealizowania owej podstawowej tezy: Równość lub Niepodległość i wbrew różnym oświadczeniom niektórych przywódców nie sterowała w kierunku separacji.

Gdy w następstwie przegranej wyborczej z czerwca 1966 roku Partia Liberalna w Quebecu znalazła się w opozycji, Lévesque na zjeździe partyjnym w 1967 roku wystąpił z programem niepodległościowym, wzywając partię do porzucenia obecnej federalistycznej platformy. Propozycja ta została odrzucona wobec czego Lévesque rozstał się z Partią Liberalną. Wraz z nim opuściło ją kilkunastu wybitniejszych członków. Każda grupa separatystyczna gotowa była powitać w swoim gronie tak wytrawnego polityka, popularnego publicystę jak Lévesque, podczas gdy on nie był skłonny wiązać się z nimi i przystąpił natomiast do stworzenia nowej partii, do której zapraszał wszystkich separatystów, rzeczników i zwolenników niepodległości Quebecu. Przeprowadził rozmowy z przywódcami istniejących grup separatystycznych, brał udział w ich ogólnych zjazdach referując program nowej partii — Parti Québécois — wzywając do przystąpienia, co spowoduje zjednoczenie ruchu niepodległościowego.

Akcja ta została uwieńczona powodzeniem i w rok po opuszczeniu szeregów Partii Liberalnej L  vesque sta   na czele nowej — Parti Qu  becois — do kt  rej weszli przyw  dcy wszystkich grup separatystycznych oraz spora ilo   m  dych nacjonalist  w. L  vesque budowa   parti   masow   a nie elitarn  . Program jej by   o wiele bardziej umiarkowany od dawnych, separatystycznych. Mia   na celu zdobycie w  dzy w drodze parlamentarnej, trzeba wi  c by   pozyska   nie tylko zwolennik  w, ale i sympatyk  w. Nale  a post  powa   ostro  nie, nie prowokowa  , nie grozi  , unika   krok  w, kt  re by spowodowa   represje. Nie ograniczy   si   do propagowania programu demokratycznej walki o polityczn   suwerenno   w Quebecu, ale czyni   to w ca  ej Kanadzie. Publikowa   artyku  y, udziela   wywiad  w, wy  asza   przem  wienia na wszelakich zjazdach i konferencjach, uzasadniaj  c sw  j program i postulaty politycznej niepodleg  o  ci. W niekt  rych kr  gach politycznych w angielskoj  zycznych prowincjach ustosunkowano si   pow  ci  gliwie, ale   yczliwie do wielu postulat  w L  vesque, podkre  slaj  c z zadowoleniem brak w nich radykalizmu. Uznano nawet i   jest to post  p w stosunku do niebezpiecznych radyka  w, uzupe  niaj  cych swoje argumenty dynamitem i rewolwerem.

W dw  ch kolejnych wyborach quebeckich Parti Qu  becois ponios   kl  sk  , uzyskuj  c zaledwie kilka mandat  w, przy czym sam L  vesque przepa  . Premier Trudeau w 1975 roku z wyra  n   satysfakcj   stwierdzi   i   ruch separatystyczny wraz z Parti Qu  becois sko  czy   si  . I chyba z jeszcze wi  ksz   satysfakcj   wspomina   mu t   ocen   — po swoim zwyci  stwie 15 pa  dziernika 1976 roku — Ren   L  vesque.

Kiedy sta   na czele separatystycznego r  du po  pieszy   z uspakajaj  cymi o  wiadczeniami. I tak zapewni  , i   otrzyma   mandat na prowadzenie administracji prowincjonalnej, a wi  c w ramach federacji Kanady, wobec tego b  dzie   ci  le przestrzega   obowi  zuj  cych postanowie   konстыtucyjnych. W sprawie suwerenno  ci odwo  a si   do wybor  w. W odpowiednim czasie zar  dzi referendum a do tej chwili b  dzie realizowa   inne punkty programu.

R  d Parti Qu  becois powoli, ale systematycznie wy  acza   si   i odcina   od wielorakich wi  z  w z R  dem Federalnym oraz z innymi prowincjami. Wprowadzi   ustaw   j  zykow  , na mocy kt  rej tylko j  zyk francuski jest powszechnie obowi  zuj  cy. Po  czy   wiele praktycznych krok  w, fakt  w dokonanych na drodze do niepodleg  o  ci. Pod naciskiem opozycyjnej Partii Liberalnej i jej nowego przyw  dcy — Claude Ryana — r  d zapowiedzia   w 1979 roku przeprowadzenie referendum. Przed  o  y   odpowiedni projekt ustawy i w kwietniu br. wyznaczy   termin referendum na 20 maja.

Mylne by  oby jednak za  o  enie,   e do wniesienia projektu referendum i wyznaczenia terminu sprawa suwerenno  ci le  a od  ogiem. Nie! By   najbardziej omawiana, najbardziej rozprawiana. L  vesque z gronem najbli  szych wsp  pracownik  w

prowadzi   wszelkimi dost  pnymi s  rodkami i metodami sta   kampani   na rzecz programu niepodleg  o  ciowego. W toku akcji program poddawano krytyce, rewidowano go, staraj  c si   uczyni   nie tylko atrakcyjnym, ale i najbardziej strawnym dla szerokich rzesz wyborc  w. Naturalnie nie zmieniano zasadniczego, podstawowego postulatu, nie odstepowano od celu, ale oblekano go w r   ne zast  ny, rozwa  diano, s  dzono, formu  owano po  szczeg  lnie tezy wieloznacznie, to zn  w pozostawiano r   ne sprawy otwartymi. Wreszcie po kilkuletniej akcji przygotowawczej sformu  owano platform   na kt  rej Parti Qu  becois pragnie zrealizowa   program niepodleg  o  ciowy. A wi  c r  d Quebecu proponuje rokowania z pozosta   Kanad   na *zasadzie r  wno  ci dw  ch narod  w celem ustanowienia pe  nej suwerenno  ci Quebecu a jednocze  nie uni   gospodarcz  , kt  ra obj  ta  by wsp  ln   walut  . Wszystkie uprawnienia polityczne natomiast,   cznie z utrzymywaniem stosunk   zewn  trznych, nale  e b  d   do suwerennego Quebecu.*

Wszystkie r  dzy prowincjonalne — i oczywi  cie R  d Federalny — na d  ugo jeszcze przed referendum poda  y do wiadomo  ci, i   nie zgodz   si   na   adn   uni   gospodarcz   z niepodleg  ym Quebecem. Niemniej jednak L  vesque i jego ministrowie g  sili, i   negatywne ustosunkowanie si   do tego projektu przed referendum nie ma znaczenia. Wyra  ali przekonanie,   e po zwyci  stwie Ottawa i prowincje zmieniaj   swoje nastawienie i ca   wysi  ek skierowali na przekonanie wyborc  w w Quebecu.

Druga strona a wi  c federali  ci na czele z Parti   Liberaln   — nie pozosta   bierna. W ci  gu ostatnich kilku miesi  cy poprzedzaj  cych referendum rozp  ta   si   nami  tna walka polityczna, w kt  rej nie szcz  dzono sobie wzajemnie inwektyw.

Powr  t do w  dzy w Ottawie premiera Trudeau oznacza   ogromny zastrzyk dla federalist  w. Nie ulega   bowiem   adnej w  tpliwo  ci, i   w  czy si   wraz z cz  lonkami swego r  du z Quebecu do walki, kt  rej celem jest zachowanie jedn  o  ci Kanady. Wybory federalne z dnia 18 lutego   wiadczy  y,   e popularno  c Trudeau w Quebecu jest ogromna a wobec tego separaty  ci b  d   mieli trudniejsz   przepraw  . Referendum jednak   musiano przeprowadzi  .

W g  sowaniu wzi  o udzia   85 % uprawnionych i prawie 60 % wypowiedzia  o si   przeciwko udzieleniu r  dowi mandatu dla rokowa   celem ustanowienia suwerennego Quebecu pozostaj  cego w unii gospodarczej z pozosta   Kanad  . Kiedy noc   20 maja L  vesque sta   na arenie przed 6.000 swoich entuzjastycznych poplecznik  w, niemal p  lacz  c powiedzia  , i   zosta   bardziej bole  nie uderzony ani  eli po jakiegokolwiek kl  sce wyborczej. Niemniej jednak zawo  a: „a   do nast  pnego razu”. Oczywi  cie nie zrezygnowa   ze swojego programu, ale publicznie o  wiadczy  , i   przyjmuje wol   wyborc  w i podporz  dkuje si   jej, a wi  c we  mie udzia   w konferencjach po  wi  conych zmianie konstytucji, kt  re zwo  a premier Pierre Trudeau. Przysz  o  c Kanady i miejsce w niej Quebecu jest teraz w jego r  ku.

Wynik referendum spowoduje spadek napięcia w całym kraju, nie tylko w Quebecu. Premier Trudeau mówi o potrzebie zablżenia ran, które powstały podczas walki. Referendum wykazało, że frankojęzyczna ludność w przeważającej ilości uważa się tak samo za Kanadyjczyków, jak ludność innych prowincji. Są i chcą pozostać obywatelami tego państwa.

Parti Québécois sztucznie wyeksponowała pewne aspekty czy elementy, wzbudzając swoisty szowinizm, partykularyzm. Frankojęzyczna ludność nie tylko w Quebecu posiada wszystkie prawa, należy do tak zwanej „grupy założycielskiej” obok anglosaskiej, piastuje najwyższe stanowiska w administracji państwowej, połowa ministrów federalnych jest z Quebecu — stąd też „kolonializm” jest tylko sloganem, którym Parti Québécois posługuje się na określenie statusu Quebecu w federacji kanadyjskiej.

Grupa polska ustosunkowała się negatywnie do programu Parti Québécois i w referendum głosowała: „non” — nie udzielając rządowi mandatu do rokowań. Przed referendum Zarząd Główny KPK wystosował apel, w którym wzywał do głosowania „nie”, chcąc aby grupa polska w ten sposób „zadokumentowała swoje przekonanie o potrzebie, słuszności i konieczności istnienia jednej niepodzielnej Kanady”.

Benedykt HEYDENKORN

SPOTKANIA 5-6

Niebawem ukaże się na Zachodzie 5 i 6 numer ukazującego się w Kraju nieocenzonego Pisma Młodych Katolików — *SPOTKANIA*. Książka zawiera m.in. następujące artykuły: Ks. bp I. Tokarczuk: „Perspektywy rozwoju Kościoła w Polsce”; St. Kisielewski: „Kiedy spotkają się piśmiennicze nurty”; Bohdan Sahajdaczny: „Jak widzę przyszłość stosunków polsko-ukraińskich”; Gen. M. Boruta-Spiechowicz: „Z perspektywy lat”; Jerzy Turowicz: „Dialog, pluralizm i jedność”; J.S.: „Gen. Tumidajski i jego żołnierze” oraz liczne dokumenty opozycji demokratycznej w Kraju.

Cena egzemplarza: F. 50,00 lub £ 4.50; \$ 11,00; DM 20,00.

Zamówienia oraz wpłaty prosimy kierować na adres:

Piotr Jegliński		Spotkania
64, Ave Jean Moulin	lub	15, Broxholm Road
75014 Paris		London SE 27

Kraj

Gesty i praca

Dokonując na początku 1980 roku bilansu osiągnięć tzw. opozycji demokratycznej, redakcja *Biuletynu Informacyjnego*, najregularniej ukazującego się pisma pozacenzuralnego, ostrzegła trzeźwo przed grożącym tej opozycji „otorbieniem”, tj. zamknięciem w kręgu jej własnych, oddzielonych od życia całości społeczeństwa spraw. Miejmy nadzieję, że świadomość takiego niebezpieczeństwa, zróżnicowanie form działania, rozszerzanie frontu oraz dokładniejszy rachunek strat i zysków sprawią, że istniejące ugrupowania zdołają się wyrwać z otorbienia, które stało się już w pewnym stopniu rzeczywistością.

Chcę tutaj, kontynuując rozważania rozpoczęte w drugiej części szkicu „Polskie kwadratury koła” (*Kultura*, czerwiec 1980), zastanowić się nad stosunkiem metod działania do stawianych celów oraz nad dwoma różnymi strategiami politycznymi, zakładanymi przez dwa najbardziej znane dokumenty programowe ostatniego okresu: Deklarację Ruchu Młodej Polski i Deklarację Konfederacji Polski Niepodległej.

Zgodnie deklarowanym celem ugrupowań wolnościowych jest osiągnięcie przez Polskę niepodległości i ustroju demokratycznego. Jest jasne, że podejmowane dziś wysiłki mogą ten cel tylko przybliżać: jego osiągnięcie możliwe jest (co do tego też panuje zgoda) tylko przy wybitnie sprzyjającym rozwoju wydarzeń międzynarodowych.

W tej perspektywie dwa rodzaje działalności „opozycyjnej”, prowadzonej dziś w Polsce, mają sens niepodważalny: 1. obrona obywateli przed nadużyciami aparatu władzy, oraz 2. akcje wykładowe i wydawnicze, zmierzające do lepszego poinformowania a także moralno-obywatelskiego kształcenia społeczeństwa. Działalność pierwszego typu musi być prowadzona niemal całkowicie jawnie: nazwiska i adresy ludzi, gotowych do obrony pokrzywdzonych, muszą być znane i dostępne. Pionierem na tym polu i ośrodkiem bez porównania najważniejszym jest KSS

KOR. Z jego to komunikatów dowiadujemy się o rewizjach, przesłuchaniach, aresztowaniach, pogroźkach. Chociaż wiadomo, że nie wszyscy poszkodowani zgłaszają fakt represji, wzrost liczby ujawnionych ofiar świadczy wymownie, że krąg ludzi wchodzących w konflikt polityczny z władzą stale rośnie.

Jednakże sam fakt, że ktoś pada ofiarą represji, nie świadczy niestety o niczym więcej jak tylko o tym, że naraził się władzom: nie jest dowodem, że jego działalność przyniosła jakikolwiek pożytek. To bowiem, że władze są gotowe do prześladowania ludzi głośno przejawiających swoje niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, albo biorących udział w manifestacjach patriotycznych, albo starających się zorganizować samodzielne ośrodki opinii publicznej — zostało już dawno udowodnione. Braku swobód politycznych w PRL nie trzeba ciągle na nowo wykazywać. Jawne zademonstrowanie, że się jest „przeciw”, było jeszcze parę lat temu samo przez się cennym aktem odwagi, było wykazaniem gotowości do bezkompromisowej obrony własnych poglądów i własnej godności. Było także aktem edukacji narodowej: wykazywaniem społeczeństwu, że są wśród niego ludzie ideowi i ofiarni.

Obecnie sytuacja jest zmieniona. Owe podstawowe prądy zostały już udowodnione i powtarzanie tych samych gestów jest dreptaniem w miejscu; budzi też w niezaangażowanych dotychczas sympatykach wątpliwości, czy „opozycję” stać na coś więcej niż protesty. Dlatego też należy zastanawiać się za każdym razem, czy indywidualne zwrócenie na siebie uwagi władz partyjnych lub służby bezpieczeństwa albo zorganizowanie zbiorowej manifestacji będzie aktem politycznie sensownym, tj. czy przyciągnie nowych ludzi do ruchu wolnościowego, czy wzbogaci treść jego działania, czy przyczyni się do trwałej mobilizacji moralno-ideowej społeczeństwa — czy też da w rezultacie tylko jeszcze jedną teczkę w aktach SB, jeszcze jeden „hak” w życiorysie, a przy wystąpieniach zbiorowych będzie jeszcze jedną konfrontacją, jeszcze jednym podniesieniem temperatury. Bowiem podnoszenie temperatury może być bardzo cenne, ale tylko wówczas, kiedy są widoki na to, że nagromadzona para stanie się źródłem napędu, a nie tylko środkiem eksplodującym.

Wzrost społecznego napięcia musi się albo wyładować w kulminacji — albo rozładować w zniechęceniu. Ponieważ w odczuciu większości społeczeństwa, a także w opinii wszystkich bodaj trzeźwych obserwatorów polskiej i międzynarodowej sceny politycznej nie ma w tej chwili szans na kulminację, która przyniosłaby Polsce radykalną poprawę warunków bytu politycznego i gospodarczego — to rozładowanie się napięcia w zniechęceniu jest

niebezpieczeństwem głównym. I jest najwidoczniej celem, do którego dążą władze.

W tych warunkach najcenniejszą formą pracy wolnościowej jest akcja wydawnicza i wykładowcza, uświadamiająca i wychowująca. Należy czynić maksymalne wysiłki, aby obejmowała coraz szersze kręgi społeczne, coraz dalsze obszary kraju. Jednakże w odróżnieniu od obrony prześladowanych akcja ta, aby była skuteczna, tj. aby nie paraliżowała jej na każdym kroku władze administracyjne i służba bezpieczeństwa, musi być w znacznej mierze (a jeśli idzie o wydawnictwa — w pełni) prowadzona dyskretnie i przygotowywana w ukryciu. Ujawnienie się ludzi, planujących publikację pozacenzuralne, jest co prawda pożyteczne, bo ułatwia zbieranie materiałów — ale ułatwia też ogromnie obserwację milicyjną i śledzenie tzw. bazy technicznej. Fakt, że znaczna część z trudem wyprodukowanych egzemplarzy ulega konfiskacie zanim dotrze do rąk czytelników a nakłady niektórych wydawnictw trzeba często powtarzać po dwa i trzy razy świadczy, jak ważna i niestety rzadka jest umiejętność ostrożności i zachowania tajemnicy.

Doświadczenie zdaje się wskazywać, że i inne rodzaje działalności stałyby się bardziej skuteczne, gdyby ich nie reklamowano. Dotyczy to moim zdaniem zwłaszcza tzw. wolnych związków zawodowych, których ujawnieni działacze są natychmiast i na ogół skutecznie izolowani od swoich środowisk przez pracodawców i SB. Tradycyjny argument, że jawnie działających łatwiej jest bronić, staje się mało istotny, skoro działalność jest paraliżowana i ogranicza się do deklaracji. Ponadto przykład Mirosława Chojeckiego wskazuje, że skuteczna obrona nie wymaga uprzedniego ujawnienia funkcji, pełnionych przez represjonowanego: fakt, że Chojecki jest dyrektorem NOWej podano do wiadomości publicznej już po postawieniu go w stan oskarżenia. Nie jest też prawdą, że jawność zabezpiecza przed prowokacją; jest natomiast oczywiste, że przyciąga ona potencjalnych Herostatesów.

Nie należy więc upierać się przy formułkach, ale dostosowywać sposoby działania do osiąganey skuteczności. Trzeba też pamiętać, że w polskich warunkach, gdzie stosunek wysiłku do rezultatów jest na ogół przygnębiająco nieproporcjonalny, konieczne jest przeciwdziałanie zniechęceniu i zobojętnieniu przez ciągłe szukanie nowych sposobów, wysuwanie nowych inicjatyw. Martwota oficjalnego życia publicznego w Polsce daje tu znaczne pole do popisu, np. w podejmowaniu akcji na rzecz ochrony środowiska albo obrony interesów konsumenta. Akcje takie, jeżeli nie będą ostentacyjnie upolityczniane, mogą wciągnąć nowych

ludzi i środowiska. Da to szansę wychowywania społeczeństwa do samorządności.

W większości za adniczych oświadczeń politycznych różnych ugrupowań występuje sprzeczność między stwierdzeniami, dotyczącymi teraźniejszości, a prognozami na przyszłość. Z jednej strony pisze się o sowietyzacji, niszczeniu kultury narodowej, obniżeniu poziomu oświaty, zatarciu ideałów wychowawczych, rozkładzie moralnym, zaniku szacunku do pracy, alkoholizmie, kryzysie ekonomicznym itd.; z drugiej strony ukazuje się wizje niepodległości i demokracji które czekają za rogiem na odejście partyjnej władzy podtrzymywanej przez sowieckie czołgi. Nie jest to tylko kwestia stylistyki, ale rzeczywistej sprzeczności, zbyt rzadko uświadamianej. Jeżeli opisywane tylokrotnie procesy gnilne są rzeczywistością, to nie można liczyć na ich natychmiastowe ustąpienie z chwilą zmiany międzynarodowej sytuacji politycznej. Jeżeli tym procesom nie będziemy skutecznie przeciwdziałać, jeżeli ich zawczasu nie opanujemy — to niepodległość może się okazać niemożliwa, bo będziemy na nią zbyt słabi, a demokracja okaże się niesprawna, bo będziemy do niej nie-dojrzały.

Aby więc uniknąć takiego bezhołowia i takich walk bratobójczych jak np. w 1830-31 roku, musimy dziś przygotowywać się do przyszłości, i to nie przez planowanie dekoracji, fanfar i urzędów na uroczysty moment który nie wiadomo kiedy nastąpi, ale przez żmudną pracę „u podstaw”, choćby pracą umysłową i informacyjną. W tym właśnie świetle, jak sądzę, należy oceniać oświadczenia programowe, których ostatnio pojawia się coraz więcej — chyba za wiele, bo nowe myśli zdarzają się rzadko, a jeszcze rzadziej nawiązuje się do oświadczeń poprzedników, co przecież, wobec zasadniczej wspólnoty interesów, ułatwiałoby porozumiewanie się i integrację poczyną.

Deklaracja ideowa R.M.P. tym się wyróżnia, że jest właśnie deklaracją przede wszystkim *ideową*, nie polityczną; w wykładzie ogólnych założeń zaczyna od poglądów na osobę ludzką, przechodząc do narodu i niepodległości. Autorzy są dość ogólni w sformułowaniach; moralnie bezkompromisowi, starają się uniknąć potępiania i odcinania się od innych, i w ogóle od doktrynerstwa ideologicznego. Dla ludzi mieszkających na Zachodzie szczególnie uderzającym składnikiem Deklaracji jest zapewne kult tradycji: ci młodzi chcą przede wszystkim ocalać, nawiązywać i kontynuować, a nie poszukiwać nowości. Jest to w polskich warunkach składnik ogromnie cenny, ale mogący stanowić tylko część programu praktycznego.

Autorzy nie wszędzie potrafili uchronić się od górnolotności

i pustych formułek (co to np. znaczy „Życie narodowe musi być weryfikowane takimi samymi normami moralnymi, jakimi zwykło się oceniać jednostkę”? Życia nie można „weryfikować”, normy nie służą do weryfikacji, a te, które dotyczą życia zbiorowego mogą być co najwyżej analogiczne do tych, które dotyczą jednostek). Nieco zbyt łatwo przeszliżgają się też od „jest” do „ma” albo „powinien”. Na ogół jednak tekst Deklaracji jest przejrzysty i wolny od zwykłych w podobnych dokumentach banałów.

R.M.P. kładzie nacisk na idee i wartości związane z narodem. Niewypowiedzianym pewnikiem jest, że życie w narodzie jest niezbędne dla osiągnięcia pełni człowieczeństwa. Deklaracja odrzuca jednak szowinizm i dążność do dominowania nad innymi narodami, głosi zasadę wspólnoty duchowej, nie egoizmu narodowego. Postępowanie narodu powinno być podporządkowane zasadom współpracy całej ludzkości, a przede wszystkim — wartościom utrwalonym w tradycji chrześcijańskiej, którą deklaracja uznaje za szczególnie cenną.

Autorzy są zdecydowanymi ptymistami w poglądach tak na człowieka jak i na naród. Pomijają surowe, krytyczne wobec natury człowieka elementy tradycji katolickiej. Piszą: „Narody rodzą się w procesie historycznym i historia właśnie dokonuje dzieła wzbogacania a także sublimacji świadomości narodowej, która podlega uszlachetniającej ją przemianie z odruchów plemiennych w refleksyjną solidarność narodową, a naród, z masy etnograficznej, staje się świadomą swych celów wspólnotą”. Ładnie to brzmi, ale autorzy zdają się nie wiedzieć, że za tymi gładkimi słowami kryją się procesy okrutne i krwawe, że nie „historia”, ale ludzie dokonują owego procesu „wzbogacenia”, który polega na eliminowaniu jednego rodzaju wspólnot na rzecz innych. Naród, „którego naturalnym celem jest stworzenie państwa”, niszczy na drodze do tego celu więzi innego, „niższego” typu, eliminuje współzawodników do roli głównego czynnika integrującego. Czy Baskowie albo Bretończycy mają prawo do bycia narodem? A jeżeli nie, to dlaczego? A jeżeli tak, to czym są „lepsi” od wielu innych wspólnot, rozbitych przez potężniejszych sąsiadów? To wszystko nie są rzecz jasna argumenty przeciwko „idei narodowej”; są to argumenty przeciwko naiwnemu optymizmowi historycznemu.

Autorzy Deklaracji zdają się też nie doceniać nieuchronności konfliktów między poszczególnymi wyznawanymi przez nich zasadami, np. podmiotowości każdego człowieka i podmiotowości narodu. Jednakże Deklaracja nie jest traktatem filozoficznym i nie należy od niej zbyt wiele wymagać. Od zastrzeżeń, które

budzi młodzieńczy optymizm autorów, ważniejsze jest uznanie i sympatia, jakie wywołuje ich wysiłek, aby pogodzić i syntetyzować różne, dotychczas rozbieżne albo przeciwstawne polskie tradycje polityczne (*nota bene* w wyliczeniu „głównych kierunków politycznych, powstałych pod koniec XIX wieku”, zabrakło o dziwo PPS).

Za szczególnie wartościowe uważam też w Deklaracji położenie nacisku na konieczność długotrwałej akcji moralnego i politycznego wychowywania narodu. Tekst zamyka seria pytań, na które autorzy będą się w przyszłości starali znaleźć odpowiedź. Pytania dotyczą stosunków Polski z jej sąsiadami, zachodnich wzorców ustrojowych, przyszłego systemu rządzenia naszym krajem. Ta otwarta, poszukująca postawa, ta chęć zdobywania i przekazywania innym wiedzy politycznej budzi nadzieję.

Dokumenty założonej jesienią 1979 roku Konfederacji Polski Niepodległej, a przede wszystkim jej Akt, Deklaracja, Statut, oraz ogłoszona w lutym 1980 „platforma wyborcza” mają zupełnie inny charakter. Dokumenty te, podobnie jak obszerny artykuł Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji”, ogłoszony w czerwcowym numerze *Drogi* z 1979 roku, opierają się na założeniu, że „system PRL znajduje się w ruinie”, a „ZSSR z najwyższym trudem dźwiga ciężary swej imperialistycznej polityki”; stoimy dosłownie u progu kryzysu państwowego i kryzysu światowego. Wobec tego siły opozycyjne w Polsce powinny się przygotować do rychłego przejścia władzy. Najlepszym sposobem będzie strajk generalny.

KPN ogłasza się jako „pierwsza od ponad 30 lat jawnie działająca na ziemiach polskich partia niepodległościowa”. „Jawność” jej działania jest sprawą umowną: zebrania muszą się odbywać w konspiracji i wszystkie poczynania KPN okryte są z konieczności tajemnicą. Jawność ta polega właściwie wyłącznie na ogłoszeniu celów politycznych i deklaracji podpisanej przez 34 osoby. Deklaracja ta wzbudziła duże zainteresowanie w społeczeństwie, które dowiedziało się o niej z audycji zachodnich rozgłośni (najpierw 1. IX. 1979 z BBC). Jednakże późniejsza działalność KPN na terenie kraju była dość trudna do zauważenia. Wolna Europa nadała kilka nowych oświadczeń, natomiast akcja wydawnicza, mimo zapowiedzi uruchomienia na wiosnę 1980 wielonakładowego tygodnika, jest tak minimalna, że nawet w Warszawie zdobycie publikacji KPN jest prawie niemożliwe. Natomiast głośne przed paru laty oświadczenie, że to opozycja toleruje władzę, a nie odwrotnie, znalazło echo w oświadczeniu KPN stwierdzającym, że gdyby wybory w marcu 1979 były rzeczywiście wolne, wygrałaby je Konfederacja. Niestety, oba

stwierdzenia były po prostu niepoważne. Rozpiętość między zapowiedziami a spełnieniami przyniosła już Konfederacji na terenie kraju ogromne szkody.

Psychologiczna potrzeba ogłaszania podniosłe brzmiących deklaracji, układania szczegółowych, dalekosiężnych i optymistycznych planów oraz zapewniania o własnej sile jest całkiem zrozumiała. Takie wystąpienia stanowią ujęcie dla głębokich frustracji, zadośćuczynienie za wieloletnie upokorzenia i beznadzieję. Zrozumiały też jest entuzjazm, z jakim ta buńczuczność została przyjęta na emigracji — wśród wychodźców politycznych, ofiarnych a niecierpliwych, i zarazem mało świadomych rzeczywistych warunków działania i potrzeb ruchu wolnościowego w Polsce.

Nie zamierzam, jak to się często robi, kwestionować czystości intencji twórców KPN. Chcę tylko zwrócić uwagę, że zaproponowany przez nich sposób działania ma w sobie wiele aktorstwa a nie rokuje odpowiedniej skuteczności. W naszych warunkach publiczne ogłaszanie tego rodzaju przedsięwzięć politycznych jak KPN ułatwia robotę organom ścigania, bo jest zaproszeniem do obserwacji i gromadzenia kartotek. Wyłożony przez Leszka Moczulskiego, który uchodzi powszechnie za twórcę i *spiritus movens* Konfederacji, plan działania wymaga dla swojej skuteczności swobody poruszania się i porozumiewania ludzi, przygotowujących przewrót i objęcie władzy przez wyłonionych przedstawicieli społeczeństwa. Wymaga przede wszystkim dostępu do środków przekazu. W każdym, nie tylko totalitarnie rządzonym kraju policja gromadzi materiały na temat ludzi, prowadzących tego rodzaju działalność, przygotowuje środki zaradcze i oczywiście wyłapuje spiskowców w momentach krytycznych. Między wizjami politycznymi KPN a sposobami działania zachodzi więc sprzeczność.

Nie jest to jedyna wątpliwość jaką budzą dokumenty Konfederacji. Wymieniłem już rozbieżność między obietnicami a spełnieniem. Niepokój budzi elitarystyczny, przypominający raczej wzory bolszewickie niż polskie tradycje konspiracji niepodległościowej statut członkowski. Także zarysowany przez Moczulskiego obraz „rewolucji bez rewolucji” nasuwa na myśl tak przez niego znienawidzone wzory bolszewickie: oto zawali się *cały* dotychczasowy system, a władzę przejmą masy, kierowane przez elitarną, zorganizowaną awangardę. Zbieżność ta jest niewątpliwie przypadkowa i wynika z radykalności programu, nie z pokrewieństwa poglądów — niemniej jednak cieszyć nie może. Jeszcze inną wątpliwość budzi szalenie optymistyczna wizja sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej, podczas gdy rzeczywisty rozwój wydarzeń nie wskazuje wcale na rychłe zawalenie się istniejącego

układu sił. A jeżeli zawalenie się nie jest bliskie, należy wybrać inną, bardziej długofalową taktykę.

Wszystkie te wątpliwości można streścić w jednym zdaniu. KPN stawia sobie cele zbyt na *dzis* wygórowane i na własnej drodze do tych celów gromadzi niepotrzebne przeszkody, ułatwiając zadanie przeciwnikowi.

Wyłożone w Deklaracji Ideowej KPN przekonania nie różnią się wiele od założeń Programu PPN (maj 1976) ani od wielu późniejszych oświadczeń programowych różnych ugrupowań, od Ruchu Demokratycznego do Ruchu Wolnych Demokratów. Jednakże ostatnie parę lat nauczyło nas również, że najważniejsze są nie deklaracje, ale praktyczne postępowanie. Między zapewnieniami o „wzajemnej tolerancji”, składanymi przez KPN, a treścią i tonem pamfletu Moczulskiego oraz niektórymi poczynaniami reprezentantów KPN za granicą występuje rażąca sprzeczność. Podobne sprzeczności pojawiają się między deklaracjami a czynami wielu innych ugrupowań; są ich przejawem także bezparadonowe i demagogiczne ataki na Konfederację i Moczulskiego.

Musimy sobie jasno powiedzieć: nie jest prawdziwym niepodległościowcem i demokratą ten, kto oznajmia, że jest zwolennikiem tych ideałów — ale ten, kto zgodnie z nimi postępuje. Kultura politycznego współżycia i kultura polemik są najlepszym, a obecnie właściwie jedynym sprawdzianem głębi i szczerości przekonań. Nie jest demokratą ktoś, kto różnicę poglądów przedstawia w kategoriach zdrady narodowej, perfidii lub tchórzostwa, kto na krytykę reaguje inwektywami, kto dyskusję zmienia w pyskówkę. Nie jest niepodległościowcem ten, kto, wprowadzając sztuczne podziały w ruchu wolnościowym, osłabia jego siłę; kto większą wagę przykładu do różnic niż do jedności Polaków, którzy rozmaitymi szlakami chcą się przedrzeć ku niepodległości.

SOCJUSZ

Uwagi o pluralizmie, programach i działaniu

I

Dopiero teraz udało mi się przeczytać lipcowo-sierpniowy numer *Kultury*, a w nim zajmujący artykuł Macieja Poleskiego

„Tak i nie”. Ów tekst stał się impulsem do tych kilku refleksji, bowiem właśnie w nim znajduję podjęcie pewnych kwestii istotnych dla społecznego kontekstu działań opozycji demokratycznej w Polsce. Wspomnianego artykułu nie odbierałem wyłącznie jako polemiki z Kuroniem; istotniejsze jest zajęcie się przez Poleskiego kilkoma problemami, nad ważnością których nierazdo przechodzi się wśród sporów programowych i ideologicznych do porządku. Zresztą sam autor podkreśla ten charakter swego artykułu: „Nie tyle bowiem o krytykę koncepcji Kuronia jako takich mi tu chodzi, ile o szczegółowe wykazanie, jak ciągle pozbawianie naszych działań kontekstów społecznych prowadzi do wyjałowienia (...) zasad ideowych, które wnoszą się ku oderwanym od realiów politycznych abstraktom”.

Uczestnicząc w działalności antytotalitarnej opozycji, ale nie wnikając się w spory ideowe czy grupowe podziały, dostrzegam w tym ruchu — zwłaszcza w okresie ostatnich kilku miesięcy — zjawiska, które świadczyłyby o zatraceniu — przez niektórych przynajmniej aktywistów — ducha pluralizmu, deklarowanego przecież *expressis verbis*. Duża kultura polemiczna i publicystyczna Poleskiego uświadamia mi, że nawet o kwestiach wywołujących kontrowersje pisać można, a co więcej — pisać należy.

Istotne dla mnie jest wreszcie i to, że obecnie — w okresie wyodrębniania się coraz wyraźniejszych podziałów, a także wzrostu grupowych partykularizmów — potrzebne są uwagi na ten temat ze strony osób nie związanych ściśle z żadnym z głównych ugrupowań. Myślę, że ważne jest także prezentowanie czytelnikowi polskiemu na Zachodzie refleksji o sytuacji w Kraju, pisanych z zamiarem uniknięcia opowiadania się za Kuroniem, a przeciw Moczulskiemu czy odwrotnie. Chciałbym, ażeby moje uwagi pomogły w pełniejszym rozeznaniu sytuacji w Polsce tym, którzy nie mogą być fizycznie z nami, żyją tymi samymi ideałami i niosą nam wydatną pomoc. Staram się zatem pisać o zjawiskach i faktach, a nie kierować się osobistymi predylekcjami.

Zgadzam się z opinią Poleskiego, że teksty Kuronia niejednokrotnie odrywają się od społecznego kontekstu i nie uwzględniają prostych a podstawowych realiów, tj. bardzo znikomego oddziaływania aktywności opozycji na bierne wszak społeczeństwo. Nie chodzi tutaj jednak o osobę Kuronia, a o zjawisko, bowiem ten sam zarzut można postawić także innym publicystom pisującym poza zasięgiem cenzury. W sytuacji kiedy opozycja to kilka tysięcy ludzi, mówienie o walce o ludzi i wpływy wydaje się dość naiwne. Oczywiście nie można nie doceniać wielkiej wartości odrodzenia myśli politycznej i społecznej w Polsce, jeśli uświadomimy sobie, że jeszcze parę lat temu każda taka próba kończyła się w więzieniu.

Zjawisko krystalizowania się odmiennych ośrodków myśli programowej w polskiej opozycji, a co za tym idzie — ideowych sporów, jest nieuniknione i naturalne. Ma ono przecież pozytywny charakter; wynika z demokratycznej zasady wolności gło-

szenia poglądów, przeciwstawianej totalitaryzmowi, w którym wszystkich obowiązują poglądy nakazane przez autorytarną władzę. Uważam jednak, że nie zawsze korzystne jest przenoszenie podziałów politycznych na całokształt form działania opozycji w Polsce, bowiem wówczas może dojść do zatarcia poczucia elementarnych wartości, *consensus* co do których leży w punkcie wyjścia wszelkich działań na rzecz demokracji i niepodległości.

Krytycznie odnoszę się do niektórych form prowadzenia sporów ideowych czy programowych wewnątrz opozycji; nie chodzi tu tylko o drukowane artykuły czy publiczne dyskusje, lecz także o opinie wypowiedzane w innych okolicznościach, a przecież kursujące potem jakoś w opozycyjnym świecie. Może właśnie w tych poglądach czy opiniach o poszczególnych osobach jeszcze częściej zaznacza się brak ducha pluralizmu, ciężący przynajmniej nad częścią aktywistów opozycji. Zjawisko to zaznacza się wyraźnie zwłaszcza w ostatnim okresie, kiedy podziały ideowe stały się bardziej klarowne.

Faktem jest, że Jacek Kuroń ma wielu ideowych przeciwników, którzy swój krytyczny stosunek opierają na komunistycznym rodowodzie Kuronia. Przez pryzmat tej ideowej genealogii odczytują jego programowe tezy. Żeby być dobrze zrozumianym podkreślam, że poglądy Kuronia odbieram bez wielkiego entuzjazmu. Mówiąc najkrócej — odnoszę wrażenie, że zarówno idea „finlandyzacji” Polski jak i koncepcja organizowania się społeczeństwa w samorządowe grupy, mające w efekcie doprowadzić do demokratycznej mutacji systemu, są zbyt utopijne i abstrakcyjne. *Ergo* nie uważam, aby jedyną inspiracją dla działalności opozycyjnej miał być program głoszony przez Kuronia. W odróżnieniu jednak od wspomnianych „ideowych przeciwników” nie przenoszę swojej opinii o publicystyce tego autora na jego konkretną działalność społeczną. Antagoniści Kuronia zdają się zapominać o jego zasługach jako animatora KOR-u w okresie, kiedy gnębiono robotników z Radomia i Ursusa. Spotykam się także z rozciąganiem niechęci do tekstów Kuronia na cały KSS „KOR”, co świadczy o zdominowaniu realnej oceny rzeczywistości przez własne animozje polityczne czy nawet osobiste. Zapomina się nieraz o tym, że KOR i jego działalność były najważniejszym czynnikiem, który dał w efekcie aktualny rozwój opozycji w Polsce.

Zjawisko obecnych różnic ideowych w antytotalitarnej opozycji można ująć jako wynik przejścia od etapu konkretnych działań interwencyjnych (głównie obrony maltretowanych i więzionych uczestników czerwcowego protestu) do etapu, na którym stało się możliwe formułowanie myśli programowej i politycznej. Jest rzeczą interesującą, że w momencie, kiedy znów zaistniała konieczność akcji interwencyjnej, w okresie uwięzienia działaczy KOR-u w 1977 roku — w myśl zasady *crescente periculo crescunt vires* — wszystkie środowiska wystąpiły w ich obronie, pomimo zaznaczonych już wówczas podziałów, o których mowa. Podob-

nie było w okresie wzmożenia represji przeciw Kazimierzowi Świtoniowi. Nie chcę wcale powiedzieć że obecnie zaniechano konkretnych działań społecznych; wprost przeciwnie — dyskusje ideowe stanowią niewielki i — jak sądzę — nie najważniejszy, choć może skupiający wiele uwagi wycinek działalności opozycji. Nie należy jednak podziałów politycznych przenosić na te formy działań, które — z istoty swej — polityczne nie są. Tak więc działalność TKN-u, choć w znacznym stopniu animowana przez osoby związane z KSS „KOR”, nie może uchodzić za przejaw realizowania politycznego programu Kuronia, z którym polemizują jego adwersarze. TKN to po prostu walka o kulturę narodową, o prawo do wolnej nauki. Podobnie traktowanie *en bloc* KOR-u jako ośrodka formułującego program polityczny, z którym można się zgadzać lub nie, jest błędem, który popełnia wielu ideowych przeciwników grupy skupionej wokół *Krytyki*. *Nota bene* jeden z redaktorów tego pisma, Konrad Bieliński, jest autorem tekstu, który z uwagi na jego walory chciałbym w tym miejscu przywołać. Mam na myśli artykuł „O wartościach i działaniu”, który jest według mnie właśnie przykładem tak nam potrzebnego myślenia o celach działania opozycji w kategoriach — jak powiada autor — „uniwersalnych wartości ludzkiego życia zbiorowego”, co uchroniłoby opozycję przed niebezpieczeństwem „alienacji postulatów politycznych”, na którą — jak się zdaje — część tej opozycji zaczyna cierpieć.

Mówiąc krótko: nad myśleniem części polskich opozycjonistów ciąży tendencja do stawiania pod jednym strychulcem poglądów ideowych, ich autorów, grup, z którymi ci autorzy są związani i działań — także o charakterze społecznym czy kulturalnym — podejmowanych przez te grupy. Można to nazwać pewną totalizacją myślenia i marną pociechą będzie fakt, że jest to także efekt życia w totalitarnym systemie, który — jak pisze Bieliński — „doprowadził do choroby całego społeczeństwa, do erozji wszystkich wartości życia zbiorowego, przeniknął niepostrzeżenie nasze myśli i działanie, wykoślawił język, w którym musimy formułować nasze sądy i postulaty”.

Poleski zarzuca Kuroniowi brak autentycznego pluralizmu w myśli programowej. Wszelako Kuroń jest autorem listu do zespołu *Bratniaka*, opublikowanego w 16 numerze tego pisma. Myślę, że list ten jest jednak utrzymany w duchu pluralizmu i pragnienia szukania tego, co łączy, a nie podkreślenia różnic. Ale tej dobrej woli nie sposób doszukać się w odpowiedziach trzech redaktorów *Bratniaka*. Podobnie opublikowana niedawno Deklaracja Ruchu Młodej Polski jest dla mnie przejawem właśnie zamknięcia się jej autorów na wartości pluralizmu. Nie znaczy to, żebym nie doceniał roli idei narodowej, którą podnosi autorzy deklaracji, uważam jednak, że głoszenie tego postulatów w formie kategorycznej wyłączności może doprowadzić do alienacji celów formułowanych w ten sposób.

Chyba słusznie tłumaczy Poleski abominację Kuronia do dzia-

łań konspiracyjnych „chęcią racjonalizacji własnych doświadczeń organizacyjnych”. W tych samych psychologicznych kategoriach można starać się wyjaśnić inne kontrowersyjne zjawiska, nie tylko opowiadanie się za konspiracją lub przeciwko niej. Kuroń podobnie jak wielu opozycjonistów jest niezależny od państwa — w sensie zawodowym, ekonomicznym, socjalnym — łatwo mu więc ferować wyroki, że „konspiracja oszukuje ludzi”. Nieco inny pogląd mają ci, którzy prowadzą „normalne życie”, co w PRL oznacza korzystanie z przywilejów przyznawanych przez państwo posłusznym: pracy, kształcenia się, zarobku, ubezpieczenia, paszportu. Wszelchobecne UB może w każdej chwili któregoś z tych przywilejów pozbawić, nic więc dziwnego, że ludzie starają się uniknąć kontaktu z tą instytucją. Kuroń wspomina, że to właśnie strach przed represjami jest jednym z głównych czynników zniewalających ludzi i prócz jawnej działalności, na którą oni się nie zdecydowali, nie ma im nic do zaproponowania. Zamknięty charakter grup, które tworzy opozycja, sprzyja właśnie zapominaniu o szerszym kontekście jej działania, tj. warunkach życia społeczeństwa, a te wszak ciągle się pogarszają. Kryzys gospodarczy, polityczny i moralny, którego pierwszym dramatycznym akordem był Czerwiec 76, trwa, a nawet się pogłębia — wystarczy przejść się po sklepach, porozmawiać z ludźmi w kolejkach i policzyć pijanych spotykanych na ulicach. Z drugiej jednak strony ten zamknięty krąg opozycji powoduje, że władze nie są w stanie rozbić owych grup bez uciekania się np. do licznych aresztowań.

Wspomniana ekstrapolacja własnych ocen i doświadczeń na innych prowadzi czasem do błędnej oceny obiektywnych realiów. Działacze Ruchu Obrony są przekonani, że Wolna Europa foruje KOR, zaś jeden z członków KOR-u powiedział mi kiedyś, że RWE foruje... Ruch Obrony. Od kilku lat jestem wiernym słuchaczem tej rozgłośni i nie sądzę, aby istniały podstawy do przypuszczeń, że RWE wyróżnia którekolwiek z ugrupowań opozycyjnych kosztem innego. Natomiast istotnym problemem, którym jakoś nie przejmują się opozycjoniści, są ograniczenia nakładane na tę rozgłośnię przez czynniki Departamentu Stanu USA.

Chciałbym jeszcze zatrzymać się nad kontrowersyjnym charakterem opinii które towarzyszyły powołaniu Konfederacji Polski Niepodległej czy — nieco wcześniej — Ruchu Porozumienia Polskich Socjalistów. Obie te inicjatywy związane są z osobami skupionymi wokół Leszka Moczulskiego. Chcę się uchronić w tym miejscu od ferowania wyroków o intencjach oraz dobrej czy złej woli kogokolwiek, atoli faktem jest, że obie te inicjatywy wywołały wiele zastrzeżeń wśród innych ugrupowań opozycji. Wydaje się, że sam Moczulski dał po temu asumpt, decydując się na wykorzystanie motywów „konkurencyjności” czy też „walki o ludzi i wpływy”, co w sytuacji, kiedy podstawową rzeczą powinna być jedność wszelkich sił niepodległościowych i de-

mokratycznych może budzić wątpliwości. Podobny motyw przyświecał chyba Moczulskiemu po święcie Niepodległości, kiedy zinterpretował zwolnienie z aresztu Michnika wcześniej niż działaczy KPN-u jako objaw bardziej przychylnego stosunku władz do KOR-u. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, żeby domyślić się, że UB wcześniej wypuściło Michnika właśnie po to, żeby wygrać antagonizmy wewnątrz opozycji i Moczulski bez zastanowienia połknął ten haczyk, zapominając, że właściwy podział przebiega nie pomiędzy nim a Michnikiem, lecz pomiędzy nim i Michnikiem a UB.

Nie jestem przeciwnikiem Moczulskiego i bardzo byłbym rad, gdyby *Gazeta Polska* osiągnęła 100 tys. nakładu. Podobnie nie odmawiam znaczenia pozytywnym stronom powołania jawnej partii niepodległościowej, co sprzyjać może uświadamianiu opinii na Zachodzie, że PRL nie jest państwem niepodległym (inna sprawa, że podległością czy niepodległością Polski nikt się na Zachodzie specjalnie nie przejmuje); szkoda jednak, że okoliczności ukonstytuowania się KPN-u powodują tak wiele kontrowersji.

II

Słabością niezależnej myśli politycznej w Polsce jest ścisłe trzymanie się tradycji, opieranie własnych programów na podziałach ideowych, które straciły sens z chwilą wkroczenia na nasze ziemie „wyzwolicielskiej” Armii Czerwonej, czyli z chwilą ustanowienia nowego ustroju — sowieckiego modelu totalitaryzmu. System ten nie tylko unicestwił dawną społeczną rzeczywistość, ale skasował także tradycyjne podziały: „lewica — prawica”, „postępowy — wsteczny”. Pojęcia zostały wywłaszczone ze swych znaczeń i nie mogą dziś służyć do kreowania programów politycznych, jeśli nie uwzględni się zasadniczego podziału na tych, którzy ten system popierają i tych, którzy z nim walczą. Zadaniem myśli politycznej w Polsce powinno być formułowanie celów w kategoriach nowych, odpowiadających warunkom, w jakich żyjemy, a nie „straszenie się widmami przeszłości” — powoływanie się na ideowych antenatów, którzy myśleli i działali w zupełnie innych okolicznościach. Zadaniem zaś całej opozycji jest zachowanie poczucia tożsamości celów — walki z wszelkimi formami sowieckiego modelu ucisku.

Myszę że każdemu z wyodrębnionych już nurtów politycznych wewnątrz antytalitarnej opozycji w Polsce przydałaby się chwila refleksji nad warunkami, w jakich działają, nad rzetelnym rozeznaniem społecznej rzeczywistości. Jeśli pominie się etap diagnozy społeczeństwa — sposobu myślenia jednostek, zachowania się grup, funkcjonowania pojęć z dziedziny ideologii i polityki w świadomości społecznej — tych wszystkich elementów, które konstytuują rzeczywistość totalitarnego zniewolenia

— traci się możliwość opierania politycznych programów na realnych podstawach. Nikt nie odmawia wielkości Piłsudskiemu, Dmowskiemu czy Witosowi, ale to już przeszłość i zapatrzenie w nią niewiele pomoże do wyzwolenia z ucisku.

Sposób w jaki nurt niepodległościowy formułuje swoje programy ma jedną elementarną lukę. Brakuje mu właściwej diagnozy nowego modelu niewoli, w której żyjemy. Inaczej niż w tragicznej przeszłości — nie ma okupanta, bo nie są nim przecież sowieckie wojska stacjonujące w Polsce. Jest państwo ze swoimi granicami, rządem, parlamentem, polityką zagraniczną, konstytucją — wszystkimi atrybutami wolnego tworu politycznego. A jednak — nie jesteśmy wolni. Żyjemy bowiem w s a m o o k u p a c j i, satanicznym wynalazku sowiezizmu, w najbardziej poniżającej formie niewoli. Dopóki nurt niepodległościowy nie uświadomi sobie jasno tej elementarnej prawdy — zapatrzenie w przeszłość, rozprawianie o tym, jak myśmy bili lub jak nas bito (częstsze niestety to ostatnie...) nie przybliży nam dnia wolności. Marszałka nikt nie wskrzesi, a mury Kremla nie rozpadną się od jeremiad nad polityką PZPR-u.

Natomiast swoim Przyjaciółom z RMP proponuję zwrócenie uwagi na pewne interesujące zjawisko. Wszystkie narody z którymi graniczymy od zachodu, wschodu czy południa są dziś dławione przez knebel tego samego, sowieckiego chowu, który i u nas stara się unicestwić drogie nam wszystkim wartości. Sowietyzm nie znosi wszelkich nacjonalizmów i dlatego obawa, którą łączę z programem narodowym bierze się stąd, że może się on stać przyjęciem — *à rebours* — płaszczyzny narzucanej nam przez system. W sytuacji w której żyjemy myśl narodowa musi się wzbogacić o nowe treści, jeśli nie chce się zamknąć w zbyt wysokich okopach, zza których już nie widać, co się dzieje wokół. Chyba w słowach Papieża można odnaleźć wiele inspiracji dla nowego rozumienia idei narodu we współczesnej rzeczywistości, rozumienia w kategoriach wartości uniwersalnych, czerpanych z Ewangelii, która jest wszak ponad granice, podziały etniczne czy polityczne.

Podczas gdy zapatrzenie niepodległościowców czy narodowców w przeszłość ma charakter „pozytywny”, nad tzw. „lewicą laicką” ciąży przeszłość „negatywna” — cienie Dzierżyńskiego, Berii czy Różańskiego. Jeden z redaktorów *Krytyki* mówił kiedyś: „Musimy wziąć na swoje barki odpowiedzialność za zbrodnie okresu stalinowskiego”. Tylko po co i dlaczego?! Znowu mary przeszłości snują się na horyzoncie myślowym ludzi, którzy przecież z Wielką Kolektywizacją czy MBP nie mają nic wspólnego (przynajmniej dla mnie). Kuroń stwierdza, że pytanie „czy ethos lewicy zawiera przesłanki totalitaryzmu?” jest najważniejsze dla polskiej myśli programowej. Czy nie jest to dowodem bronięcia własnej postawy ideowej przed zarzutami politycznych antagonyzistów przez przyjmowanie optyki właśnie przez nich dyktowanej? Chyba wyraźne odcięcie się od praktyk dokonywanych od

ponad 60 lat pod hasłem „budowy społeczeństwa socjalistycznego” byłoby wystarczającą legitymacją dla występowania przez redaktorów *Krytyki* z własnym programem politycznym, a opartym wszak o wartości pluralizmu i niepodległości.

Wyjaśniam w tym miejscu, że użyłem skrótu „tzw.” przed „lewicą laicką” jedynie dla podkreślenia nadużywania tego terminu. Wyjęty z książki Michnika, gdzie służył dla określenia pewnej grupy osób, łączonych przez autora w jedną orientację ideową, jest teraz używany w stosunku do ludzi, którzy zupełnie nie poczuwają się do stanowienia jakiejś „lewicy laickiej”. Dowodzi to, że opozycja nie potrafi wypracować zespołu pojęć, które adekwatnie opisywałyby obecną rzeczywistość polityczną w Polsce. Chyba nikt nie umiałby odpowiedzieć na banalne pytania: „Co to jest opozycja w Polsce?”, „Kto jest opozycjonistą?”. Czy ci, którzy podpisali listy protestacyjne do władz? Ci, których nęka UB? — określenia za wąskie, bo są tacy opozycjoniści, którzy nic nie podpisali i którzy nie są znani policji. To może ci, którym się ustrój nie podoba? — 90 % społeczeństwa! To może bezpartyjni? — profesor Lipiński do kwietnia 1977 roku był członkiem partii. Czy ks. Prymas należy do opozycji? A partyjni Bratkowski? Doprawdy, powszechne używanie tak mętnego pojęcia świadczy o ignorowaniu podstawowej zasady „poprawnego posługiwania się mową” w sytuacji, gdy *newspeak* systemu właszcza słowa z ich znaczeń.

III

Wróćmy jednak do tarć, sporów i rozłamów. Nie uważam, aby zjawiska te miały rzutować na cały obraz antytotallitarnego ruchu w Polsce. Antagonizmy i różnice są widoczne głównie na „szczytach” opozycji — wśród liderów i autorów tekstów programowych. Natomiast my — pomniejsi działacze czy nawet aktywni kibice — możemy znaleźć „coś dla siebie”, takie formy zaangażowania, gdzie podziały grupowo-polityczne nie docierają czy po prostu nie mają znaczenia. Dla środowisk, które doświadczają tak konkretnych form ucisku jak brak autentycznego przedstawicielstwa związkowego, zakazy obejmujące całe dziedziny wiedzy humanistycznej, próby usunięcia z ziemi, zakazy budowy świątyń czy różnorakie administracyjne szykany — antytotallitarna opozycja stworzyła ramy do walki o swoje prawa. Różnice ideologiczne i światopoglądowe nie są przeszkodą dla działaczy wolnych związków zawodowych, ruchu ludowego czy SKS-ów.

Także dla małej dbałości o pełne rozeznanie społecznej rzeczywistości czy pewnego „abstrakcjonizmu” niektórych programowych artykułów można znaleźć pozytywne kontrprzykłady. Jednym z nich jest dla mnie ogłoszona w piśmie *Robotnik Karta Praw Robotniczych* — dokument postulujący konkretne i — co ważne — realne działania, mogące przyciągnąć wielu ludzi. Innym

przykładem są dokumenty niezależnego ruchu chłopskiego, postulujące bardzo nośne — jak pokazuje ostatni okres — organizowanie się chłopów dla obrony swych praw.

Wysokim poziomem i podejmowaniem tematów rzeczywiście istotnych dla mas społecznych w Polsce wyróżniają się teksty Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Zarzut Kuronia, że działalność proponowana przez PPN jest przeznaczona dla wąskiej grupy intelektualistów i w zasadzie nie wiąże się z problemami, którymi żyje społeczeństwo, był albo nie przemyślany, albo sformułowany w oparciu o kilka pierwszych tekstów wydanych przez PPN.

Nie staram się w tym artykule dokonać bilansu opozycji, choć z drugiej strony taki bilans, oparty o krytycyzm wobec własnych dokonań i tolerancję w stosunku do ideowych przeciwników, byłby bardzo przydatny. Potrzebna jest samoświadomość opozycji, tak jak potrzebne jest ciągłe podkreślanie wagi wspólnych, podstawowych wartości, gwałconych przez system. Polemiki i rozpatrywanie różnic mogą być twórcze, jeśli opierają się na zasadach pluralizmu i uszanowaniu przeciwnika. Jeśli zaś temperament i osobiste animozje zacierają możliwość realnej oceny zjawisk, rodzą się niepotrzebne insynuacje i bezpodstawne pomówienia, czego smutnym przykładem jest artykuł M. M. Skuzy „Odwrotna strona medalu”. Choć jak sądzę inspiracją autora była szczerza troska o losy opozycji w Polsce, powstające w czasie lektury jego tekstu skojarzenia z działalnością policyjnych publicystów *Życia Warszawy* przysporzyły mi wiele przykrości.

Uwagi te chciałbym zakończyć refleksją, która być może określa jedno z niebezpieczeństw na drodze działania opozycji demokratycznej w Polsce. Otóż faktem jest, że nie ma ona żadnego (a w najlepszym wypadku prawie żadnego) wpływu na sytuację w Kraju. I niepokoi mnie to, że liderzy opozycyjnych orientacji tak rzadko ten fakt dostrzegają. W miejsce dążeń do oparcia swoich programów na bardziej realnym społecznym gruncie i starań o transmisję ruchu antytotitalarnego do coraz szerszych kręgów i grup ludzi nierzadko skupiają się oni głównie na krytyce poglądów czy postaw swoich przeciwników. Jeśli opozycja nie chce stać się marginalnym ornamentem sytuacji w Polsce i ciekawostką dla zachodnich dziennikarzy, więcej uwagi musi skupić na szukaniu dróg do zdobycia wpływu na rozwój wypadków w Kraju, a mniej na roztrząsaniu czyje poglądy są lepsze. Świetną antycypacją takiej sytuacji, w której opozycja jest tylko jakimś zamkniętym małym światkiem, wokół którego bez przeszkód funkcjonuje degenerująca społeczne życie machina systemu, jest ostatnia powieść Konwickiego „Mała apokalipsa”. Ale gdyby już teraz nie istniały elementy tej sytuacji, Konwicki nie mógłby stworzyć właśnie takiej wizji naszej rzeczywistości.

Zamykam swoje refleksje krótkim cytatem ze wspomnianego artykułu Macieja Poleskiego. Przytaczam zdania, które powinny stanowić motto wszystkich opozycyjnych sporów:

„Istota tego (społecznego) *consensusu* polega, jak sądzę, na tym, by stosując wszystkie dostępne metody objąć aktywnością antytotitalarną i niepodległościową jak najszerszy krąg ludzi. Po to nie trzeba dochodzić pierwszeństwa hasła antykomunizmu w stosunku do haseł niepodległościowych, w które wolna myśl i wolne działanie może się wcisnąć”.

Ja nie jestem za Poleskim, a przeciwko Moczulskiemu czy Kuroniowi. Jestem z tymi wszystkimi, którym droga jest wolność człowieka i narodu.

Kazimierz BIAŁOMORSKI

Listopad-grudzień 1979

Co nowego w Ruchu Niezależnym?

I. Przemiany w opozycji

W ciągu roku 1979 zaszły pewne przemiany w strukturze demokratycznej opozycji w Polsce. Nadal, jak się zdaje, najbardziej aktywną społecznie grupą jest Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. Jest on, jak wiadomo, typem inicjatywy społecznej o niesprecyzowanym programie politycznym (a więc nie mającym charakteru partii politycznej), mającym do spełnienia mniej więcej podobne funkcje co istniejące na Zachodzie komitety obywatelskie, z tym jednak, że zakres jego działalności obejmuje wszystkie podstawowe dziedziny życia społecznego. Jednym z głównych zadań KSS „KOR” jest inicjowanie i wspieranie różnorodnych form samoorganizacji społeczeństwa, również koordynacja takich społecznych dążeń. Celem tej działalności jest rozsadzenie totalitarnej struktury komunistycznego państwa i zastąpienie jej strukturą demokratyczną. W ciągu ostatniego roku szereg wypowiedzi KSS „KOR” i jego poszczególnych członków wskazuje na to, że — najogólniej rzecz biorąc — organizacja ta najwięcej czerpie z tradycji socjaldemokratycznych, odrzuca natomiast orientację narodowo-demokratyczną. Tutaj jednak konieczne jest zastrzeżenie: w żadnej mierze nie można tej uwagi odnosić do wszystkich bez wyjątku członków KSS „KOR”. Jednakże szczególna aktywność Jacka Kuronia, redakcji *Krytyki* a

także redakcji *Głosu*, w skład których wchodzi członkowie KSS „KOR” pozwala sądzić, iż poglądy przez nich reprezentowane stanowią siłę dominującą. W odbiorze publicznym KSS „KOR” najczęściej kojarzony jest z osobą Jacka Kuronia, będącego w mniemaniu potocznym leaderem tej grupy. Daleka jestem od podzielenia tego sądu, ale opinię tę muszę z obowiązku kronikarskiego przytoczyć.

Drugą grupą, o wiele mniej w tej chwili widoczną, jest Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela skupiony wokół Andrzeja Czumy. Po rozłamie w ROPCiO widać wyraźne załamanie się aktywności tej grupy. Przy czym, jak się zdaje, nastąpiło jej częściowe zbliżenie do KSS „KOR”. Widoczne są próby podejmowania wspólnych akcji (np. głódówka w obronie dysydentów w Czechosłowacji).

Powstała nowa organizacja — Konfederacja Polski Niepodległej (KPN). Założycielem jej jest Leszek Moczulski, dotychczasowy działacz ROPCiO. KPN ma stanowić partię polityczną o częściowo jawnej, częściowo konspiracyjnej strukturze. Wprowadzono legitymacje partyjne, obowiązują bodaj trzy stopnie wtajemniczenia czy uczestnictwa. Sama nazwa oraz niektóre wypowiedzi Moczulskiego zdają się wskazywać na związek ideowy z okupacyjną Konfederacją Narodu oraz tradycjami narodowej demokracji. KPN traktuje się od chwili powstania jako siłę konkurencyjną wobec KSS „KOR”. Niektóre wypowiedzi, głównie Moczulskiego, wskazują na dążenie do podważenia społecznego zaufania w intencje poszczególnych członków KSS „KOR”, zwłaszcza zaś Jacka Kuronia. Niedwuznacznie daje się tu do zrozumienia, że KSS „KOR” stanowi coś w rodzaju komunistycznej agentury w ruchu demokratycznej opozycji. Taki sens ma programowa wypowiedź Moczulskiego w *Drodze* oraz szereg artykułów pomieszczonych w *Gazecie Polskiej*.

Daje się zauważyć zmniejszona w porównaniu z poprzednimi latami ilość publikacji Polskiego Porozumienia Niepodległościowego — jedynej publicznej formy działania tej organizacji. Zmniejszyła się także aktywność Komitetów Samoobrony Chłopskiej, niezależnych związków zawodowych oraz Studenckich Komitetów Solidarności. Praktycznie rzecz biorąc działają obecnie jedynie dwa komitety studenckie — krakowski i wrocławski, powołany został w styczniu lubelski Komitet Obrony Jasnej Góry (w związku z budową autostrady w bezpośredniej bliskości klasztoru). Również mniej widoczna jest aktywność Komitetów Samoobrony Ludzi Wierzących, choć zwiększyła się ich liczba.

W połowie roku 1979 powołany został Ruch Młodej Polski, skupiony wokół wydawanego w Gdańsku pisma *Bratniak*. Sądząc z artykułów tam zamieszczanych i z deklaracji ideowej RMP,

jest to ugrupowanie o charakterze politycznym nawiązujące do tradycji narodowej demokracji, ale też podejmujące wysiłek prze wartościowania tej tradycji.

W roku 1979 powstały dwa Kluby Samoobrony Społecznej — jeden na Dolnym Śląsku, drugi w poznańskim. Skupiają one działaczy różnych ugrupowań opozycyjnych. Wspomnieć też wypada o dość dla mnie tajemniczej organizacji „Polska Walcząca”, o której na łamach *Kultury* wspominał Poleski.

Zupełnie nowym zjawiskiem jest aktywność publiczna Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, którego *Raport o stanie Rzeczypospolitej* stał się pod koniec 1979 roku jednym z istotnych głosów dotyczących życia społecznego w Polsce. Konwersatorium to nie jest jednak z założenia związane z ruchem demokratycznej opozycji. Uczestniczą w nim zarówno członkowie PZPR jak bezpartyjni, jest to rodzaj klubu społeczno-politycznego funkcjonującego na pół oficjalnie.

Innym tego typu zjawiskiem jest ujawniona w początkach roku 1980 wewnętrzna opozycja w oficjalnym Socjalistycznym Związku Studentów Polskich w Krakowie, zmierzająca do rozwiązania tej organizacji i zastąpienia jej przez dwie różne: jedną o charakterze normalnego zrzeszenia studentów w rodzaju Bratniej Pomocy i drugą o charakterze polityczno-ideologicznym.

Warto tu zwrócić uwagę na fakt, że aktywnie w niezależną działalność społeczną zaangażowani są w przeważającej liczbie ludzie „luźni” (studenci, często uczniowie liceów) oraz przedstawiciele wolnych zawodów. Stosunkowo niewielką liczbę działaczy stanowią robotnicy i chłopi, choć bez wątpienia w tych środowiskach opozycja demokratyczna znajduje coraz większe sympatie. Trzeba jednak pamiętać, że wciąż jeszcze nawet w dużych skupiskach miejskich bardzo liczne środowiska nie wiedzą nic lub prawie nic o działalności opozycyjnej. Bez wątpienia środowiskiem najlepiej się orientujących jest środowisko inteligencji i sama opozycja ma charakter raczej inteligentki.

Oceny dziennikarzy zachodnich szacują ilość aktywnych uczestników niezależnych inicjatyw na ok. 10 tys. osób. Trudno te oceny sprawdzić. Można jednak bez obawy popełnienia błędu założyć, że grupa ta nie przekracza 15 tys. Natomiast jest sprawą dużej wagi fakt, iż działacze i współpracownicy niezależnych ruchów demokratycznych w Polsce działają już we wszystkich większych skupiskach na terenie kraju — świadectwem tego są wykazy osób szykanowanych publikowane w komunikatach KSS „KOR”.

Coraz bardziej widoczne staje się powolne wygasanie czy zahamowanie wzrostu inicjatyw terenowych przy jednoczesnym dążeniu do tworzenia organizacji o zasięgu ogólnokrajowym.

II. Niezależne inicjatywy

Niewątpliwie najbardziej widoczną inicjatywą niezależną jest rozwijający się coraz bardziej ruch wydawniczy. Tutaj widoczne jest dążenie do uruchamiania coraz większej ilości wydawnictw lokalnych. Obok Niezależnej Oficyny Wydawniczej, kierowanej przez członka KSS „KOR” Mirosława Chojckiego i będącej najpoważniejszym wydawnictwem niezależnym w kraju, powstaje szereg oficyn drobniejszych, o ograniczonym zasięgu.

Wśród wydawnictw NOW-ej opublikowanych w 1979 roku znajdujemy „Miazgę” J. Andrzejewskiego, „Błaszany bębenek” G. Grassa, „Gryps” J. Ficowskiego, „Małą apokalipsę” T. Konwickiego, „Kuriera z Warszawy” J. Nowaka, „Rozmowy z Gombrowiczem” Dominique de Roux, wiersze i „Zniewolony umysł” Cz. Miłosza, „Gnidzi Parnas” P. Wierzbickiego i „Moskwa-Pietuszki” W. Jerofiejewa (obie pozycje w Bibliotece *Pulsu*), „Na probostwie w Wyszkowie” S. Żeromskiego, przekłady Mandelstama i Brodskiego, wybór z rocznika *Kultury* za rok 1978, wybór artykułów z *Prawdy* z września 1939 roku, „Raport o stanie Rzeczypospolitej” w opracowaniu DiP, kolejne zeszyty *Zapisu* i *Pulsu* oraz dwa zeszyty TKN — „Język propagandy” i T. Burka „Jaka historia literatury jest nam dzisiaj potrzebna?”. Część z zaprezentowanych tu publikacji to przedruki z wydawnictw emigracyjnych, większość jednak to pozycje oryginalne. Znaczenia działalności NOW-ej dla kultury polskiej nie sposób przecenić.

W stosunku do produkcji NOW-ej ilość publikacji pozostałych wydawnictw jest niewielka. Wydawnictwo im. Konstytucji 3-go Maja wydało Bregmana „Najwierniejszy sojusznik Hitlera”, dywagacje historiozoficzne K. Janusza, S. Kisielewskiego „Czym jest socjalizm?” oraz specjalny numer *Przeglądu* poświęcony wizerunku Jana Pawła II w Polsce. Ta ostatnia publikacja zasługuje na szczególną uwagę ze względu na staranność wydania: zawiera kolorowe i czarnobiałe wkładki fotograficzne, a przede wszystkim dość bogaty wybór komentarzy z najpoważniejszej prasy światowej. Kolejne wydawnictwo to poznańska Witryna Literatów i Krytyków (WLiK), która opublikowała przekłady E. E. Cummingsa (Barańczak), B. Brechta (Krynicky) oraz wiersze L. Dymarskiego. Krakowska Oficyna Studentów (KOS) wydała dwa eseje Orwella oraz tom wierszy A. Zagajewskiego „List”. W warszawskiej Bibliotece *Głosu* ukazały się trzy pozycje: „Zatruta humanistyka” B. Cywińskiego, szkice krytyczno-literackie Leszka Szarugi „Własnymi słowami” oraz szkice polityczne Marka Tarniewskiego. W innych wydawnictwach ukazały się wiersze An-

toniego Pawlaka (Biblioteka „Agory” we Wrocławiu), szkice Gombrowicza (Wydawnictwo „Punk”), „Dzienniki” Gombrowicza z lat 1953-55 (Wydawnictwo „Klin”), przedruki z *Aneksu* (Wydawnictwo „Europa”), rosyjskie wiersze Broniewskiego oraz „Strofy zakazane”, wybór niewznawianych wierszy z okresu Października (Wydawnictwo „Archiwum”), polityczne szkice Madeja oraz wspomnienia ks. Bukowińskiego (Biblioteka *Spotkań*), „Dziennik węgierski” W. Woroszyńskiego (Wydawnictwo „Samizdat”).

Poza działalnością wydawniczą kontynuowana jest akcja Towarzystwa Kursów Naukowych. Po akcjach bojówek młodzieży komunistycznej, działających pod patronatem władz najwyższych (Gierek osobiście wręczył przed kamerami telewizyjnymi legitymację partyjną jednemu z prowadzących) niemal całkowicie zaprzestano organizowania otwartych wykładów. Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej z początkiem roku akademickiego 1979/80, gdy akcje policyjne praktycznie sparaliżowały otwartą i jawną działalność TKN. W związku z brutalnością i nagminnością akcji wymierzonych przeciw TKN, zajęcia Towarzystwa odbywają się obecnie w zamkniętych grupach seminaryjnych i mają charakter półkonspiracyjny. Ważnym efektem pracy Towarzystwa są dotychczas wydane zeszyty poświęcone językowi propagandy i historii literatury. Przygotowywanie tego typu wydawnictw stanowi tę formę działalności TKN, która pozwala objąć inspirującym wpływem Towarzystwa dużo szersze kręgi niż dotychczas. Coraz też częściej słyszy się postulaty opracowywania przez TKN choćby zwięzłych syntez dotyczących zagadnień gospodarczych, socjologicznych czy historycznych. Równie potrzebne są wszelkiego rodzaju wypisy z fachowej literatury niedostępnej w kraju. W tym względzie Towarzystwo ma wiele do zrobienia, nie zawsze jednak może tym zadaniem sprostać. Wynika to z faktu bardzo skromnych zasobów finansowych TKN. Wielu działaczy i naukowców wkłada sporo wysiłku społecznie, jednakże istnieje pilna potrzeba zgromadzenia funduszy pozwalających na opłacanie tłumaczy, badań specjalistycznych itp. Niewystarczający jest też fundusz stypendialny. Wszystko to są problemy złożone, wymagające od organizatorów tej działalności naukowej bardzo ostrożnego manipulowania posiadanymi sumami. Olbrzymią pomoc w pracy Towarzystwa stanowią sumy uzyskiwane ze składek rodaków przebywających na Zachodzie.

Obserwuje się obecnie we wszystkich większych ośrodkach miejskich, zwłaszcza akademickich, powstawanie licznych grup dyskusyjnych i samokształceniowych w kręgach młodzieży licealnej i studenckiej, a także w zawodowych kręgach inteligencji twórczej. Grupy te działają niezależnie od TKN (mają na ogół

charakter towarzyski), choć publikacje Towarzystwa, nagrania kasetowe z wykładów i inne wydawnictwa pozacenzuralne stanowią przedmiot szczególnego zainteresowania tych grup.

Natomiast niemal zupełnie uniemożliwiono pracę niezależnej wszechnicy ludowej w Zbrozzy Dużej. Trudności w wykonywaniu swych funkcji mają także niezależne biblioteki, których sieć w ciągu roku 1979 bardzo się rozrosła.

Ogólnie rzecz biorąc kontrakcja policyjna bardzo silnie ograniczyła możliwość otwartej niezależnej działalności naukowej i samokształceniowej. Tym samym działalność ta podejmowana jest w izolowanych od siebie, często półkonspiracyjnych grupach. Jednym z czynników organizujących ją z zewnątrz są wydawnictwa niezależne. W tej sytuacji konieczne jest podjęcie inicjatyw pozwalających na pośrednie sterowanie procesami samokształceniowymi, uruchomienie punktów poradnictwa w poszczególnych dziedzinach (np. poprzez wydawany poza zasięgiem cenzury biuletyn naukowy). Sporą rolę mogą tu też odegrać programy radia zachodniego.

Bez wątpienia działalność TKN i niezależnych wydawnictw jest jednym z głównych kierunków uderzeń policyjnych. Dano temu wyraz w czasie konferencji prasowej zorganizowanej w MSW z okazji 35-lecia SB i MO.

III. Prasa niezależna

Zwiększyła się liczba tytułów prasy niezależnej — trudno w tej chwili określić liczbę czasopism; myślę, że jest ich już ok. 50, w większości to efemerydy. Obok periodyków o zasięgu ogólnokrajowym ukazują się pisma o wyraźnym przeznaczeniu lokalnym — np. *Kronika Łódzka* lub *Robotnik Wyrzeża*. Nadal nakłady tej prasy, zarówno ze względu na trudne warunki druku, jak ze względu na brak papieru, są dużo niższe niż potrzeby czytelnice. Według szacunkowych danych jeden egzemplarz czytają 20-30 osób. Przy nakładach nie przekraczających 1½-2 tys. (wyjątek stanowią *Robotnik* oraz *Biuletyn Informacyjny* a także „papierki” numer *Przeglądu*) nie jest to wiele. W chwili obecnej ustaliły się w zasadzie kręgi czytelnice poszczególnych tytułów. Warto tu może zauważyć, że nakłady pism są w wielu wypadkach niskie również dlatego, że mimo usilnych starań nie najlepiej funkcjonuje sieć kolportażu i w wypadku zwiększenia nakładu mogłaby ona ulec „zablokowaniu”. Istnieją całe rejony kraju, w których „bibuła” jest zjawiskiem nieznanym lub znanym tylko ze słyszenia.

W zasadzie nasycone są tylko środowiska akademickie i inteligentne. We wszystkich innych widoczny jest głód prasy niezależnej, zwłaszcza na prowincji. Jednym z rozwiązań tego problemu jest położenie większego nacisku na upowszechnianie informacji z prasy niezależnej przez nadające w języku polskim rozgłośnie radiowe na Zachodzie. Od pewnego czasu widać poprawę w tym względzie w audycjach RWE, w których upowszechnia się materiały z *Robotnika*, *Placówki* i innych pism przeznaczonych dla szerszych kręgów czytelnich.

Na pewno do najpoważniejszych pism należą *Biuletyn Informacyjny*, *Robotnik*, *Głos* i *Krytyka* wydawane przez grupy związane z KSS „KOR”. Spośród nowych pism szybko zdobyła sobie uznanie *Res Publica*, kwartalnik poświęcony zagadnieniom politycznym, redagowany przez anonimowy zespół, związany, jak można przypuszczać na podstawie publikowanych materiałów, ze środowiskami inteligencji katolickiej. Interesującym pismem jest organ RMP *Bratniak*: ciekawe zwłaszcza wydają się podejmowane w nim próby przewartościowania tradycji ruchu narodowej demokracji. Stałe miejsce na rynku zdobyły sobie kwartalniki literackie *Zapis* i *Puls*, ostatnio ukazał się też pierwszy numer redagowanego we Wrocławiu pisma literackiego *Tematy*. Wśród nowości wspomnieć należy pisma KPN — *Droga* i *Gazeta Polska*, oba po równi zwrócone przeciw władzom i działaczom KSS „KOR”. Ambitnym pismem jest, sądząc z lektury pierwszego numeru, łódzki kwartalnik polityczny *Aspekt*, redagowany przez grupę działaczy ROPCiO. Natomiast inny organ Ruchu Obrony, *Opinia*, stracił dotychczasowe znaczenie. Zyskuje je natomiast wydawana przez grupę współpracującą z KSS „KOR” *Placówka*, gazeta przeznaczona dla środowisk wiejskich. Lokalny zasięg mają pisma studenckie w rodzaju krakowskich *Sygnatu* i *Indeksu*. Poszukiwany jest wszędzie posiadający stanowczo zbyt niski nakład kwartalnik młodych katolików *Spotkania*.

Jak widać, wybór czasopism jest coraz większy. Systematycznie też rośnie ich zasięg. Wciąż jednak w stosunku do chłonności rynku czytelniczego jest on zbyt ograniczony. Jak dotychczas nie odnotowałam jakichś zmasowanych i przemysłanych akcji policyjnych wymierzonych przeciw prasie niezależnej, w każdym razie jeśli były, przyniosły mizerne efekty. Olbrzymia większość tzw. „wysp” jest raczej dziełem przypadku lub zaniechania podstawowych środków otrockości. Wydaje się też, że jak na razie wciąż jeszcze oddziaływanie prasy niezależnej nie stanowi z punktu widzenia władz problemu o takiej wadze jak działalność TKN, przeciw której zmobilizowano stosunkowo duże siły.

Daje się natomiast obserwować ważne zjawisko związane

z funkcjonowaniem prasy nieocenzurowanej: rozluźnienie rygorów cenzury w wypowiedziach drukowanych na łamach oficjalnych. Jest to wymierny sukces niezależnej działalności wydawniczej. Systematycznie też wzrasta liczba autorów publikujących poza zasięgiem cenzury jawnie, bez stosowania pseudonimów. Wagę obu tych faktów trudno przecenić. Nie mamy co prawda do czynienia z masowym odwrotem pisarzy i dziennikarzy od ocenianych środków przekazu, ale nie można już nie dostrzegać pozytywnego wpływu „drugiego obiegu” informacyjnego na przemianę struktury informacji upowszechnianych oficjalnie.

IV. Demonstracje

Niewątpliwie największą demonstracją duchowej niezależności narodu była w 1979 roku manifestacja związana z wizytą Jana Pawła II. Już w momencie, w którym telewizja polska zmuszona została do transmisji uroczystości rozpoczęcia nowego pontyfikatu podkreślano, że trzy godziny trwający program obrócił wniwecz 35 lat komunistycznej propagandy. W czerwcu mieliśmy do czynienia z autentycznym podniesieniem narodu, z manifestacją godności i wolności wewnętrznej. W sposób oczywisty przekroczono tu zasięg demonstracji uczuć religijnych. Wizyta papieża w Polsce ukazała nie tylko silny związek społeczeństwa z Kościołem; w dużej mierze była okazją do okazania braku więzi z państwem. Obserwowaliśmy zatem nie tylko siłę wiary, lecz również odmowę akceptacji „systemu wartości” narzuconego w życiu społecznym przez system komunistyczny. Dlatego też czerwcową demonstracja w większej mierze ma znaczenie moralne niż ściśle religijne. Jej spontaniczność i masowość — mimo licznych przeszkód ze strony władz — była dowodem wyobcowania reżymu. Nie byłabym skłonna uważać, że Kościół w Polsce stanowi siłę polityczną, ale na pewno siłą taką stanowią katolicy, niezależnie od sympatii ideowych zjednoczeni niechęcią czy nawet wrogością do komunizmu. Zjawiskiem niezwykle optymistycznym był fakt masowego udziału młodzieży, która w ten sposób dobitnie ukazała, że pomimo nieustannej indoktrynacji ideologicznej więź społeczeństwa polskiego z tradycją kultury europejskiej jest wciąż niezwykle silna.

W zupełnie innym porządku należy widzieć pozostałe manifestacje: jeżeli demonstracja związana z pielgrzymką Jana Pawła II miała charakter religijno-społeczny, to te, o których będzie mowa, miały sens przede wszystkim polityczny. Jeżeli w tym samym miejscu rozpatruję oba te rodzaje społecznych wystąpień, to dla-

tego, że w ostatecznym rachunku każda niezależna od władz manifestacja społeczeństwa ma w systemie totalitarnym sens polityczny. Tym niemniej nie chciałabym ich tu ze sobą utożsamiać.

Pierwszą manifestacją zorganizowaną przez opozycję był pochód spod Katedry na plac Zwycięstwa w 60-tą rocznicę odzyskania niepodległości 11 listopada 1978. W roku 1979 mieliśmy do czynienia z czterema tego typu pochodami: w przeddzień rocznicy Powstania Warszawskiego, w rocznicę rozpoczęcia wojny, w rocznicę odzyskania niepodległości oraz w rocznicę wypadków grudniowych z 1970 roku. W organizowaniu trzech pierwszych główną rolę odegrali działacze ROPCiO, przy czym demonstracja z okazji rocznicy Września została wykorzystana przez KPN do ogłoszenia swego powstania jako pierwszej niezależnej partii politycznej w PRL. W organizowaniu dwóch ostatnich manifestacji współuczestniczyli działacze związani z KSS „KOR”. W obu ostatnich wypadkach miejscem demonstracji była nie tylko Warszawa, lecz również inne większe miasta — Kraków, Gdańsk, Lublin i Łódź. W obchodach tych wzięło udział po kilka tysięcy osób. Ten typ manifestacji stanowi jeden ze sposobów publicznego działania niezależnej opozycji, pozwala też uczestniczyć w jej działaniach anonimowo, a więc bez konieczności narażania się na policyjne represje. Podobny sens miała masowa akcja zbierania podpisów pod żądaniem udostępnienia Kościołowi masowych środków przekazu.

W październiku w Kościele św. Krzyża w Warszawie odbyła się manifestacja innego rodzaju: była nią głódówka podjęta przez działaczy KSS „KOR” i ROPCiO (a także inne osoby), będąca publicznym protestem przeciwko procesom politycznym w Pradze.

Jeszcze innym rodzajem publicznej demonstracji opozycji były akcje (w Warszawie) polegające na umieszczeniu na murach napisów, przy czym najbardziej spektakularna była akcja „17 września”, w czasie której przypomniano wkroczenie wojsk rosyjskich do Polski w 1939 roku.

V. Kontrdziałania policji

Głównym przedmiotem policyjnego przeciwdziałania stała się aktywność TKN oraz niektórych pism niezależnych, przede wszystkim *Robotnika*, a więc pisma mającego najszerzy odbiór społeczny. W czasie konferencji prasowej z okazji 35-lecia SB i MO zapowiedziano skoncentrowanie wysiłków zmierzających do sparytalizowania pracy TKN i niezależnych wydawnictw.

Jedną z form tego policyjnego działania stały się w pierwszej

połowie roku 1979 akcje bojówek atakujących wykładowców i uczestników zajęć Towarzystwa. Szczególnie brutalny przebieg miała akcja w mieszkaniu Jacka Kuronia, w wyniku której kilka osób zostało dotkliwie pobitych. W roku akademickim 1979/80 nie dopuszczono praktycznie do ani jednego wykładu — wykładowców zatrzymywano. W jednym wypadku przeciw organizatorom wykładu — W. Bartoszewskiemu i P. Naimskiemu — zastosowano środki administracyjne: kolegium do spraw wykroczeń skazało ich na wysokie grzywny pieniężne. W tej sytuacji TKN zdecydowało się na swoiste „zejście do podziemia” — wykłady i zajęcia odbywają się w małych, zamkniętych grupach.

Przez cały czas prowadzona jest przeciw działaczom i współpracownikom demokratycznej opozycji działalność nękająca: pełną jej dokumentację zawierają komunikaty KSS „KOR”. Odbywają się więc bez przerwy aresztowania na 48 godzin, rewizje, przesłuchania, w mieszkaniach organizowane są tzw. „kotły” policyjne. W niektórych wypadkach doprowadza się do wyrzucenia z pracy osób związanych z niezależnym ruchem społecznym. Kolegium do spraw wykroczeń wymierzyło kary aresztów organizatorom listopadowej demonstracji. Wobec intelektualistów związanych z ruchem opozycyjnym stosuje się nagminnie zakazy wyjazdów zagranicznych, zakazy publikacji i inne szykany (np. Ane Kowalskiej, pisarce, kilkakrotnie rekwirovano maszynę do pisania). Warto przy okazji zauważyć, że nie zawsze metody te stosowane są konsekwentnie — w niektórych wypadkach, przeważnie dla zachowania pozorów tolerancji (chodzi tu z reguły o ludzi o ustalonym dorobku, np. Jerzy Andrzejewski) odstępuje się od całkowitego zakazu działalności publicznej. Szansy takiej nie mają ludzie mniej znani opinii publicznej. Szczególnie brutalnie traktuje się działaczy ze środowisk robotniczych i chłopskich, przykładem represje wobec Świtonia, Zadrożyńskiego czy Kozłowskiego.

Trzy akcje policyjne miały charakter działań zakrojonych na szerszą skalę. Pierwszą z nich była fala aresztowań i rewizji po uszkodzeniu pomnika Lenina w Nowej Hucie. Akcję tę uważam za rodzaj ćwiczenia sprawności aparatu policyjnego, jego operatywności i szybkości działania. Sprawdzian ten w gruncie rzeczy udowodnił możliwość dość szybkiego sparaliżowania głównych centrów opozycji demokratycznej. Drugą masową akcją była fala aresztowań w okresie poprzedzającym obchody rocznicy niepodległości w listopadzie. Według oficjalnych enuncjacji (gen. MO Stachura w czasie spotkania z pisarzami partyjnymi pod koniec listopada) chodziło o ujawnienie — poprzez zatrzymanie osób dotychczas najbardziej aktywnych — ludzi mogących pełnić w opozycji funkcje kierownicze w wypadku wyeliminowania

z niej dotychczasowych leaderów. Faktem jest, że demonstracje listopadowe i grudniowe posiadają dość pokaźną dokumentację policyjną, łącznie z dokumentacją filmową. Trzecią akcją o podobnym charakterze była fala aresztowań w przeddzień rocznicy wypadków grudniowych: wobec szeregu osób zastosowano tym razem tzw. sankcje prokuratorskie i osadzono zatrzymanych w aresztach śledczych. Tu jednak skłonna bym była do traktowania tej akcji jako elementu rozgrywek frakcyjnych w aparacie władzy — dość wyraźnie widoczna była działalność dwóch centrów dyspozycyjnych, w wyniku czego zresztą sankcje prokuratorskie zostały niemal natychmiast cofnięte.

Wydaje się, że policja liczy się obecnie z możliwością zamieszek społecznych. Dowodem na to stałe wszechstronne szkolenie, zwłaszcza w rozpędzaniu demonstracji ulicznych. Szkolenie to jest dość daleko posunięte, wykorzystuje się tutaj m.in. materiały filmowe z walk z demonstrantami zarówno w kraju, jak za granicą. Przygotowane są specjalne formularze do wykorzystania w czasie masowych aresztowań w wypadku zamieszek.

VI. „Opozycja” oficjalna

Prócz działalności Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, mającego charakter półoficjalny, w chwili obecnej mamy do czynienia ze wzrostem aktywności typu opozycyjnego (czy raczej krytycznego) w kilku środowiskach. Wyróżnić tu można trzy ośrodki: Polskie Towarzystwo Socjologiczne, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne oraz Związek Literatów Polskich.

PTS zorganizowało w maju 1979 sesję naukową poświęconą sytuacji społecznej i gospodarczej kraju, w czasie której doszło do kilku ostrych wypowiedzi atakujących aktualne tendencje w polityce władz. Chodzi tu m.in. o wypowiedzi dr. W. Kuczyńskiego, prof. Beksiaka, dr. J. Staniszkis oraz doc. Kurowskiego.

W listopadzie i grudniu w PTE miały miejsce tzw. „spotkania czwartkowe”, w czasie których w dość ostry sposób atakowano politykę gospodarczą władz. Poddawano zwłaszcza krytyce brak programu perspektywicznego mogącego stanowić drogę do wprowadzenia gospodarki z katastrofalnej sytuacji obecnej — taki charakter miała np. wypowiedź prof. Bobrowskiego.

Manifestacją przeciw działalności cenzury stał się minijazd pisarzy w Radziejowicach pod koniec listopada. Tak jednoznacznie i jednogłośnie potępienia polityki kulturalnej władz nie było już dawno.

Na osobną uwagę zasługuje „opozycyjna” działalność Kościoła. Używam cudzysłowu dlatego, że opozycyjność Kościoła w żadnym wypadku nie może być traktowana jako gra polityczna władz kościelnych, jest to raczej wynik totalitarnego charakteru władzy — w tym wypadku wszelka niezgodność z poczynaniami siłą rzeczy musi nabrać charakteru opozycyjnego. Takiego też charakteru nabiera upominanie się Kościoła o sprawy tak zasadnicze jak prawda, prawo do swobodnego rozwoju osobowości, prawo do wolności praktyk religijnych czy w ogóle domaganie się respektowania i przestrzegania przez władze praw ludzkich oraz obywatelskich. Ten sam charakter z punktu widzenia komunistów ma dążenie Kościoła do szerszego udostępnienia mu środków masowego przekazu, co stanowi poważne zagrożenie monopolu totalitarnego państwa w oficjalnym i publicznym kształtowaniu postaw obywateli. A właśnie tego rodzaju wystąpienia Kościoła stają się coraz częstsze i coraz bardziej dobitne. One też stanowią mocne oparcie moralne dla wielu wystąpień opozycji demokratycznej, podobnie jak autorytet ZLP, PTS czy PTE, których członkowie występują z krytyką poczynąń władzy nie z jakiegoś określonego stanowiska politycznego, lecz z powodu poczucia zagrożenia kultury. Siła moralnego autorytetu Kościoła w Polsce, wzmocniona niebywale po wyborze papieża Jana Pawła II i jego pielgrzymce do ojczyzny niewątpliwie tworzy dla działalności politycznej opozycji w PRL sytuację jakościowo odmienną niż w pozostałych krajach bloku. Na pewno nie ułatwia to sytuacji samemu Kościołowi i jego religijnej misji, ale to problem niezwykle złożony i wymagający odrębnego opracowania. Tu wystarczy wspomnieć, przed jak trudnym zadaniem stanął Kościół w momencie, gdy jedna ze świątyń stała się miejscem protestacyjnej głódówki — i w tym wypadku, jak w wielu innych, wyrażenie oficjalnego stanowiska Kościoła wymagało wielkiego taktu.

VIII. Próba rekapitulacji

Wpływy społeczne niezależnego ruchu obywatelskiego w Polsce systematycznie wzrastają, tym niemniej ich zasięg wciąż jeszcze pozostaje raczej symboliczny. W tej chwili jednak władze muszą się już liczyć z możliwością odegrania przez opozycję pewnej roli politycznej w wypadku większych zaburzeń społecznych, co do tej pory wydawało się raczej mało prawdopodobne. Stąd też, przy pozorach tolerancji (relatywnej), coraz bardziej poważne przygotowania do możliwości sparaliżowania centrów opozycyjnych w momencie zagrożenia. Ale i tu należy się liczyć z możli-

wością zablokowania takiej akcji przez działanie w łonie aparatu różnych, wzajemnie się znoszących ośrodków dyspozycyjnych, których istnienie ujawniła najpełniej grudniowa akcja aresztowań.

W tej chwili najsilniejszym atutem opozycji jest niezależna działalność kulturalna i wydawnicza. Osiągnąć w tej dziedzinie nic już nie jest w stanie z powojennych dziejów Polski wykreślić: pisma i książki już opublikowane wchodzi w coraz szerszy obieg społeczny, przybyło kilka ważnych utworów literackich.

Stosunkowo duże wpływy opozycji w środowisku akademickim, choć w chwili obecnej nie tak istotne, odegrają zapewne swoją rolę w przyszłości. Należy pamiętać, że wzrastające obecnie roczniki mniej są przytłoczone niż poprzednicy emocjami związanymi z drugą wojną, na plan pierwszy w układzie stosunków Niemcy - Polska - Rosja wysuwają się w tej chwili zagadnienia stosunków i rozliczeń z Rosją; proces ten będzie narastał, zaś eksponowanie tej problematyki w publicystyce opozycyjnej już dziś odgrywa doniosłą rolę w kształtowaniu świadomości młodzieży.

Wciąż narastający kryzys ekonomiczny niebezpiecznie się w chwili obecnej zbliża do przełamania granic społecznej apatii. Efektów przełamania tej bariery chyba nikt dzisiaj nie jest w stanie przewidzieć. Jedno wydaje się pewne: w obecnej sytuacji międzynarodowej każde większe poruszenie społeczne w Polsce oznacza podjętą w tej lub innej formie interwencję Rosji.

Widoczny też jest spory wysiłek wszystkich liczących się sił w kraju, aby możliwość wybuchu społecznego ograniczyć do minimum, dotyczy to również postawy Kościoła. W tej sytuacji dążenie do destabilizacji, widoczne w wypowiedziach KPN, stanowi głos odosobniony. Ale też i nie dziwi — z tego punktu widzenia — oskarżenia KSS „KOR” o współpracę z władzami komunistycznymi, powtarzane przez szefa KPN L. Moczulskiego: jego zdaniem podstawowym celem istnienia opozycji w Polsce powinno stać się jak najszybsze spowodowanie wybuchu społecznego (a w każdym razie nie hamowanie go), który stanowi podstawę do politycznego złamania monopolu PZPR — tak przynajmniej wynika z deklaracji KPN, która to organizacja jak na razie ogranicza swoje działania do prac wewnątrzorganizacyjnych i ideologicznych połajanek. Jest to ugrupowanie całkowicie samodzielne, nie podejmujące współpracy z innymi grupami demokratycznej opozycji, dążące natomiast do przechwycenia jak największej części zaktywizowanej dotychczas przez niezależny ruch opinii publicznej. Cechą dominującą KPN wydaje się przewaga czysto politycznych ambicji kierownictwa nad społecznymi zadaniami, jakie postawiły przed sobą pozostałe ugrupowania opozycji. Stąd

też zapewne tak silny nacisk na fakt, że KPN, w odróżnieniu od innych grup niezależnych, uważa się za partię polityczną.

Spośród istotnych wydarzeń w dziedzinie pracy społecznej, a nie czysto politycznej, wielkie znaczenie ma opracowanie ogłoszonej na łamach *Robotnika* Karty Praw Robotniczych i jej rozpowszechnienie w stosunkowo dużym nakładzie. Dokument ten ma szansę odegrania ważnej roli w formułowaniu w przyszłości przez środowiska pracownicze swych żądań, co stwarza możliwość przekształcania żywiołowych dotychczas „samowolnych porzuceń pracy” w bardziej świadome swych celów strajki. Tutaj też warto zwrócić uwagę na fakt, że w kilku strajkach jakie miały miejsce w roku 1979 pomoc okazali działacze KSS „KOR”, przekształcając je w zdyscyplinowane wystąpienia robotnicze. Ten kierunek działań społecznych jest chyba obecnie najbardziej pożądanym.

W ciągu 4 lat opozycja demokratyczna w Polsce sporo już osiągnęła. Udało się, unikając metod konspiracyjnych, uruchomić stosunkowo dużą sieć wydawnictw niezależnych i stworzyć dość już dynamiczny drugi obieg informacyjny. Udało się też w stosunkowo krótkim czasie zaktywizować społecznie sporą grupę działaczy i współpracowników, a tym samym udowodnić, że mimo ponad 30 lat totalitarnego ucisku wciąż żywe są, zwłaszcza wśród młodych, idee demokratyczne. Właśnie działalności opozycyjnej mamy do zawdzięczenia tak ważne ożywienie życia umysłowego — naukowego i kulturalnego. Również tej działalności zawdzięczamy nowy typ stosunków między krajem a emigracją, zwłaszcza zaś pełne niemal zlikwidowanie bariery izolującej od społeczeństwa grupy wychodźstwa politycznego. Obserwuje się w kraju powolny co prawda, ale nieustanny postęp niezależnej od władz aktywności społecznej środowisk, których z opozycją utożsamiać nie należy.

Pamiętać należy, że wszystko to są procesy bardzo powolne i o wciąż ograniczonym zasięgu. Nie chciałabym zatem wyciągać wniosków zbyt daleko idących, tym bardziej, że w obecnej sytuacji politycznej możliwe są niemal wszystkie rozwiązania, łącznie z szybkim i brutalnym zniszczeniem przez władze już wypracowanych osiągnięć. Jedno nie ulega wątpliwości: zryw społeczny, jakiego jesteśmy w Polsce świadkami w ciągu ostatnich lat, świadczy zarówno o przekroczeniu jakiegś granicy społecznej wytrzymałości jak i o dojrzałości społecznej (a nie tylko: politycznej — z tą może nawet jest gorzej) dość już sporych rzesz młodzieży. A to — niezależnie od dalszych losów tego nowego „polskiego eksperymentu” — napawa optymizmem.

Jadwiga KWIATKOWSKA

Dlaczego aresztowano M. Chojeckiego?

25 marca br. w Warszawie aresztowany został trzydziestoletni Mirosław Chojecki, członek Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, z zawodu chemik, od prawie czterech lat objęty zakazem pracy. Postawiono mu zarzut kryminalny: kradzieży powielacza wartości 7 tysięcy złotych. Sprawa, zdawałoby się, pospolita; tymczasem odbiła się ona w Polsce głośnym echem — różne środowiska, z literackim na czele, protestują i żądają wypuszczenia Chojeckiego na wolność. Taki wniosek złożyło w Prokuraturze Generalnej pięciu wybitnych pisarzy: Jerzy Andrzejewski, Marian Brandys, Stefan Kisielewski, Tadeusz Konwicki i Julian Strykowski. Większa, licząca kilkadziesiąt osób grupa literatów różnych pokoleń, od nestora poezji polskiej Mieczysława Jastruna do najzdolniejszego z młodych prozaików Janusza Andermana, zwróciła się do Zarządu Głównego swojego Związku z apelem o podjęcie kroków w obronie Chojeckiego. Co to wszystko znaczy?

Otóż, po pierwsze, społeczeństwo polskie straciło zaufanie do polskich sądów i policji. Policja zbyt często zatrzymywała w ostatnich latach członków opozycji pod fałszywym pretekstem podejrzenia o kradzież (*casus* wielkiej aktorki Haliny Mikołajskiej), o włamanie, o nielegalny handel walutą, nawet o morderstwa seksualne. Sądy zbyt często wydawały wyroki opierając się na zeznaniach fałszywych świadków i lekceważąc prawdziwe argumenty obrony. Niedawno rolnicy z województwa tarnobrzskiego, Jan Kozłowski i Tadeusz Kolano, skazani zostali na 2 i 1½ roku więzienia za rzekome pobicie człowieka, którego nie tknęli palcem; rzeczywistą „winą” pierwszego z nich był udział w opozycyjnym ruchu chłopskim, drugiego — obecność na miejscu w trakcie „incydentu” i gotowość świadczenia, zgodnie z prawdą, że Kozłowski nikogo nie uderzył... Na 3 lata więzienia — za rzekome przewożenie bandzie rabunkowej — skazany został działacz opozycji robotniczej z Grudziądza, Edmund Zadzożyński; obecna na procesie sprawozdawczyni sądowna oficjalnej *Polityki*, Wanda Falkowska, napisała, że, jej zdaniem, proces był sfingowany, ale relacja ta nie ujrzała światła dziennego. Nawet kolegium do spraw wykroczeń, przed którym stanął znany pisarz i historyk Władysław Bartoszewski za „zorganizowanie i prowadzenie nielegalnego zebrania” (chodziło o wygotowanie odczytu o polskim ruchu oporu w latach okupacji hitlerowskiej), pozostało głuche na liczne świadectwa, że policjant obciążający Bartoszewskiego w ogóle nie miał do czynienia z nim,

lecz z inną osobą, i skazało historyka na wysoką grzywnę... Opinia publiczna uważa, że zarzut kryminalny, postawiony obecnie Chojeckiemu, jest równie fałszywy, jak wiele innych, i że w postawieniu go tkwi złowroga premedytacja.

Po drugie, wiadomo, że Chojecki jest od dawna prześladowany „za politykę”. Ten młody idealista, działacz Harcerstwa Polskiego, w roku 1976, po zamieszkach robotniczych i fali represji w Ursusie i Radomiu, należał do założycieli Komitetu Obrony Robotników i zorganizował m.in. opiekę lekarską dla poszkodowanych. Już wtedy nie poprzestano na wyrzuceniu go z pracy (w Instytucie Badań Jądrowych), lecz wielokrotnie zatrzymywano, bito, zrzucano ze schodów, rozpuszczano o nim oszczerstwa, nękanie inwigilacją i rewizjami. Wśród powodów rewizji, które podawano, nie zabrakło i takiego: do władz nadeszło ponoć ostrzeżenie, że bezrobotny chemik przygotowuje substancję do wytrucia całej Warszawy... Latem 1977 roku Chojecki, wraz z kilkunastoma innymi współpracownikami KOR-u, przebywał 2 miesiące w areszcie śledczym, pod zarzutem utworzenia organizacji spiskowej. Do procesu nie doszło dzięki wielkiej akcji protestacyjnej w Polsce i za granicą. Ale policyjna powszedniość nie ustała: przesłuchania, rewizje, zatrzymania w celi na 48 godzin i znowu na 48 godzin... Opinia publiczna uważa, że obecne aresztowanie Chojeckiego i oskarżenie go o niepopołnione przestępstwo jest kolejnym krokiem w trwającej od kilku lat akcji, zmierzającej do bezlitosnej zemsty na znienawidzonym przez władzę społeczniku.

Po trzecie wręczcie, chodzi o Niezależną Oficynę Wydawniczą — instytucję, która powstała w celu obrony pisarzy i czytelników przed dewastatorskim działaniem cenzury. Od dawna, ale zwłaszcza w ostatnich latach, cenzura uniemożliwia wydanie w Polsce wielu wartościowych utworów, bądź ze względu na ich treść i światopogląd, bądź na nazwiska autorów, umieszczonych na „czarnej liście”, bądź z niewytłumaczalnego kaprysu (cenzura nie musi się tłumaczyć i nie można jej pozwać przed sąd). Zorganizowana przez Chojeckiego i jego przyjaciół Niezależna Oficyna Wydawnicza, funkcjonując poza zasięgiem cenzury i poza systemem państwowych drukarni, w ukryciu, w bardzo trudnych warunkach technicznych i finansowych, wydała w ciągu 3 lat ponad pięćdziesiąt pozycji z różnych dziedzin, m.in. zakazanych wielkich pisarzy emigracyjnych — Czesława Miłosza i nieżyjącego Witolda Gombrowicza, a z żyjących w kraju — Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza Brandysa, Stanisława Barańczaka i wielu innych. Z tłumaczeń — na przykład „Błaszany bębenek” Güntera Grassa (też zakazany przez polską cenzurę). Wydaje ona ponadto czasopisma, wśród nich — kwartalnik literacki *Zapis*, w którego 14 numerach drukowało już ponad 100 autorów. Wydaje zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych („latającego uniwersytetu”). Działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej odczuwana jest przez społeczeństwo jako samoobrona kultury polskiej, jako wypełnianie dotkliwych luk, gojenie ran zadawa-

nych kulturze przez partyjno-państwowy ucisk. Dlatego pod listem do Zarządu Głównego Związku Literatów podpisali się nie tylko autorzy bezpośrednio związani z *Zapiskami* czy Niezależną Oficyną, lecz również wielu takich, którzy nadal publikują w prasie i wydawnictwach oficjalnych; dla nich również istnienie Niezależnej Oficyny Wydawniczej jest doniosłym i godnym obrony faktem społecznym. Opinia publiczna uważa, że aresztowanie i oskarżenie Chojeckiego w intencji tych, którzy podjęli taką decyzję, ma godzić nie tylko w niego samego, lecz w niezależny ruch wydawniczy — największe w ostatnich latach osiągnięcie broniącego się przed degrengoladą społeczeństwa polskiego. Przeciwno temu właśnie opinia podnosi protest, przypominając władzy, że jedyną skuteczną „normalizacją” byłoby okiełznanie cenzury i realne przywrócenie zagwarantowanych przez konstytucję swobód. Chodzi o Chojeckiego* — ale chodzi także o swobodne słowo i myśl, o kulturę polską, o poczucie godności tego społeczeństwa.

Wiktor WOROSZYLSKI

Warszawa, w kwietniu 1980.

(Tekst powyższy ukazał się w *Neue Zürcher Zeitung*).

APEL KSS „KOR”

O POMOC FINANSOWĄ DLA FUNDUSZU SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ

Grudzień 1979 r.

Gońmy apelujemy do wszystkich Polaków w kraju i za granicą o wzmoczenie składek i doraźnych darów pieniężnych na Fundusz Samoobrony Społecznej.

Fundusz Samoobrony Społecznej finansuje rozliczne prace KSS „KOR” oraz wiele inicjatyw społecznych od KSS „KOR” niezależnych.

Pierwsze miejsce w naszych wydatkach zajmuje Biuro Interwencyjne KSS „KOR”, które niesie pomoc dziesiątkom osób w całej Polsce, represjonowanym ekonomicznie. Duża część tych sum przekazywana jest ludziom, wobec których dopuszczono się jaskrawego pogwałcenia praworządności, mimo że nie uczestniczyli w działaniach opozycji — oraz tym, którzy odważnie podejmując samotną walkę z nadużyciami władzy, znaleźli się w rezultacie bez środków do życia. W dziedzinie tej współpracujemy z wieloma ośrodkami niezależnymi, spiesząc z pomocą osobom wskazywanym przez wolne związki zawodowe, Studenckie Komitety Solidarności, niezależny ruch chłopski, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela itd. Biuro Interwencyjne prowadzi po-

* 10 maja Mirosław Chojecki został — po ponad miesięcznej głodówce — zwolniony z więzienia, a 12 czerwca skazany przez Sąd Rejonowy w Warszawie na 18 miesięcy więzienia z zawieszeniem i 15 tys. zł. grzywny.

nadto dochodzenia w sprawie naruszeń praworządności, głównie przez organa milicyjne, których ofiarą padają częstokroć przypadkowe osoby, maltretowane a nawet mordowane na posterunkach MO. Biuro Interwencyjne organizuje pomoc prawną prześladowanym — a w wypadkach aresztowań działaczy opozycyjnych organizuje wraz z innymi komórkami KSS „KOR” akcje protestacyjne, co wyraża się m.in. rozdawnictwem dziesiątków tysięcy ulotek wraz z dokumentami wzywającymi społeczeństwo do podejmowania niezależnych działań (Apel do społeczeństwa KSS „KOR”, Karta Praw Robotniczych itp.).

Fundusz Samoobrony Społecznej dotuje stale lub okresowo szereg czasopism: *Komunikat KSS „KOR”*, *Biuletyn Informacyjny*, *Głos*, *Robotnika*, *Placówkę*, *Biuletyn Dolnośląski*, *Krytykę*, *Indeks*, *Puls* itd. Doraźnie finansowaliśmy takie czasopiśmiennicze inicjatywy społeczne, jak 1 numer *Trzeźwości i Abstynencji*. FSS wielokrotnie pomagał finansowo nie tylko niezależnej prasie i wydawnictwom książkowym, wspierał nie tylko Niezależną Oficynę Wydawniczą, związaną wieloma nićmi z KSS „KOR”, i przez NOW-ą wydawany *Zapis*, lecz również *Opinię* (ROPCiO), *Spotkania*, Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja, wydawnictwo „Klin” i inne. Pomagaliśmy i pomagamy Towarzystwu Kursów Naukowych oraz jego wydawnictwom — obejmując ostatnio na prośbę TKN zbieranie i administrowanie środków przeznaczonych na Fundusz Pomocy Naukowej TKN. Wspomagamy działalność wolnych związków zawodowych, komitetów chłopskich, komitetów studenckich, komitetów ludzi wierzących — m.in. dając pomoc finansową na środki techniczne w związku z akcją zbierania w Warszawie podpisów pod petycją o Mszę świętą w telewizji. Doraźnie przyszliśmy z pomocą prześladowanym w Czechosłowacji.

Te wszystkie — i liczne tu nie wymienione — rozległe i coraz zwiększające się potrzeby niezależnych ruchów i wydawnictw muszą być zaspokajane. Od tego zależy los opozycji w Polsce.

Wzywamy wszystkich, którzy widzą potrzebę istnienia wymienionych instytucji i poczynają, by nie ograniczali się do poparcia moralnego. Opodatkowujcie się na Fundusz Samoobrony Społecznej KSS „KOR”, zbierajcie pieniądze na ten cel w kręgu swych znajomych, przekazujcie je do KSS „KOR” bezpośrednio lub przez osoby godne zaufania. Ostrzegamy natomiast przed przesyłaniem darów pocztą.

Za granicą zbiórkę na Fundusz Samoobrony Społecznej KSS „KOR” prowadzi Komitet Obywatelski w Londynie pod przewodnictwem Edwarda Raczynskiego (adres: Komitet Obywatelski c/o Skarb Narodowy, 42 Emperor's Gate, London SW7 4H11), Apel na Rzecz Polskich Robotników pod przewodnictwem prof. Leszka Kołakowskiego (Appeal for Polish Workers, konto nr 80-1829, Irving Trust Company, 36-38 Cornhill, London EC3V) oraz redakcja *Kultury* w Paryżu (adres: 91 Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte, France).

Bez Waszej obywatelskiej, wytrwałej, ofiarnej pomocy nie sprostamy zadaniom, które stoją przed nami.

Dziękując tym wszystkim, którzy w kraju i na wychodźstwie umożliwili nam, poprzez pomoc finansową i moralną, dotychczasową pracę — wzywamy wszystkich do wzmożonej ofiarności.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

SPRAWOZDANIE Z WYDATKÓW FUNDUSZU SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ od 20 września 1978 r. do 16 września 1979 r.

Warszawa, grudzień 1979 r.

	zł.
1. Biuro Interwencyjne	1.570.600,00
2. Telefony, depesze itp.	91.789,00
3. Towarzystwo Kursów Naukowych	82.150,00
4. Uniwersytet Latający — Ruch Chłopski	36.150,00
5. Studencki Komitet Solidarności	9.236,00
6. Wolne Związki Zawodowe, Katowice	7.000,00
7. Red. <i>Biuletynu Informacyjnego i Komunikatu</i>	339.258,00
8. Red. <i>Robotnika</i>	199.000,00
9. Red. <i>Placówki</i>	173.000,00
10. Red. <i>Głosu</i>	162.767,00
11. Red. <i>Pulsu</i>	39.500,00
12. Biblioteka Ludowa	35.000,00
13. Red. <i>Krytyki</i>	30.000,00
14. Red. <i>Indeksu</i>	10.000,00
15. Red. <i>Przeglądu Zagranicznego</i>	5.000,00
16. Działalność wydawnicza	192.660,00

Razem: 2.983.110,00

Dłużnicy Funduszu Samoobrony Społecznej:

1. Wydawnictwo NOW-a	175.700,00
2. Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja	154.000,00
3. Redakcja <i>Spotkań</i>	140.400,00
4. Wolne Związki Zawodowe — Katowice	19.200,00

Razem: 489.300,00

RAZEM wydano w okresie 20. IX. 1978 - 16. IX. 1979: 3.472.410,00

DŁUŻNICY z poprzedniego roku rozliczeniowego:

1. Redakcja <i>Opinii</i>	56.400,00
2. SKS - Kraków	35.000,00

FUNDUSZ SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ

Warszawa, w grudniu 1979 r.

APEL O POMOC
DLA TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH

Towarzystwo Kursów Naukowych zwróciło się do Funduszu Samoobrony Społecznej KSS „KOR” o zorganizowanie zbiórki pieniężnej na Fundusz Pomocy Naukowej TKN oraz administrowanie tym funduszem, którego celem jest akcja stypendialna. Fundusz Samoobrony Społecznej przyjął tę propozycję, doceniając wagę sprawy.

Nasilające się procesy eliminowania z polskiego życia naukowego osób zdolnych i przygotowanych do podejmowania prac badawczych, a zarazem samodzielnie myślących i niepokornych stwarza poważne zagrożenie dla kultury narodowej i naszego życia społecznego. Dołączają się do tego represje wobec tych pracowników nauki, którzy angażują się w działalność opozycji demokratycznej i niezależnych instytucji społecznych. Represje te powodują niejednokrotnie utratę pracy przez osoby uczestniczące w tego rodzaju działalności i niemożność uzyskania jakiegokolwiek pracy zgodnej z ich kwalifikacjami.

Ludziom w ten sposób prześladowanym należy się szczególna opieka ze strony niezależnych instytucji społecznych — a wydaje się celowe i zdrowe, by pomoc, niezbędna prześladowanym, mogła się łączyć z umożliwieniem im pracy naukowej, a nawet z zobowiązaniem do niej, jeśli są to osoby, które mają odpowiednie kwalifikacje. Leży to w interesie społecznym. Skład osobowy TKN oraz jego autorytet w środowisku naukowym dają dostateczne gwarancje zapewnienia stypendystom kompetentnej opieki merytorycznej. W tych okolicznościach Rada Funduszu Samoobrony Społecznej jest przeświadczona, że pieniądze zebrane na wyżej scharakteryzowany cel — będą wydawane celowo, z korzyścią dla nauki i kultury polskiej, oraz zgodnie z celami samoobrony społecznej.

Zwracamy się do wszystkich w kraju i za granicą, którym przyszłość niezależnej nauki nie jest obojętna, a w szczególności do środowisk i instytucji naukowych, o poparcie Funduszu Towarzystwa Kursów Naukowych. Dary pieniężne, jednorazowe lub periodyczne, można składać korzystając z tych samych dróg, którymi wspierany jest Fundusz Samoobrony Społecznej (z zaznaczeniem odrębności celu) lub wprost do TKN przez jego członków.

Wierzmy, że nasz apel w tak ważnej dla przyszłości Polski sprawie nie pozostanie bez echa.

FUNDUSZ SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ

REPRESJE WOBEC NAUKOWCÓW

Oto kolejna wiadomość z krainy czystego nonsensu. Władze PRL odmówiły wydania paszportu Zdzisławowi Łapińskiemu, który w roku akademickim 1979/1980 miał prowadzić wykłady i seminaria z zakresu literatury polskiej na Wydziale Sławiistyki Uniwersytetu Amsterdamskiego.

Pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN, poprzednio zatrudniony w Zakładzie Teorii Literatury Uniwersytetu Warszawskiego (rozbitym po marcu 1968; opuściła wówczas Uniwersytet większość pracowników tego świetnego Zakładu: Michał Głowiński, Teresa Kostkiewiczowa, Łapiński, M. Renata Mayenowa, Aleksandra Okopień-Sławińska, Janusz Sławiński, Stefan Żółkiewski), jest Łapiński krytykiem i historykiem literatury polskiej szczególnie dobrze przygotowanym do podjęcia wykładów, zaproponowanych przez Holendrów z inicjatywy prof. Jana van der Eng. Autor świetnej książki o Norwidzie (wyd. ZNAK, Kraków, 1971) oraz licznych studiów o sztuce literackiej Miłosza, Przybosa, Leśmiana, Białoszewskiego, a także prac teoretyczno-literackich, jest on z pewnością jednym z najbardziej przenikliwych znawców polskiej literatury współczesnej i określających ją tradycji. Wydawnictwo Literackie ma wypuścić wkrótce na rynek księgarski dwie ważne i oczekiwane antologie zredagowane przez Łapińskiego: pierwsza z nich, *Ja-Ferdynand*, obejmuje zbiór wspomnień o Gombrowiczu, druga, *Gombrowicz i krytycy*, jest obszernym wyborem reprezentatywnych i istotnych wypowiedzi o twórczości Gombrowicza. Gromadzi ona zarówno referaty wygłoszone na sesji gombrowiczowskiej IBL PAN w roku 1975 jak rozprawy i szkice ogłoszone wcześniej, w Dwudziestolecu i w okresie powojennym.

Nietrudno rzecz prosta wskazać powody dyskryminowania tego badacza przez Urząd Bezpieczeństwa. Łapiński, absolwent Uniwersytetu Lubelskiego, sygnatariusz głośniego listu 59, współpracownik *Tygodnika Powszechnego*, w ciągu bez mała 30 lat swej pisarskiej działalności nie uczynił niczego, co mogłoby być choćby pozorem moralnego poparcia dla systemu programującego i kontrolującego życie w kraju. Ostatnio Łapiński zapowiedział, jako pierwszy, cykl konwersatoriów z zakresu współczesnej literatury polskiej na emigracji, w ramach tzw. Uniwersytetu Latającego.

Zakaz wyjazdu dla Zdzisława Łapińskiego stanowi bez wątpienia szczególnie przypadek ogólnej strategii partyjnej, zmierzającej do zniechęcenia instytucji naukowych na Zachodzie do wysuwania własnych kandydatów z Polski na prelegentów, wykładowców, *visiting professors*, stypendystów, stażystów etc. Wydaje się potrzebna akcja informacyjna, poprzez środowiska intelektualne polskiej emigracji, która uświadamiałaby naszym przyjacielom na Zachodzie tę strategię Partii, której liczne przykłady można wskazać w ostatnim okresie (zakazy wyjazdu dla Stanisława Barańczaka, Władysława Bartoszewskiego, Jacka Woźniakowskiego i innych).

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Około osiemdziesięciu lat temu Rudyard Kipling pisał w wierszu „Młody żołnierz brytyjski”: „Jeśli leżysz ranny na afgańskiej ziemi i przychodzą kobiety pociąć to, co z ciebie zostało, strzel sobie w skroń, żeby iść do Boga jak żołnierz”. Przypominał mi się ten stary wiersz, kiedy zobaczyłem na okładce emigracyjnego pisma rosyjskiego *Posiew* fotografię legitymacji komсомolskiej Jurija Aleksandrowicza Borowika, urodzonego w 1959 roku w Alma-Acie i zabitego w Afganistanie w 1980 roku. Rosyjski poeta Josif Brodski pisze, mając na myśli ginących w Afganistanie dwudziestolatków, którzy przed śmiercią zdążyli zostać mordercami kobiet, dzieci i starców: „Chwała tym, którzy w początkach lat 60-tych przerywali ciężę, chroniąc ojczyznę od hańby”.

W czerwcu 1980 roku, w chwili kiedy piszę niniejszy przegląd, wojna toczy się w jednym tylko punkcie globu: nie znaczy to, że wszędzie panuje pokój i błogość. Jednak prawdziwa wojna, i to taka, w której przeciw prymitywnie uzbrojonym partyzantom walczy prawdziwa, uzbrojona w najnowocześniejszą broń armia, toczy się tylko w Afganistanie. I tylko o niej prasa sowiecka nic nie pisze. Do bardzo niedawna sowieccy dziennikarze opowiadali w korespondencjach z Afganistanu o entuzjazmie z jakim Afgańczycy witają sowieckie czołgi, obrzucając je kwiatami i pocałunkami, o radości klasy robotniczej, chłopstwa i przodującej inteligencji. 3 i 5 czerwca *Prawda* zamieściła dwa duże artykuły pt. „Pod afgańskim niebem”, pióra specjalnego wysłannika gazety Timura Gajdara, syna znanego pisarza. Z artykułów tych wprawni sowieccy czytelnicy po raz pierwszy mogli się czegoś dowiedzieć.

„W wąwozie między szarymi górami stoi sowiecki batalion strzelców zmotoryzowanych, osłaniający wschodni Afganistan” —

tak zaczyna się reportaż. Przed kim sowiecki batalion osłania Afganistan? Dlaczego Afganistan muszą osłaniać sowieckie bataliony? Na te i inne pytania T. Gajdar nie odpowiada. Batalion przybył tu w grudniu. „Uformowali nas” — opowiada oficer Władysław Teodorowicz — „i objaśnili nam, że na prośbę rządu Demokratycznej Republiki Afganistanu (DRA) i zgodnie z sowiecko-afgańską umową udajemy się do tego zaprzyjaźnionego kraju, aby pomóc mu odeprzeć niebezpieczeństwo inwazji... Aż do granicy niektórzy myśleli, że to tak czy siak tylko ćwiczenia...”.

Nie były to ćwiczenia, ale okupacja, o której T. Gajdar pisze jak następuje: „Miejsca do zakwaterowania naszych wojsk w Afganistanie wybierano wspólnie z dowództwem lokalnym, żeby nie przeszkadzać ani mieszkańcom miast ani chłopom przy uprawie roli...”.

Wszystko byłoby świetnie, gdyby „zza granicy nie nasyłali band, z którymi armia afgańska musi się bić”. Sowieckie wojska zaś są jakby na urlopie. Tymczasem „bandy” działają: „najczęściej występują w grupach po 30-40 ludzi. Dawniej łączyli się w większe bandy. Najchętniej urządzają zasadzki. Pod mostami, w wąwozach. Wysadzą most albo zrobią zasiek i otwierają ogień ze szczytów. Jeśli idzie liczny oddział, przepuszczają zwiadowców i ochronę. Potem znenacka parę docelowych salw i szybki odwrót. Minują też drogi, które na dodatek ostrzeliwują z karabinów maszynowych”.

Opis jakby żywcem wyjęty z korespondencji *Prawdy* z pierwszej połowy lat 40-tych o akcjach sowieckich partyzantów przeciw hitlerowcom. T. Gajdar tekst swój kończy optymistycznym akcentem: „Dziś jednak wiele dużych band już zlikwidowano”. W pierwszej połowie czerwca, kiedy *Prawda* opublikowała korespondencję T. Gajdara, w rejonie Kabulu skoncentrowało się około 20 tysięcy afgańskich partyzantów...

Zachodni działacze polityczni nie przestają się pocieszać, że rząd sowiecki popełnił błąd i ugrzęźnięcie w Afganistanie jak USA w Wietnamie. Od chwili wtargnięcia Sowietów minęło ponad pięć miesięcy — Moskwa ma trudności w Afganistanie. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: na arenie międzynarodowej Związki Sowieckiemu udały się dwie prestidigitatorskie sztuczki, na które jakby się wszyscy zgodzili. Po pierwsze Moskwa twierdzi, że wtargnęły nie sowieckie wojska ale imperialistyczni najemnicy, a po drugie, że na drodze do politycznego rozwiązania problemu stoją Stany Zjednoczone.

„W obliczu sytuacji powstałej wokół Afganistanu”, twierdził polityczny komentator *Prawdy* 8 czerwca, „nasz kraj opowiada się za politycznym rozwiązaniem w drodze rokowań”. Sformułowanie przynosi zaszczyt sprytowi sowieckich dyplomatów: rozwiązać należy nie sytuację w Afganistanie, a sytuację „powstałą wokół Afganistanu”. Rozwiązanie jest możliwe, twierdzi dalej komentator, pod warunkiem, że „zostanie położony kres agresji na DRA i wszelkim formom mieszania się z zewnątrz w jej wew-

nętrne sprawy". Proszę zwrócić uwagę na tę formułę: „wszelkie formy mieszania się”. Oto na przykład *Głos Ameryki* nadaje na Afganistan audycje w języku zrozumiałym tylko dla nielicznej mniejszości (w Waszyngtonie brak funduszy: trzeba by 150 tysięcy dolarów żeby przyjąć do pracy 6 osób znających pusztę i dari, najszerzej rozpowszechnione języki Afganistanu, ale skąd nieszczęsne Stany Zjednoczone mają je wziąć?). Tym niemniej jest to mieszanie się.

10 czerwca *Prawda* opublikowała wstępniak pod tytułem „Kto sprzeciwia się uregulowaniu konfliktu?”. Odpowiedź na to pytanie brzmi jednoznacznie: „To USA występują w roli organizatora interwencji przeciw suwerennemu państwu, całkowicie ignorując możliwość politycznego rozwiązania sytuacji, jaka wytworzyła się wokół wydarzeń w Afganistanie”.

Kiedy 27 grudnia ub. roku sowiecki desant zajął lotnisko w Kabulu, a sowieckie czołgi przekroczyły afgańską granicę i ruszyły ku granicom Pakistanu i Iranu, aby „osłaniać Afganistan od wschodu”, wszystko wydawało się oczywiste: sowiecka okupacja. Od tego czasu jednak wiele się zmieniło.

W styczniu 1980 roku konferencja krajów muzułmańskich potępiła sowiecką inwazję, ale na konferencji majowej muzułmańskie kraje potępiły USA, a Moskwę miękko i nieśmiało „poprosiły”, aby opuściła Afganistan w dogodnym dla niej terminie. Nawet ta nieśmiała rezolucja wzbudziła jednak gniew Moskwy: 22 maja *Prawda* stwierdza, że „rezolucja odpowiada interesom sił imperialistycznych”. Nie ulega wątpliwości, że następna konferencja muzułmańska poprze sowieckie propozycje „politycznego rozwiązania konfliktu powstałego wokół Afganistanu”. W styczniu Indie dały wyraz pewnemu zaniepokojeniu rozwojem wydarzeń w Afganistanie, w maju zaś podpisały z Moskwą umowę o długoterminowych dostawach broni sowieckiej na kolosalną sumę. Warszawskie spotkanie francuskiego prezydenta z Breżniewem słusznie przywitano w Moskwie z największym zadowoleniem. 21 maja *Prawda* pisała uroczyście: „Narody uzyskały kolejny przekonujący dowód, że nasz kraj z odpowiedzialnością i uporem walczy o stworzenie w Europie atmosfery zaufania, zrozumienia i współpracy”.

Giscard d'Estaing nie przestał jeszcze przekonywać swej opinii publicznej, że warszawskie spotkanie było dla Europy niezbędne, gdy już do drzwi kremlofskich kołaczy Helmut Schmidt.

Polityka Zachodu — którą de Gaulle ujął w słowa *détente* — *entente* — *coopération* — po sowieckiej inwazji Afganistanu zbieczyła na krótko z wytyczonej drogi, ale już wraca w tradycyjne koleiny. Przy tym Zachód się spieszy, bo przecież Związek Sowiecki (a wraz z nim i inne kraje socjalistyczne) rozpaczliwie potrzebują pomocy. Sytuacja gospodarcza w ZSSR pogarsza się z dnia na dzień. Przede wszystkim chodzi o zaopatrzenie ludności w żywność i artykuły przemysłowe; przemysł wojenny ma się nienajgorzej.

Dobijając w 1980 roku do końca dziesiątej pięcioletki, gospodarka sowiecka raz jeszcze dowiodła, że potrafi wyprodukować armaty ale nie masło. I raz jeszcze okazało się, że masła zawsze może dostarczyć Zachód. 30 kwietnia 1980 roku na przykład Komisja Europejska zatwierdziła decyzję EWG o sprzedaży Związkowi Sowieckiemu 21 tysięcy ton masła. Zresztą „sprzedać” jest w tym wypadku zwrotem grzecznościowym. Należałoby raczej powiedzieć: podarować. Masło „sprzedaje się” po 6,5 franków za kilogram, a wartość jego wynosi 16,5 franków.

21 tysięcy ton to oczywiście nie złote góry (w 1979 roku sprzedano 140 tysięcy ton), ale świadczy to o powrocie do starej polityki *détente* — *entente* — *coopération*, a poza tym i ta ilość wystarczy dla zaspokojenia głodu najbardziej potrzebujących: sowieckich przywódców i ich rodzin.

Troska o krewnych, dawniej zwana kumoterstwem, przybrała w ZSSR niebywałe rozmiary. W ustroju sowieckim władza zaczyna być dziedziczna. Tłumaczy się to tym, że ustrój ten ma już 63 lata i pojawiła się kasta przywódców, którzy muszą zapewnić swym dzieciom miejsce na wierzchołku piramidy. System kastowo-dziedziczny budzi w rządzących poczucie bezkarności, ZSSR jednak dopiero zmierza ku rumuńskiemu ideałowi: w Bukareszcie wszystkie stanowiska rządowe są w rękach klanu Ceaucescu. Ale i w Moskwie „synalkowie”, jak nazywają dzieci odpowiedzialnych pracowników, coraz energiczniej pną się na szczyty. W maju na przykład pierwszym zastępcą ministra spraw wewnętrznych ZSSR mianowano generała-lejtnanta Ju. Czurbanova. Jeszcze dziesięć lat temu był on majorem milicji, ale na drodze jego życia stanęła Gala i miłość wyniosła go na szczyty władzy. Gala okazała się córką Leonida Iljicza Breżniewa. W Moskwie opowiadają nawet, że w przeddzień inwazji Afganistanu zdjęto niektórych dowódców i na ich miejsce mianowano „synalków”. Spodziewano się, że przechadzka po Afganistanie będzie równie przyjemna jak przechadzka po Czechosłowacji. A za udział w czechosłowackich „bojach” na wodzów spłynął obfity deszcz nagród i stanowisk. Afganistan nie chciał jednak zostać drugą Czechosłowacją, i na dowódców trzeba było z powrotem posłać zawodowych żołnierzy.

Najciekawszym świadectwem tendencji do tworzenia klanu dziedzicznych następców władzy był obszerny artykuł doktora nauk ekonomicznych profesora Popowa w *Prawdzie*. Artykuł prof. Popowa, opublikowany w ramach dyskusji nad jedenastą pięcioletką (1981-1985), dotyczy reformy systemu cen. Dyskusja o reformach, o niezbędności reform toczy się w Związku Sowieckim od 1921 roku, kiedy to przeprowadzono jedną jedyną reformę czyli „nową politykę gospodarczą” — NEP. Następna reforma — ustanowienie stalinizmu — była zarazem ostatnią, nawet jeśli dokonano na niej potem paru kosmetycznych operacji. Pod przykrywką „zmiany systemu cen” prof. Popow proponuje reformę od podstaw. Sowiecki ekonomista wychodzi przy tym

z tak oczywistego faktu, że jego stwierdzenie wydaje się banałem: w ZSSR za dużo jest pieniędzy a za mało towarów. Nie trzeba być doktorem nauk ekonomicznych żeby to dostrzec. Stwierdziwszy powyższe, prof. Popow proponuje „dyferencjację” cen w zależności od gatunku towaru i usługi.

Chcecie kupić towar wysokiej jakości, dostać bez kolejki bilet na pociąg albo na samolot, wyremontować mieszkanie albo naprawić telewizor — płacie drożej! Jako prawdziwy marksista prof. Popow propozycję swą owija w pseudonaukowe wywody o niezbędnym „zwiększeniu materialnych bodźców”. Proponuje zatem lepiej wynagradzać tych, którzy pracują dobrze, a gorzej tych, którzy pracują źle.

Plan jest oczywiście utopijny, niemożliwy do zrealizowania z przyczyn tyleż ekonomicznych co politycznych. Plan zakłada bowiem, że sowieccy robotnicy muszą zacząć dobrze, a nawet bardzo dobrze pracować, żeby wyprodukować towary, które będą mogli kupić za tę wysoką płacę, która będzie im się należała za ich godziwą pracę. Ważniejsze jednak jest to, że plan zakłada że ludzie sowieccy będą mogli kupić za pieniądze przywileje, które w ustroju socjalistycznym zależą od kryteriów politycznych. Prof. Popow proponuje zasadniczą reformę ustroju socjalistycznego: z pieniędzy chce zrobić czynnik decydujący o położeniu człowieka w społeczeństwie. Prof. Popow proponował na łamach *Prawdy* rewolucję. Jednak w Związku Sowieckim ci co mają pieniądze nie potrzebują rewolucji. Co więcej, pieniądze mają ci sami którzy mają władzę. Jeśli za swoje pieniądze nie mogą kupić czegoś u siebie, kupią to na Zachodzie. Największa i podstawowa zdobycz socjalizmu zarezerwowana jest dla tych, którzy nie mają ani pieniędzy, ani władzy: tym wolno pracować źle, a nawet wcale nie pracować, tylko udawać, że pracują.

Andriej Płatonow nazwał ustrój totalitarny „królestwem pozorów”. Prof. Popow zaproponował rewolucję: zlikwidować pozory i oprzeć system na rzeczywistości. „Pozory” jednak to istota ustroju, bez nich nie mógłby istnieć, bez nich straciłby jeden z najważniejszych środków oddziaływania na Zachód. Jest to potężna broń.

O sile i międzynarodowych wpływach ZSSR świadczy między innymi to, że inne narody przejmują słowa z języka tego państwa. W dawnych czasach do języków wszystkich cywilizowanych narodów świata wchodziły słowa francuskie, potem — amerykańskie. Kto dziś nie wie, co znaczy „sputnik”, „gułag”, „kałasznikow”? Całkiem niedawno Francuzi poznali zupełnie nowe sowieckie słowo: „dezinformacja”. Mogli je oczywiście poznać znacznie wcześniej: specjalny wydział A, zajmujący się wyłącznie dezinformacją, istnieje w KGB od 1959 roku. Na legendarnego jego założyciela, generała Iwana Agajanca, spływa chwała za szereg powszechnie znanych operacji. To on na przykład organizował w 1959 roku neo-nazistowskie i antysemickie wystąpienia w Niemczech Zachodnich, w Oslo, Paryżu, Wiedniu, Londynie,

Nowym Jorku i Mediolanie. Cały świat był wówczas wstrząśnięty żywotnością nazistowskich nastrojów w Niemczech Zachodnich. Rola wydziału A w tej kampanii wyszła na jaw dopiero w 1969 r. Ale dezinformacja zrobiła swoje.

W maju 1980 roku skazano w Paryżu na 5 lat więzienia Pierre Charles'a Pathé, siedemdziesięcioletniego dziennikarza, syna założyciela francuskiej wytwórni filmowej Pathé. Jak oświadczył prokurator, po raz pierwszy w wolnym kraju sędzono *agent d'influence*. Pierre Charles Pathé został skazany za opublikowanie ponad sześćdziesięciu artykułów, które sąd uznał za „dezinformacyjne”, i za przekazanie sowieckim agentom poufnych informacji o francuskich działaczach politycznych, państwowych i kulturalnych. Jurysdykcja francuska po raz pierwszy uznała za konieczne odpowiedzieć na nowe metody wywiadu sowieckiego.

Dziwnym zbiegiem okoliczności proces *agent d'influence* zbiegł się w czasie z publikacją w Paryżu książki dwóch dziennikarzy, Amerykanina Arnaud de Borchgrave'a i Anglika Roberta Mossa pt. *L'Iceberg* („Lodowiec”). Szkoda, że dla zrelacjonowania działalności sowieckiego wywiadu na Zachodzie dziennikarze wybrali formę powieści. Jeśli jednak pominąć „romansowe” partie *Iceberga*, można w książce znaleźć sporo interesujących danych o tym, jak KGB „dezinformuje” Zachód. Proces Pierre Charlesa Pathé wyglądał zupełnie jak rozdział z powieści *Iceberg*. Ponieważ powieść jest „z kluczem”, można w niej rozpoznać Pathé i jego przyjaciół. *Le Monde* recenzję z „*Iceberga*” opatrzył tytułem: „Kry z lodowca zimnej wojny”.

Jednym z ważnych pól dla dezinformacji są wybory w krajach demokracji. W okresie post-stalinowskim Związek Sowiecki coraz aktywniej włącza się w wybory w USA, RFN, we Francji i w innych krajach. Interweniuje czasami poprzez konkretne działania, a czasami właśnie nic nie robiąc: Chruszczow pisze w swoich „Pamiętnikach”, że w czasie kampanii wyborczej w USA w 1960 roku nie wypuścił amerykańskiego lotnika Powersa, żeby nie pomóc Nixonowi. Kiedy w 1961 roku spotkał się w Wiedniu z Kennedym, pochwalił się: „Wie Pan, że myśmy na Pana głosowali? Czekaliśmy na wynik wyborów z oswobodzeniem Powersa”.

Interwencja może też przybierać formę przekazywanych poufnie „opinii”: w kwietniu 1980 roku sowieccy dyplomaci, towarzyszący Gromycze w czasie jego podróży do Paryża, w tajemnicy oświadczyli, że „Carter jest najlepszym sowieckim prezydentem”. W przeddzień drugiej tury wyborów prezydenckich we Francji poseł sowiecki Czerwonienko złożył wizytę Giscard d'Estaingowi, żeby pokazać części wyborców francuskich na kogo mają głosować.

W 1980 roku wydział dezinformacji dwoi się i troi: zbliżają się wybory do parlamentu w RFN a prezydenckie we Francji i w USA. Moskwa musi wybierać: Schmidt czy Strauss, Giscard

czy nie wiedzieć kto (zresztą sympatia Moskwy dla Giscarda jest oczywista), Carter czy Reagan? Najtrudniej zdecydować to ostatnie.

Sowiecka prasa jest jednomyślna: najlepszy kandydat to Edward Kennedy, nie ma on jednak szans. Cartera w Moskwie nienawidzą za jego idealizm, niezdecydowanie i słabość. Reagana boją się, bo jego antykomunizm brzmi jak wyzwanie. Jednak w Moskwie pamiętają, że prawdziwa *détente* zaczęła się po wyborze zacieklego antykomunisty Nixona. Przy tym Moskwa jak zawsze boi się zmian: Carterowi zdążyli się już przyjrzeć. Z nim gotowi by się byli pogodzić, pod warunkiem że usunąłby Zbigniewa Brzezińskiego. 4 czerwca *Literskaja Gazeta* opublikowała kolejny gigantyczny artykuł (osiem stron) demaskujący doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Autor artykułu, zastępca naczelnego redaktora *Prawdy* Aleksander Kriwickij, trzykrotnie powtarza główny zarzut przeciw Brzezińskiemu: „Po raz pierwszy stanowisko to zajął zawodowy sowietolog”. Tęgo Związek Sowiecki nie może tolerować. Jeśli prezydent Carter chce, żeby głosowało na niego 260 milionów sowieckich wyborców, musi natychmiast rozstać się ze swoim „zawodowym sowietologiem”.

Kto wie? Różnie bywa. Kto nie wierzy w cuda, niech spojrzy na Leonida Iljicza Breżniewa. Przyjechała z Tyflisu zachorka Dżuna Pawitaszwili, która przez długie lata pracowała jako kelnerka w tyfliskiej restauracji, spojrzała Leonidowi Iljiczowi w oczy, dotknęła go — i pierwszy sekretarz, prezydent i marszałek ożył: wstał i pełen sił ruszył przed siebie. A gazeta *Trud* opublikowała 12 marca wywiad z członkiem-korespondentem Akademii Nauk ZSSR, Aleksandrem Spirkinem, który zbadał Dżunę i naukowo stwierdził, że potrafi ona leczyć za pomocą „bioenergii”. Cudów nie ma — tylko nauka!

Możliwe zresztą, że i to jest dezinformacja.

Adam KRUCZEK

“List z zesłania” Sacharowa

W *New York Times Magazine* ukazał się 8 czerwca *List z zesłania* Andrieja Sacharowa, pierwszy większy tekst napisany w Gorkij i przemycany na Zachód.

Sacharow zaczyna od opisu gwałtownego zachwiania równowagi sił na korzyść ZSSR, stałego wzrostu zbrojeń sowieckich i sowieckiego ekspansjonizmu w kluczowych rejonach strategicznych i ekonomicznych świata. „Inwazja Afganistanu jest kolejnym i niebezpieczniejszym stadium tej eks-

pansji. Inwazja, dokonana na tle tragedii w Teheranie i prawdopodobnie mająca jakieś ukryte z nią związki, rozjaśniła napięcia światowe oraz zatajowaną pertraktację rozbrojeniową i załatwienie innych konfliktów... Potępiły ją 104 narody, ale wojna trwa i nie widać jej końca. Sanckje gospodarcze i polityczne są niezmiernie ważne... W szczególności konieczny jest możliwie najszybszy bojkot Olimpiady moskiewskiej. Każdy przybyły do Moskwy widz czy atleta udzieli pośrednio poparcia sowieckiej polityce militarnej”.

„W chwili gdy piszę te słowa świat dowiedział się o niepowodzeniu amerykańskiej próby odbicia zakładników w Teheranie. Była to według mnie próba śmiała i szlachetna. Podjęto ją, gdy stało się jasne, że władze irańskie nie uwolnią zakładników dobrowolnie, biorąc tym samym na siebie odpowiedzialność za zbrodnię, która na pośmiewisko wystawia zasady zachowania międzynarodowego. Nie rozumiem jak mogło powstać tyle problemów technicznych. Bez wątpienia poddawane są one teraz dokładnym badaniom, nie tylko kwestie czysto techniczne lecz także możliwości sabotażu. Powodzenie misji amerykańskiej ocaliłoby świat od koszmaru. Nikt nie powinien potępiać Stanów Zjednoczonych dlatego że misja się nie powiodła. I nikt nie powinien krytykować prezydenta Cartera za tajemnicę, jaką otoczona była organizacja misji. Co do mnie, podejrzewam że tajemnica była raczej niedostateczna niż nadmierna. Nie ma tu miejsca dla ambicji osobistych. Ogólnie biorąc, działania Cartera w tych tragicznych dniach wywołują we mnie tylko szacunek”.

W dalszym ciągu *Listu* Sacharow ubolewa nad brakiem jedności Zachodu i wysypką antyamerykanizmu w Europie zachodniej, oraz przestrzega przed tymi siłami i osobami w wolnym świecie, które z racji zajmowanych pozycji są w stanie wspierać sowieckie wpływy i cele ekspansjonistyczne. Reakcja w Europie zachodniej na wypadki w Afganistanie i Teheranie nie była tak zwarta i jednolita, jak powinna była być. „Jest wiele rzeczy z których Europa ma prawo być dumna. Ale nie przystoi Europie postawa arogancka. I nie pozwala na to tragiczna natura naszych czasów. Europa musi walczyć ramieniem w ramieniu z zaoceaniczną demokracją, która jest tworem Europy i jej główną nadzieją. Pewien brak jedności jest oczywiście odwrotną stroną medalu pluralizmu demokratycznego, głównej siły Zachodu. Ale ten brak jedności jest także powodowany systematyczną sowiecką polityką wbijania klinów, polityką której Zachód nie stawiał należytego oporu z winy swej niedbałości i ślepoty”.

Druga część listu poświęcona jest wewnętrznym problemom ZSSR i obronie represjonowanych dysydentów. Na zakończenie Sacharow pisze o sobie i swojej sytuacji. „Często zadaje mi się pytanie, czy gotów jestem wyemigrować. Uważam ciągłą dyskusję na ten temat w prasie i w wielu zagranicznych audycjach radiowych za przedwczesną, dyktowaną pogonią za sensacją. Jestem zdania że każdy człowiek ma prawo wyemigrować, i w zasadzie nie wyłączam tu samego siebie. Sprawa nie jest dla mnie w tej chwili istotna, gdyż decyzja nie zależy w żadnym razie ode mnie. Za słuszne i prawomocne uważam żądania moich zagranicznych kolegów, by odwołano nakaz zesłania i bym mógł wrócić do domu lub wyjechać na Zachód. To są moje prawa nie tylko jako uczonego, lecz również jako istoty ludzkiej”. Sacharow dodaje jeszcze, że jego żona, chociaż formalnie nie pozbawiona wolności, znajduje się w większym niebezpieczeństwie niż on sam, i zaklina, by pamiętali o tym wszyscy występujący w jego obronie. „Niemożliwością jest przewidzieć, co nas oczekuje. Jedyną naszą ochroną jest światła uwagi publicznej, rzucane na nasz los przez przyjaciół na całym świecie”.

List z zesłania datowany jest 4 maja 1980.

Kronika niemiecka

Minister obrony RFN Hans Apel jest zdania, że sytuacja geopolityczna i gospodarcza nie pozwalają Republice Federalnej na prowadzenie neutralnej polityki; za mylnie uważa też przekonanie, że Bonn może odegrać rolę rozjemcy między blokami. Apel jest za unowocześnieniem i dozbrojeniem Bundeswehry. ■ Śląski Instytut Naukowy wydał w PWN pracę Piotra Dobrowolskiego *Zachodnioniemiecka myśl polityczna a pokojowe współistnienie i odprężenie*. Autor koncentruje się na ukazaniu teoretyczno-koncepcyjnej ewolucji zachodnioniemieckiej myśli politycznej w warunkach przenikania do praktyki stosunków międzynarodowych „idei współistnienia”. ■ Nowym ordynariuszem obu części Berlina (na miejsce zmarłego kardynała Bengscha) został biskup pomocniczy z Erfurtu (NRD) Joachim Meissner. ■ Profesor teologii ks. dr Hans Küng, któremu władze duchowne cofnęły misję kanoniczną do nauczania w imieniu Kościoła katolickiego, nie należy już do wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Tybindze, pozostaje jednak profesorem teologii, a także dyrektorem Instytutu Badań Ekumenicznych. Jest to rozwiązanie kompromisowe. ■ Władze NRD przekazały Archiwum Głównemu Akt Dawnych w Warszawie pakiet dokumentów archiwalnych dotyczących obecnie polskich ziem zachodnich i północnych; dotyczą one m.in. historii Śląska począwszy od XIII wieku. W przekazanych zbiorach (14 tys. jednostek) znajdują się również dokumenty współczesne, mające wartość użytkową dla gospodarki. Szczególnie ważne są rysunki techniczne kanałów, zabudowań, zbiorników wodnych, linii elektryfikacyjnych. ■ W rozegranym we Frankfurcie nad Menem meczu piłkarskim reprezentacja Niemiec Zachodnich pokonała Polskę 3:1. Na apel grupy miejscowych Polaków (Aktion Freies Polen) krajowi kibice odpowiedzieli spontaniczną zbiórką pieniędzy na pomoc opozycji demokratycznej w PRL. W sektorze zajęтым przez Polaków zaobserwowano transparenty, na których domagano się zwolnienia uwięzionych w PRL działaczy ruchów opozycyjnych. Przed głównym wejściem na stadion stał zaparkowany mikrobus obwieszony podobnymi sloganami; rozdawano również publikacje emigracyjne i różne ulotki w języku polskim i niemieckim. ■ W monachijskim Residenztheater odbyła się premiera *Iwony, księżniczki Burgunda* Witolda Gombrowicza w reżyserii Ingmara Bergmanna. Recenzje są bardzo pochlebne. ■ Krzysztof Zanussi nakręcił na zamówienie zachodnioniemieckiej telewizji film *Mój Kraków*. Polski reżyser uwypuklił szczególnie więzy łączące dawną stolicę Polski z miastami Europy zachodniej, głównie niemieckimi i austriackimi. ■ W Saarbrücken odbyło się seminarium na temat roli ruchu związkowego Polski i RFN. Wiesław Rogowski, członek CRZZ i redaktor naczelną *Głosu Pracy* zwrócił uwagę, że „ludzie pracy” w PRL są „zaniepokojeni rolą, jaką odegrała i odgrywa RFN w niebezpiecznych decyzjach zbrojennych NATO”; powiedział również, że strona polska jest „żywo zainteresowana związkową działalnością na rzecz dalszego rozwoju współpracy ekonomicznej i wymiany handlowej PRL i RFN”. Delegacji polskiej przewodniczył Edmund Męclewski, którego organizatorzy przedstawili jako współpracownika... *Sztandaru Młodych*. ■ Wydawnictwo Komitetu Głównego PPS w Niemczech opublikowało broszurę Lechosława Gawlikowskiego *Brak odpowiedzialności za błędy gospodarcze w PRL*. ■ W ramach emigracyjnego *Tygodnia Polskiego* urządnego w Monachium czynny w PPS

i szeroko znany artysta-rzeźbiarz Henryk Zegadło z Kisslegg wystawiał rzeźby ludowe i malowidła na szkłe. Spotkał się z dużym uznaniem zwiedzających. ■ Spadek popularności CDU wśród wyborców zarysował się wyraźnie po nominacji przywódcy bawarskiej CSU, Franza Josefa Straussa, na wspólnego dla obu stronnictw chadeckich kandydata na kanclerza RFN w październikowych wyborach do Bundestagu. Świadczą o tym niepomysłne dla CDU wyniki niedawnych wyborów w Saarze, a przede wszystkim świeża zupełnie, dotkliwa porażka CDU w wyborach do Landtagu Północnej Nadrenii-Westfalii, najludniejszego kraju Republiki Federalnej. Socjaldemokraci zdobyli absolutną większość; z 45,1 % w 1975 podwyższyli stan posiadania do 48,4 %, podczas gdy chadecja z 47,1 % zjechała do 43,2 %. *Wolni Demokraci* (FDP) nie osiągnęli przepisowych 5 % i stracili wszystkie mandaty w parlamencie Nadrenii-Westfalii. W tych okolicznościach wzmożyły się w różnych kołach CDU, szczególnie wśród „realistów” skupionych wokół Ernsta Albrechta, Kurta Biedenkopfa, Rainera Barzela, Waltera Leislera Kiepa i Richarda von Weitzsäckera a także w niemieckiej opinii publicznej wątpliwości, czy sprzymierzone partie chadeckie ze Strausssem na czele potrafią w nadchodzących wyborach do Bundestagu przeciwstawić się skutecznie prestizowi i autorytetowi kanclerza Schmidta, pokonać socjaldemokratyczno-liberalną koalicję rządową i doprowadzić do zmiany rządu w Bonn. Na kongresie CDU w Berlinie Zachodnim Strauss stwierdził, że nie ma absolutnie żadnych powodów do rezygnacji, do upadku ducha. Zaatakował kanclerza i socjaldemokratów o dążenie do stopniowego rozluźniania więzów przymierza, łączącego RFN z USA, w fałszywym przekonaniu, że tą drogą można by uniknąć konfrontacji zbrojnej: „Jest to alternatywa niebezpieczna, śmiertelna”. Strauss przypisał kanclerzowi manię wielkości, ponieważ stale próbuje występować wobec Moskwy i Waszyngtonu w roli nauczyciela, kwalifikowanego do rozwiązywania sytuacji kryzysowych: „Tylko przez politykę autentycznego przymierza, tylko w drodze całkowitej solidarności między nami, Europejczykami — nie mówię tu o szczególnej roli Francji — wyłącznie przez wspólny marsz — ramię przy ramieniu — nas, Europejczyków ze Stanami Zjednoczonymi — zagwarantowany będzie nam wszystkim pokój bez kapitulacji!”. ■ Działający w Monachium obywatelski Komitet Uczczenia Pamięci Ofiar Katynia, któremu przewodniczy dr Ludwik Frendl, ufundował tablicę, wystawioną w kościele św. Jerzego, na której umieszczono nazwiska tych ofiar Katynia, których bliscy zamieszkują obecnie w Monachium i okolicy. ■ *Berliner Morgenpost* ujawniła obecnie, że na jesieni 1979 roku doszło w Berlinie Zachodnim do spotkania przedstawicieli polskich grup opozycyjnych ze wschodnioniemieckimi intelektualistami, którzy w ostatnich latach opuścili NRD. W spotkaniu miało uczestniczyć czterech Polaków i piętnastu NRD-owskich obrońców praw człowieka, żyjących obecnie w RFN. Omawiano m.in. szanse rozwoju ruchów opozycyjnych we Wschodnich Niemczech i Polsce oraz ich stosunek do kwestii ewentualnego zjednoczenia obu części Niemiec. Zdaniem *Berliner Morgenpost* wyczerpująca dyskusja dała już pierwsze wyniki; niezależne publikacje, ukazujące się w Polsce, poświęcają coraz więcej miejsca problematyce ogólnoniemieckiej. Gazeta dla przykładu wymienia kwartalnik *Krytyka*. ■ Pierwsza część historycznej powieści Jana Józefa Szczepańskiego pt. *Ikarus* została wydana we Frankfurcie nad Menem w tłumaczeniu Klause Staemmlera (Insel Verlag, str. 240). W obszernym omówieniu pióra Stanisława Lema, ogłoszonym w bońskim dzienniku *Die Welt*, recenzent ocenia powieść jako „polski wariant *Zbrodni i kary* Dostojewskiego”. Druga część powieści pt. *Die Insel (Wyspa)*, ukazuje się na jesieni br. ■ Wydawnictwo naukowe Springer-Verlag KG, Berlin-Heidelberg-New York (w 1979 roku 682 tytuły i 146 mln. marek obrotu) wystawiało po raz 25 swoje publikacje na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. Według rzecznika wy-

dawnictwa zamówienia napływające w 1979 roku z krajów wschodnioeuropejskich i Związku Sowieckiego zmniejszyły się w porównaniu z r. 1978 o ponad 30 %. W br. przewidywany jest dalszy spadek obrotów w wymienionych krajami, z powodu coraz trudniejszej sytuacji dewizowej w Bloku Wschodnim. Natomiast gwałtownie wzrosła wartość transakcji wydawnictwa z Chinami Ludowymi. ■ *Teatr Wielki* z Warszawy wystawił w Wiesbaden *Halke* Stanisława Moniuszki i *Diabły* z Loudun Krzysztofa Pendereckiego w inscenizacji Andrzeja Majewskiego. Chyba jedynie choreografia Witolda Grucy spodobała się recenzentom. ■ W maju br. przybyło do RFN 2.225 przesiedleńców z Polski. ■ W tym samym miesiącu czechosłowackie władze graniczne nie zezwoliły na wjazd do ČSSR 204 obcokrajowcom, anulując jednocześnie ich wizy wjazdowe. Wypadki zakazu wjazdu zarejestrowano wyłącznie na trzech przejściach granicznych znajdujących się w Bawarii. ■ W Darmstadt odbyło się kolejne, trzecie *FORUM RFN-PRL*, poświęcone ocenie 10-letniego okresu normalizacji stosunków oraz perspektyw dalszego rozwoju współpracy między Polską a Republiką Federalną. W odróżnieniu od gospodarzy skład peerelowskiej delegacji (ponad 30 osób) miał charakter najbardziej oficjalny. Warto wymienić kilka nazwisk: Wacław Piątkowski, kierownik Wydziału Zagranicznego KC PZPR; Józef Barecki, red. nac. *Trybuny Ludu*; Ryszard Wojna, poseł na Sejm i naczelny komentator *Trybuny Ludu*, jednocześnie rzecznik reżymowej delegacji. Następnie cała plejada krajowych propagandzistów, których nie można w najmniejszym stopniu posądzić o sprzyjanie zbliżeniu polsko-niemieckiemu, m.in. Julian Bartosz, Edmund Męclewski, Marian Podkowiński, Janusz Reiter, Wilhelm Szewczyk i Antoni Walichnowski (w 1968 roku był szefem wydziału do walki z syjonizmem w MSW). Zabrano też do Darmstadu Artura Sandauera i kilku drugorzędnych naukowców, związanych z *Instytutem Zachodnim* w Poznaniu i *Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych* w Warszawie (Mieczysław Tomala). Gospodarzem *FORUM* był prof. Karl Kaiser, dyrektor bońskiego Instytutu d/s Polityki Zagranicznej; rzecznikiem niemieckiej grupy — minister stanu w *Auswärtiges Amt* — Klaus von Dohnanyi (*SPD*); na liście znaleźli się po raz pierwszy profesorowie Gotthold Rhode (Moguncja) i Georg W. Strobel (Darmstadt). Przemawiał także Herbert Wehner, przewodniczący frakcji *SPD* w *Bundestagu* (*Frankfurter Allgemeine Zeitung*): „W kwestiach spornych nie zabierał głosu; był wyraźnie zrezygnowany, tylko czasami padały z jego strony ironiczne uwagi. Nie było miejsca na samoobronę. Polacy brali wszystko ze śmiertelną powagą i wyrażali oburzenie, że niemieccy uczestnicy spotkania byli rozluźnieni i zachowywali się swobodnie; poczytywano im to za brak dobrej woli”). Ostre wystąpienie Polaków zainaugurowało przemówienie Wacława Piątkowskiego. B. ambasador PRL w Bonn wskazywał na konieczność dostosowania zarówno prawa wewnętrznego, jak i praktyki politycznej w RFN do „litery i ducha układu”, który jest nadal kryterium stosunków sił politycznych i społeczeństwa RFN do „procesu odprężenia i normalizacji stosunków między obu krajami”. Krytycznie ocenił rzekomy brak postępów w dziedzinie normalizacji zaleceń przyjętych przez wspólną komisję do spraw rewizji podręczników szkolnych (riposta strony niemieckiej: myśmy wydali zalecenia w nakładzie 200 tys. egzemplarzy, Polacy o wiele mniej; u nas panuje system federalny, możemy jedynie zalecać a nie nakazywać, jak to się dzieje w systemach totalitarnych. Polscy historycy zakwestionowali w naszych podręcznikach zaledwie dwa kontrowersyjne fragmenty, w polskich jest ich o wiele więcej, nie mówiąc już o „białych plamach”). Niemieccy uczestnicy *FORUM* bezskutecznie zwracali uwagę, że chodzi o dziedzinę nauki, która odrzuca sformułowania o charakterze dogmatycznym i ostatecznym: „rzeczywisty obraz historii nie może być komenderowany ogólnie”. Dalej Piątkowski mówił o „siłach w RFN, reprezentowanych w *Bundestagu*”,

które starają się podważyć ważność układu z 1970 roku, o niepokoju społeczeństwa z powodu podjęcia przez NATO decyzji o produkcji nowych amerykańskich broni atomowych i ich lokalizacji w Europie Zachodniej (*FAZ*: strona polska nie miała najmniejszego zamiaru dyskutować na temat stacjonowania sowieckich rakiet typu SS-20 w krajach Europy Wschodniej). Klaus von Dohnanyi oddalił zarzuty Piątkowskiego, stwierdzając m.in. że w zachodnoniemieckim *Bundestagu* sprawa normalizacji stosunków z Polską znajduje poparcie nie tylko koalicji rządowej *SPD/FDP*, ale również partii opozycyjnych: „nikt nie podważa prawomocności układów z Polską, choć są one politycznie różnie interpretowane”. *FAZ*: „Lamentujący Polacy starali się bronić interesów swojego wschodniego sąsiada, któremu zależy na utrzymaniu wszelkich kontaktów z Zachodem, nie zawsze zresztą pokrywających się z interesami Polski, jednocześnie jednak, rezygnując z eleganckich gestów i ciepłej atmosfery, zachowywali się po prostu jak *pressure-group*, która za wszelką cenę chciała wymusić na gospodarzach ustępstwa o decydującym znaczeniu”. Polscy uczestnicy *FORUM* odwiedzili również niedawno otwarty w Darmstadt *Deutsches Polen-Institut*; i zaraz znalazł się powód do wyrażenia niezadowolenia. Otóż w zbiorach bibliotecznych uwzględniona jest także literatura emigracyjna. *FAZ*: „Zdaniem gości Instytut powinien odzwierciedlać wyłącznie socjalistyczną rzeczywistość w Polsce. Fakt, że kierowana przez Karla Dedeciusa placówka nie może pominąć milczeniem istnienia literatury emigracyjnej wyraźnie zdenerwował zwiedzających”. ■ Hamburski tygodnik *Der Spiegel* zamieścił esej Wilhelma Bittorfa (do niedawna korespondenta tygodnika *Stern* w Waszyngtonie), w którym autor poddał ostrej krytyce aktualną politykę zagraniczną prezydenta Cartera i jego doradcy do spraw bezpieczeństwa Brzezińskiego; dowiadujemy się, że sprawcami drugiej wojny światowej nie byli Hitler i Stalin, lecz pierwsza ofiara ich zbrodniczej napaści — Polska; Polska, odmawiając wojskom sowieckim prawa wkroczenia na swoje terytorium, uniemożliwiła powstanie koalicji Anglii i Francji z Rosją...; „Brzeziński jest polskim emigrantem, jego ojciec był w Kanadzie urzędnikiem konsularnym polskiego rządu emigracyjnego. Należy więc do tych samych ludzi, którzy, skupieni wokół płk. Becka i innych przywódców przedwojennej Polski, w swojej nienawiści do Rosjan woleli ponieść klęskę z ręki Hitlera niż pójść na zaakceptowanie sowieckich gwarancji przyjęcia z pomocą”. Esaj jest zatytułowany *Mit den Russen reden* (Rozmawiać z Rosjanami); chodzą słuchy, że został napisany z inspiracji „rapallowsko usposobionej frakcji” w rządach *SPD* (Egon Bahr, Horst Ehmke, Herbert Wehner), którą popierają pewne koła przemysłowe, dążące do dalszego rozszerzenia stosunków gospodarczych z Moskwą. ■ Polscy turyści udający się do NRD muszą od 1 czerwca br. wykazać się na granicy posiadaniem minimum 25 marek wschodnoniemieckich na każdy dzień pobytu. Obywatele PRL mogą obecnie zakupić w *Banku Polskim* zaledwie 350 marek w ciągu roku. Dotąd limit wynosił 400 marek, bez ograniczenia okresu pobytu w NRD i wielokrotności przekroczenia granicy; w praktyce polscy turyści wjeżdżali do NRD bez obowiązku posiadania tamtejszych dewiz; rozwinął się czarny handel na skalę niespotykaną w ruchu turystycznym między wschodnioeuropejskimi krajami (na samym początku bezwizowej wymiany turystycznej Polacy mogli nawet zakupywać po 100 marek przy każdorazowym przekraczaniu granicy). Niedawno władze NRD podniosły kurs marki wschodnoniemieckiej w stosunku do złotego o 16 % (100 marek = 770 złotych) i wprowadziły bony na zakup benzyny, po cenach wyższych niż aktualnie obowiązujące na stacjach benzynowych w NRD. Władze NRD chcą za wszelką cenę ograniczyć przyjazdy turystów z Polski.

Kronika litewska

Ruch wydawniczy na Litwie jest w rękach „Gławlitu”, obsadzonego przeważnie przez Rosjan. Zlikwidowana została „Biblioteka Lituanistyki” i wstrzymano druk tłumaczenia z łaciny historii Kojalowicza, kroniki augsburskiej i in. Nakład tłumaczenia pism Komenskigo został zniszczony, ale uprzednio rozesłano za granicę pewną ilość pokazowych egzemplarzy. W tegorocznym katalogu nie ma ani jednego tłumaczenia z literatury „zgniłego Zachodu”. Teatr, zdaniem krytyków urzędowych, cierpi na obsesję historyczną; w ostatnich latach z 40 sztuk rodzimych tylko 11 dotyczyło tematyki współczesnej, za mało też grano sztuk rosyjskich. Ruch krajoznawczy, przed kilku laty bardzo popularny, został wyleczony z „historyczności” i stracił entuzjastów. Zamiast interesować się zabytkami historycznymi i etnograficznymi, nakazano ograniczyć zainteresowania do historii litewskiej kompartii i związanych z nią pamiątek. W związku z przypadającym 40-leciem sowietyzacji Litwy dużo papieru zużyto na wydawnictwa wspomnieniowe i propagandowe.

Litewski ruch wydawniczy na emigracji wciąż jest okazały. Prócz twórczości oryginalnej można wymienić tłumaczenie z francuskiego oryginału Oskara Miłosza „Les sept solitudes”. Ukazują się też litewskie wydawnictwa w obcych językach o charakterze historyczno-propagandowym, ale z uwzględnieniem sytuacji obecnej. W *East European Quarterly* ukazała się praca profesora nauk politycznych V. Vardysa pt. *The Catholic Church in Soviet Lithuania. Dissent and Nationality*, która wzorując się na Kronice K.K. na Litwie unika patosu a cytuje fakty i ogranicza się do ich względnie obiektywnej interpretacji. W oparciu o recenzje T. Venclovy i J. Jakšasa spróbujmy streścić wywody profesora. W dziale historycznym autor wypunktował parę mniej znanych faktów. W pierwszym 150-cioletnim okresie po chrzcie chrześcijaństwo było na Litwie przyjmowane opornie, gdyż kler polsko-szlachecki nie docierał do mas. Dopiero współzawodnictwo z protestantyzmem zmusiło go do używania również języka litewskiego i spowodowało zespolenie Kościoła z ludem. Autor dalej wskazuje, że do roku 1863 carat uważał wszystkich katolików za Polaków. Dopiero potem, chcąc uwolnić Kościół od polskiej dominacji, zaczął czynić różnice narodowościowe. Próbowano więc wprowadzić do litewskiej pisowni rosyjskie czcionki i faworyzować kler litewski. Jednak tzw. *graudanka* spotkała się z kategorycznym oporem. A że wpływy polskie osłabły, Kościół się unarodowił. Skutki tego trwają po dziś dzień.

Przechodząc do doby obecnej, autor twierdzi, że komunizm ma swoiste pretensje teokratyczne i może być traktowany jako antyreligia, która niegdyś miała swych świętych, męczenników i wyznawców, lecz teraz stała się instytucją bez męczenników i z coraz mniejszą liczbą wyznawców. Państwa antyreligia daje przywileje i przysparza wielu pozornych wyznawców, ale dla poszukiwaczy prawdy stała się mało atrakcyjna. W kościołach na Litwie wiara jest żywsza niż w przeciętnym kościele na Zachodzie.

W ostatnim stuleciu istniały na Litwie stale dwa równoległe nurty: katolicki i liberalny. Dopiero teraz opozycja jednoczy trzy nurty: katolicki, narodowy i antykomunistyczny. Litwini są jedynym narodem katolickim w Związku Radzieckim i jedynie na Litwie opór jest masowy. Odbywa się tu próba sił między antyreligią i religią, która w odróżnieniu od prawosła-

wia ma zewnętrzny ośrodek dyspozycyjny w Watykanie. Dlatego też odciłek litewski jest symptomatyczny w skali światowej. Doświadczenia na Litwie mają wpływ na politykę Watykanu i mogły się przyczynić do zarzucenia *Ostpolitik*.

Na Litwie dzisiejszej drugim po władzy autorytetem jest proboszcz. W ruchu dysydenckim prawie nie ma rozłamu między katolikami i liberałami. Jako bohater narodowy częściej jest wymieniany biskup Valančius (Wołaczewski) niż ówczesni liberałowie (choć w ub. wieku ateista dr Sliupas organizował w Ameryce litewskie parafie, aby uchronić Litwinów od polonizacji).

Epoka stalinowska była okresem drakońskich prześladowań. Po chruszczowskiej amnestii, gdy wróciło z Sybiru sporo księży, wkrótce przystąpiono do wzmocnionych prześladowań Kościoła i do dalszej rusyfikacji.

Później zmieniono taktykę. „Próbuje się zniszczyć Kościół nie popędliwymi napaściami a bezdusznym, nieustającym naporem maszyny biurokratycznej. Ta biurokratyczna maszyna, ten aparat państwowego nadzoru i nacisku rzadko gdzie był opisany w tak udokumentowany sposób jak w pracy prof. Vardysa. Bardzo są tu pomocne załączniki, zajmujące 50 stron. Ten jurydyczny dział będzie ciekawy zwłaszcza dla czytelników zachodnich. Dzisiejszy sowiecki biurokrata różni się nie tylko od urzędnika krajów demokratycznych, różni się on również od rewolucyjnego komisarza. Stosuje on przymus, lecz nie rewolwerem (niczego się tak nie obawia jak broni) a opiera się o dyrektywy, tajne instrukcje i zawiłą, jednostronną interpretację ustaw. W tym celu stworzony został skomplikowany labirynt ustaw i rozporządzeń. Antyhumanitarna i antydemokratyczna praktyka usiłuje się usprawiedliwić bardzo naciągniętymi argumentami. Rząd uważa religię oficjalnie za sprawę prywatną, co jest normalne. Ponieważ jednak partia jest oficjalnie przeciw religii, a w praktyce nie ma rozdziału między rządem i partią, każdy wierzący staje się automatycznie obywatelem drugiej czy trzeciej kategorii. Wszelka propaganda religijna poza kościołem jest formalnie zabroniona. W tej „zewnętrznej” przestrzeni panuje, albo musi panować, ateizm”.

„Obecna sytuacja na Litwie przypomina dawne wojny religijne. Są też ateistyczne dewotki, które w innych czasach byłyby nabożnymi dewotkami. Lecz obecnie ateizm stał się już ideologią prorządową, mało atrakcyjną, tym bardziej, że ateizm typu dawnych wolnomyślicieli też jest zwalczany. Dla Litwy przełomem był rok 1968, od tego roku datuje się masowy ruch oporu”.

Praca powyższa została napisana przed paru laty i nie nawiązuje jeszcze do pewnych zmian sytuacji w związku z wyborem „polskiego papieża”. Od opinii litewsko-amerykańskiego sowietologa przejdźmy do wiadomości z innych źródeł. Komitet obrony praw wierzących złożył memoriał do biskupów litewskich, wykazując że ustawa o organizacjach religijnych nakazuje postępowanie niezgodne z sumieniem duszpasterzy i dlatego winna być zmieniona. Członkowie tego komitetu — wyłączając księży — postępują sobie odważnie i mają poparcie proboszczów, którzy wbrew ustawie pełnią funkcje przewodniczących komitetów parafialnych. Pomimo to żaden z księży członków komitetu lub przewodniczących nie został zdjęty z parafii, a i w ogóle od ponad trzech lat żaden ksiądz na Litwie nie został aresztowany, w odróżnieniu od popów i baptystów w Rosji i od świeckich działaczy katolickich na Litwie, spośród których wielu dostało surowe wyroki do 15 lat. Niedawny protest 522 księży litewskich (na ogólną ich liczbę 711) spowodował, że władze zaczęły się z nimi liczyć, chcąc uniknąć konfrontacji. Możliwe też jest, że władze próbują sprowokować rozłam między klerem a świeckimi, wykazując tym ostatnim, że tylko ryzykują, podczas gdy księża się nie narażają, bo są pod opieką Watykanu.

Licealiści w Poswolu w czasie „Tygodnia ateizmu” zebrali się na wiec, gdzie głoszone hasła „Wolność sumienia”, „Wolność dla Litwy”, „Rosjanie precz” itd., i uszło im to prawie bezkarnie. Gdyby coś podobnego zaszło w innych prowincjach, nastąpiłyby drakońskie represje. Siłą oporu na Litwie jest jego masowość i to, że w Rosji antysowieckie wystąpienia są piętnowane jako niepatriotyczne, jako zdrada narodu, a na Litwie ten argument nie jest przekonywujący. Niewykluczone też jest, że władze sowieckie stracą cierpliwość i że już przygotowują na Litwie szeroko zakrojoną akcję pacyfikacyjną.

Prasę litewską obiegają pogłoski, że wizyta węgierskiego kardynała na Litwie była związana z rozmowami o możliwości wizyty papieża w Związku Sowieckim. Papież miał oświadczyć, że jego wizyta byłaby celowa jedynie w wypadku, gdyby mógł odwiedzić również Litwę.

Przedstawiciel litewskiego rządu emigracyjnego przy Watykanie Łozoraitis junior oświadczył, że Jan Paweł II już ma koncepcję w sprawie Kościołów we wschodniej Europie i że będzie ją realizował.

Kontynent Nr 12 zamieszcza wypowiedzi wielokrotnie więzionego litewskiego dysydenta Terleckasa, który w litewskiej prasie podziemnej włącza się do dyskusji na bolesny temat: „W czasie niemieckiej okupacji [Litwy] miała miejsce wielka tragedia — zostało zamordowanych około 200 tysięcy Żydów. Po dziś dzień nie daje mi spokoju pytanie — kto jest winien? Dlaczego Litwini, którzy w ciągu wieków odznacali się narodowością i religijną tolerancją, w wieku dwudziestym podnieśli rękę na bezbronnych? Od dawna szukam odpowiedzi na to pytanie. Nikt w moim ojczystym miasteczku Krivasalis do Żydów nie strzelał, nikt z moich bliskich nie zbrukał się krwią niewinnych. A jednak od wielu lat mam poczucie wielkiej winy”.

Dalej omawiana jest dyskusja na ten temat, w której brał udział T. Venclova, solidaryzujący się z Terleckasem, i wypowiedzi prasy emigracyjnej, że Żydzi są sami sobie winni, gdyż zawsze byli wrogami Litwy. Obaj pisarze obalają te zarzuty. Terleckas stwierdza, że mord Żydów litewskich jest tragedią narodu litewskiego, która nie może być usunięta w niepamięć. Zapytuje co należy robić i proponuje m.in., by Kościół postawił pomniki na miejscu straceń.

Omawiająca tę dyskusję *Allgemeine Jüdische Wochenzeitung* podkreśla, że problem winy nurtuje nie tylko naród niemiecki. Wszędzie istnieje taka „huśtawka” między poczuciem zbiorowej winy a dążeniem do usprawiedliwiania się.

Dyskusja C. Miłosza i T. Venclovy na łamach *Kultury* była nieraz cytowana w litewskiej prasie emigracyjnej. Ostatnio artykuł „Polacy, Litwini, Białorusini” doczekał się również komentarza. *Teviškes Žiburiai* z dnia 17 kwietnia 1980 stwierdza w artykule „Litwini i Polacy”, że dla Litwina wyrośnięty w okresie niepodległości Polacy byli największymi wrogami. To nieprzychylnie nastawienie trwa nadal i stosunki na emigracji są chłodne i nieufne. Po obu stronach pojawiają się głosy pojednawcze, ale również agresywne. Jednym z powodów takiego stanu jest sytuacja w Sejnach. Odmowa wprowadzenia nabożeństwa litewskiego w katedrze przerodziła się dzięki litewskiej emigracji ze sporu lokalnego w sprawę o światowym rozgłosie. Dziwne jest, że przeciwnikiem jest polski kler, który stawia swój nacjonalizm wyżej troski o litewskich wiernych.

„Na temat Sejnu i stosunków litewsko-polskich wypowiada się w *Kulturze* p. Lida. Autor usprawiedliwia polskie postępowanie w Sejnach, powtarza twierdzenie, że Litwini nie są tam pokrzywdzeni. Walczy o to nabożeństwo jakoby tylko podległa z zewnątrz grupka Litwinów. Celem ich jest rozgłoszenie faktu, że w Sejnach jest dużo Litwinów i stworzenie z tego problemu politycznego. Na Suwalszczyźnie są poza tym bogactwa mineralne — węgiel, rudy itd. Zdaniem autora artykułu, gdyby Polacy dziś wprowadzili język

litewski w katedrze, to jutro okręg ten „samorzutnie” domagałby się włączenia do Związku Sowieckiego. Lecz czy autor nie widzi, że Polacy, nie dając Litwinom tych praw, właśnie nadają rozgłos istnieniu tam Litwinów. Gdyby wprowadzili to nabożeństwo, wszystko by ucichło. A łączenie bogactw naturalnych z katedrą jest tak sztuczne i nieprzekonywujące, że aż naiwne. Wysuwanie takiego argumentu jest tylko przykrywką dla polskiego nacjonalizmu, nawołującego uczciwych Polaków do uciskania Litwinów.

Przecie i Polska jest państwem satelickim, trzymanym w garści, w sowieckiej orbicie. Po co straszyć przyjściem Sowietów, skoro oni już przyszl. A więc sami Polacy z problemu religijnego robią polityczny”.

Dodajmy, że rzeczywiście litewska prasa emigracyjna nadaje wielki rozgłos sytuacji w katedrze sejneńskiej, większy niż całkowitemu brakowi nabożeństw w katedrze wileńskiej. Zresztą w obu wypadkach są w pobliżu kościoły z nabożeństwami w języku litewskim. Natomiast przywrócone ostatnio polskie nabożeństwa w Kownie, gdzie je odprawiał ksiądz przybyły z Polski, podobno już zostały przerwane.

Litwini o Muskie: „Nowy minister spraw zagranicznych jest synem imigranta, polskiego krawca Marciszewskiego. Zna on bardzo dobrze problemy litewskie. Trzeba się spodziewać, że jego wypowiedzi będą bardziej zgodne z prawdą niż wypowiedzi dyplomatów anglosaskich, którzy co innego mówią a co innego myślą. Tygodnik *Draugas* z Chicago donosi, że Muskie często odwiedzał w czasie wakacji litewskich franciszkanów w Kennebunk Port, w stanie Maine. Brał on tam udział w nabożeństwach i przebywał w litewskim towarzystwie”.

Sowiecko-litewski olimpijczyk Vladas Česniunas (uzyskał na olimpiadzie monachijskiej w roku 1972 złoty medal wspólnie z Łobanowem, w dwójce wiosłarskiej na 100 metrów) we wrześniu ub. roku wybrał wolność w Niemczech zachodnich i wkrótce został porwany przez KGB. Według informacji niemieckiego ambasadora w Moskwie, Česniunas zmarł 22 lutego 1980 w sowieckim zakładzie psychiatrycznym. Śmierć jego przypisywano samobójstwu. Leczył się on na skutek nadwyżęczenia czaszki w czasie porwania, o czym przed śmiercią zdołał przesłać wiadomość. Litwini w Australii, powołując się na jego losy, apelowali do australijskiego komitetu olimpijskiego o przyłączenie się do bojkotu, co jednak nie przeważało wahań, i większością jednego głosu uchwalono wyjazd do Moskwy.

PRUSY WSCHODNIE — OKRĘG KALININGRADZKI

O naszym północnym sąsiedzie, niegdyś Prusach Książęcych, później Prusach Wschodnich, mało się pisze w naszej prasie. Kaliningradzki okręg RFRR, który przypadł Rosji, był zamieszkały przed wojną przez 1.165 tysięcy Niemców i autochtonów, a w roku 1976 przez 785 tysięcy mieszkańców, w tym po około 10 % Białorusinów i Ukraińców, parę procent Litwinów, znikomą ilość Polaków i 77 % Rosjan, wśród których procent członków partii był wyższy niż przeciętna w całym Związku. Ludność miejska stanowiła aż 73 %. Przez pierwszych 20 lat okręg był bardzo zaniedbany. Obecnie funkcjonują fabryki obróbki metali, bursztynów, celulozy, papieru, rozwija się też turystyka w nadmorskich uzdrowiskach. Znalezione również trochę ropy naftowej. Rolnictwo dopiero teraz nadrabia stracony czas. Zrujnowane i zaniedbane urządzenia irygacyjne i drenażu stwarzały dodatkowe trudności. Kilkaset sowchozów i kołchozów (przeciętny obszar 4 tys. hektarów) rzekomo się modernizuje, ale jak dotąd wyniki są mierne. Jedynie działki przyzagrodowe pracują wydajnie.

Natomiast świetnie się rozwija rybołówstwo i przemysł rybny. Kalininograd jest trzecim co do wielkości portem rybackim w Sowietach, po Wła-

dywostoku i Murmańsku. Istnieją tu instytucje naukowe z dziedziny rybołówstwa morskiego i marynistyki (ośrodek badania Atlantyku), w których pobiera naukę 16 tysięcy studentów, w tym również Kubańcy i Polacy. Uniwersytet w Kaliningradzie, na ogół na niskim poziomie, ma wydział poświęcony filozofii Kanta, którego pomnik został zachowany. Pamięć o nim nie jest przemilczana. Jest to wyjątek, gdyż na ogół zaciera się pamięć o przeszłości tego kraju. Zmienione zostały literalnie wszystkie nazwy miejscowości i mieszkańcy nie są informowani jak się ich wieś nazywała uprzednio, pomimo że zachowały się na pograniczu historyczne nazwy litewskie. Tylża-Tilsit to dziś Sowietk, Ragneta — Neman, Trakaenen (stąd nazwa rasy koni) — Jasnaja Polana, Wystruć — Czerniachowsk, a i miejsce urodzenia litewskiego poety z XVIII wieku Donelajtisa zwie się obecnie Czystyje Prudy. Nie bardzo te rosyjskie stawy są czyste. Stalin ponoć w Poczdamie motywował, że dawni Prusowie i Litwini to jedno, więc Związek Sowiecki obejmujący Litwę ma do tej ziemi historyczne prawa. Dzisiaj już częściej się przypomina, że w czasie wojny siedmioletniej ten kraj był we władaniu cara.

E. ŻAGIELL

Nowość!**dwutomowa powieść****BENIAMIN JÓZEF JENNE****MUŁ DON CHUCHO****książka epoki,****zrodzona z czasu wydarzeń****1925 - 1975**

Unikalna w literaturze ibero-amerykańskiej uniwersalna powieść polityczna z gatunku literatury pięknej od lat oczekiwana przez krytykę.

Dzieło odradzające swym tchem wielką powieść opisową, o której sądzono, że umarła. „Muł Don Chucho” odnawia formalnie prawdziwie wielką literaturę.

Całość jest powieściowym zapisem zdarzeń epoki i propozycja nowego gatunku literackiego.

Wydawnictwo Polskiej Fundacji Kulturalnej.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena £ 12; \$ 26,50. — Przesyłka: £ 1.30.

Publicité

Sprawy i troski**“O naprawie Rzeczypospolitej Emigracyjnej”**

W drugiej połowie stycznia 1980 otrzymałem oficjalne pismo Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji, Edwarda Raczynskiego, z 17 stycznia 1980, w którym Prezydent w związku z wysunięciem w czasie konsultacji mej osoby jako kandydata na jego następcę zadał mi pytanie, czy w razie objęcia urzędu prezydenta przeniósłbym się na stałe do Londynu i czy w razie wyznaczenia mnie na następcę przeniósłbym się możliwie rychło do Londynu.

Jak z treści tych pytań, postawionych kandydatowi na następcę zamieszkałemu w innym niż Anglia kraju, wynika, Prezydent wyszedł z założenia, że siedzibą prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji musi być Londyn i tylko Londyn. Nie mogłem się zgodzić z tym stanowiskiem, uważając, że sytuacja międzynarodowa w rozpoczętej dekadzie lat osiemdziesiątych przemawia przeciw monopolowi Londynu na kierownictwo polskiej emigracji politycznej. Anglicy są narodem wielkim, ale Anglia jest państwem małym i słabym, które po pierwsze przestało od lat odgrywać w polityce międzynarodowej kierowniczą rolę z drugiej wojny światowej, po drugiej nie ma żadnego programu politycznego w stosunku do Polski, który by kwestionował *status quo* i uwzględniał niepodległościowe aspiracje narodu polskiego i jego emigracji. Zresztą Londyn jako siedziba rządu R.P. został narzucony przez wypadki wojenne, w szczególności przez klęskę Francji. Wielu ludzi myślących w kraju i za granicą od dawna jest zdania, że polskie emigracyjne kierownictwo polityczne jest źle ulokowane. Niektórzy idą tak daleko, że uważają, iż kierownictwo to powinno było opuścić Anglię natychmiast po cofnięciu przez aliantów w dniu 5 lipca 1945 uznania rządowi R.P. w Londynie.

Co do sytuacji międzynarodowej to lata osiemdziesiąte zapowiadają się jako okres konfrontacji dwóch supermocarstw, choć na zewnątrz będzie ona nosiła dla kamuflażu inną, mylącą nazwę. Wobec tego, że Stany Zjednoczone uważają, iż przez zajęcie Afganistanu Sowiety złamały układy o sferze wpływów zawarte w Jałcie i Teheranie, które wobec tego przestały Amerykę zobowiązywać, zatem należy przypuszczać, że prędzej czy później Stany Zjednoczone przejdą do akcji politycznej w stosunku do krajów wschodniej Europy, którą próbnie nazwijmy polityką samostanowienia. Również prędzej czy później podejmą one politykę dekolonizacji Sowietów udzielając poparcia wyzwolenicznym ruchom narodowym i prądom secesyjnym w nierosyjskich republikach związkowych z Ukrainą na czele. To dotychczasowe tabu w polityce amerykańskiej w latach osiemdziesiątych może się znaleźć w lamusie. Nawet w odniesieniu do Kuby coś się knuje. Wskazywałyby na to ćwiczenia w strzelaniu kilkuset młodych Kubańczyków w ochronnych mundurach polowych, przeprowadzane na Florydzie i niepotrzebnie rozreklamowane przez telewizję. Ilość ich niewątpliwie wzrosnie dzięki tysiącom młodych Kubańczyków, którzy w chwili gdy piszę te słowa są przewożeni z Kuby przez ponad tysiąc statków i motorówek na ląd amerykański. Wzrokowo przypomina to ewakuację wojsk brytyjskich w roku 1940 spod Dunkierki. Wróciły one jednak do tej samej Dunkierki cztery lata później.

W rozpoczętej dekadzie, tak jak w poprzednich, zadaniem emigracji polskiej jest walka polityczna o odzyskanie przez Polskę niepodległości, prowadzona na terenach jej osiedlenia i zharmonizowana z wysiłkami krajowej opozycji idącymi w tym samym kierunku. Wobec podrzędnej roli jaką gra Anglia w polityce międzynarodowej, kierownictwo polityczne tej emigracji powinno się znaleźć w latach osiemdziesiątych w tym kraju zachodnim, który przewodzi w walce z Sowietami, czyli w Stanach Zjednoczonych. Miejsce Londynu powinien zająć Waszyngton. Kierownictwo to znajdzie oparcie w dziesięciomilionowej Polonii Amerykańskiej wzmocnionej przez trzysta tysięcy Polaków przybyłych z kraju do Stanów Zjednoczonych po wojnie. Po Polsce Stany Zjednoczone są krajem, gdzie Polak może się czuć prawie jak u siebie, gdyż jego przodkowie walczyli w wojnie rewolucyjnej, z której się wyłoniły Stany Zjednoczone i Polacy mają swój udział w założeniu tego państwa. Poza tym Polonia Amerykańska na czele z Kongresem Polonii ma swoich przedstawicieli w Kongresie (przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Izbie Reprezentantów Clement Zabłocki i inni) i w czasie obecnej prezydenckiej kadencji także w Białym Domu (doradca dla spraw bezpieczeństwa państwa prof. Zbigniew Brzeziński), wreszcie w

Departamencie Stanu (sekretarz stanu Edmund Muskie). Łatwość dotarcia do czołowych przedstawicieli świata politycznego amerykańskiego jest znaczna. Wystarczy powiedzieć, że piszący te słowa, mimo że nie jest obywatelem amerykańskim a tylko rezydentem, miał w roku 1979 możliwość dwukrotnej wymiany zdań z prezydentem Stanów Zjednoczonych na temat polityki praw człowieka, której jest entuzjastycznym zwolennikiem. Wreszcie, Stany Zjednoczone w przeciwieństwie do Anglii i kontynentalnej Europy posiadają w stosunku do Polski i wschodniej Europy politykę określaną mianem praw człowieka, uznającą nadto prawo tych krajów do samostanowienia. Ta polityka wymaga zamiany na bardziej konkretny program akcji politycznej, o to jednak trzeba walczyć, tak jak zresztą o wszystko. Ze swej strony Kongres Stanów Zjednoczonych powołał do zajmowania się tymi sprawami specjalną komisję pod przewodnictwem kongressmana Dante Fascella, a poza tym raz do roku w czasie tzw. „Tygodnia Narodów Ujarzmionych” poświęca prawom narodów ujarzmionych wschodniej Europy specjalną debatę.

Tak wyglądają ramy, w jakich obracałoby się kierownictwo polityczne emigracji, gdyby się znalazło w Waszyngtonie, czego niewątpliwie wymaga polska racja stanu. Nie zastąpi tego mianowanie lub wysłanie do Waszyngtonu jednego człowieka, by pełnił tam obowiązki przedstawicielstwa kierownictwa londyńskiego. Zresztą od szeregu lat tego przedstawiciela w Waszyngtonie nie ma, co zakrawa wręcz na skandal.

Dodając nawiasem, wszystkie emigracje krajów wschodniej Europy mają swoje przedstawicielstwa w Stanach Zjednoczonych, w New Yorku lub w Waszyngtonie, a nadto Litwa, Łotwa i Estonia swych reprezentantów dyplomatycznych uznawanych przez rząd amerykański. Polskie kierownictwo polityczne jest wyjątkiem.

Z drugiej strony należy wziąć pod uwagę, że Londyn jako siedziba polskiego kierownictwa politycznego ma za sobą trzydziestoletnią przeszłość tradycję, że Anglię zamieszkuje najlepiej zorganizowana i najbardziej aktywna emigracja polska, że dzięki nagromadzeniu polskich periodyków, instytucji naukowych i historycznych, domów wydawniczych, bibliotek, teatrów i innych instytucji służących polskiej kulturze Londyn stał się emigracyjnymi Atenami i stolicą światowej emigracji polskiej, która wszystkimi drogami zmierza do tego miasta, by odetchnąć w nim prawdziwie polską atmosferą, jakiej brak w innych krajach osiedlenia. Wreszcie, w tym mieście losy wojny zgromadziły polską elitę intelektualną, naukową, wojskową i polityczną, przewodzącą narodowi polskiemu w okresie dwudziestolecia niepodległości, która zajmie poczesne miejsce w historii Polski. Jednakże ta

elita stopniowo wymiera i polskie kierownictwo polityczne musi przejść w ręce młodszego pokolenia, wyłonionego albo przez istniejące zaplecze emigracyjne, albo przez przyszłą emigrację polityczną rodem z obecnej krajowej opozycji.

Biorąc to wszystko pod uwagę, odpowiedziałem pismem z 26 stycznia 1980 roku na pytania Prezydenta oparte na założeniu, że siedzibą polskiego kierownictwa politycznego musi być Londyn i tylko Londyn, że uchylam się od odpowiedzi ze względów zasadniczych, poza tym odmówiłem także przyjazdu do Londynu przed nominacją na następcę, którym, jak to zostałem miarodajnie poinformowany, byłem nieoficjalnie od objęcia przez ambasadora Edwarda Raczyńskiego urzędu prezydenta R.P. w dniu 8 kwietnia 1979. Nie miałem ochoty na żadne *pacta conventa* jakie szykowano w Londynie.

Ponieważ w związku z tym nie doszło do mej oficjalnej nominacji, która ułatwiłaby zainicjowanie potrzebnych reform, odpowiadających wymogom lat osiemdziesiątych, nie pozostaje mi nic innego, jak wyłożenie ich projektu w druku z intencją wywołania dyskusji na temat „Naprawy Rzeczypospolitej Emigracyjnej”. Z konfliktu między polską racją stanu a wartościami jakie reprezentuje Londyn proponowałbym następujące wyjście.

1) Polskie kierownictwo polityczne na czele z prezydentem R.P., którym obecnie jest osoba posiadająca ku temu wszelkie kwalifikacje, ma potrójną siedzibę: Londyn, Waszyngton i Rzym. Kierownik działu polityki zagranicznej przebywa stale i działa w Waszyngtonie, spraw emigracji, kultury i finansowych w Londynie, zaś spraw krajowych i Kościoła w Rzymie, który od czasu objęcia Stolicy Apostolskiej przez Jego Świątobliwość Jana Pawła II ma najlepszą łączność z krajem dzięki tysiącom Polaków przybywających do Rzymu każdego tygodnia, nie mówiąc już o nieustannym przepływie polskiego kleru krajowego. Jego Świątobliwość w mowie wygłoszonej do Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata w Rzymie 10 listopada 1979 zachęcał Polaków do uważania Rzymu za duchową stolicę Polski. Rzym, nie Londyn, przyciąga dziś uczucia, nadzieje i myśli Polaków z całego świata.

Jeśli polskie kierownictwo polityczne będzie się upierało przy Londynie jako jedynej siedzibie, wówczas stanie się wkrótce kierownictwem lokalnym, tj. polskiej emigracji w Anglii, zresztą w ograniczonym zakresie z powodu jej rozbieżności.

Nieobecność prezydenta i rządu w Waszyngtonie nie oznacza bynajmniej pustki na polskim odcinku w stolicy Stanów Zjednoczonych. Lukę bowiem wypełnia energiczna reprezentacja Kon-

gresu Polonii Amerykańskiej, korzystająca z pomocy wybijającego się coraz bardziej Studium Spraw Polskich, będącego dużym rezerwuarem ludzi należących do średniego pokolenia emigracji, dobrze przygotowanych do zastąpienia wymierającej elity politycznej z okresu dwudziestolecia, poza tym powiązanych z opozycją w kraju. Jeśli prezydent i rząd będą nadal świecili w Waszyngtonie nieobecnością, z tego środowiska może się wyłonić tak czy inaczej polska reprezentacja polityczna.

2) Ograniczenie symboli Polski Niepodległej do osoby prezydenta R.P. na emigracji i zaniechanie używania nazwy rządu, ministrów, generalnych inspektorów itp., które utrudniają a nieraz uniemożliwiają kontakty z rządami, parlamentami i społeczeństwami zachodnimi, gdyż nie są przez nie poważnie traktowane. Inflacja symboli powoduje ich dewaluację.

Z tego względu król rumuński Michał i Monsignor Bela Varga, były marszałek parlamentu węgierskiego i konstytucyjny zastępca prezydenta Węgier, nie powołali do życia rządów a tylko komitety narodowe.

Również naukowcy i intelektualiści z kraju o orientacji niepodległościowej przybywający w drodze wymiany kulturalnej do Stanów Zjednoczonych, wypowiadają się o instytucji i nazwach rządu i ministrów negatywnie, poczynawszy od opinii krańcowej i krzywdzącej — którą słyszałem na własne uszy — że „o tym się nie mówi tak jak o wstydlivej chorobie w rodzinie”, kończąc na opinii wypowiedzianej w grzecznej i delikatnej formie, by oszczędzić uczucia własne słuchacza, że „dla kraju nie mają żadnego znaczenia”. Wszyscy są zgodni co do tego, że opozycja krajowa potrzebuje od emigracji pomocy finansowej i takiej przynajmniej propagandy, jaką posiadają sowieccy dysydenci, a poza tym, że działalność i dorobek emigracji w dziedzinie kultury są imponujące.

3) Polskie kierownictwo polityczne oparte o legalizm nie posiada monopolu na reprezentowanie polskiej emigracji. Powstała w roku 1978 na zjeździe w Toronto Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata, mająca największy zasięg organizacyjny, również pretenduje do odgrywania roli politycznej. W Londynie działa nie uznająca legalizmu organizacja powstała z inicjatywy Stronnictwa Narodowego, a obok niej Niepodległość i Demokracja (NID), wreszcie w Stanach Zjednoczonych istnieje Polska Rada Jedności, w skład której wchodzi i zgodnie współdziała stronnictwa w Londynie skłócone, o różnym do legalizmu stosunku, oraz wspomniane już Studium Spraw Polskich. Ten swego rodzaju pluralizm wymaga powołania do życia politycznego komitetu porozumiewawczego, tak jak w kraju w podzie-

miu w roku 1940, a przede wszystkim rozpoczęcia akcji zjednoczenia emigracji politycznej rozbitej w Londynie na trzy ośrodki. Nie można mówić o jedności narodowej bez Stronnictwa Narodowego, części PPS i bez NIDu. Zaniechanie używania nazw rządu i ministrów to zjednoczenie może znacznie ułatwić.

Reasumując, rozpoczęta dekada powinna być świadkiem przeświadczenia się środka ciężkości działalności politycznej emigracji do Waszyngtonu i złożenia jej kierownictwa w ręce młodszych pokoleń pięćdziesięciolatków. Wymaga tego polska racja stanu. Dalszy monopol Londynu odpowiadałby tylko interesom resztek wymierającego pokolenia, do którego zresztą sam się zaliczam.

Stefan KORBOŃSKI

Arka przy rafie

„L'émigration polonaise seule, entre les autres, a su créer des institutions”.

hr. Fiquelmont

Gmach Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie ukończono w roku 1976. Nie jest przygodą architektoniczną, nawet o wschodzie słońca. Ciasno mu wśród szeregówki wiktoriańskiej, zadziwia zbędnymi obszarami swych tarasobalkonów, subtelnością swych plastyczno-przestrzennych rozwiązań nie nęci. Brak mu jednego prawdziwie wieloczynnościowego pomieszczenia. Nie zdołało wypracować na rajzbretach zadawalającego racjonalnego projektu. Zabrakło koncepcji zdolnej rozegrać z organizacyjną przejrzystością, z wdziękiem i umiarem niecodzienne zlecenie na „architektoniczny pomnik emigracji”. Ośrodek przy Kings Street realizuje bodaj jeden postulat modernizmu. Jest nim postulat typowości. Postulat ten jednak uległ rewizji.

Idea POSKu, przypomnijmy, została wysunięta przed 15 laty na walnym zebraniu PUCAL, instytucji powstałej aby zdemobilizowanemu żołnierzowi polskiemu zapewnić wyższe studia. Instytucja przekształciła się w zaczątek przyszłego ośrodka, idea we wspianą obsesję grona przedsiębiorczych osób, że śp. Romanem Wajdą na czele. Kampanię na rzecz skumulowania placówek polskich pod jednym dachem prowadzono z wiarą że „fundusze cywilne i wojskowe mogłyby rozejść się, nie zostawiając trwalszego śladu” i że „polski stan posiadania w Londynie na-

leży utrzymać dla przyszłych pokoleń”. W wielkiej debacie wokół przyszłego Ośrodka nie zabrakło głosów przeciw. Entuzjastów przedsięwzięcia studiował prozą m.in. konsul Karol Poznański, wierszem bard Marian Hemar. Szereg kluczowych instytucji, w tym Instytut Polski i Muzeum im. Generała Sikorskiego, nie opowiedziało się za formułą zjednoczeniową, a tym samym nie spieniężyło swych nieruchomości na rzecz powstałego podówczas funduszu POSKu. Słowo jednakże ciałem się stało, i w roku 1971 położono kamień węgielny pod przyszłą realizację oraz rozpoczęto jej budowę.

W realizowanym Ośrodku zamieszkały m.in.: ongiś zagrożona Biblioteka Polska, licząca ponad 84.000 tytułów, Instytut Historyczny im. Józefa Piłsudskiego, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Macierz Szkolna, Towarzystwo Conradowskie oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Powstały tu: niewykończony jeszcze teatr, księgarnia, kawiarnia, restauracja (zła gospodarka z posłednią gastronomią) oraz szereg barów. Powstały tu kluby o nieoczekiwanych nazwach jak POSKLUB i POMIDOR. W POSKu odbywają się odczyty, konferencje, zjazdy polityczne, Tygodnie Kultury Polskiej oraz projekcje filmów. Wieczory artystyczne, potańcówki i bale. POSK żyje, choć dodajmy czym prędzej, iż nie jest to żywot bez troski, wolny od udręczeń. Arka, która wypłynęła na szerokie wody, unosząc na swych pokładach znaczny dorobek polskiego Londynu, ociera się o groźną i niebezpieczną rafę. Zsumowane długi Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego sięgają już 900.000 funtów. Więc milion bez stu tysięcy.

Któż jest sprawcą tego stanu rzeczy? Jakie okoliczności wpędziły Ośrodek w tak poważną opresję finansową? Czy należy Ośrodek ratować, a jeśli tak, to jak? Oto pytania, którymi zajmują się publicyści polskiego Londynu. Z „apeli na rzecz” oraz licznych artykułów obfitujących w dane cyfrowe dowiadujemy się, że kryzys finansowy POSKu jest funkcją inflacji oraz „wstrzymaności pewnej części społeczeństwa w finansowym poparciu Ośrodka”. Że POSK jest przedsięwzięciem pierwszej wagi, emigracyjną powinnością numer jeden. POSK można będzie uratować, jeśli społeczeństwo uwielokrotni swoją ofiarność, jeśli zamożniejsi spośród nas złożą na specjalnym koncie u wierzyciela (Barclays Bank) depozyty wysokości 1.000 funtów (z puli tej bank będzie udzielał POSKowi pożyczek po specjalnie niskiej stopie procentowej celem zredukowania odsetków od niegdyś pożyczonego kapitału), jeśli uda się nakłonić inne instytucje do przyłączenia się do POSKu, z kapitałem oczywiście przede wszystkim.

Nie kłóciliśmy się nigdy z zasadą umieszczania pod jednym dachem szeregu organizacji. Idea POSKu kusiła jako recepta na efektywną prolongatę życia niektórych instytucji, tych których niezależny byt wydawał się na dłuższą metę problematyczny wobec otaczającej rzeczywistości gospodarczej, prawnej, demograficznej. Nie tylko wygaśnię dzierżawy niektórych polskich nieruchomości, nie tylko borykano się z finansami, ale postępował

także wśród emigrantów proces, którym rządzi ostateczne prawo biologii. Zmniejszała się i nadal się zmniejsza baza społeczna mogąca obsługiwać i użytkować nowe instytucje polskie.

Oto zjawisko z którym realizacja nowego gmachu na 10.000 m² nie licowała, tym bardziej, dodajmy, iż tę decyzję podjęto w mieście, które wiek XIX wyposażył w ogromną ilość okazałych domów (należących niegdyś do arystokracji i plutokracji wiktoriańskiej), nadających się do adaptacji na użytek publiczny w wieku dwudziestym. Zrozumiały to niezliczone przedstawicielstwa zagraniczne, placówki tubylcze, naukowe, kulturalne i inne, a także wiele powojennych instytucji polskich. Nie zrozumieli, lub nie chcieli zrozumieć animatorzy idei POSKu. Dlaczego tak było, dlaczego, kiedy nakazem chwili powinna była być oszczędność i umiar, zdecydowano się na rozwiązanie luksusowe, mające na długie lata obciążyć świadczeniami polską społeczność w Wielkiej Brytanii? Ot pytanie, które musi zafrapować jakiegos przyszłego Gadona.

Odpowiedź na nie leży, jak sądzimy, w sferze psychiki zbiorowej lat 60-tych. Choć idea realizacji kosztownego „pomnika architektonicznego” mogła nie przemawiać do rozsądku, przemawiała na pewno do wyobraźni. POSK, zauważmy, jest przede wszystkim dziełem tzw. średniego pokolenia (40 z plusem przed 15 laty). Pokolenie to, pokolenie „zgubione”, jak mawiał Zygmunt Nowakowski, osiągnęło w latach 50-tych względna *prosperité*, wrosło szybciej w obcy grunt, uczestniczyło i korzystało z macmillanowskiej odnowy gospodarczej, czuło się bardziej brytyjskie niż, powiedzmy, pokolenie Strattona i Rubensa (temu przede wszystkim przypadło jeść „gorzki chleb wygnañczy”). Gdy więc rzucono spektakularne hasło, w tym właśnie pokoleniu idea POSKu znalazła najżywszy oddźwięk. Dla wielu wraz z budową „pomnika”, mogącego świadczyć o emigracji wojennej, zarysowała się nowa możliwość pracy organicznej, roboty konkretnej, nie tylko w kontekście marazmu gomułkowskiego wiejącego z kraju, ale także z dala od farsowych sporów politycznych na linii Zamek-Gisz. Hasło w swym wcieleniu ostatecznym zaktywizowało fluidy patriotyczne i skłoniło społeczność polską do rzadko spotykanej ofiarności. POSK jest oczywiście pomnikiem, ale nie moderny brytyjskiej jak żeśmy odnotowali, lecz właśnie ludzkiej szczodrości. Pomiędzy rokiem 1970 a rokiem 1979 polska społeczność w Wielkiej Brytanii wyłożyła nań 772.8 tysięcy funtów. Jest to suma ogromna i naprawdę trudno zrozumieć tutejsze narzekania. Żaden urząd podatkowy ani żadna organizacja charytatywna nie jest w stanie wyegzekwować płatności ogółu społeczeństwa. W przypadku tych ostatnich, nawet nie powinny. Rzadko istnieje tylko jeden cel godny finansowego poparcia, na ogół jest ich co najmniej kilka. W polskim Londynie jest tak na pewno.

Nikt z nas nie chce oglądać nowego polskiego nieszczęścia. Katastrofa POSKu oznaczałaby wiele poważnych strat. Byłaby

nie tylko zniweczeniem ludzkiej pasji i pracy, stratą pieniędzy społecznych, ale równałaby się zmierzchowi pierwszej prawdziwie egalitarno-populistycznej placówki w polskim Londynie, a także ośrodka najmniej kolizyjnie realizującego kontakty emigracja-kraj. POSK bowiem, jako placówka świeżej daty, nosi stosunkowo lekki balast emigracyjnych uprzedzeń i uproszczeń wobec ludowej ojczyzny. Ale choć widzimy i doceniamy te zdrowe atrybuty, nie potrafimy się nie niepokoić, że POSK i jego kryzys mogłyby zmonopolizować fundusze społeczne. Na równo-uprawnionych beneficjentów społecznej ofiarności chcielibyśmy awansować i inne inicjatywy (że wspomnę tu demokratyczną opozycję, dom polskiego pielgrzyma w Rzymie, Instytut Polski i Muzeum im. Generała Sikorskiego). Co więcej nie sądzimy, aby obecna wzmożona akcja zbórkowa potrafiła sama w sobie przywrócić ośrodkowi równowagę finansową. Dług jest przecież kolosalny, a obecna kampania ratowania POSKu, prowadzona przy akompaniamencie retoryki patriotycznej, włączonej na *basso-profondo*, nie może dać oczekiwanych rezultatów na dłuższy okres. Atmosfery stanu wyjątkowego nie sposób utrzymywać w nieskończoność, a przy wzrastających nadal długach nad Ośrodkiem może zaciążyć anatema społecznej niechęci. Wśród proponowanych środków zaradczych idea tysiącznych depozytów, choć świadcząca o koncepcyjnym myśleniu fiskalnym, jest posunięciem z natury rzeczy tylko paliatywnym. Na przekór nidowskiej *Trybunie* powiedzmy także, iż widzimy nikłe szanse, aby sternikom zagrożonej arki udało się spowodować masowe przystąpienie do POSKu pozostałych instytucji polskiego Londynu. Nie będąc skłonne do takiego kroku w przeszłości, prawdopodobnie nie uznają POSKu za atrakcyjnego kontrahenta w czasach jego głębokiego kryzysu.

W zaistniałym klimacie gospodarczym, w kontekście tak wielkich finansowych wymagań stawianych społeczności emigracyjnej jedyną szansę powodzenia ma działanie od wewnątrz. Nowopowstały „komitet ratowania POSKu” winien przebadać możliwości zwolnienia jak największej powierzchni gmachu POSKu i wynajęcia tej części koncernom tubylczym. POSK winien na czas kryzysu przekształcić się w instytucję kadłubową, w ramach której bez zakłóceń funkcjonuje tylko biblioteka i księgarnia. Resztę jego części składowych należy ścisnąć w najmniej atrakcyjnych partiach. Teatr, na który zbierano odrębnie, winien być wykończony i także oddany użytkownikowi zewnętrznemu za należyte komorne. Posunięcia takiego nie mogą samorzutnie zarządzić władze POSKu, kolidowałoby to bowiem z umowami regulującymi przystąpienie poszczególnych organizacji do POSKu. Jedynie ciała nadzorcze tych ostatnich mogłyby w porozumieniu ze sobą i władzami nadrzędnymi urzeczywistnić powyższe przedsięwzięcie. Czyniąc to nie tylko reafirmowałyby swoją wiarę w ideę POSKu, ale przyczyniłyby się do osiągnięcia odpowiednich proporcji pomiędzy poświęceniami oczekiwanymi z zewnątrz a poświęceniami możliwymi od wewnątrz. Bez posunięć

w wielkim stylu, płynących z ośrodków dyspozycyjnych w łonie ośrodka, bez uruchomienia uśpionego potencjału gospodarczego gmachu liczącego 10.000 m² trudno będzie uchronić instytucję tę od wierzyiciela, a „księgę zażeń pielgrzymstwa polskiego” od nowego, smutnego rozdziału.

Jan DOŁĘGA

PIN na gościnnych występach w Waszyngtonie

Na wstępie muszę zaznaczyć, że Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku jest instytucją bardzo sympatyczną. Nie mogę być wobec tego nieskazitelnie obiektywny opisując go i zapraszam czytelników do zastosowania w trakcie lektury „współczynnika odbrązawiającego” moją prozę.

Znamy się od dawna z Instytutem i czuję się tam jak w domu. Mogę się na niego strasznie irytować, kiedy pozwala prof. Markowi Sobolewskiemu z Uniwersytetu Jagiellońskiego wygłaszać odczyt o „60-ciu latach tradycji polskiego parlamentaryzmu”. Ale te nawalanki, mniejsze i większe, są wynikiem zrelaksowanego stylu panującego pod dachem pałacyku na 66 ulicy, a nie złej woli, lub broń Panie Boże konspiracji, jak niektórzy podejrzejawają.

Polski Instytut Naukowy wiąże się dla mnie z kilkoma osobami do których się przez kilkanaście lat „obsługi dziennikarskiej” zbliżyłem. Na pierwszym miejscu wyliczyć muszę p. Ewę Markowską, córkę redaktora Stanisława Strzetelskiego, dzięki której sekretariat ma ludzką twarz, oraz profesora Feliksa Grossa, wiceprezesa i dyrektora Instytutu. Ten patrycjusz krakowski jest osobą o wielkim wdzięku. Wiem, że kobiety są bardzo wrażliwe na jego głos. Powiedziała mi to doktor Maya Peretz. Mnie natomiast czaruje on swoim rzymskim profilem i otaczającą go aurą gorzko-słodkiej melancholii. Wielce charakterystyczny dla tego Petroniusza z Krakowa jest styl jego listu do profesora Bronisława Malinowskiego. W przeddzień założenia Instytutu w 1942 roku pisał: „*Ale po ludzku pogadać to rzecz trudna i niepoliska. Bractwo zaraz chwytą za imaginowaną karabelę i każdego odsądza od czci i wiary. Autorytet Pana Profesora wiele*

tu może pomóc”. Mieszkając od lat poza Polską, prof. Malinowski, uczony o sławie światowej, niezbyt się orientował w polskich wendetach. Był pierwszym prezesem Instytutu.

Artykuł mój zaplanowany jest na dwa odcinki. W osobnym omówię historię Polskiego Instytutu Naukowego, powołanego do życia w połowie 1942 roku z inicjatywy wybitnych członków Polskiej Akademii Umiejętności: tegoż prof. Malinowskiego, Oskara Haleckiego, Jana Kucharzewskiego, Wacława Lednickiego, Rafała Taubenszłaga.

Natomiast przedmiotem tego felietonu jest aktualność *par excellence*: przebieg gościnnego występu Instytutu w Waszyngtonie. Nastąpił on z okazji 38 dorocznego Zjazdu, który dla podkreślenia ogólnokrajowego charakteru Instytutu na progu lat 80-tych (po przegłosowaniu poprawki do statutu pozwalającej na urządzenie zebrań także *extra muros* Nowego Jorku) zarząd zwołał do stolicy USA, do miasteczka uniwersyteckiego (*campusu*) American University, położonej w dzielnicy ambasad, niedaleko opieczetowanej ambasady Iranu.

Oczywiście grały też inne względy, dla których Instytut debiutował turystycznie w Waszyngtonie, a nie na przykład w Chicago lub w Filadelfii.

Członkowie zarządu pragnęli wyjść naprzeciw wybitnemu członkowi Instytutu profesorowi Zbigniewowi Brzezińskiemu i jego obecnością na zjeździe dodać blasku instytucji, która od blisko 40 lat reprezentuje naukę, kulturę i niezależną myśl polską w Ameryce.

Ponieważ zbiegło się to z rokiem wyborczym, mieli prawo żywić nadzieję, że prof. Brzeziński wykorzysta tę okazję dla podkreślenia polonijnych wrażliwości Białego Domu.

Bardzo się pomylili. Mahomet zignorował górę. Prof. Brzeziński nawet na chwilę nie pokazał się na *campusie* American University. Swoje dawne więzi z Instytutem (piastował stanowisko wiceprezesa) skwitował lakoniczną depeszą gratulacyjną, którą po deserze odczytano na bankiecie.

Co nas pozbawiło przyjemności nacieszenia naszych oczu obecnością prof. Brzezińskiego? Co spowodowało, że otrzymaliśmy kolektywny pryztyczek w nos, by w roku wyborczym 1980 nie przewróciło nam się w polonijnych głowach od obecności Brzezińskiego w Białym Domu, Muskiego w Departamencie Stanu, Zabłockiego na czele Komisji Spraw Zagranicznych w Izbie Reprezentantów, Bolesława Wierzbiańskiego na ratuszu nowojorskim w charakterze komisarza Praw Człowieka?

Miałem olbrzymie trudności z opisaniem tego epizodu i jego tła, bo gdy chciałem go potraktować poważnie to wychodził mi

na wesoło i *vice versa*. W końcu postanowiłem go napisać według najlepszych wzorów tak zwanego amerykańskiego *investigative reporting*. Sięgnąłem do „dokumentów”. Otóż jedynie tak niefrasobliwie żyjący w swoim świecie naukowcy jak organizatorzy Zjazdu nie widzieli nadciągającej burzy, katalizatora *polskiej wojny* w Waszyngtonie. Baczna lektura edytoriów nowojorskiego *Nowego Dziennika* powinna ich była zaalarmować. Zawierały aluzje i podteksty dające dużo do myślenia.

Edytoriały donosiły o zakulisowych manewrach w Radio Wolna Europa i Radio Swoboda — dwóch rozgłośniach nadających programy w językach narodowych do wschodniej Europy, między innymi do Polski oraz do krajów wchodzących w skład ZSSR. Trzy lata temu na stanowisko przewodniczącego *Board of International Broadcasting*, instytucji *parasol* nad radiostacjami, Carter powołał Johna Gronouskiego, czynnego członka Polonii amerykańskiej, byłego Poczmiistrza Generalnego, byłego ambasadora USA w Warszawie, profesora w Teksasie, przyjaciela Lyndona Johnsona, oraz — *attention please!* — tutaj sedno zagadnienia, prezesa Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce.

W najbliższej przyszłości, informował edytoriał — Carter i Kongres mają znów podjąć decyzję, kogo mianować i kogo zatwierdzić na stanowisko prezesa *Board of International Broadcasting*.

W następnym akapicie edytoriału czytaliśmy, że chodzą słuchy o różnych manewrach biurokratów z Białego Domu i z rozgłośni, aby stanowisko to obsadzić innymi osobami. Cytuję dosłownie: „*Kończą się też znów nazwiska ludzi związanych z CIA. Nie chcemy na razie ujawniać tych szczegółów. Ani nie zamierzamy omawiać roli różnych wielkości dawnego okresu*”.

Nomina sunt odiosa dla edytorialisty *Nowego Dziennika*, ale nie dla *investigative reporter*a, jakim postanowiłem być w służbie Kultury.

Nietrudno było ustalić, jakie nazwiska się „kończą”. Więc przede wszystkim, b. dyrektora rozgłośni polskiej RWE, p. Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Mr. Paul Henzie, działającego w biurze Bezpieczeństwa Narodowego prof. Brzezińskiego.

Rzekomo udało im się przekonać prof. Brzezińskiego, że dla dobra sprawy konieczne jest spławienie Jana Gronouskiego.

Następny z kolei edytoriał *Nowego Dziennika* stawiał pierwszą kropkę nad „i”: „*Niedobrze się dzieje, że poważne amerykańskie gazety wskazują na otoczenie Zbigniewa Brzezińskiego jako źródło manewrów zmierzających do zmian w kierownictwie BIB*”. *Nowy Dziennik* przytoczył list czterech potężnych senatorów Jacob Javitsa, Charles H. Percy, Franka Churcha i Clairborne

Pell'a do Prezydenta Cartera potępiający manewry zmierzające do opanowania rozgłośni przez „niewymienione osoby”.

Śledząc tropy w charakterze *investigative reporter*a dowiedziałem się, że sojusznik tych „osób”, b. czynny politycznie profesor amerykański polskiego pochodzenia, napisał list na papierze z nagłówkiem swego uniwersytetu do wiceprezydenta Waltera Mondale postulujący odstawienie na boczny tor Gronouskiego. Biały Dom odwrotną pocztą dostarczył kopię listu Gronouskiemu, który zadziałał. Autor epistoły miał możliwość przekonać się jak szybko działają *przecieki* w Waszyngtonie*.

Tak sprawa wyglądała w świetle dokumentów i prowadzonych przeze mnie dochodzeń. Na tak zaognionym etapie „polskiej wojny” naiwnością było marzenie, że prof. Brzeziński zjawi się na 38-mym Zjeździe. Nieunikniony *shake-hand* z Gronouskim byłby ambarasujący dla obu. Niemniej, ponieważ większość uczestników Zjazdu nie zadała sobie fatygi czytania edytoriów, żyła aż do bankietu w świętym przekonaniu, że jednak zobaczy na własne oczy najbardziej wpływowego Polaka w USA, od czasów Pułaskiego i Kościuszki.

Ale nie tylko ta sprawa stała na przeszkodzie obecności prof. Brzezińskiego w American University, odległym 10 minut jazdy taksówką od Białego Domu. Druga jest bogatsza w niuansy, pikantniejsza, bardziej polska i wyobrażam sobie, że Gombrowicz zrobiłby z niej epilog do „*Trans-Atlantyku*”. Też ściśle związana z Polskim Instytutem Naukowym.

Historia jest jak z bajki. Nawet w suchym, rzeczowym sprawozdaniu Instytutu za rok 1979/80 czyta się ją z wypiekami na twarzy. Cytuję prawie dosłownie. Zimowy wieczór nowojorski w roku 1975. Na 66-tej ulicy gdzie w połowie bloku mieści się pałacyk PIN'u, huczy mroźny wiatr. Nagle w Instytucie rozdzwonił się telefon. Dyrektor jest za bardzo zajęty. Podnosi słuchawkę wice Franciszek Pułowski. Odkłada ją, szczypie się w policzek i kontynuuje rozmowę. Nie przysięgło mu się. Po drugiej stronie drutu powtarzają niedwuznacznie sformułowane pytanie: *Czy przyjęliby Panowie w darowiźnie koronacyjny płaszcz Zygmunta Augusta?* Pan Franciszek ma jeszcze przez chwilę wątpliwości, że ktoś robi kawał, ale nagle wydaje mu się że gdzieś z dala słyszy bicie „Zygmunta” na Wawelu. Oświadcza: *Oczywiście, jakżeż moglibyśmy odmówić.* — *Ale w jaki sposób znalazł się Pan w posiadaniu płaszcza?*

* Ocena tzw. „sprawy BIB-u” jest oceną osobistą Zdzisława Baua, a nie Redakcji.

Nabyty został na aukcji w 1920 roku w Berlinie, oświadczył po drugiej stronie linii Mr. John Klein, pracownik IBM.

Instytut jest ostrożny. Powołał rzeczoznawców w osobach Andrzeja Zarembę i Władysława Wantułę, którzy orzekli, że płaszcz jest autentyczny i bezcenny. Wykonany z kosztownej tkaniny włoskiej w połowie XVI wieku przypuszczalnie we Florencji, rozpalili wyobraźnię naszych polskich conceptualistów zawsze skorych do działania.

P. Jan Nowak Jeziorański, protagonista pierwszego epizodu, wystąpił z projektem wręczenia płaszcza poprzez prof. Brzezińskiego małżonce Prezydenta, pani Rosalynn Carter, zwanej „stalową magnolią”, która z kolei przekazałaby go na Wawel.

Projekt ten został z miejsca skontrowany przez grono conceptualistów w Nowym Jorku.

Bowiem rytuał wykoncypowany przez p. Jana Nowaka Jeziorańskiego wymagałby obecności ambasadora PRL w Waszyngtonie podczas wielkiej ceremonii przekazania *manteau* w Białym Domu przed kamerami telewizyjnymi.

Po starannym rozważeniu wszystkich *pro* i *contra* teza Nowego Jorku postulowana przez redaktora naczelnego *Nowego Dziennika*, Bolesława Wierzbiańskiego — zwyciężyła.

Zarząd Instytutu zdecydował podarować płaszcz takiej świetlanej instytucji jak *National Endowment for the Humanities*, która wspólnie z Polskim Instytutem Naukowym wręczy go dyrektorowi Skarbcu Koronnego na Wawelu, prof. Szablowskiemu podczas uroczystości zaplanowanej na ostatni tydzień czerwca w Nowym Jorku.

W chwili kiedy sierpniowa *Kultura* z moim opisem dotrze do rąk czytelników płaszcz Zygmunta Augusta znajdować się będzie w drodze do Krakowa.

Do tego zaś czasu będzie leżał w ogniotrwałym sejfie filii banku Chase Manhattan na Brodwayu, róg 73 ulicy.

Ceremonii w Nowym Jorku przewodzić ma burmistrz Edward Koch. Co też wydaje mi się słuszne, bo lepszy Koch w garści (murowane dalsze cztery lata burmistrzostwa) niż Rosalynn na dachu — kilka miesięcy przed wyborami, które nie wiadomo jak się skończą. Oprócz tego bliżej na Wawel z Kołomyi — rodzinne miasto rodziny Kochów, niż z Plains, Georgia.

W rezultacie sprawy Nr 1 i sprawy Nr 2, „wojna polska” rozgrywana na dwóch frontach spowodowała, że musieliśmy się zadowolić lakonicznym orędziem profesora Brzezińskiego.

Nie znaczy to, że odbiło się to z uszczerbkiem na wyprawie do Waszyngtonu. Przeciwnie, impreza była bardzo udana. Przy-

było ponad 250 uczestników, pięć razy więcej niż fatyguje się na zjazd w Nowym Jorku. Nastrój od pierwszego dnia był rodzinny. A to dzięki wspólnie spożywanym posiłkom w kafeterii uniwersytetu i spacerom po „campusie”.

Nie wszyscy turyści byli członkami Instytutu, co świadczy o popularności hasła „podróże kształcą i w ogóle”.

Zjazd w Waszyngtonie podkreślił obrazowo zmiany jakie zaszły w strukturze Polskiego Instytutu Naukowego, który stopniowo przeobraża się w instytucję polonijną, bliższą amerykańskim stowarzyszeniom naukowym niż swemu znakomitemu antenatowi Polskiej Akademii Umiejętności — która kiedyś była ciałem prawie ekskluzywnym o surowych wymaganiach. Przyjmowano jedynie uczonych mogących się wylegitymować bardzo bogatym dorobkiem naukowym.

Dziś do Instytutu należą profesorowie, nauczyciele, pisarze, artyści, poeci, księża, dziennikarze.

Piszący te słowa jest też członkiem, choć prześladuje go myśl, że jego wychowawca z gimnazjum św. Anny w Krakowie, profesor Śliwa, przewraca się w grobie widząc przedmiot swych codziennych utrapień wśród spadkobierców tradycji Akademii Umiejętności.

Program 38-mego Zjazdu opracowany pod kierownictwem sekretarza generalnego Instytutu prof. Tadeusza Gromady obejmował szeroki wachlarz zagadnień z głównym akcentem na humanistycę, która leży na sercu prof. Grossa. Odbyły się cztery spotkania poświęcone literaturze, jej historii i współczesności, pisarzom polskim i polskiego pochodzenia tworzącym po angielsku, jak na przykład Kuniczak, autor powieści *The March*, i Jerzy Kosiński.

Rzuciło się w oczy, że zmienił się profil dyskutantów. Wiadzieliśmy w akcji trzy pokolenia naukowców i artystów. Najmłodsze pokolenie zmonopolizowało dla siebie sesję poświęconą poezji i polskiemu teatrowi oraz prasie polskiej ukazującej się poza cenzurą.

Na przykład sesja poezji odbyła się pod przewodnictwem weterana Tadeusza Wittlina, przedwojennego współpracownika „Cyrulika Warszawskiego”, godnie wyglądającego w siwiźnie, który koordynował recytacje Anny Frajlich (głos czysty, ale nie-mały, jak się przekonałiśmy kiedy czytała swe piękne wiersze), Henryka Grynberga i Tadeusza Chabrowskiego.

„Młodzież” przeważała też na sesji o teatrze polskim, gdzie pod batutą seniora profesora Leona Błazczyka popisywali się: Maya Peretz i Amerykanin polskiego pochodzenia Stefan Rud-

nicki. Spotkanie to poświęcone było symbolice teatru Witolda Gombrowicza.

Dwa znakomite odczyty: p. Ewy Czarneckiej, redaktorki *Nowego Dziennika* o poezji Czesława Miłosza i profesora Daniela Geroulda o *Recueil des Parades* Jana Potockiego z Pików na Ukrainie, autora „Rękopisu znalezionego w Saragossie”.

Naukowcy średniego wieku dominowali w sesjach na tematy historyczne poświęcone Średniowieczu, Polsce XVII-wiecznej (jak się powodziło Żydom w tym okresie) i stosunkom polsko-rosyjskim od czasu Jagiełły do Powstania Listopadowego.

Nie zapomniano o problematyce polsko-amerykańskiej omawianej z perspektywy historycznej, socjologicznej i ekonomicznej.

Analizowano rolę Polaków amerykańskich w kształtowaniu historii Stanów Zjednoczonych (prof. M. K. Dziewanowski, b. instruktor Spadochroniarstwa i Sabotażu szarżował z tezą że Prezydent Wilson miał zielone pojęcie o roli Kościuszki i Pułaskiego), dyskutowano metodykę nauczania języka polskiego i problemy związane z wymianą kulturalną.

Gwoździem programu i sensacją Zjazdu była dyskusja dotycząca zagadnienia palącej aktualności politycznej, a mianowicie wpływu Stanów Zjednoczonych na przyszłość Polski. W dyskusji wystąpili: były ambasador USA w Warszawie, Richard Davies, oraz przedstawiciele dwóch różnych orientacji, profesorowie Ehrenkreutz i Korboński, obaj Andrzeje.

Znamienna była nieobecność na sali stryja drugiego Andrzeja, Stefana Korbońskiego, którego niezmiennie młodym wyglądem cieszyliśmy się podczas *cocktail party*.

Zanim ujrzałem autora „Kosmatych myśli” (*Kultura* Nr 3, 1980) na podium auli w Ward Circle Building, spotkałem go pod prysznicem w komfortowym „akademiku” Anderson Residence Hall, gdzie los i p. Ewa Markowska umieścili nas na tym samym piętrze.

Jak napisał mądrze i przenikliwie Kisiel, Korboński jest wyznawcą tezy, że najlepszy sposób na komunizm pogłaszać i potakiwać, dokarmiać oraz napychać forszą bez stawiania najmniejszych warunków, wówczas komunizm zmieknie i stanie się anielski.

Podczas swoich wywodów prof. Korboński oświadczył, że Waszyngton „chce mieć ciastko i zjeść je” jeśli chodzi o politykę w Europie wschodniej; tego powiedzenia, brzmiącego po angielsku *to have a cake and eat it* nikt z dyskutantów wsłuchanych w swoją własną muzykę nie wyłapał, wszyscy czekali, by Korboński skończył, bo wiedzieli z góry co powie.

Zastanawiałem się czy nie wziąć udziału w dyskusji i powie-

dzieć mu, że to Związek Sowiecki „chce mieć ciastko i je zjeść” przerzucając kraje satelickie na ekonomiczne barki Zachodu, co pozwoliło Moskwie uzbroić się po dziurki od nosa. Nawet wyciągnąłem już rękę i zrobiłem sobie notatkę, co powiem. Ale szybko zrezygnowałem, przypominając sobie, że nigdy nie miałem szczęścia do Andrzejów.

Kończę relację wracając do Gombrowicza, który był obecny na 38-mym Zjeździe w dwóch sesjach.

Napisał on kiedyś, że samo życie w swojej komedii pcha człowieka w sferę metafizyki.

Ale nie zmienia to faktu, że wycieczka Instytutu do Waszyngtonu była ciekawa i zabawna.

Zdzisław BAU

**NIEWYCZERPANE KSIĄŻKI
CZESŁAWA MIŁOSZA
W BIBLIOTECIE „KULTURY”**

**TOM 177 — „WIDZENIA NAD ZATOKĄ
SAN FRANCISCO”**

Str. 176.

F. 22,00.

TOM 280 — „ZIEMIA ULRO”

Str. 224.

F. 50,00.

TOM 306 — „OGRÓD NAUK”

Str. 256.

F. 65,00.

**TOM 309 — „DOLINA ISSY”
(wydanie drugie)**

Str. 196.

F. 50,00.

Wołanie na puszczy

Warszawskie komedio-dramaty

Warszawa, maj 1980.

Dnia 13 maja po południu w Warszawie nastąpiła Godzina Prawdy. Na dziwnie wyludnionych ulicach pojawiło się ostentacyjnie mnóstwo policji (milicji?) tajnej i mundurowej, prze-mykać jeły jakieś wielkie, zasłonięte auta, odezwały się niezwykle syreny i sygnały. Ulica warszawska od razu już wiedziała: zjechała się oto grupa starszych ponurych facetów, od których nie wiadomo dlaczego zależy nasz los. Inaczej mówiąc w Warszawie zebrał się Doradczy Komitet Polityczny Państw-Stron Układu Warszawskiego o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej z samym Breżniewem na czele.

Nazwa Komitetu, tasiemcowa, niecałkiem w duchu polszczyzny utrzymana, zawiera pewną osobliwość: owe Państwa-Strony, co to takiego?! Sprawa jest freudowska, chodzi o to, aby ludzie przypadkiem nie myśleli, że członkowie Układu mogliby być nierówni, że ktoś tam mógłby być równiejszy, jak niektóre zwierzęta u Orwella. Nie, właśnie dlatego „państwa-strony”. Tylko że, jak ktoś nadmiernie pieczołowicie chce coś zasłonić, to właśnie zwraca na rzecz uwagę i wychodzi komizm zaraźliwy, bo niezamierzony. Podobnie jak owemu wybitnemu profesorowi prawa, który napisał w *Życiu Warszawy*, że polskie wybory demokratyczniejsze są niż wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych, bo są bezpośrednie, podczas gdy amerykańskie są pośrednie. Dobry kawał, ale nikt się już nie śmiał, chyba baranin głosem. Śmiech czasem zastyga w gardzieli...

Mnie też nie było do śmiechu, gdym patrzył na drewniane twarze naszych wschodnich władców („stron”) w telewizji. Zastanawiałem się, o ile los nasz i świata naprawdę jest zdeterminowany, a o ile rządzi tu bluff i sugestia. Czy władcy Rosji naprawdę gotowi są walczyć o swą władzę za cenę atomowego

zniszczenia ludzkości? Bo oni pod względem atomowym nie ustępują ani na krok, choć żądają tego od innych. Cały Zachód woła, że trzeba im ustąpić, gdyż los ludzkości jest w grze, a oni z kamienną twarzą przytwardzają, że trzeba, nie nadmieniając ani słowem, że to oni też mogliby ustąpić. Czyżby więc los ludzkości leżał na sercu tylko jednej ze stron? Czy też jest to gra? Taka sama, jak pominięcie w deklaracji uchwalonej na warszawskiej naradzie choćby słowa „Afganistan”. O wszystkim mówiono, tylko nie o tym, o czym mówi cały świat! Metoda to czy znowu Freud?

Francuski marszałek Lyautey powiedział w czasach, gdy Francuzi myśleli jeszcze nie tylko o konsumpcji wina, sera i benzyny: „Trzeba umieć pokazać siłę, by uniknąć przymusu jej użycia”. Maksymy tej nie uwzględnił pewien wybitny Francuz naszych czasów, który poleciał 18 maja do Warszawy, nader zaszczycony, iż na spotkanie pospieszył mu sam władca Rusi Wielkiej, Małej i Wszelkiej Sąsiedniej. Warszawa oniemiała, że prezydent Francji dał się zażyć, niczym jaki Polak (ten, wiadomo, musi, ale Francuz...). Po chwili ogłuszenia prasa warszawska przypomniła sobie o swych obowiązkach i wybuchnęła zachwytem, jaką to Polska wielką i konstruktywną odgrywa w świecie rolę. Pomyslcie bo sobie: sam prezydent Francji... (dał się zrobić w konia — dopowiadają ludziska). Choć motywował rzecz umiłowaniem francuskiej suwerenności...

O Polsce dużo i dobrze się ostatnio słyszy — z ust własnych. Dygnitarze nasi w depeszy wysłanej na 60-lecie Ojca Świętego piszą, że naród nasz „podziwiany jest w świecie za tytaniczną pracę nad odbudową i rozwojem kraju”. W istocie naród nasz podziwiany jest dziś przede wszystkim za iście tytaniczne marnotrawstwo zrealizowane przez swych rządców, którzy nie wiedząc jak przepatali pożyczone 20 miliardów dolarów. Co prawda wiadomo, że komunizm drogo kosztuje i finansować go muszą kapitaliści. Gdybyśmy, zamiast budować hutę „Katowice” i 400 kilometrów szerokotorowej Linii Hutniczo-Siarkowej, kupowali po prostu potrzebne nam wyroby stalowe za granicą, bardziej by się to nam chyba opłaciło. Ale prawda, socjalizm nie jest do przynoszenia zysków, najważniejsza jest sprawa władzy, zaś problemy gospodarcze to dla rządzących uboczna kłapa bezpieczeństwa. (A ja wciąż proponuję, aby komunizm dla porządku i świętego spokoju nazywać socjalizmem, lecz propozycja ta wciąż pozostaje nieuwzględniona).

Finansowanie socjalizmu, chuchanie nań, aby się nam tylko nie przeziębilo, to nadal najważniejsze zmartwienie przybywających wciąż do Warszawy możliwych kapitalistycznych cudzoziemców. Polska Ludowa akredytuje przy nich największych dziennikarskich cwaniaków, którzy znakomicie odgrywają komedię, że niby rząd bardzo by chciał liberalizmu i wolności dla „konstestatorów”, lecz boi się Rosji, więc, aby się od niej uniezależnić, potrzebuje forsę. Amerykany płaczą ze wzruszenia i bulą.

Od lat Zachód sądzi, że jak pomagać komunizmowi gospodarczo, to on złagodnieje politycznie, tymczasem od lat jest przeciwnie: reżym się umacnia, a społeczeństwo niewiele z tego ma (ma za swoje, a raczej za cudze). Mimo to, mimo negatywnych doświadczeń, Zachód trwa w swej koncepcji — widać na inną go nie stać, choć na wyrzucanie pieniędzy go stać. Ludzie Zachodu myślą, że pomagając na Wschodzie rządowi, pomagają społeczeństwu. Tymczasem cele jednych i drugich są odmienne. Ludzie naszych krajów machnęli już ręką na suwerenność, chcą tylko żyć możliwie i spokojnie. Rządy natomiast chcą: a) umocnić na mur swą władzę; b) przypodobać się Rosji. Zaś inne sprawy to przy okazji i jeśli nie kolidują z poprzednimi. Do rozmów zaś z zagranicznymi bankierami (mają oni podobno wziąć pod kuratelę polskie wydatki inwestycyjne — rychło w czas!) deleguje się, jak mówiłem, cwaniaczków-poliglotów, potrafiących nawet wykrzywiać się pokazowo na Rosję — to wszakże nic nie kosztuje, przeciwnie, przynosi forszę, a społeczeństwo, biedne dudki, i tak o niczym się nie dowie. W ten sposób nabija się na Wschodzie w butłę zachodnich frajerów, czego oni nigdy nie pojmą. Nie pojmą też, że jedyną, bezcenną zresztą rzeczą, jaką dali polskiemu społeczeństwu, nie reżymowi, jest radio Wolna Europa. Jakże bo mogliby wychowani w demokracji i w tradycyjnej szkole dyplomatycznej ludzie Zachodu pojąć, że naród i jego rząd to nie to samo, zwłaszcza gdy na ulicach nie widać oznak buntu, a nawet pan Bromke zapewnia, że ilość wolności przydzielona Polakom jest najzupełniej wystarczająca i zadowalająca. Wprawdzie naród afrykański Zimbabwe miał gwarantowane przez mocarstwa wolne a decydujące wybory, jakich w Polsce nie było od lat 50 i pewno długo jeszcze nie będzie, lecz po cóż Polakom takie wybory?! Toć Polska nie Afryka!

W prasie zachodniej przeczytałem takie zdanie, zaczerpnięte iście ze złotych myśli Andrzeja Korbońskiego: „Gdy udostępnimy Rosji zdobycze najnowszej technologii, reżym polityczny w tym kraju złagodnieje”. I znowu to samo — wbij zęby w ścianę! Dlaczego, skąd to nonsensowne przekonanie, że rząd wzmacniany z zewnątrz złagodnieje na wewnątrz, gdy w dodatku nie stawia mu się publicznie żadnych warunków? Jeśli w Polsce jest „łagodniej” niż w Czechosłowacji, to dlatego, że samiśmy to sobie wywalczyli: wywalczył Kościół, wywalczyła bezkompromisowa młodzież, wywalczyli chłopci. Stalin złagodniał i przypomniał sobie o rosyjskiej cerkwi jak już miał nóż na gardle, jak mu wiarołomny hitlerowski sojusznik siedział pod Moskwą. W systemie totalnym, kierującym się doktryną, oficjalne wsparcia finansowe idą kanałem rządowym, wzmagając tylko i wyłącznie pewność siebie tegoż rządu. Toć to system totalnie uwarunkowany, oni łagodnieją tylko na pokaz, w rozmowie z dyplomatami i gośćmi zagranicznymi. Nabieranie Zachodniaków to ulubiony dziś sport w kołach rządowo-dziennikarskich Warszawy. A jakżeż się udaje! Amerykanów troszeczkę otrzeźwił Afganistan, zachodnich Europejczyków nie za bardzo, bo to daleko

(„Nie będziemy ginąć za Afganistan!”). Wobec czego propozycja finlandyzacji, czy, jak się teraz mówi, szwedyzacji europejskiego Zachodu nadal jest aktualna. Zwłaszcza gdy Giscard ochotniczo obniża cenę. Kapitał zaś nie rozumie, że jego rola to rywalizować a nie kolaborować z socjalizmem, który mieni się wszakże ustrojem lepszym, skuteczniejszym i w ogóle jedynym. Niechże się więc wykaże: czyż nie pora dać mu tę szansę a zaniechać maniackalnej idei zwyciężania przez kolaborację?! Do Ciebie mówię, o nieszczęsny Zachodzie!

Mówię, ale odpowiedzi nie słyszę. Mówić do słupa i do ściany to moje wieloletnie rzemiosło. Odpowiedzi nie słyszę i nie usłyszę, nie mam żadnych złudzeń. Chciałbym jednak pojechać na Zachód przed szwedyzacją-finlandyzacją, lecz nie dla żadnej polityki, tylko dla przyjemności — pożyć jeszcze parę miesięcy w normalnie burżujskim świecie. Gdy bowiem tam nastąpi szwedyzacja, to u nas restalinizacja, pora więc korzystać z życia, póki jeszcze czas. Jednakże paszportu nie dają, a więc nic z tego. Pomyślmy zatem o Wschodzie, z którym z łaski hojnego Zachodu współżyć będziemy aż po kres naszych dni. Brr, nudno — ale trzeba. „Cóż robić, Panie, kiej trzeba”.

Tu wracam do mojej z kolei maniackalnej idei, czy można współżyć ze Wschodem, z Rosją, na naszych, ludzkich i polskich warunkach, bez pośrednictwa komunistów? Za ideę tę wielokrotnie mnie ochrzaniano (w *Kulturze* też), bądź to traktując rzecz jako mrzonkę, bądź też jako zdradę. Ja jednak pieczę się z tą koncepcją nadal, boć nie mam żadnej innej, skoro nie wierzę, jak wierzy pan M., że pewnego dnia Božia ześle nam pełną niepodległość, suwerenność oraz cudowne, nietykalne terytorium. „Cóż” ja tego nie widzę, wobec czego, niepoprawny, wciąż prze-mysliam o pozakomunistycznym dialogu z Rosją... Choćby przez telefon, ale bezpośredni (linia Biało-Czerwona?).

Lecz tu nasuwa się szkopał okropny, moralny, wychowawczy, narodowy, podstawowy. Czy warunkiem dialogu z Rosją jest, żeby ciągle i bez przerwy kłamać, tak jak to robi nasza propaganda? Mielśmy ostatnio ogromną masę świąt narodowych (35 lat od zakończenia wojny!), sztandary narodowe łopotały świątek czy piątek, mowy lały się z głośników w nieskończoność (zapomniano tylko, co bystro zauważył nieoficjalny *Biuletyn Dłonośląski*, o 75 rocznicy rewolucji 1905 — znaczące przeoczenie!). Ale jakież to były mowy i jakież się z nich wyłania obraz historyczny?!

Rosjanie zakłamują swą historię bez miary i litości, widziałem w Moskwie Muzeum Rewolucji bez Trockiego, Tuchaczewskiego, Blüchera, Bucharina i... Stalina (1961), widziałem w leningradzkim „Ermitażu” salę „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, gdzie pokazano, jak to narody słowiańskie z Polską włącznie a pod przewodem Wszechrosji bohatersko walczyły z inwazją wrażeń sił zgniłego Zachodu, prowadzonych przez niejakiego Napoleona Bonaparte. Ten rosyjski orwellizm, kierowany przez ichnie Mi-

nisterstwo Archiwów, łykałem gładko i ze śmiechem: nie moje to wszakże kłamstwo, nie moja komedia. Ale czy my też musimy?!

Kłamstwo historyczne w tegorocznych naszych nieustających obchodach osiągnęło swoistą doskonałość. Ktoś widać orzekł, że po 35 latach sprawa 17 września 1939 i jego konsekwencji we wschodniej Polsce dojrzała do zapomnienia. I oto, we wszelkich mowach, artykułach, audycjach, rozważaniach historyczno-politycznych od Machejka i Szewczyka do Kowalskiego i Stefanowicza znikło wszystko. Nie było paktu Ribbentrop-Mołotow, wkroczenia Armii Czerwonej, walk i internowania polskiej armii, współpracy Rosji z Niemcami na linii Bugu, wywózki 1,5 miliona Polaków do Związku, wymordowania oficerów w Katyniu, problemów armii Andersa i Berlinga. Nie było też nigdy żadnego Wilna i Lwowa, nie było niczego takiego. Nie było też zgoła żadnych problemów ze Wschodem i Stalinem (nawet czczony pośmiertnie Tito ich nie miał!). Była tylko historyczna Polska po Odrę i Nysę i jej restytucja przez bratni zawsze Związek Radziecki.

Czy musimy?! Czy to jest cena niezbędna, warunek *sine qua non*?! Czy nie przesadzono w kłamstwie?! Młodzież patriotyczna, powstała jak Feniks, reprezentowana przez grupki wypchniętych na margines *berufsverboten* ryzykantów, oceniła, że tego już za wiele. Że utrata narodowej pamięci równa się utracie narodowej tożsamości. Że ta cena za geopolitykę jest zbyt wysoka. Rozpoczęto kontrakcję, w druku, w słowie, w rozpędzanych demonstracjach, przypominając prawdziwy, ponadpolityczny sens narodowych rocznic. Włączył się i Kościół, który, tak nierzadko ostrożny w stosunkach z Państwem, nie mógł tym razem wyrzec się modłów w 40-lecie wymordowania polskich oficerów. Katyń to może nienajlepszy początek aktualnego dialogu z Dziwnym Sąsiadem, lecz tu winą równie dziwacznej nadgorliwości naszych władców: akcja wywołuje reakcję, gwałt niech się gwałtem odciska!

Wzruszająca walka naszej młodzieży o odrodzenie narodowej tożsamości przysłoniła mi „chwilowo” wszystko inne. Nie poszedłem też na odczyt kol. Bromkego „*Détente* czy druga zimna wojna”. Bo o sprawach światowych decydują inni. Lecz o sprawach naszej tożsamości decydujemy tylko my i tutaj. Tak jak zdecydował szanowany dziś w świecie naród Zimbabwe!

KISIEL

Historia Dwudziestolecia

Od Redakcji

W kraju i na emigracji jest ogromne — i dotąd niezaspokojone — zapotrzebowanie na obiektywną i przystępną napisaną historię Polski. Jest to zadanie niezmiernie trudne, wymagające nie tylko dobrego historyka ale i dobrego pisarza.

Od wczesnych lat sześćdziesiątych *Kultura* usiłowała wypełnić tę lukę. Uznaliśmy, że najlepszym autorem może być Paweł Zaremba, człowiek o wielkiej erudycji a jednocześnie umiejący pisać w sposób lekki, prawie gawędziarski. W 1961 roku ukazał się w Bibliotece „Kultury” pierwszy tom jego „Historii Polski”. Praca była obliczona na trzy tomy i miała obejmować dzieje Polski od zarania aż do chwili obecnej. Niestety choroby i kłopoty osobiste uniemożliwiły Zarembie kontynuowanie tej ogromnej pracy. Potem przyszła absorbująca praca radiowa, znowu długotrwała choroba, i śmierć.

W Radio Wolna Europa Zaremba przez szereg lat prowadził pogadanki historyczne, ciesząc się ogromnym powodzeniem w kraju. Z tych pogadanek przyjaciel Zaremby — Marek Łatyński — dokonał wyboru, który obejmuje okres dwudziestolecia Polski Niepodległej — lata 1918-1939. Powstała w ten sposób książka spełnia naszym zdaniem niezbędne warunki: jest obiektywna, źródłowa bez pedanterii i przepojona cechującym Pawła Zarembę humanizmem. Książka powinna się ukazać na przełomie lat 1980-1981. Ponieważ nie możemy w tej chwili ustalić jej objętości — a więc i ceny — nie ogłaszamy subskrypcji, informujemy jedynie, że „Historia Dwudziestolecia” ukaże się w Bibliotece „Kultury”, i to niedługo.

Poniżej drukujemy przedmowę Marka Łatyńskiego do „Historii Dwudziestolecia” oraz tekst pogadanki Pawła Zaremby, która najlepiej wyjaśnia jak Autor pojmował swoje zadanie wobec słuchaczy (i czytelników) i jaki był jego stosunek do Historii.

Zamiast przedmowy

Książka ta stanowi wybór pogadarek radiowych, które Paweł Zaremba wygłaszał w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Dyrekcja RWE zgodziła się na ich opublikowanie drukiem. Było tych pogadarek — tak je autor nazywał — łącznie ponad czterysta i nadawane były w latach 1967-1979 co tydzień z rzadkimi tylko przerwami. Autor opowiadał o współczesnej historii Polski — nie przemawiał. I to było zapewne jednym z sekretów powodzenia, jakie miał u słuchaczy, zarówno historyków, jak i zwykłych miłośników historii własnego kraju, a szczególnie może wśród studentów, którzy szukali u niego ocen odmiennych od oficjalnie obowiązujących w Polsce. Innym sekretem powodzenia była tematyka pogadarek. Nie tu miejsce, by oceniać ich treść. Ale powiedzieć należy, że przedstawiał dzieje tego historycznego fenomenu, jakim było wskrzeszenie Polski i niepodległe istnienie Drugiej Rzeczypospolitej w sposób jasny, prosty i głęboki, że widział racje różne i że był obiektywny i sprawiedliwy.

Mówił także w swoich pogadankach o latach przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości i o drugiej wojnie światowej. Ale zdążył się zająć tylko niektórymi aspektami obu tych okresów. Pogadanki o latach Polski niepodległej stanowiły już natomiast zamkniętą całość. Dlatego wybraliśmy je do druku.

Stanowiły całość zamkniętą, ale nigdy nie zakończoną. Wracając często do tematu już poruszonego i przerabiał wtedy i wzbogacał to, co napisał był przedtem. W takich wypadkach włączaliśmy naturalnie do tej książki wersję nowszą. Do tego ograniczyła się rola niżej podpisanego, a także do skreślenia powtórzeń, nieuniknionych, kiedy się wygłasza co tydzień przez radio pogadankę, z których każda musi się logicznie zaczynać i kończyć i być zrozumiała dla kogoś, kto może poprzedniej nie słyszał. Ale zależało mi na tym, by zachować ten szczególny, autorski styl radiowej gawędy. Staratem się więc nie dopisywać niczego, poza koniecznymi tu i tam paru słowami.

Paweł Zaremba urodził się 12 października 1915 roku w Petersburgu jako syn Piotra i Nadziei-Jadwigi z domu Herwarth. Pochodził ze starej polskiej rodziny szlacheckiej. Miał też powiązania rodzinne z Anglią.

Kiedy jego rodzina uciekła z Rosji po rewolucji bolszewickiej, uczył się początkowo we Francji. Potem ukończył gimnazjum imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. W tymże Poznaniu studiował od roku 1933 prawo i ekonomię. Specjalizował się w historii ustrojów i w roku 1937 otrzymał stopień magistra

praw. Tematem jego pracy magisterskiej były uprawnienia prezydenta w konstytucji Stanów Zjednoczonych. W czasie studiów pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego i pisywał w prasie poznańskiej. Przygotowywał pracę doktorską o wpływach burgundzkich na ustrój Polski w wiekach średnich, ale jej nie ukończył.

W roku 1937-1938 służył w podchorążówce rezerwy piechoty w Kaliszu. Pod koniec hiszpańskiej wojny domowej wysłany został do Hiszpanii jako obserwator II Oddziału Sztabu Generalnego.

Zmobilizowany, walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako podporucznik 60 pułku piechoty z Ostrowia Wielkopolskiego i został dwukrotnie ranny w bitwie o Łęczycę. Wzięty do niewoli, przebywał do końca wojny w Oflagu VIIA w Murnau w Bawarii. Brał udział jako wykładowca w zajęciach samokształceniowych więzionych tam polskich oficerów. Tematami jego wykładów były historia Anglii i Stanów Zjednoczonych oraz socjologia. Pracował też nad książkami, które chciał wydać po wojnie.

Po zwolnieniu z Murnau w kwietniu 1945 roku przyczynił się jako oficer polski przy dowództwie 7-ej Armii amerykańskiej do decyzji niewydawania dawnych sowieckich i serbskich jeńców wojennych z obozu w Memmingen komunistycznym władzom ZSSR i Jugosławii.

Służył następnie przez rok w 2-gim Korpusie we Włoszech jako współpracownik Wydziału Propagandy. Wykładał tam znowu i pisał w prasie wojskowej.

W roku 1946 osiedlił się w Anglii. Przez następnych lat dwadzieścia redagował różne polskie czasopisma, wśród nich *Orla Białego*, najstarsze pismo żołnierskie i kombatanckie. Pisał też na tematy historyczne i bieżące do *Kultury*, *Bellony* i *Tek Historycznych*. Kierował polskimi wydawnictwami i drukarniami. Współpracował z sekcją polską BBC.

W roku 1957 wydał „Historię Stanów Zjednoczonych”¹, pierwszą napisaną przez Polaka, a w roku 1961 pierwszy tom „Historii Polski”². Napisał także „Historię 15 Pułku Ułanów”, ale nie zdążył ukończyć książki na jeden ze swych ulubionych tematów: miała nią być historia amerykańskiej wojny domowej.

Po okresie luźnej współpracy wszedł w roku 1967 w skład zespołu kierowniczego rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa i przeniósł się do Monachium. Zmarł 23 kwietnia 1979 roku.

Takie są suche fakty życiorysu Pawła Zaremby — zbyt suche dla tych, którzy jak autor tych słów razem z nim w Monachium pracowali. Zbyt suche również, kiedy się zważy, kim i czym był.

1. Biblioteka „Kultury”, tom XXIII.

2. Biblioteka „Kultury”, tom LXXII.

Przede wszystkim był historykiem, chociaż nie historię studiował na Uniwersytecie Poznańskim. Historia była dla niego — człowieka pełnego życiowej pasji — pasją największą.

Jego pasją było także radio — rozgłośnia polska RWE, którą uważał zawsze za coś więcej niż tylko jedną z wielu rozgłośni nadających w eter audycje po polsku. Dla niej poświęcił wiele ze swych niespełnionych autorskich ambicji. Przyszły kronikarz rozgłośni znajdzie ślady jego pracy — redaktora, inspiratora, doradcy — w skryptach setek audycji, o historii, o polityce, o kulturze. Znajdzie je przeglądając redagowane przez niego pismo *Na Antenie*. Bo był również urodzonym dziennikarzem i potrafił napisać szybko i ciekawie o każdej niemal sprawie świata, w którym żyjemy. Pomagała mu w tym nadzwyczajna znajomość języków — angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, katalońskiego, niemieckiego, czeskiego, rosyjskiego, włoskiego. Pomagały mu sprawna pamięć i oszałamiająca erudycja, wiedza, która mogła onieśmielać współpracujących z nim. Wszystkie te walory oddawał bez reszty swojej rozgłośni. Przez kilkuletni okres ciężkiej choroby rwał się do pracy. Pilnował, by jego audycje szły co niedzielę na antenę. Pisał je mimo choroby i, póki mógł, sam je nagrywał. Później przysyłał do redakcji teksty, nieraz wprost z kliniki.

Ale nie był mołem książkowym. Marzył o karierze wojskowej — los mu na nią nie pozwolił. Kochał żonę, którą zostawił, i swoich dwoje dzieci. Doceniał urodę kobiet i lubił czerwone wino. Był świetnym, pełnym wdzięku rozmówcą i, choć stronił od głupoty, był wyrozumiały dla słabości człowieka. Nie używał wielkich słów. Potępiał zawsze podłość, dwulicowość i fałsz.

Był pośród nas jednym z najlepszych.

Marek ŁATYŃSKI

Polityczne podłoże koncepcji PRL

Historia polskiej myśli politycznej w czasie drugiej wojny światowej rozpada się na kilka kolejnych etapów. Podział ten nie jest jednak tylko podziałem chronologicznym, przedstawiającym następujące po sobie fazy walki o zwycięstwo nad okupantem. Bo nie tylko losy samej wojny, następstwa zmiennych koniunktur politycznych i militarnych oraz przemiany poglądów społeczeństwa wyznaczyły kształt Polski po zwycięstwie nad

Niemcami hitlerowskimi. O przyszłości Polski decydowały także czynniki z polską racją stanu i z pragnieniami narodu polskiego nie związane albo też związane luźno, jako wtórny przejaw koncepcji politycznych wyklutych w oderwaniu od polskiego interesu narodowego i polskiej woli.

Dlatego właśnie dzieje polskiej myśli politycznej w czasie drugiej wojny światowej, a także dzieje samej wojny, gdy je rozpatrywać z polskiego punktu widzenia, nie są podobne do tych samych dziejów tej samej wojny oglądanych z płaszczyzny interesów innych narodów europejskich. Nie są podobne nawet do dziejów innych narodów Europy środkowo-wschodniej, które w wyniku wojny znalazły się w orbicie wpływów Związku Sowieckiego, upodabniając się do siebie pod względem ustrojowym i pod względem wyznaczonego im w obozie komunistycznym celu istnienia. W obozie komunistycznym znalazły się przecież obok siebie państwa, które w sensie formalnym wojnę przegrały — jak Węgry, Rumunia czy Bułgaria — oraz te, które ją wygrały, jak Jugosławia i Czechosłowacja. Znalazła się też Polska. Tytuł zwycięzcy należał się jej jak najsłuszniej, bo do wojny włożyła najwięcej, gdy chodzi o zbiorowy wysiłek narodowy, a cenę wojny opłaciła w sposób najdotkliwszy. Mówić wszakże o zwycięskim dla Polski wyniku wojny światowej bez zastrzeżeń i kwalifikacji nie można, pod zarzutem uproszczenia myślowego przeinaczającego prawdę historyczną. Dlatego przede wszystkim, że Polska nie osiągnęła tych celów politycznych, w imię których zdecydowała się powiedzieć „nie” Hitlerowi w dniu 1 września 1939 roku, a Stalinowi w dniu 17 tegoż miesiąca i roku.

W wyniku drugiej wojny światowej naród polski znalazł się w położeniu szczególnym. Ocalił swój byt narodowy, zapobiegł zagładzie biologicznej, która go czekała — nie tylko jego zresztą — w wypadku zwycięstwa obłędnej koncepcji hitlerowskiej. Wyniósł z wojny niczym nie zszargane i nie splamione „dobre imię”. Utrzymał też ciągłość kulturalną i tradycje narodowe, o zmienionych być może kierunkach dalszego rozwoju, lecz nie mniej oparte mocno o fundament historycznej ciągłości. Natomiast w sensie ustrojowym i pod względem ambicji zachowania całkowitej niepodległości los Polski nie był w wyniku wojny różny od losu tych państw, które wojnę przegrały i które zmianę swego ustroju, granic i stopnia samodzielności politycznej uznać muszą za skutek swej przegranej.

Historia ma dopomóc w dokonaniu trzeźwej i beznamietnej oceny rzeczywistości. Stąd, gdy chodzi o historię polskiej myśli politycznej w czasie ostatniej wojny światowej, błędem i przeinaczaniem rzeczywistości jest twierdzenie, iż rozwiązanie, jakie

Polsce przyniosła koncepcja Polski Ludowej w komunistycznym wydaniu było nie tylko jedynym w sensie praktycznym, lecz że było także jedynym rozwiązaniem słusznym i odpowiadającym życzeniom narodu polskiego. A już nie błędem, a fałszem jest utrzymywanie, że ustrój i ograniczenie suwerenności państwowej, jakie koncepcja ta wprowadzała, odpowiadały woli społeczeństwa polskiego. Dziś tak krańcowego przeinaczania prawdy już się w historiografii komunistycznej nie spotyka. Przeciwnie, w pracach syntetyzujących powstanie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mówi się wyraźnie, że komuniści w Polsce znaleźli bez porównania więcej nieprzyjaciół niż zwolenników i że władzę oparować musieli siłą, wbrew życzeniom społeczeństwa. Lecz dodaje się do tego jednym tchem hipotezę o rzekomej „prawidłowości” procesu historycznego, twierdząc, że mistyczny nieomal, magiczny, pozaludzki interes ludzi składających się na naród polski wymagał, by funkcję wyrażania woli narodu przejęła garść komunistów, słuchających pilnie rozkazów Stalina i szukających z jego strony pomocy fizycznej w przeprowadzaniu wyznaczonych sobie zadań. Ten stan faktyczny określa się jako dokonanie „rewolucji”. Jest to całkowity absurd, gdyż „rewolucja” przyniesiona z zewnątrz, „rewolucja dokonana w oparciu o bagnety Armii Czerwonej” według recepty i hasła bolszewickiego z lat 1919 czy 1920 nie jest wcale „rewolucją”, tylko porządkiem rzeczy narzuconym siłą z zewnątrz.

Stopień przyzwyczajania do skutków tego rodzaju zmiany historycznej czy nawet stopień lub rozciągłość aprobaty stanu rzeczy, powstałego wskutek tejże zmiany historycznej nie zmienia charakteru dokonanej zmiany.

Błędem jest twierdzenie, że koncepcja Polski Ludowej odpowiadała woli narodu polskiego i że w sensie historycznym Polska po to zdecydowała się na wojnę we wrześniu 1939 roku, by koncepcję tę w roku 1944 móc realizować. Lecz błędem jest także pogląd, że wskutek powstania Polski Ludowej naród polski drugą wojnę światową całkowicie i bez reszty przegrał. Tak twierdzić też nie można. Choćby z tego względu, że Polska Ludowa z jej ustrojem wewnętrznym i z ograniczeniem zakresu swobody politycznej na szczeblu państwowym była koncepcją korzystniejszą od koncepcji Polski jako jednej ze związkowych republik sowieckich na modłę Kazachstanu czy Karelii. Tłumaczyć tego nikomu nie trzeba. Nawet ideowym komunistom. A także nieprzebręganym wrogom komunizmu. Bo doświadczenia ostatnich lat, choć niekoniecznie doświadczenia polskie lub nie tylko doświadczenia polskie, wskazują, że system republik ludowych daje jakieś nadzieje wyprowadzenia ustroju komunistycznego ze

ślepej uliczki absolutnego i niczym nie krępowanego podporządkowania interesom imperializmu rosyjskiego. Dziś trudno mówić poważnie o zbieżności celów i interesów Związku Sowieckiego i celów ideologii socjalistycznej nawet w jej komunistycznym wydaniu.

Ale w roku 1939 w umysłach tych ludzi, którzy w roku 1944 mieli się stać organizatorami Polski Ludowej w komunistycznym wydaniu wątpliwości tego rodzaju nie powstawały.

Na wstępie naszych dzisiejszych uwag powiedzieliśmy sobie, że historia polskiej myśli politycznej w czasie drugiej wojny światowej to nie tylko sprawa chronologii, kolejności wydarzeń i związków przyczynowych. Gdyby tak było, należałoby było mówić o dwóch koncepcjach polskiej myśli politycznej. Jedną byłaby koncepcja „londyńska”, reprezentująca ideę walki o takie zwycięstwo w wojnie, które przyniosłoby powrót do procesu dziejowego przerwanej wskutek okupacji terytorium Rzeczypospolitej przez Niemcy i Związek Sowiecki. Drugą byłaby koncepcja przekształcenia Polski w Rzeczypospolitą Ludową z ustrojem komunistycznym.

Otóż sytuacja tego rodzaju nie istniała aż do lata 1944 roku. Nie było dwóch polskich koncepcji politycznych. Była tylko jedna. Ta polegała na prowadzeniu walki o odzyskanie niepodległości i zaprowadzenie względnie przywrócenie ustroju demokracji parlamentarnej. Koncepcja ta do dnia 22 czerwca 1941 roku wymagała podobnego, jeśli nie identycznego traktowania obu rozbiorników Polski. To jest Niemiec hitlerowskich i Związku Sowieckiego. Bo państwa te były w przymierzu ze sobą, łącznie dokonały rozbioru Polski, razem na nią napadły i podjęły wzajemne w stosunku do siebie zobowiązanie, że nigdy nie dopuszczą do wskrzeszenia państwa polskiego — obojętnie, w jakich granicach i w jakiej postaci. Dla obu też, czemu dały wyraz w licznych enuncjacjach, państwo polskie definitywnie przestało istnieć.

Lecz państwo polskie nie przestało istnieć. Zarówno w sensie prawa międzynarodowego, jak i przede wszystkim w przekonaniu Polaków. Miało swój rząd i swe siły zbrojne za granicą i zakonspirowane w kraju. Prowadziło własną politykę, służącą wyłącznie interesom polskim, warunkowaną zobowiązaniami sprzymierzeńczymi i niczym więcej. Do czerwca 1941 roku państwo polskie w sensie prawnym było w stanie wojny nie tylko z Niemcami, ale i ze Związkiem Sowieckim.

Oczywiście względy praktyczne nie pozwalały na traktowanie obydwu nieprzyjaciół na tej samej płaszczyźnie. Sprzymierzeńcy Polski ograniczyli się do protestów dyplomatycznych

z powodu zaboru połowy Polski i państw bałtyckich. Interpretacja układów sojuszniczych nie nakładała na nich obowiązku zbrojnej pomocy Polsce przeciwko Rosji. Poza tym liczone się, także w rządzie polskim, z możliwością złamania układu niemiecko-sowieckiego przez Niemcy, co siłą rzeczy zmusiłoby Rosję do jakichś pojednawczych kroków w stosunku do Polski. I chociaż Stalin możliwości złamania umów przez Hitlera nie przewidywał, w dniu 22 czerwca 1941 roku właśnie tego rodzaju możliwości powstały. Wynikiem był traktat polsko-sowiecki z dnia 30 lipca tegoż roku. Z nieprzyjaciela Polski Związek Sowiecki przekształcał się w sprzymierzeńca.

Lecz i w tym wypadku suche stwierdzenie nie obrazuje rzeczywistości. Traktat polsko-sowiecki nie załatwiał przede wszystkim sprawy granic. Unieważniał pakt Ribbentrop-Mołotow, lecz pozostawiał stronie sowieckiej możliwość wykretnego tłumaczenia, że zabór województw wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej zatwierdzony został przez ludność w osławionym plebiscycie z października 1939 roku. Do chwili ponownego zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim, co nastąpiło w związku z odkryciem grobów katyńskich w kwietniu 1943 roku, sprawa granic i tym samym obywatelstwa mieszkańców ziem wschodnich Polski nie była załatwiona, pomimo stale ponawianych wysiłków ze strony polskiej. Natomiast w tym okresie nie było mowy o ingerencji w przyszły ustrój Polski. Stalin aż do maja 1943 roku nie liczył się zupełnie ze stanowiskiem komunistów polskich. Nie było mowy o koncepcji Polski Ludowej jako o nowych ramach bytu państwowego. Dopóki trwało przymierze z Niemcami, ZSSR traktował komunistów polskich jak najgorzej, nie odwoławszy nawet rozwiązania KPP. Te zaś jednostki spośród komunistów polskich, które tolerowano — jak Zawadzkiego, Wasilewską czy Jędrzychowskiego — przyszłość Polski widziały we wcieleniu do Związku Sowieckiego w postaci jednej z republik związkowych. Żadnych innych koncepcji ograniczonej suwerenności nie było, a doświadczenia z Łotwą, Litwą i Estonią nie pozwalały przewidzieć, by jakakolwiek inna koncepcja tego rodzaju kiedykolwiek mogła powstać.

Zmiana nastąpiła dopiero w roku 1943 i 1944. Co ją spowodowało?

Przede wszystkim konieczność liczenia się z opinią mocarstw zachodnich, sprzymierzonych obecnie ze Związkiem Sowieckim w walce przeciwko Niemcom. Gdyby zerwaniu stosunków z rządem polskim towarzyszyło jawne przyznanie, że Rosja dąży do zaboru i do wcielenia w swe granice całej Europy środkowo-wschodniej, i to zarówno państw walczących u boku Niemiec,

jak i walczących przeciwko Niemcom, cała struktura przymierza antyhitlerowskiego stanęłaby pod znakiem zapytania. Natomiast wysunięcie hasła wyzwolenia krajów okupowanych przez Niemcy, owitego w dymną osłonę deklamacji o „demokratycznym ustroju, swobodnie wyrażonej woli ludności i nieingerencji w sprawy wewnętrzne” zapewniało Kremlowi te same korzyści przy mniejszym ryzyku. Gdy o Polskę chodzi, całokształt sporu można było sprowadzić do zagadnienia granic, przeciwstawiając nieprzejednanym ośrodkom polskim na Zachodzie „rozsądną i przyjazną” postawę „patriotów” przebywających w Rosji.

„Patrioci” owi, czyli komuniści polscy, otrzymali więc instrukcje przygotowania koncepcji politycznej przyszłego PRL. Autorstwo jej przypisuje się Alfredowi Lampemu.

Ostateczne decyzje powzięto w maju 1944 roku po przybyciu delegacji Krajowej Rady Narodowej do Moskwy i połączeniu się jej ze Związkiem Patriotów Polskich. W wyniku powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego w dniu 21 lipca. W dniu następnym ogłoszono tekst manifestu do narodu polskiego, co uznano później za datę powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Lecz zarówno prawdziwi czy rzekomi autorzy manifestu jak i członkowie Komitetu Wyzwolenia Narodowego, znalazłszy się w Lublinie nie wiedzieli, czy spełniają rolę zastępy propagandowej potrzebnej w danej chwili Stalinowi czy też mają szansę pozostania u władzy na stałe. Wiedzieli tylko dwie rzeczy: po pierwsze, że komunistyczna Polska chwilowo nie będzie wcielona do Rosji jako jedna z republik związkowych, i po drugie, że mają przeciwko sobie ogromną większość społeczeństwa polskiego, a za sobą siłę wojskową i policyjną Związku Sowieckiego.

Na takim fundamencie powstała koncepcja Polski Ludowej jako przeciwstawienie koncepcji państwa w pełni niepodległego, w którego obronie naród polski podjął walkę w roku 1939 przeciwko Niemcom i Związkowi Sowieckiemu związanym ze sobą sojuszem.

Paweł ZAREMBA

Książki

Życie według Vincenza

Według Vincenza życie jest w swej istocie sielanką, a w każdym razie powinno i mogłoby być, jeśli nie dopuścimy do zgubnych deformacji. W sielance tej rozgrywa się zasadniczy klasyczny dramat istnienia i przemijania, ale życie jest według Vincenza łatwe, proste i piękne, jeśli się je szanuje i rozumie. Jeśli się rozumie i szanuje również śmierć, nie ulegając strachowi ani innym złym siłom, wyciągającym po nas pazury z chaosu. Piękno życia jest często bolesne. „Jakoś zanedbało do brzeście się sprawili...” — mówi stary Hucuł do synów, gdy wygrali decydującą bitwę z niedźwiedziami, decydującą walkę o byt. W naturze jest walka o byt — przyznaje Vincenz — ale w walce tej nie powinno być nienawiści. Vincenz, jeden z najpierwszych ekologów mówi ustami Hucuła: „Zgodą sąsiedzi jakoś się trzymają. I niedźwiedź i ja także”. Walczy się tylko w imię tego rodzaju równowagi.

Symbolem sielanki Vincenza jest gospoda na Wierbiązu pod zawołaniem „Ne żurysy, druże!” („Nie martw się, przyjacielu”). „Należałoby tam wysyłać nowe narody z wielu kontynentów na powolne, a gruntowne wychowanie” — pisze autor *Barwinkowego wianka**. Zjeżdżali tam ludzie, którzy „umieli korzystać z krótkiego pobytu na świecie” i wiedzieli, „jak trzeba żyć z ludźmi, aby uprzyjemnić życie, aby je przedłużyć”.

W sielance Vincenzowskiej jest dosyć miejsca na ludzkie przywary. Babcia Zuzanna, bogata dziedziczka ze Stanisławowa, fundatorka i opiekunka starych synagog, żyma się na chłopów, którzy sięgają po książki: „Ta równość zatruwa mi prawie zmierzch życia. Żydowski „myśliciel” rozmyśla o „wielkim plusku”, jaki wywołałoby olbrzymie drzewo, spadając z olbrzymiej

góry wprost do olbrzymiej rzeki. Młody duchowny greckiego obrządku uczy się od „przemówników” (guślarzy) różnych „pierwowiecznych” zaklęć, „zastaw” i „obertyn”, aby „zyskać dostęp do dusz swych ludzi”. Hiszpańscy chrześcijanie (według przytoczonej opowieści żydowskiej) sprowadzają sobie Żyda, aby go pokochać, bo „wiara święta nakazuje kochać nieprzyjaciół nasze”. Dla przywar jest tolerancja w Vincenzowskiej sielance życia. Trzeba się jednak strzec przed prawdziwie wrogimi siłami z otchłani, nad którą sielanka jest zawieszona.

Vincenz jako świadek naoczny ginącego świata (z którego jeszcze nawet pokolenie niniejszego recenzenta się wywodzi), a jako historyk i kulturoznawca świadek zginienia innych, starożytnych światów, wskazuje wszystkie niedobre znaki, od najwcześniejszych. Okazuje się, że już u schyłku ubiegłego stulecia, gdy rozgrywa się akcja *Barwinkowego wianka*, mówiono na hucul-szczyźnie, że „nafta dzieli ludzi, a nawet... psuje charaktery”. Konie huculskie wykazywały już wtedy tołstojowską awersję do pociągów jako „dymnoczarnych potworów” i „upiorów piekieł”, na których widok również „ludzie nieraz drętwieli” w przeczuciu, że ten postęp wcale nie przyniesie im szczęścia, lecz raczej zgubę na wielką skalę. „Wszyscy pędzą, aby być na czas, gonią za modą, przewracają się, popędzili w końcu za szatanem według jego przykazań, potratowali jeden drugiego, no i wpadli do Gehenny” — taką wizję roztacza bałaga Bjumen w opowieści o Samaelu (czyli Lucyferze), „głowie lewicy”. Już wtedy ktoś rzucił hasło: „Boga nie ma! To wszystko elektryka!”. Odpowiada na to Samael: „Ogłosili, że Nic jest panem przedwiecznym. Popędzili odwrotnie, zaczęli się garnąć do siebie wzajemnie, ścisnąć jak ryby podczas tarła. Tłok! Nareszcie! To był wielki wynalazek, aby znienawidzili się powszechnie, aby byli całkiem samotni...”. A dalej czytamy: „Przenosili góry z miejsca na miejsce, wszystko w kupie, spieszyli się, tłoczyli się, zmienili się rychło w pociągowe zwierzęta. Powoli ślepli i kamienieli”. Inna, o wiele konkretniejsza wizja wyłania się z rozmowy Hucuła z Żydem: „Może i góra się rozsypie. I jeszcze coś się rozsypie. Będą się tak mordować, jak dzisiaj mówią sobie dzień dobry. I to będzie urzędowo i handlowo i mądrze... To całe urzędowanie, cały handel, cała mądrość, nawet nauka będzie dla mordowania... Morderca będzie sędzią, morderca gubernator i ekscelencja, a mordowany to zbrodniarz i śmierć”. Brzmi to jak zapis ze świata, którego jesteśmy świadkami dzisiaj. Równie współcześnie brzmią słowa z przytoczonej żydowskiej opowieści o „Rarytasie”: „Był sobie krawiec, majster, a teraz co? Żyd, wróg, tylko wróg”.

Jedną z najgroźniejszych złych sił, niszczących sielankę ludzkości, jest według Vincenza strach. Opowieść Kudila o Syrojidach (napisana w drugiej połowie lat trzydziestych) ilustruje, w jaki sposób strach (początkowo tylko przed głodem) prowadzi ludzi do poniżenia, zniewolenia i w końcu do ostatecznego zbydłecenia — „schudobienia” w języku opowiadającego Hucuła.

* Stanisław Vincenz, *Barwinkowy wianek*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979, str. 485.

W tej alegorycznej wizji totalitarnego terroru, łączącej elementy gotyckie i groteskowe, „wymiała się dusze z myśli” i surowo się karze za „myśli niewierne”. „Schudobieni” ludzie dochodzą nawet do tego, że zaczynają się troszczyć o swych dręczycieli, którzy ich karmią: „aby im się coś nie stało, bo z czego będziemy żyć!”. Jest to wizja świata zmaterializowanego ostatecznie: „Uczworaczmy, spłaszczmy, obudzamy całą ziemię. I utuczymy. I sami połknimy. Soków dla nas, posoki. Chrupać, ssać, łykać”. Zmaterializowanie równa się zbydlęceniu — powiada Vincenz. Ten wytrawny kulturoznawca łowi swym wprawnym uchem każdy podejrzany dźwięk. Już u schyłku ubiegłego stulecia rozpoznał on w dźwiękach akordeonu „zbliżanie się czasów, gdy głośnie a puste rytmy depcą muzykę, a maszerujące za nimi tłumy niedalekie są od tego, by zdeptać człowieka”.

Przeciwagą i nadzieją ludzkości są znaki dobra, jak w opowieści o chasydzie zwanym Ostatnim, który u Bramy Niebieskiej „trwa w bezlitosnej pokorze”, spierając się z Samaelem. Jak wspomnienia o Baal-Szem-Towie, który „opuścił przepisy i tezy, książki i komentarze i całe to papierowe bogactwo, w które mężczyźni czasem tak się stroją, jak kobiety w fatałaszkach” i na huculskich pustkowiach znalazł bezpośredni kontakt ze swym Bogiem: „Gwarzyła matka góra Sokola. Przytuliła do piersi matczynej sierotę ludu tułaczego. Kołesał go Czeremosz”. Opowieść o Syrojidach kończy się wyzwoleniem ze strachu i zwycięstwem nad piekielnymi siłami. Wskazaniem ratunku jest również chrześcijańska opowieść o Rachmańskiej Krainie, wymarzonej „rzeczypospolitej ducha”, która „czuwa nad nami”, zasilając wiarę człowieka w dobroć.

Najpiękniejsza jest jednak moim zdaniem całkiem realistyczna opowieść pana Władysława zatytułowana „Nasz rarytas, czyli wspomnienie o Kołaszce” — wspomnienie z Powstania Styczniowego, o szlachetnej walce bez nienawiści. „Walczyliśmy i szliśmy naprzód bez nienawiści do wroga. Z miłości dla tego, co tak wolne i piękne” — mówi pan Władysław i przytacza słowa umierającego towarzysza broni: „Nienawiedzieć musi ten, kto nie całkiem pewny swej sprawy”. Mówi to człowiek, który lubi Rosjan i wierzy w przyszłą przyjaźń sąsiedzką z nimi na zasadzie: „różnimy się, a lubimy się”. Dopóki to jednak nie nastąpi, woła on w obliczu śmierci: „Trzymać się, trzymać się. Gdyby zgąsto, znów zaczynać, nigdy nie ustawać!”. Dlaczego? Bo w tym jest sens życia takich jak on.

W *Barwinkowym wianku* i w poprzednich księgach cyklu *Na wysokiej połoninie* ukazany jest przebogaty, wielobarwny, wielokulturowy świat Hucułów, chasydów i panów, Ruśniaków, Ormian, Cyganów, księży, rabinów, guślarzy, grzeszników i świętych (różnych wyznań), chrześcijaństwa, judaizmu, panteizmu, deizmu we współzależności i współistnieniu, świat przyrody i żywej legendy, rzeczywistości i fantazji, baśni istnienia. Wesele, do którego akcja całej powieści prowadzi, wyprawiono w trzech

pawilonach, na „potwierdzenie starego współzycia trzech warstw, trzech ludów, trzech plemion”, panów, Hucułów i Żydów, którzy wzajemnie się rozumieli i szanowali, bo cechowała ich ta sama w gruncie rzeczy niezawistość ducha. Inaczej cóż by oni tam robili, w tej krainie tak ubogiej jak pięknej? Na tym pańskim weselu był ksiądz biskup, rabin kosowski i delegat biskupa grecko-unickiego. Grały wszystkie orkiestry: huculskie, żydowskie i cygańskie. Nienapisana, niestety, została, i stracona na zawsze ta część, w której miały być opisane tańce we wszystkich trzech pawilonach. Symboliczny jest być może również brak opisu ślubu...

Vincenz nie dokończył swego *Barwinkowego wianka*. Brak niektórych części uzupełniających jest dotkliwy, ale cieszymy się tym co jest, bo jest tego naprawdę wielkie bogactwo. Cudownym zabytkiem jest przede wszystkim sam język, rzecz w literaturze przecież najważniejsza, uratowane w ostatniej chwili zabytkowe formy nie istniejącej już tamtej, południowo-wschodniej polszczyzny. Vincenz przekazał nam swój świat wraz z barwną i naturalną, nieskażoną przez szkoły ani środki masowego przekazu, żywą i obrazową mową Hucułów i Żydów, mową z rubieży polszczyzny. W zestawieniu z zapisem Vincenza sztuczna się wydaje stylizowana mozolnie mowa chłopów Reymonta. W dialogach Vincenzowskich słychać naturalny rytm i intonację, zapisane wiernie ze słuchu. Niezwykły, niemal absolutny słuch dla żywej mowy wykazują pisarze pochodzący z tamtych byłych stron Polski: Strykowski (zwłaszcza w „Głosach w ciemności”), Buczkowski („Czarny potok”). Z innych podobnej sztuki rejestracji żywej mowy z pamięci bez pomocy taśmy dźwiękowej dokonał Wołodowski w „Chlebie rzuconym umarłym”.

Niektóre dialogi tego nie skończonego dzieła pozostały niedokończone, zawieszone. Tu i ówdzie niepewna jest jeszcze postać takiej czy innej postaci, czy samego autora. Nie powinno to jednak przeszkadzać współczesnemu czytelnikowi, który już zapewne wie, że wszystkie nasze dzieła pozostają w takim czy innym sensie nie dokończone. Wydawcy świetnie się spisali układając ten *Barwinkowy wianek*. Niedopatrzeń trudno było przy tym uniknąć. Jest nim wprowadzenie fragmentu zatytułowanego „Leśny Żyd”, a przynajmniej pozostawienie zdania: „Był to koniec października roku 1910”, skoro książka traktowana jest jako powieść, a nie zbiór opowieści, a w powieści tej wszystkie drogi wiodą na wesele datowane jesienią 1887 roku. W następnych wydaniach można by było wyświadczyć Vincenzowi przysługę również przez usunięcie czterech ostatnich słów ze zdania: „Tam na Bukowcu... usłyszałyś starożytny język, daleki podźwięk „Słowa Ihorowego”. Jestem przekonany, że sam by usunął tę wzmiankę, gdyby oddawał rzecz dziś do druku, gdyż coraz więcej lingwistów uważa „Słowo o wyprawie Igora” za XVIII-wieczny pastisz, a nie poemat Rusi Kijowskiej.

Dzieło Vincenza wywodzi się z polsko-ukraińskiej tradycji gawędziarskiej, w której proporcje i kompozycja są mało istotne.

Opowieść płynie własnym, naturalnym nurtem, mało regulowanym. Stąd opowieści w samej opowieści, a w nich nieraz jeszcze jedna opowieść. Podobnie idzie za słowem, dając się ponieść narracji, mistrz Gogol. Zamiast Gogolowskiej negacji i szyderstwa mamy u Vincenza jednak afirmację i pobłażliwość, oraz otuchę „ku pokrzepieniu serc”. Vincenz był wspaniałym artystą. Mało kto potrafi tak jak on namalować słowem krajobraz, czy górski wiatr. Wiatr jest właściwie przewodnikiem po krajobrazie i unosi się nad setkami stronic, bo jest to wiatr, który „przywiał gości weselnych na dziedziniec w Krzyworówni”. W „wietrznym-powietrznym” świecie Vincenza „o zmroku w trawach wysokich połonin kąpali się oboje: duch-wiatr i złoto-cielesna światłość”. Mało kto przekazał swą miłość dla ojczystego krajobrazu jak autor *Barwinkowego wianka*. Vincenz czynił to z pietyzmem dla szczegółu, z topograficzną i demograficzną dokładnością. Najbliższym porównaniem może tu być chyba tylko „Pan Tadeusz”.

Te książki proszą się o jak najszybsze przetłumaczenie na ukraiński*, hebrajski i rosyjski — na początek.

* Na weselu w Krzyworówni obecny jest autentyczny pisarz ukraiński, socjalista Iwan Franko.

Henryk GRYNBERG

A Kisiel został tak jak był Kisielem

Nie przypuszczałam, iż lektura tej książki¹, wydanej w Kraju a wydrukowanej na papierze najędzniejszym z możliwych, sprawi mi taką przyjemność. Aby tę przyjemność przedłużyć, a także aby znaleźć potwierdzenie pewnych własnych przypuszczeń, sięgnęłam do pierwszego felietonu Kisielewskiego w *Kulturze* paryskiej, z lata roku 1977. Przeczytałam także dokładnie jego ostatni felieton z kwietnia bieżącego roku. Moje domysły potwierdziły się. Do tej pory czytałam felietony Kisiela rzadko i niedokładnie. Ich ton wydawał mi się zbyt wesołkowaty, sądy autora o Zachodzie błahe i oczywiste. Nabrałam do nich smaku po lekturze *Z literackiego lamusa* i odtąd będę je zawsze czytała. Nie tyle dla informacji — choć i dla niej także — co dla samego autora: z sympatii i respektu dla jego osoby, dla owego psy-

1. Stefan Kisielski, „Z literackiego lamusa”, *Znak*, Kraków, 1979, str. 265.

chicznego luzu, z którego uczynił zasadę swojego pisania. Z głębokiego podziwu dla odwrotności tej samej zasady: krzepiącej pryncypialności, autentycznej, nie nudnej, nie zadufanej w sobie.

Bez entuzjazmu wzięłam książkę do ręki, przekonana że oto jeszcze jeden autor, który wydaje swoje „stare kawałki”, aby pokazać, że kto jak kto, ale on nie ma się czego wstydić. Redaktor Giedroyc polecił mi zrecenzować książkę bez „taryfy ulgowej” (jakbym kiedykolwiek dała powód...), ale żadna taryfa ulgowa nie była tu potrzebna. Przyznam bez żenady — lektura Kisielewskiego rozluźnia! — że opuszczałam fragmenty, które zaczynały mnie nudzić, albo takie, w których autor powtarza to samo co napisał wcześniej. Dla tych powtórzeń mam zresztą respekt szczególnie: rozumiem ich potrzebę, a pewnie i satysfakcję płynącą z faktu, że w okresie największego zbarania umysłów on monotonnie powtarzał swoje, i po roku 1956 mógł bez wstydu napisać to samo.

Pamiętam, że zaraz po roku 1956 Artur Sandauer jako jeden z nielicznych nie wyparł się swoich poglądów i gustów. Czytałam także w *Zapisie*, że Woroszyński zamieścił swoje dawne wiersze w tomie wydanym przez NOW-ą. Ale tutaj, przy lekturze Kisielewskiego, miałam wrażenie zupełnej psychicznej swobody przy podejmowaniu decyzji: autorowi nie wydawało się to zapewne ani ryzykowne, ani bohaterskie. Żadnego zaciskania zębów i przymykania oczu: patrzcie, oto się przed wami rozbieram! Ot, wybrał po prostu parę garści z tego, co pisał o literaturze i polityce kulturalnej od roku 1945 do roku 1971, a raczej 1969, bo felieton o Cat-Mackiewicz, napisany w roku 1969, opublikowany został dopiero w roku 1971.

Więc felietony i artykuły z 24 lat. Jest ich dwadzieścia sześć i podzielone zostały nie chronologicznie, lecz w dwie formalno-tematyczne grupy. Pierwsza: *Teoria, ideologia, estetyka*. Druga: *Recenzje, impresje, sylwetki*. W sumie: sześć napisanych przed Zjazdem Szczecińskim w roku 1949, sześć po roku 1956, a pozostałych czternaście w tak zwanym „minionym okresie”. Jest to zestaw statystycznie imponujący.

Zacznę od tego, czego Kisielski nie lubi. A nie lubi zajmowania się w książce tym, czego w niej nie ma (ulubiona zabawa krytyki socrealistycznej). Otóż w *Zapisie* nr 9 z roku 1979 cytuję Adam Michnik w artykule *Gnidy i anioły* — niestety bez podania źródeł ewentualnej publikacji — list Kisiela do Tadeusza Borowskiego; reakcja na publicystykę autora *Pożegnania z Marią*, żądającego rozprawienia się z intelektualistami, którzy nie opowiedzieli się zdecydowanie i bez reszty za ideologią komunistyczną. Pozwalam sobie zacytować ów fragment, właśnie dla podkreślenia, iż Kisielski nie ułatwił sobie zadania, komponując swoją ostatnią książkę. Niewykluczone zresztą, że o tym liście zapomniał:

„Sądzę że jest Pan publicystą o wielkim talencie i równie wielkiej ignorancji. Swoje pojęcia o świecie kształtował Pan w okupacyjnej War-

szawie, w piekle Oświęcimia i w złażaczonych okupowanych Niemczech. To diablo mało. Przypomina mi Pan dziewczynę malajską z noweli Conrada: dziewczyna czytając jedyne miejscowe pismo, stanowiące przedruk kroniki wypadków z pism europejskich, dochodzi do wniosku, że Europa jest jedną wielką mordownią (...). Wątpię zresztą, abym mógł powstrzymać Pana na intelektualnej równi pochyłej, po której Pan leci. Ale chcę mieć czyste sumienie: że ostrzegąłem”.

A teraz o tym, co w tej książce jest. Jest *List do Czytelnika*, w którym Kisielewski między innymi pisze:

„Przeciwnicy zmieniają poglądy, następuje zmiana warty — a ja piszę. Zmienia się etap, zmieniają się przyjaciele i wrogowie — a ja piszę. Sam się zmieniam, czytelnicy się zmieniają — a ja piszę. Ale zawsze usiłuję zachować pewne kryteria stałe, niezmiennie...”.

To prawda. I o tych „stałych, niezmiennych kryteriach” — bo takich którzy „piszą i piszą” bez względu na zmiany etapów jest przecież bez liku — chciałabym coś powiedzieć. Stałość i niezmiennosc kryteriów nie jest tu spowodowana brakiem elastyczności, niewrażliwością na nowe, czy brakiem ciekawości. Przeciwnie! To właśnie elastyczność, wrażliwość i ciekawość pozwoliły Kisielewskiemu zachować chłodną głowę, odwagę i kręgosłup estetyczno-moralny w czasach totalnego ogłupienia, nietolerancji, zaniku wrażliwości.

Oczywiście chronił publicystę tarcze, które nie każdemu były wtedy dane. Z bardziej istotnych wymieniałbym: przedwojenne oczyszczenie, przedwojenną działalność publicystyczną, edukację muzyczną i związanie się od samego początku z *Tygodnikiem Powszechnym*. Ale inni przecież też korzystali w tym czasie z przeróżnych przyrodzonych i nabytych łask, i niewiele im to pomogło. Więc może najistotniejszą rolę odegrał wrodzony — bo jakż inny! — nieuroczysty stosunek do samego siebie. Liberalizm jako postawa wobec życia i bliźnich. Miłość do literatury.

Kisielewski jest namiętnym czytelnikiem książek, ale stwierdzić trzeba, że jego wachlarz lektur nie jest imponujący. Balzac i Conrad — a przede wszystkim Balzac — służą najczęściej jako tarcza przeciw uproszczonemu, tępych wymaganiom ideologów nowej wiary i „nowomowy”. Narracja Faulknera wydaje się Kisielewskiemu równie prosta jak narracja Steinbecka i identyczna z narracją Salingera. Gołubiew puchnie w jego omówieniach do rozmiarów wielkiego pisarza, z twórczości Borowskiego Kisielewski wymienia tylko *Byliśmy w Oświęcimiu*, a *Dzieje grzechu* Żeromskiego dostarczają mu mistycznego przeżycia. Ale na szczęście świadomość, że inni mogą mieć odmienne gusta i sądy nie opuszcza go ani na chwilę.

Felietony i artykuły nie są ułożone w porządku chronologicznym i kryje się w tym może jakaś przekorna zasada. Czytając najpierw artykuł, a później datę pod nim — bo wszystkie są datowane — otwierałam szeroko oczy ze zdumienia; nie tyle dla odwagi autora — bo o odwadze także w *Tygodniku* decydowała cenzura — ile dla jego zdrowego rozsądku, który nie poz-

wolił mu ulec zaślepieniu, pozwalając jednocześnie zachować gorącą wiarę, iż w każdym czasie można — i należy — o swoje upodobania i przekonania walczyć.

Swoista i jakby założona swawolność — z której mam nadzieję czerpał sporą przyjemność — pozwalała Kisielewskiemu bez przerwy przypominać przeciwnikowi: ja nie jestem marksistą, mnie to nie obowiązuje! Ale nie po to, aby uniknąć konfrontacji. Przeciwnie! Po to, aby jak skrętna i złośliwa mrówka wejść na teren wroga, przypomnieć mu jego własne założenia i krytykować go — czy raczej nawoływać do rozsądku — z jego własnych pozycji. Bardzo to ładna zasada strategii. Nic trzydziści lat temu — nawet złowroga nuda i płaskość ziejąca z tekstu — nie powstrzymało Kisielewskiego od wyliczania w punktach założeń realizmu socjalistycznego. Dzisiaj, w *Kulturze* paryskiej, nic nie powstrzymuje go od wzorowego przypomnienia wszystkich czterech zasad dialektyki, choć mam podejrzenie, że robi to, aby wbić szpilkę profesorowi Tatarakiewiczowi.

Jeden z artykułów w tej książce nosi tytuł *Miłość do kultury*, został napisany w roku 1950 i brak pod nim, pod nim jedynym, miejsca publikacji. Czyżby go zdjęła w swoim czasie cenzura? Jest to pod wieloma względami tekst charakterystyczny dla całości książki. Są tu fragmenty świetne i fragmenty nudne. Są miejsca mętne, powykręcane jak po ciężkich torturach, w których czuje się, iż Kisielewski musiał się dobrze napocić, aby — posługując się jedyną wtedy dozwoloną terminologią — przemycić alarmującą na owe czasy tezę, iż nie wolno bezkarnie niszczyć żadnych obszarów kultury i tradycji. Jak przystało na prawdziwego chrześcijanina, Kisielewski wyrzuca „brak miłości do kultury” ludziom, którzy z krwiożerczą zachłannością skazywali całe jej obszary na klęskę i zapomnienie, lub zgola na niepowstanie:

„Dzisiaj jednak, w epoce burzliwych przemian społeczno-politycznych, taki badacz jak Kott dbać winien, aby na drugą stronę spienionej rzeki przewieźć całokształt miłości — nie tylko swoje upodobania. Stanowisko jego nie jest dowodem miłości dla kultury, lecz dowodem miłości dla własnych poglądów na kulturę. Nie załatwia się porachunków w czasie huraganu”.

Kisielewski miał oczywiście, na owe czasy, rację i bardzo elegancko ją ujął. Ale doświadczenie uczy, że porachunki załatwia się właśnie w czasie huraganu i być może on sam także zmienił w tej materii zdanie. Huragan w Polsce trwa, nie ustał ani na moment, a Kisielewski bez przerwy załatwia swoje porachunki i angażuje się w walkę z ciemnotą i złą wolą. Nie przecenia możliwości oddziaływania opozycji, a sam do niej należy. Z upodobaniem pisze o opozycji, jako o garstce młodzieży, ale duchem, odwagą i werwą nie wydaje się od nich starszy. Już nie mówiąc o tym, że jakby przez kokieterię zapomina, iż jej — opozycji — aktywnym członkiem jest profesor Edward Lipiński, znacznie od niego starszy, i chyba rówieśnica — Aniela Steinsbergowa.

Co najbardziej uderza w artykułach i felietonach z okresu stalinizmu — to język. Kisielewski stara się używać jak najmniej politycznego żargonu i danina, którą splota obowiązującej terminologii jest nikła. Tam zaś, gdzie przymuszony, używa „wyrazów” a nawet całych „wiązanek”, dba o ich definicyjną precyzję, oddając nadgorliwym partaczom chyba nielada przysługę.

Tyle i znacznie więcej. Z czystym sumieniem polecam czytelnikowi tę „lamusową” książkę, napisaną językiem, który w żadnym czasie nie tracił godności, humoru i precyzji. *Z literackiego lamusa* jest lekturą krzepiącą, tak jak krzepiąca, podnosząca na duchu jest osoba autora tej książki. Wolny, prowokujący duch. Kisielewski swoją postawą i stylem intelektualnej aktywności przypomina Słonimskiego i Gombrowicza. Życzę Panu, z którym przez tyle lat mijałam się na ulicy Krupniczej w Krakowie, dużo zdrowia i sił.

Janina KATZ HEWETSON

Polonez anty-Wieniawskiego

W zeszłym roku wydawnictwo Kirgizstan w egzotycznym Frunze wydało powieść pod tytułem *Polonez Wieniawskiego*. Autor, Gennadij Petruchin, jest wschodzącą gwiazdą literatury sowieckiej Kirgizji. Urodzony w 1932 r., ukończył studia na Kazachskim Państwowym Uniwersytecie i przez długie lata pracował jako dziennikarz oraz „znajdował się na partyjnej robocie”. Powołanie do literatury pięknej poczuł dość późno, bo dopiero w roku 1977 zadebiutował, w tymże Kirgizstanie, zbiorem opowiadań *Razdumje* i od czasu do czasu występuje w lokalnym dwumiesięczniku *Literaturnyj Kirgizstan*.

Notka wydawcy informuje, że *Polonez* „opowiada o losach tysięcy polskich obywateli rzuconych burzą drugiej wojny światowej do Kirgizji”, oraz że „autor na kanwie bogatego materiału z życia pokazał rozwój socjalno-politycznej działalności i narodowej samowiedzy tych ludzi”.

Zainteresowanie tematem w tak odległym kraju oczywiście nas nie dziwi. Jego starsi mieszkańcy pamiętają jeszcze nasz tam pobyt, a wszyscy chyba ocierają się o kilka pokoleń osiadłych tam chcąc nie chcąc Polaków, toteż nie od rzeczy jest pouczyć ich, a przy okazji i nas, jak to się wszystko zaczęło. A dla tych, którzy mieli szczęście „schronić się” tam przed burzą,

rzecz jest podwójnie frapująca, choćby ze względu na zagęszczenie realiów i nastrojów, wśród których tow. Gennadij porusza się ze zdumiewającą pewnością siebie.

Książka zaczyna się prologiem charakteryzującym żywioł napędowy reakcyjnej polityki polskiej w ZSSR: ambasadora Kota, który w ostatni dzień roku 1941 w Kujbyszewie raduje się, że właśnie udało się wydrzeć Rosjanom pożyczkę 100 mln. rubli na pomoc dla Polaków i wspomina niedawny pobyt gen. Sikorskiego w Moskwie: „Stalin... widzi na wskroś każdą twoją myśl. Wbija wzrok w Sikorskiego i polski premier zaczyna się tłumaczyć jak dzieciak, że nigdy nie prowadził ani nie pochwalał antysowieckiej polityki. Na to gen. Anders rzuca się z odsieczą:

— Chcemy się bić o niepodległość Polski tu, na kontynencie”.

Rozważając takie-to rzeczy, i że naprawdę, to politykę robi on sam, a nie „dwaj Władysławowie”, Kot rzuca szoferowi:

„— Jazda do jublera!

— Pan poseł nie jedzie do pracy? — uniżenie spytał szofer.

— Nie twój psi interes — Kot nagle się zezłościł — robić co każą!

... Pan poseł kochał drogie kamienie, studiować ich wielobarwne błyski było dlań wyższą rozkoszą, a przy okazji starał się skupować brylanty”. (Których, jak wiadomo, u kujbyszewskich jubilerów A.D. 1941 było *skoľko ugodno*).

Oto tło, pora przejść do właściwego zagadnienia, a mianowicie przemiany duchowej szarych Polaków. Na początek nie od rzeczy będzie objaśnić, skąd się tam w ogóle wzięli. A więc, jak powiada dyrektor kołchozu Esaulow: „My niewinni, że Polska przegrała wojnę ze swym byłym sprzymierzeńcem. U nas dość swoich kłopotów — jest wojna”. Tak poucza antypatycznego pułkownika, piłsudczyka Obłozę, dowódcę „grupy ludzi, którą dwa lata temu zebrano z resztek polskiej armii, rozbitej w koszmarnym wrześniu i cofającej się na wschód, i dla wygody władz nazwano pułkiem. Pułk, o liczebności mniejszej od batalionu, przez jakiś czas rąbał las, aż po nawiązaniu stosunków między rządem sowieckim i emigranckim polskim — amnestii Sikorskiego, jak to przezwali internowani polscy żołnierze — został załadowany na eszelon i wysłany na południe”. Jak zaś doszło do „internowania” opowiada chłop, Michał Czyż: we wrześniu jego oddział posłano na odsiecz Warszawie, ale nim dotarł zajęli ją Niemcy, więc rozkazano cofać się na wschód. W jakimś lesie oddział Czyża natknął się na sowiecką jednostkę i zdecydował oddać się do niewoli, ale Rosjanie nie zarefleksowali na okazję, aż nadjechał oficer i zlitował się nad Polakami, kazał zabrać im broń i wziąć do niewoli. A co do cywilów, to — jak rodzina Czyża — uciekli przed faszystami do ZSSR.

Tak wyglądają kandydaci do zdobycia narodowej samowiedzy, co ma nastąpić w kołchoznej wsi Prigornoje w głębokiej Kirgizji. Pod dowództwem Obłozy i porucznika Przesmyckiego,

typowego polskiego pana, pułk przybywa do kołchozu, do którego Obłóza wjeżdża na taczance i z miejsca daje się poznać z najgorszej strony: za nic ma „wojenne kłopoty kraju, który do niedawna uważał za wrogi”, a na dodatek ma angielski szynel. Grymasi na prowiant przyznany przez kołchoz (na człowieka „400 g chleba, 150 g kartofli, 100 g mąki i 50 g mięsa na dobę, wszystko to bezpłatnie” i bez obowiązku pracy) i oświadcza że „u nas w Polsce było mieszkało lepiej”. Na propozycję pracy w kołchozie ogarnia go furia: „mało że w naszej Polsce chcą stworzyć kołchozy, to i tu chcą nas eksploatować!” i przed odjazdem do sztabu we Frunze nakazuje Przesmyckiemu: „żadnej współpracy z bolszewikami! Żądajcie, żądajcie wszystkiego co wam przyjdzie do głowy. Nie zważajcie co mają, a czego nie — wasza rzecz żądać. Nawet jeśli nie będzie czego żądać — wynajdźcie, nie dawajcie im spokoju. O wszystkim zgłaszajcie do naszego sztabu w tym jakimś Frunze, my ze swej strony połaskoczemy ich w żebra”.

Z polskiej masy wyróżniają się cztery osobistości: łódzki ślusarz-komunista Górnicki, którego wybuch wojny zastał za kratkami w Rawiczu i stąd on jeden jest uświadomiony („Tylko rosyjska rewolucja dała Polsce wolność... Nie, nie siedziałem w więzieniu polskim, a w waszym, sanacyjnym, do którego staraliście się zamknąć wszystkich prawdziwych patriotów, żeby wam łatwiej przyszło dogadać się z Hitlerem!”), bezrolny biedniak Czyż (który o swej żonie mówi „pani Elżbieta”), poetyczny student Wróblewski oraz nauczyciel historii Lewicki, komentujący teraźniejszość z perspektywy Dziejów („Czy pamiętasz tytuły króla Stanisława Augusta? ... Przypomnę ci: Stanisław August, z Bożej łaski i woli narodu król polski, wielki książę litewski, ruski... smoleński... Więc kto kogo uciskał?”). Ci trzej pod duchowym przewodem Górnickiego i partyjnego sekretarza kołchozu Mambetowa wkroczą na właściwą drogę, a na razie są życzliwi wobec ZSSR, nawiązują przyjazne kontakty z otoczeniem i wstydzą się być ciężarem dla kołchozu. Wbrew wrzaskom Przesmyckiego Czyż uruchamia szewską pracownię, a Górnicki kuźnię, inni też biorą się do różnych robót, jako że wojna i w kołchozie same baby. Amor też nie próżnuje: Wróblewski dąży za dźwiękami poloneza Wieniawskiego, który z płyty *made in USSR* puszcza w swej chacie młoda Kirgizka, a Lewicki podrywa cnotliwą wdowę Annę. Wszyscy zaś debatują: iść do Andersa, czy nie, bo do Polski chcą najkrótszą drogą. Nie chcą czytać *Dziennika polskiego* z Londynu, bo taki „pełen mglistych wypowiedzi, że trudno z tego wyciągnąć jakąś informację” i prawdy szukają w *Prawdzie*, która akurat ogłasza mowę Wandy Wasilewskiej. Lewicki rozpoznaje ją z fotografii: „te same delikatne, regularne rysy uduchowionej uczuciem twarzy, tylko fryzura nie ta — surowa, prawie męska”. Wreszcie przyjeżdża kapitan rekrutować do armii Andersa („kapitan skrzywił się z obrzydzeniem patrząc na ich prycze, wyciągnął z kieszeni śnież-

nobiałą chusteczkę i przycisnął do nosa”), deklamuje o piastowskim orle i że *dulce et decorum*, ale zgłasza się tylko trzydziestu i na nic groźby, że opornych nie wpuści się do Polski. A Anders potrzebuje ludzi: „ty mu potrzebny, bo jak rozpierzchniecie się po różnych frontach, to on zostanie goły i nie da rady robić polityki... Cemu on nie wojuje? Ma już przecież kilka wyszkolonych dywizji”. Po duchowej walce Wróblewski wstępuje jednak do wojska, za nim do Frunze podąża Lewicki, ale w ostatniej chwili ratuje go zbieg wypadków: oficer spotkany na ul. Stalina (gdzie rezyduje polski sztab) patrzy z obrzydzeniem na jego podniszczoną odzież, na bazarze ordynans Przesmyckiego, Kensek (który pobił był na rozkaz swego pana Górnickiego) handluje słoniną, którą kołchoz wydaje dla Polaków, ale Przesmycki trzyma ją pod kluczem, a spotkany niespodzianie stary przyjaciel, teraz żołnierz Andersa, informuje Lewickiego o istnieniu ciekawego pisma *Nowe widnokreśli* oraz o tym, że z powodu swych poglądów jest śledzony i że takim jak on zdarzają się „nieszczęśliwe wypadki”. Ledwo rzekł, a tu polska ciężarówka wojskowa specjalnie zbacza z kursu by go rozpląszczyć. Teraz już Lewicki do końca pojmuje podłość polskich wielkomocarstwowców i ożonowców. Wraca do kołchozu, wpędza Annę w stan błogosławiony i robi w polu aż huczy, Czyż także ciesząc się, że to nie na pańskim, a i inni, otoczeni miłością kołchoźników, starają się jak mogą. Przesmycki traci władzę nad ludźmi, nie odważa się zwracać do nich, jak za dobrych czasów, per było i znika do Frunze. Masa chce innej, prawdziwej Polski i pochłania *Nowe widnokreśli*, a w międzyczasie Anders ucieka z wojskiem do Iranu („Niemcy podeszli pod Stalingrad, więc generał pewno zdecydował, że zostać tu niebezpiecznie”), ale nie udaje mu się porwać Wróblewskiego, który z samego Krasnowodsk wraca do ukochanego kołchozu: „uciekłem od Andersa, bo on nienawidzi czerwonej gwiazdy bardziej od swastyki”. Masa postanawia napisać do *Widnokręgów* z błaganiem, by rząd sowiecki raz jeszcze uwierzył Polakom i stworzył tym razem prawdziwe, polskie wojsko, mimo że „nasi rządzący wiele już razy zawiedli rosyjskie nadzieje”.

Nadchodzi piękna wiosna 1943, Wanda o subtelnych obliczach ogłasza przez radio o zerwaniu stosunków z londyńską reakcją i o rekrutacji pod sztandary Kościuszki. Tym razem „pułk” rusza jak jeden mąż na zew Ojczyzny, żegnany z żalem przez kołchoźników, którzy doskonale rozumieją sytuację i nawet Anna nie zgłasza pretensji.

Żeby realizm był całkowity, tow. Gennadij upstrzył swe dzieło laską łaciną (*dulce et decorum, festina lente, nulla dies sine etc.* etc.), a artysta K. Sucharewski dorzucił ilustracje, na których Polacy występują w przepisowych rogatywkach i owijaczach. Kto bredzi o szmatach, fufajkach i bucikach z opon samochodowych?

OFICyna STANISŁAWA GLIWY

Wspaniałą tradycję Oficyny Florenckiej Samuela Tyszkiewicza kontynuuje Stanisław Gliwa. Oficyna jego imienia mieści się w podmiejskiej dzielnicy Londynu New Eltham. Jednorodzinny dom jest jednocześnie warsztatem pracy. Z tej to Oficyny wychodzą w nieregularnych odstępach czasu okazy bibliofilskie: druki w wielce ograniczonej ilości egzemplarzy, składane i odbijane ręcznie, z linorytami Gliwy. Oryginalne litery i przerywniki Gliwy i odpowiednio dobrany papier składają się na całość takiego dzieła. Jak dotychczas bibliografia Oficyny Gliwy wymienia 38 pozycji zwartych. Obok nich Gliwa wykonał szereg druków okolicznościowych, dyplomów, zaproszeń, katalogów itp. Oficyna Stanisława Gliwy należy do najlepszych drukarni prywatnych.

W czasopiśmie bibliofilów *The Private Library* (vol. 2 : 1, 1979) ukazał się artykuł R. T. Riska o pracach Gliwy, ilustrowany zdjęciami pp. Gliwów, ich warsztatu, wybranymi stronami i linorytami z wydanych książek. Autor ocenia publikacje oficyny niezwykle wysoko, wskazuje iż ukazały się pozycje w różnych językach. Tytułową stronę wspomnianego numeru *The Private Library* zdobi znak graficzny oficyny.

Times Literary Supplement w numerze z 4 stycznia 1980 roku zamieścił linoryt Gliwy wraz z notatką o ukazaniu się w *The Private Library* artykułu o pracach tego artysty.

Basilisk Press & Bookshop w Londynie w katalogu książek bibliofilskich na 1980 r. utrzymuje m.in., że „grafiki [Gliwy] są tak wyraziste, że przełamują wszelkie bariery językowe”.

Nadesłane nowości wydawnicze

PIATROUSKI (Jan). *Starożytna grecka klasika* (u meżach nasza-je supolności). Str. 27 i 1 nlb. (Wyd. Byelorussian Charitable Educational Fund, Inc., Gainesville, Fla., 1979; donation \$ US 3,00).

BAHDANOVIĆ (Maksim). *Wianok paetycznej spadczyny*. Pod redakcją Ant. Adamowicza i St. Stankiewicza. Str. 271 i 25 nlb. (Wyd. Bačkauszczyzna, New York-Munich, 1960).

KUPAŁA (Janka). *Spadczyna — wybar paezii*. Redakcja, opracowanie i przedmowa St. Stankiewicza. Str. LXVI + 497 i 1 nlb. (Wyd. „Bačkauszczyzna”, New York - Munich, 1955).

TEPLIC (Karol). *Kjerkegor*. Przełożył z polskiego Petar Vujičić. Str. 169 i 3 nlb. (Wyd. Grafos, Beograd, 1980).

KOSDOWSKI (Zenon). *Kad je sunce było bog*. Przełożył z polskiego oryginału „Kiedy słońce było bokiem” Petar Vujičić. Str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Srbska Književna Zadruga, Beograd, 1979).

Czas na perehliad i czas na zminy. Materiały VII-go zjazdu URDP i piślajzjadowo obhoworennia aktualnych pytań Ukrainśkoho Rewolucyjno-Demokratyčnogo Ruchu. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. CK URDP, „Naszi pozyciji” zbirnyk cz. 31, Nowyj-Ulm, 1979).

BAHRIANYJ (Ivan P.). *„Tak trymaty!”* — Informacji Centralnego Komitetu URDP. Str. 16. (Wyd. CK URDP i Krajowy Komitet URDP w Niemczechy i Awstrii, rik: II, Siceń 1979 roku, cz. 7; Łystopad 1979 roku, cz. 10).

TARNIEWSKI (Marek). *Niezależność i demokracja*. Str. 30 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1980).

SCHLANG (Fabian). *Morituri*. Dramat w trzech aktach. Str. 106. (Wyd. nakładem autora, Tel Aviv, 1980).

MACKIEWICZ (Józef). *Nie trzeba głośno mówić*. Powieść. Str. 559. (Wyd. Kontra, Londyn, 1980).

GARLIŃSKI (Józef). *Enigma. Tajemnica drugiej wojny światowej*. Str. 225 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1980).

SAWULAK (Mikołaj). *Polskie zmartwienia*. Str. 23 i 3 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1980).

FALLENBUCHL (Zbigniew Marian). *Polityka gospodarcza PRL*. Str. 23 i 3 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1980).

KACZOROWSKI (Stefan). *Historia, działalność i tradycje „Odrodzenia”*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Zeszyty chrześcijańsko-społeczne, zeszyt 2, Londyn, 1980).

BRAUN (Jerzy). *Prometej — Adam*. Wybór wierszy. Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1980).

PASIERB (Janusz St.). *Things Ultimate and other poems — Rzeczy ostatnie i inne wiersze*. Wydanie dwujęzyczne, tłum. Charles Lambert. Str. 100. (Wyd. Poets' and Painters' Press, London, 1980).

PANKOWSKI (Marian). *Rudolf*. Str. 88 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1980).

Niepodległość. Czasopismo poświęcone najnowszemu dziejom Polski. Tom XIII (po wznowieniu). Str. 240. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork - Londyn, 1980).

ŁAKOCIŃSKI (Zygmunt). *Polonica Svecana artistica*. Str. 156. (Wyd. Ossolineum PAN, seria

„Źródła do dziejów sztuki polskiej”, tom XVII, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk, 1979, cena zł 85).

VINCENZ (Stanisław). *Z perspektywy podróży*. Str. 413 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków, 1980, cena zł 120).

BORKOWSKA (Małgorzata OSB). *Mniszki*. Str. 193 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków, 1980, cena zł 68).

MAZUR (Zbigniew). *Pakt czterech*. Str. 315 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1979, cena zł 75).

WOLF-POWĘSKA (Anna). *Doktryna geopolityki w Niemczech*. Str. 303 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1979, cena zł 75).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Sztuczne oddychanie*. Wydanie drugie, poprawione. Ilustr. Dorota Martini. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Krakowska Oficyna Studentów).

DÜRENMATT (Friedrich). *Upadek*. Przedruk z Książnicy Konfrontace Helvetia. Przełożył z oryginału Stanisław Andrzej Owianko. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Krakowska Oficyna Studentów, Kraków, 1980).

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Polskie państwo podziemne 1939-1945*. Str. 35. (Zeszyt Towarzystwa Kursów Naukowych, wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1980, cena zł 20).

MALIŃSKI (Mieczysław, ks.). *Cały dla Ciebie — Jan Paweł II*. Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paris, 1980).

Res Publica, Nr 2, 1979. Kwartalnik wydawany w Polsce poza cenzurą. (Wyd. na Zachodzie nakładem Aneksu, str. 110 i 2 nlb.).

Jakie korzyści daje polska szkoła Twojemu dziecku? Broszura. (Wyd. Polska szkoła im. T. Kościuszki w Londynie na Ealingu).

BLOOMFIELD (John). *Politics and the Czechoslovak Working Class 1945-1948*. Str. 290 i 2 nlb. (Wyd. Allison and Busby, London, 1980, cena £ 3.95).

Worker's Councils in Czechoslovakia 1968-9. Documents and essays. Wydał i przedmową opatrzył Vladimír Fišera. Str. 200. (Wyd. Allison and Busby, London, cena £ 3.95).

WANDYCZ (Piotr S.). *The United States and Poland.* Str. 465 i 5 nlb. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge MASS i London, 1980).

STANKIEWICZ (W. J.). *Approaches to Democracy. Philosophy of Government and the Close of the Twentieth Century.* Str. 276. (Wyd. Edward Arnold, London).

MOSTWIN (Danuta). *Social Dimension of Family Treatment.* Str. 245. (Wyd. National Association of Social Workers, Washington).

SWAN (Oscar). *A Concise Grammar of Polish.* Str. 87 i 5 nlb. (Wyd. Orbis Books, London, 1980).

Paulownia Leaf. *Modern Korean Literature.* Str. 177 i 1 nlb. (Wyd. The Korean Culture and Arts Foundation, Seoul, Korea).

The Katyn Forest Massacre, 1940-1980. Str. 22 i 2 nlb. (Wyd. Committee of 40-th Anniversary of Katyn Massacre, Connecticut, 1980).

DRZEWIENIECKI (Walter M.). *Poles in America: Yesterday and Today.* Str. 23. (Wyd. The Polish Cultural Foundation, Buffalo - New York, 1980).

WYRWA (Tadeusz). *Politique et religion en Pologne au temps de la Réforme.* Nadbitka z *Revue Historique* nr 533, styczeń - marzec 1980, Paris, str. 21.

LENZ (Siegfried). *Gesprächte mit Manès Sperber und Leszek Kołakowski.* Wydał i przedmową opatrzył Alfred Mensak. Str. 127. (Wyd. Hoffmann und Campe, Hamburg, 1980).

GSEO outprints 3. *Spotkania (Incontri).* Antologia di una rivista „clandestina”. Str. 96. (Dwumiesięcznik wyd. przez centro studi Europa orientale, Bologna).

KORASZEWSKI (Andrzej). *Ett folk mord med tredubbel vinst.* Broszura o zbrodni katyńskiej, liczne fotografie. Opracowanie graficzne Elżbieta Jasińska, opracowanie techniczne Wojtek Jasiński. (Wyd. Östeuropa och Vi, Szwecja, cena kr. 4).

VENCLOVA (Tomas). *Balsai. Iŝ Pasaulinŝs Poezijos.* Str. 200. (Wyd. Ateitis Literaturos Fondas, 1979, cena \$ US 6.00).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-5-80

173-cia Konferencja Episkopatu Polskiego m.in. uchwaliła: „Wspólny wysiłek całego społeczeństwa w kierunku przezwyciężenia istniejących niedomogów będzie skuteczny, gdy powstanie klimat spokoju, zaufania i dialogu. Jednym z ważnych czynników tego klimatu jest rzeczywista, a nie tylko formalna praworządność i poszanowanie praw obywatelskich we wszystkich dziedzinach życia indywidualnego i społecznego. Niepokojem muszą napawać nasilone ostatnio fakty represji. Te fakty stwarzają nowe napięcia społeczne. Konferencja Episkopatu ponawia postulat — w imię spokoju wewnętrznego — aby nikt nie był represjonowany i nie obawiał się represji za odmienną poglądów czy podejmowanie społecznie pożytecznych inicjatyw. Nie można dopuścić do sytuacji, która stwarzałaby przekonanie o istnieniu w Polsce więźniów politycznych. Kościół popiera rozsądne wysiłki, które dążą do ukazania młodemu pokoleniu Polaków pełnego dziedzictwa przodków, do ukazania niezafałszowanej i pełnej historii Narodu, kultury i wytworów ducha ludzkiego.

14-5-80

Uczestnicy głódówki w kościele w Podkowie Leśnej wystosowali list do Amnesty International, apelując o interwencję w sprawie Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, skazanych w 1972 roku za wysadzenie auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu na 25 lat więzienia. Ponadto wysłano list otwarty do Dariusza Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego, którzy od 4. 5. br. prowadzą strajk głodowy w Gdańsku, jako protest przeciwko bezprawnemu uwięzieniu spowodowanemu wygłoszeniem przemówień na manifestacji ludności Trójmiasta w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. ■ Linie lotnicze „Lot” uruchomiją regularne bezpośrednie połączenie Warszawa-Manchester. Ponadto rozpoczęto regularną komunikację kolejową pasażerską na trasie Leningrad-Warszawa. Trasa pociągów przebiega przez Wilno i Białystok. ■ *Życie Gospodarcze* informuje, że celem eksploatacji suwalskich złóż rudy żelaza podpisano umowę kredytową z zachodnioniemieckim konsorcjum bankowym, któremu przewodzi Dresdener Bank. Spłatę zaciągniętego kredytu zapewnić mają wpływy uzyskane ze sprzedaży koncentratów tytanu i wanadu, metali występujących na Suwalszczyźnie jako domieszka rudy magnetytowej.

15-5-80

Nagrodę miesięcznika *Literatura na Świecie* za najlepszy przekład na język polski otrzymał Ziemowit Fedecki za przekład powieści Jurija Trifonowa pt. „Dom nad rzeką Moskwą”. ■ Z przeprowadzonych ostatnio w PRL analiz wynika, że jedynie 1/3 istniejących instytutów i ośrodków naukowych osiąga dobre rezultaty, 20 % — złe, a reszta mieści się w normie przeciętności. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 62 lat Przemysław Ogrodziński, wieloletni dyrektor generalny MSZ. ■ Dyplomy ministra Spraw Zagranicznych PRL za propagowanie kultury polskiej za granicą otrzymali: Jan Krenz, dyrygent, kierownik muzyczny opery w Bonn; Daniel Olbrychski, aktor; prof. Jan Zachwatowicz, konserwator zabytków, oraz Czesław Świątoniowski, kierownik wojewódzkiego domu kultury w Rzeszowie. ■ W instytucie badań polonijnych uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie powołano do życia *podyplomowe roczne studium w zakresie problematyki polonijnej*. Program zajęć przewiduje m.in. wykłady z historii i procesów

emigracyjnych z ziem polskich, rozmieszczenia przestrzennego Polonii w świecie, zagadnień emigracji i reemigracji we współczesnym prawie polskim, problemu więzi pomiędzy Polonią i starym krajem.

20-5-80

Konkurs chopinowski w Warszawie odbędzie się w tym roku w październiku. Jak dotąd zgłosiło się 190 młodych pianistów.

21-5-80

Józef Tejchma został mianowany ambasadorem PRL w Szwajcarii, a Franciszek Adamkiewicz ambasadorem w Austrii. ■ W Warszawie powstało Towarzystwo Polska-Kanada. Organizacja zamierza prowadzić działalność na rzecz upowszechniania wiedzy o Kanadzie w Polsce oraz współpracy między obu krajami, a także nawiązać kontakty z istniejącymi w Kanadzie towarzystwami kanadyjsko-polskimi. Prezesem towarzystwa został rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Zygmunt Rybicki.

3-6-80

Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat Wacław Wagner, redaktor. W okresie dwudziestolecia pracował w PAT, po wojnie w *Kurjerze Polskim* w Warszawie.

7-6-80

W Warszawie zmarł w wieku 73 lat marszałek Marian Spychalski. Bliski współpracownik Gomułki, był ministrem Obrony Narodowej po Rokossowskim, oraz przez dwa lata przewodniczącym Rady Państwa; usunięty z tego stanowiska na rzecz Józefa Cyrankiewicza. Siedział w więzieniu od 1950 do 1956 r. O tym uwięzieniu nie wspomina w nekrologach prasa PRL. ■ *New York Times* podaje, że po zapowiedzianym przez Breżniewa wycofaniu z Niemiec wschodnich 20.000 żołnierzy i 1.000 czołgów wzmocniono jednocześnie garnizony sowieckie w PRL i Czechosłowacji o 30.000 żołnierzy, 1.200 czołgów i opancerzonych transportowców i o 1.000 dział.

8-6-80

Niedobory papieru spowodowały, że podniesiono ceny pism tygodniowych, zmniejszono ich objętość, a niektóre z nich (jak np. *Stolica*) będą się ukazywały dwa razy w miesiącu; wszystkie dzienniki z wyjątkiem *Trybuny Ludu*, *Życia Warszawy* i *Żołnierza Wolności* ukazywać się będą tylko pięć razy w tygodniu. Przewidziane są również drastyczne ograniczenia w dziedzinie wydawniczej. W sklepach zaczyna brakować kopert, papieru listowego i materiałów kancelaryjnych. ■ Wilno zalane jest mieszkańcami Moskwy, wysiedlonymi na okres Olimpiady. Umieszczono ich w świeżo wybudowanej dzielnicy mieszkaniowej. Jednocześnie ogromnie wzrosła ilość wypadków kryminalnych, gdyż wśród przesiedleńców jest duży procent przestępców. Ludność Wilna obawia się że przesiedleńcy pozostaną, pogłębiając rusyfikację miasta. ■ Ma się ukazać nowy przekład Koranu na język polski, opracowany przez prof. Józefa Bielawskiego z Instytutu Orientalistycznego UW. Pierwszy przekład polski Koranu ukazał się w 1858 roku.

ZACHÓD — EMIGRACJA

29-4-80

Laureatem inauguracyjnego konkursu chopinowskiego — „Nagroda Stefani Niekraszowej” — na najlepszego młodego pianistę w Wielkiej Brytanii został 27-letni Polak z Manchesteru, Paweł Skrzypek. Od 1979 roku studiuje on w Royal Northern College of Music u prof. R. Baksta w Manchesterze.

5-5-80

W sprawozdaniu z działalności Skarbu Narodowego w Londynie za rok 1979 podano, że p.o. prezesa Skarbu Narodowego została p. Maria C. Leśniakowa. a dyrektorem biura Głównej Komisji p. Kazimierz Trzeciak. W 1979 roku na Skarb Narodowy wpłynęła kwota £44.103.00, na Fundusz Wolności Słowa — £2.093.00, na Fundusz Pomocy — £2.377.00. W 1978 roku wpłaty na Skarb Narodowy wyniosły £43.684.00.

7-5-80

Polska Fundacja Kulturalna im. dr. Sylwestra Gruszki przyznała następujące dotacje: Komisja Oświatowa Polonii Australijskiej — \$100 na pomoc w wydaniu Poradnika Nauczycielskiego; Wyd. NOWA — \$100; p. J. H. Podstolski w Nowej Zelandii — \$50 (pomoc w pokryciu kosztów tłumaczenia na angielski książki Sygurma Wiśniowskiego „Dziesięć lat w Australii”); \$100 Polish Community in NSW TV and Radio Board (pomoc w opłatach radiowych); \$100 — p. M. Szczepanowski w Adelaidzie (pomoc w utrzymaniu Archiwum Polonii Australijskiej); \$100 dla TKN; \$50 — Tow. Wiedzy o Polsce jako subwencję na zakup książek. Powiernicy Fundacji jednocześnie poinformowali, że Fundacja „ma zainwestowane zaledwie \$2.400”. I pomyśleć, że Polonia australijska jest emigracją zamożną.

11-5-80

Prezydent R.P. Edward Raczyński, przychylając się do prośby gen. dyw. Zygmunta Bohusza-Szysko, motywowanej wiekiem (87 lat) i chorobą, zwolnił go z funkcji Generalnego Inspektora Polskich Sił Zbrojnych i mianował na to stanowisko gen. dyw. Bronisława Ducha. Jednocześnie płk Jan Berek został ministrem Spraw Wojskowych, płk Franciszek Z. Szyszowski prezesem Najwyższej Izby Kontroli a ks. prałat Franciszek Jan Pluta delegatem rządu R.P. na terenie Kanady.

16-5-80

W sali POSK'u w Londynie gen. Petro Hryhorenko (Grigorenko) wygłosił odczyt na temat: „Walka o prawa narodów i człowieka pod dominacją sowiecką”. Witali go w imieniu Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, Instytutu Wschodniego „Reduta” i Tow. Polsko-Ukraińskiego płk K. Iranek Osmecki, mec. M. Chmielewski i K. Trębiecki. Przewodniczył przewodniczący ukraińskiego Komitetu przyjęcia Generała w Londynie p. K. Zełenko.

21-5-80

Zmarła w Londynie w wieku 82 lat Beata Obertyńska, znana poetka i pisarka.

23-5-80

W wyniku dwudniowych obrad mieszanej francusko-polskiej komisji gospodarczej Jean-François Deniau, francuski minister handlu zagranicznego, i M. Jagielski, polski wicepremier, zatwierdzili nową pięcioletnią umowę o współpracy na lata 1981-85 oraz umowę i plan pracy na dziesięć lat. Dokumenty te mają być podpisane podczas wizyty prezydenta Giscard d'Estaing w Polsce we wrześniu 1980 roku. W szczególności zdecydowano przedłużyć okres w którym Polska może dysponować trzema miliardami franków pozostałymi z „kredytu gierkowskiego”, udzielonego na zakup instalacji przemysłowych. Podniesiono również pułap kredytów udzielonych Polsce na zakup półfabrykatów we Francji do 600-700 milionów franków rocznie. Dorzucić je należy do kredytu finansowego w wysokości 1 miliarda 200 milionów franków niedawno udzielonego Polsce przez Francję. Nie zmie-

nia to poważnych problemów jakie stawiają przed Polską dostawy siarki do Francji i ewentualny udział Francji w wydobywaniu siarki w Polsce. Kwestia ta jest tym istotniejsza, że francuskie zakupy miedzi, węgla i siarki stanowią 60 % francuskiego importu z Polski, więc tylko rozwój w tej dziedzinie może pozwolić na zrównoważenie bilansu wymiany gospodarczej między obu krajami. Ponieważ duże kontrakty na instalacje przemysłowe są w tej chwili ograniczone, rozwój eksportu francuskiego może dotyczyć sektorów uważanych w Polsce za priorytetowe, tzn. działów rolniczo-żywnościowego, metalurgii, chemii i włókiennictwa (sztuczne włókna).

25-5-80

W Brukseli odbył się VI Światowy Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego. Prezesem Rady Naczelnej pozostał Tadeusz Chciuk (Marek Celt), prezesem Stronnictwa — Stanisław Bańczyk, a sekretarzem — Hanna Choryńska.

29-5-80

Jury nagrody dla najbardziej niezależnego pisarza na emigracji, ufundowanej przez firmę paczkowo-podróżniczą Tazab w Londynie, przyznało tę nagrodę Józefowi Mackiewiczowi. Ostatnio wznowiono w Londynie, w wydawnictwie „Kontra”, jego książkę pt. „Nie trzeba głośno mówić”.

31-5-80

W Szwajcarii zmarł w wieku 74 lat Jacek Rudziński, ekonomista, współzałożyciel Europejskiej Komisji Ekonomicznej (ECE), b. wiceprezes C.U.P. w Polsce, wieloletni urzędnik ONZ.

8-6-80

W czasie dorocznego obchodu na cmentarzu wielkiej emigracji w Montmorency (Francja) została wmurowana tablica poświęcona ofiarom katyńskim. Okolicznościowe przemówienie wygłosił Józef Czapki.

11-6-80

Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało w domu Żołnierza Polskiego przy rue Légendre odczyt prof. dr. Włodzimierza Kubijowicza pt. „Encyklopedia ukrainoznawstwa i nauka ukraińska na Zachodzie”. ■ Francuski Pen-Club przyznał niedawno ustanowioną „Nagrodę wolności” Lidii Czukowskiej za książkę „Zapiski o Annie Achmatowej” oraz za bezkompromisową walkę o wolność słowa w ZSSR.

22-6-80

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów zorganizowało w Rapperswilu obchód 40-lecia przekroczenia granicy szwajcarskiej przez wojska polskie internowane w Szwajcarii. ■ Jednocześnie w Dieuse (Lotaryngia) odbyły się uroczystości dla uczczenia rocznicy walk 1 Dywizji Grenadierów w Lotaryngii.

27-6-80

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Czesława Miłosza.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W zakładach naukowych Orchard Lake powstało Centrum Papieża Jana Pawła II, jako placówka naukowo-badawcza. Zadaniem tego Centrum ma być gromadzenie wszelkich materiałów związanych z działalnością kardynała

Karola Wojtyły, a więc czasopism, książek, nagrań radiowych czy telewizyjnych, filmów itd. z przeszłości i teraźniejszości, utworzenie zbioru oryginalnych portretów Ojca Św., pocztówek, monet, medali i znaczków. Ma być zorganizowane archiwum, biblioteka i muzeum. Ma być także wydawany biuletyn w języku polskim i angielskim. Pomysł ten nie wydaje się nam poważny i mamy wrażenie, że Polonia amerykańska ma większe kłopoty.

■ Aleksander Jordan-Lutosławski został dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Miami. P. Lutosławski jest publicystą oraz tłumaczem literatury polskiej na język angielski. ■ Zmarła w Nowym Jorku w wieku lat 80 wybitna aktorka żydowska Ida Kamińska. Była ona od 1946 do 1967 roku dyrektorem Państwowego Teatru Żydowskiego w Polsce. W okresie międzywojennym występowała w Polsce w wielu sztukach żydowskich. ■ Komitet Wykonawczy Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich ukonstytuował się następująco: przewodniczący — Andrzej E. Ehrenkreutz, dwaj wiceprzewodniczący — Stanisław Bask-Mostwin i Jerzy A. Wojciechowski, sekretarz — Jan F. Morelewski, skarbnik — Fabian C. Polcyn, członkowie — W. H. Bniński, Jerzy J. Gonerko i Jan Nowak. W 1979 roku Studium rozesało około 123.333 stron komunikatów i materiałów do prasy polonijnej i anglosaskiej oraz kwartalnik *Studium News Abstracts*. Ponadto Studium zorganizowało następujące imprezy: Sympozjum pt. „Stosunki gospodarcze między PRL-em i Zachodem”, 30. V. 1979 w Kalamazoo. Odczyt P. Jeglińskiego pt. „Ruchy opozycyjne w Polsce”, 3. VII. 1979 w Ann Arbor. Sympozjum pt. „Poland in the Twentieth Century”, 27-28. X. 1979 w Waszyngtonie. Sympozjum pt. „Polemika między *Bratniakiem* i Jackiem Kuroniem”, 16. XI. 1979 w Chicago. Sympozjum pt. „Cultural trends in Poland and the role of the Church”, 15. IV. 1980 w Waszyngtonie. Odczyt T. Walendowskiego pt. „Opozycja w Polsce”, 1. III. 1980 w Waszyngtonie. Wystąpienie T. Walendowskiego przed Komisją Helsińską Senatu Stanów Zjednoczonych 25. III. 1980. Odczyt L. Tyrmanda pt. „Kościół i Wolność Słowa w Powojennej Polsce”, 29. III. 1980 w Chicago. Odczyt T. Szafara pt. „In the Shadow of Fraternal Guns”, 2. V. 1980 w Cincinnati, Ohio. Odczyt T. Szafara pt. „Ten Years After Gomulka”, 7. V. 1980 w New Britain, Conn. Tura odczytowa J. Garlińskiego z Londynu, w kwietniu 1980, w Michigan i Wisconsin. ■ 30. 4. br. zmarł w Los Angeles dr Otto E. Lauterbach, wybitny lekarz, filantrop i działacz społeczny, wielki przyjaciel Polonii kalifornijskiej. M.in. opiekował się on Markiem Hłasko w czasie jego pobytu w Stanach Zjednoczonych. ■ W Buffalo, w hallu Ratusza, została wmurowana brązowa tablica pamiątkowa dla uczczenia 40-tej rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Akcję tę zainicjował i przeprowadził Polsko-Amerykański Komitet Obywatelski, a przede wszystkim jego prezes, p. Karol Tomaszewski, przy współpracy ks. Władysława Kłosa oraz mjr. Skulskiego. ■ Uniwersytet w Harvard zaproponował objęcie katedry i literatury polskiej dr. Rolfowi Figuth. Jest to młody (37 lat) i mało znany niemiecki slawista, wykładający na jednym z uniwersytetów niemieckich. Zajmuje się głównie literaturą XIX-go wieku — specjalnie Mickiewiczem i Norwidem. Przypominamy kilka faktów: katedra jest finansowana przez Fundację Jurzykowskich, katedrę miał objąć po prof. W. Weintraubie, który przeszedł na emeryturę, Stanisław Barańczak, któremu władze PRL odmówiły wydania paszportu. ■ 13 kwietnia br. zmarł w Waszyngtonie Karol Burke, który przez 25 lat był reprezentantem Kongresu Polonii Amerykańskiej w Waszyngtonie. ■ W dniach 2-4 maja odbyła się w Cincinnati doroczna konferencja slawistyczna rejonu Midwest. Uczestniczyło w niej kilkuset naukowców z czołowych slawistycznych ośrodków badawczych USA. Tematyka polska prezentowana była w kilku sekcjach: „Polska 10 lat po upadku Gomułki” — przewodniczący Włodzimierz Rozenbaum (U.S. EEOC), referaty wygłosili: Tadeusz Szafar (Rus-

sian Research Center, Harvard University) — „Polska Polityka”, Rev. Charles Robertson (Russian & East European Institute, Indiana University) — „Kościół w Polsce”, Reed Smith (Wright State University) — „Kontekstowa analiza prasy polskiej”. Komentowali: Jerzy Krzyżanowski (Ohio State University) i Jacob Bielasiak (Indiana University). Innym ciekawym całkowicie polskim panelem był „Polski film w powojennej Polsce” pod kierownictwem Jerzego Krzyżanowskiego z udziałem m.in. Wojciecha Wierzewskiego, literaturoznawcy, socjologa filmowego z Uniwersytetu Warszawskiego. ■ Placówka 111 Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w New Britain, Connecticut, ufundowała pierwszy na terenie USA pomnik Katyński. Pomnik stanął na miejscowym cmentarzu polskim, jego odsłonięcie i poświęcenie nastąpiło 25 maja br. Dwujęzyczny napis na pomniku stwierdza dokonanie zbrodni przez Związek Sowiecki. Uroczyste odsłonięcie odbyło się w obecności stanowych władz amerykańskich i delegacji polonijnych organizacji z 5 okolicznych stanów. Upřednio Komitet 40-lecia zbrodni katyńskiej wydał w tymże New Britain anglojęzyczną 24-stronicową broszurę pt. „The Katyn Forest Massacre”, zaś Placówka 119 SWAP w pobliskim Hartford spowodowała odprawienie transmitowanej w telewizji Mszy św. za pomordowanych w Katyniu. ■ 21 maja br. w Waszyngtonie prof. Thomas E. Bird z Queens College w Nowym Jorku składał zeznania w Kongresie USA przed Komisją Bezpieczeństwa i Współpracy z Europą na temat sytuacji Polaków mieszkających w Związku Sowieckim. W skład komisji wchodzi: senatorowie George McGovern i Jacob Javits, przedstawiciele Jonathan Bingham i Millicent Fenwick.

KRONIKA SZWEDZKA

Nakładem Polskiej Akademii Nauk, wyd. Ossolineum we Wrocławiu ukazał się pierwszy tom Katalogu Polskich Zabytków Sztuki wywiezionych z Polski w czasie trzech wojen polsko-szwedzkich w wiekach XVII i XVIII, a które zachowały się do dnia dzisiejszego na terenie Szwecji tak w muzeach i kościołach jak i w prywatnym posiadaniu. Autorem tego pierwszego tomu serii pt. *Polonica Svecana Artistica* jest dr Zygmunt Łakociński z Uniwersytetu w Lund. Materiał przez niego zebrany jest owocem blisko półwiekowych poszukiwań i stanowi pierwszą próbę całościowego ujęcia tematu. Zdziwiająco niski jest nakład tego encyklopedycznego dzieła, które siłą rzeczy już od pierwszej chwili pełni rolę białego kruk. Wydano tylko 1.000 egzemplarzy. Niezbadane są tajniki polityki wydawniczej PRL. ■ Sąd w Malmö skazał byłą obywatelkę polską, oskarżoną o szpiegostwo i inwigilację polskiego środowiska emigracyjnego ale uznaną za psychicznie chorą — na przebywanie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Poza tym udowodniono jej i jej córce próbę przekupienia kierownika wydziału i sekretarza Państwowego Urzędu Imigracyjnego. Córka jej została skazana za udział w akcji wywiadowczej matki na 1½ miesiąca więzienia. ■ 28-letni obywatel polski A. Romański został skazany za próbę uprowadzenia Tomasa Philipsona, syna dyrektorki jednego z największych koncernów — uważanej za najbogatszą kobietę Szwecji — na 8 lat więzienia. Skazany do winy się nie przyznał, ale sądowi przedstawiono niezbitę dowody udziału skazanego w próbie porwania. Drugi wmieszany w sprawę Polak nie został ujęty i przebywa prawdopodobnie już poza granicami Szwecji. ■ Parlament szwedzki uchwalił nową ustawę imigracyjną, która wchodzi w życie dnia 1 lipca 1980 roku. Utrzymano w mocy większość paragrafów dotychczas obowiązującej ustawy. Za nowości należy uważać zasadę załatwiania zgody na osiedlenie się w Szwecji przed przyjazdem do tego kraju. Wyjątkiem

od zasady jest łączenie rodzin. Jednym z głównych powodów utrudniania osiedlania się w Szwecji jest chęć uniemożliwienia fikcyjnych małżeństw, a przynajmniej zmniejszenia ich do minimum. Policja będzie nadal mogła odmówić prawa wjazdu osobom powołującym się na prześladowania w kraju pochodzenia, o ile podane powody będą „jawnie nieprawdziwe”, natomiast nie będzie miała prawa odmówić wjazdu w wyżej wymienionej sytuacji bez zaciągnięcia opinii Urzędu Imigracyjnego. W tym celu w Urzędzie Imigracyjnym wprowadza się 24-godzinny dyżur dla utrzymywania stałego kontaktu z policją. Utrzymuje się w mocy wprowadzona stosunkowo niedawno zasada, że decyzja o wydaleniu cudzoziemca powzięta w drugiej instancji, tj. przez rząd, nie podlega odwołaniu. Prawo odwołania się od negatywnej decyzji rządu przysługuje według nowej ustawy tylko w zupełnie wyjątkowych wypadkach, tzn. gdy istnieją przeszkody natury politycznej w wykonaniu decyzji. Specjalna komisja ma zająć się problemem tzw. wydalania w trybie przyspieszonym. Pewne ulgi wprowadza się w wypadku wydalania cudzoziemców, którzy popełnili przestępstwa kryminalne: nie będzie można wydalić cudzoziemca, który odbył w Szwecji karę, o ile przebywał tu przynajmniej 5 lat. Nowa ustawa imigracyjna przyjęta została pozytywnie zarówno przez stronnictwa rządu koalicyjnego jak i przez socjaldemokratyczną opozycję. Stowarzyszenia studentów cudzoziemców w Szwecji zaprotestowały przeciw nowemu prawu, twierdząc, że nowa ustawa utrudni imigrację do Szwecji oraz że nie zezwala ona na przyjazdy żon, mężów i rodziców studiujących tu cudzoziemców, o ile ci nie mogą zapewnić im utrzymania. Przyjęcie nowej ustawy imigracyjnej zostało wykorzystane przez prasę i fałchowców w tej dziedzinie, a także przez przedstawicieli władz, do zwalczania szerzącej się ostatnio ksenofobii wobec emigrantów. Np.: „Szwecja zarabia na imigrantach. Bez nich podatki musiałyby być wyższe. Spowodowane to jest mniejszym stopniem wykorzystywania pomocy i opieki socjalnej ze strony imigrantów niż Szwedów” — twierdzi ekonomista Jan Edberg, który przeprowadził ostatnio źródłowe badania. „Szwed kosztował społecznie w roku 1976 — 4.850 kr, a imigrant tylko 3.200 kr. Jednym z powodów niższych wydatków socjalnych na przybyszów jest to, że większość z nich to ludzie młodzi. Moimi badaniami chciałem wykazać, że twierdzenie jakoby Szwecja przyjmowała emigrantów z dobroczynności — jest mitem. W rzeczywistości zarabiamy na cudzoziemcach”. ■ Piotr Grigorenko, były sowiecki generał a dziś dysydent, zaproszony do Sztokholmu przez Szwedzki Komitet Solidarności z Europą Wschodnią, wygłosił 27 maja publiczny odczyt. Wielka aula gimnazjum im. Wazy zapelniona była po brzegi. Publiczność składała się w większości ze Szwedów. Szczególnie owacyjne brawa otrzymywała pani Grigorenko za ostrą krytykę uczestniczenia w olimpiadzie w Moskwie. Pobyt małżonków Grigorenko w Sztokholmie odbił się szerokim echem w środkach masowego przekazu. ■ W związku z ukazaniem się na półkach księgarskich powieści Andrzeja Kuśniewicza „Król obojga Sycylii”, wyd. przez spółkę wydawniczą René Coeckelbergh, ukazały się w prasie szwedzkiej wywiady z jej autorem. Między innymi w rozmowie z przedstawicielem gazety *Svenska Dagbladet* na pytanie czego cenzura w Polsce absolutnie zakazuje Kuśniewicz odpowiedział, że najgorzej jest widziane „literackie ujęcie stosunków między Polską a Sowiecami”. ■ Dzięki inicjatywie magistra Andrzeja Koraszewskiego a nakładem czasopisma *Osteuropa och Vi* ukazała się najpierw w miniaturowej formie ilustrowana książeczka o Katyniu, wydana celem przeszywania do Polski. Obecnie Andrzej Koraszewski oraz redakcja *Osteuropa och Vi* wydali bogato ilustrowaną książeczkę o Katyniu w języku szwedzkim pt. „Ett folk mord med tredubbel vinst”. Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Lund zajęło się wysyłką broszury do wszystkich posłów Parlamentu szwedzkiego i redakcji większych dzienników i tygodników. Prawie połowa nakładu idzie bezpłatnie na cele infor-

macyjne, a koszta tej akcji pokrywane są wyłącznie ze skromnych zarobków członków TPK w Lund, przeważnie młodych i stosunkowo niedawnych uchodźców z kraju.

Akcja ta daje już rezultaty. Tak np. *Svenska Dagbladet* poświęciła w swoim niedzielnym dodatku (1 czerwca) prawie całą stronę tragedii katyńskiej. Ten bardzo poczytny zachowawczy dziennik szwedzki opatrzył reportaż tytułem „Katyń — słowo zakazane. Stalin osobiście dał rozkaz”. Pismo stwierdza w niepodpisanym redakcyjnym artykule, że „w Polsce jedynie wersja Stalina jest oficjalnie uznana. Na próżno by szukać w encyklopediach hasła Katyń”. Warszawski korespondent pisma opisuje manifestację i mszę żałobną na wojskowym cmentarzu warszawskim 13 kwietnia — w rocznicę Katynia — w których wzięło udział ponad 300 osób. Korespondent był obecny na cmentarzu i mógł stwierdzić, że SB urządziła potem łapankę na osoby opuszczające cmentarz. ■ Ukazał się nr 7-my kwartalnika *Östeuropa och Vi*, wydawanego w Lundzie przez Henryka Rubinsteina i grupę polskich intelektualistów. Zadaniem tego pisma jest informowanie opinii szwedzkiej o wydarzeniach w Europie środkowej i wschodniej ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji w Polsce. Ostatni numer zawiera m.in. raport Władysława Suleckiego o ciężkiej sytuacji w polskim górnictwie, artykuł Jana Szczepeńskiego o ruchu katolickim w Polsce, przegląd wydawnictw KSS „KOR” i ROPCio, a większą część tego numeru zajmuje bardzo szczegółowy i bogato ilustrowany artykuł Andrzeja Koraszewskiego o zbrodni katyńskiej. ■ Staraniem Federacji Uchodźstwa Polskiego, a szczególnie Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych w Szwecji, w podstołecznej miejscowości Nacka otwarto „Dom Polski”, w którym mieści się biblioteka, czytelnia i klub. ■ Z inicjatywy grupy młodych Polaków zawiązał się w Sztokholmie Komitet Solidarności z Wolnymi Związkami Zawodowymi w Polsce. Celem tego Komitetu jest poparcie walki robotników polskich o prawa związkowe oraz rozpowszechnianie w Szwecji informacji na ten temat.

Norbert ŻABA

NOTY

SAMOSPALENIE W GDYNI

31 maja *Głos Wyrzeża* doniósł, że 29 maja po południu na ulicy Sandomierskiej w Gdyni podpalił się mężczyzna, 47-letni Andrzej D.

Podano, że był on wielokrotnie leczony psychicznie, że przebywał w szpitalu w stanie ostrej schizofrenii, że ma manię samobójczą. Udało się ustalić, że jest to ekonomista lat 47, Andrzej Durkacz, że w dniu 1 czerwca zmarł w szpitalu Akademii Medycznej w Gdańsku, że do śmierci był zupełnie przytomny, lekarze, którzy przy nim byli stwierdzają, że zachowywał się nad podziw przytomnie, normalnie, jasno, że miał przy sobie list (który potem SB zabrała), którzy czytał książkę i jeden lekarz — w liście tym wyjaśniał dlaczego się podpala, przyczyny podane miały charakter jednoznacznie polityczny; pisał on, że robi to w proteście przeciwko panującemu i nasilającemu się bezprawiu, przeciw prześladowaniu religii i wierzących, dalej mówił o wolności słowa, sumienia, o tradycji i historii narodowej.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa, 6 czerwca 1980.

OŚWIADCZENIE

12 maja br. w katedrze św. Jana w Warszawie odprawiona została msza święta za duszę Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Wśród obecnych na mszy w kościele i pod katedrą rozdawano ulotki z fotografią otwartego grobu w lasu katyńskim opatrzoną podpisem następującej treści: „Jeden z olbrzymich grobów masowych. Sztucznie usypane wzgórze zwróciło uwagę świeżym zalesieniem i spowodowało rozpoczęcie poszukiwań. Już w trakcie pierwszych prac natrafiono na zwłoki w polskich mundurach. Oficerowie polscy, którzy znaleźli się w bolszewickiej niewoli padli ofiarą żydowskiej żądzy mordu. Leżą w mogile z pokreconymi ciałami, twarzą w dół”. Jest to zdjęcie i podpis z hitlerowskiej książki pt. „Katyń”, opatrzonej podpisem Andrzeja Ciesielskiego, opublikowanej w Warszawie w 1943 roku, str. 10. Inspiratorzy i organizatorzy tej akcji znieważyli pamięć tragicznej śmierci męczenników katyńskich i wykorzystali ją do szerzenia propagandy antysemitkiej przy pomocy hitlerowskiego tekstu. Antysemityzm jest tradycyjną bronią stosowaną kiedyś przez carską policję a następnie przez ustroje totalitarne. KSS „KOR” ostrzega przed uleganiem propagandzie antysemitkiej, ktokolwiek by się nią posługiwał. Przypominamy, że w roku 1968 aparat władzy, w tym służba bezpieczeństwa podjęły próbę wykorzystania antysemityzmu do walki z demokratycznym ruchem studentów i inteligencji. Analogiczne próby były nieraz podejmowane w walce z demokratyczną opozycją w ostatnich już 4 latach jej działalności. Przestrzegamy młodych kolporterów antysemitkich ulotek, których niewiedzę i łatwowierność wykorzystano, że stają się narzędziem tych samych sił, które dążą do zdławienia ruchu demokratycznego i niepodległościowego oraz do pohańbienia imienia Polski w świecie.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa, 13 czerwca 1980.

OŚWIADCZENIE

W dniu 12 czerwca sąd rejonowy w Warszawie skazał współpracowników Niezależnej Oficyny Wydawniczej Bogdana Grzesiaka i Mirosława Chojckiego na 1,5 roku więzienia z zawieszeniem na 3 lata i po 15 tys. złotych grzywny, a dwóch pracowników państwowej poligrafii, Jerzego Ciechomskiego i Wiesława Kunikowskiego, na 1 rok więzienia z zawieszeniem na 3 lata i po 10 tys. złotych grzywny, plus koszta sądowe w każdym przypadku. Sądzone ich pod pozorem przestępstwa przeciwko Mirosław Chojceki i Bogdan Grzesiak, oskarżono w procesie Niezależną Oficynę Wydawniczą i książki przez nią wydawane. Szczególnie godny potępienia jest fakt, że Służba Bezpieczeństwa przy pomocy gróźb i zastraszania wymusiła na drukarzach J. Ciechomskim i W. Kunikowskim uznanie się za winnych. Samo zawieszenie wykonania kar pozbawienia wolności jest zwycięstwem opinii publicznej. Wyrok skazujący jest skierowany przeciwko wolnemu słowu i myśli, przeciw kulturze, przeciw godności społeczeństwa. Miarą zwyrodnienia wymiaru sprawiedliwości jest sytuacja, w której wyrok skazujący przynosi zaszczyt skazanemu.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

POLSKIE WYDANIE „L'OSSERVATORE ROMANO”

Jak dowiadujemy się z polskich środowisk katolickich, drugi numer polskiej edycji *Osservatore Romano*, który ukazał się w maju, nie został dopuszczony do kraju (w przeciwieństwie do pierwszego, podwójnego). Pretensje władz PRL: numer zawiera relację o nadzwyczajnym synodzie biskupów ukraińskich, zwołanym w marcu bież. roku w Rzymie przez Jana Pawła II-go. Kwestia ukraińska i istnienie Kościoła Ukraińskiego obrządku grecko-katolickiego, zwanego w Polsce unickim, stanowią wciąż *tabu* w PRL. Nie podobał się jakoby również wywiad z bp. Majdańskim, wiceprzewodniczącym watykańskiej komisji d/s rodziny, oraz artykuł wstępny Jerzego Turowicza o znaczeniu apostołskich podróży papieża. Osobliwe te zarzuty i praktyczny zakaz rozpowszechniania w kraju polskiej edycji dziennika watykańskiego wskazuje na naciski wywierane przez Warszawę na Watykan. Sprawa debitu na tę polską edycję była podobno przedmiotem ostatnich rozmów przeprowadzonych w Warszawie przez abp. Luigi Pogiego z watykańskiej Rady d/s Publicznych Kościoła. Władze PRL, ingerując w treść tej edycji, pragną prawdopodobnie uzależnić swą zgodę na jej dopuszczenie do kraju od przyjęcia takich czy innych warunków. Byłoby dziwne, gdyby kompetentne czynniki Stolicy Apostolskiej uznały tę ingerencję za uzasadnioną.

REWELACJE „NOUVEL OBSERVATEUR”

W związku z wizytą Jana Pawła II we Francji redaktor *Nouvel Observateur* Jean Daniel wysuwa dość osobliwą hipotezę, że polski papież ułatwił podróży Giscarda do Warszawy, widocznie żeby „podtrzymać dialog z tymi którzy uciskają naród afgański”. Widocznie też — ciągnie Daniel — Jan Paweł II stosuje inną miarę do afgańskich a inną do polskich bojowników ruchu oporu.

Korespondencja z Włoch w tym samym numerze tygodnika paryskiego wyjaśnia skąd Daniel wziął swoją hipotezę. Dowiadujemy się mianowicie, że dużą rolę w utorowaniu Giscardowi drogi na spotkanie z Breżniewem w Warszawie odegrał Henryk Szablewski, minister pełnomocny do spraw stosunków ze Stolicą Apostolską przy ambasadzie PRL w Rzymie, prawdopodobnie na życzenie Jana Pawła II. Ta informacja, niezmiernie pochlebna dla aktywności ambasady PRL w Rzymie, przyrządzona została zapewne i puszczona w świat przez pomysłowych urzędników tejże ambasady.

Powstaje pytanie czy biuro prasowe Watykanu nie powinno w pewnych szczególnie jaskrawych wypadkach dezinformacji odstępować od zasady nie dementowania.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł „Zamordowana Książka” — autor Vigil — *Kultura* Nr 4, 1980 — jest dla mnie bardzo na czasie. Autor pisze: „Każda biblioteka ma obowiązek sprowadzenia książki, jeśli zażąda tego kilku czytelników. Droga zorganizowanej akcji można by także przełamać bojkot książki J. E. Kulskiego”.

W 1977 roku na dwóch spotkaniach z czołową osobistością Polonii Kanadyjskiej przedstawiłem zagadnienie: Akcja zakupu przez biblioteki publiczne i uniwersyteckie tłumaczeń na język angielski książek autorów polskich, oraz Polaków i obcych piszących w tym języku na nasze tematy. Zagadnienie to przedstawiłem także Zarządowi Polskich Bibliotekarzy w Kanadzie. Otrzymałem odpowiedź określającą projekt jako „doskonały”. Bibliotekarze ogłosili w swoim biuletynie kompilację mojego wykazu ze swoim posiadaniem i na tym się skończyło. Sprawa utknęła na martwym punkcie.

W 1979 roku „Akcję książek” podjęło „Studium Spraw Polskich” przez swoich członków. Organizacja obejmująca Stany i Kanadę. Jedną z niewielu, która akcję spraw polskich z wszelkich dziedzin pojmuję i prowadzi należycie.

W początkach tego roku ponowiłem starania w tym względzie. Zarządowi Bibliotekarzy przesłałem uzupełnioną bibliografię (130 pozycji). Została ona oceniona dodatnio, ale czy dalej coś poczną konkretnie, nie wiem. Z Londynu od osób działających z ramienia Rady Koordynacyjnej Polonii Światowej, którym też przesłałem wykazy, otrzymałem odpowiedź, że powezmą starania rozpoczęcia akcji książek wielojęzycznej, więc we wszystkich krajach naszego osiedlenia. W Kanadzie przedstawiłem, jak sobie wyobrażam wprowadzenie tej akcji w życie. Podobnie może być ona prowadzona we wszystkich krajach, gdzie istnieją nasze skupiska.

Tematyka książek w języku angielskim i innych jest różna. Akcja ta umożliwi nam propagandę na rzecz niepodległości, kultury i może częściowo chociaż usunie rozpowszechnione fałszywe co do zagłady Żydów i innych zagadnienia ostatniego 40-lecia, które tak często były i są przedstawiane w sposób daleki od prawdy.

Jak się jednak orientuję, aby w Kanadzie biblioteki publiczne pozytywnie się ustosunkowały do żądań zakupu książek powinniśmy z naszej strony zwiększyć ilość czytelników. Biblioteki prowadzą statystyki, Polacy są na szarym końcu pod względem ilości notowanych w bibliotekach!

Wydaje mi się, że łatwiej można tę akcję przeprowadzić na uniwersytetach i w „college”. Wykładowca Polak może zażądać zakupu danej książki.

Wykazy które mam, są to pozycje wynotowane z prasy polskiej, komunikatów „Studium” i Bibliotekarzy Polskich w Kanadzie. Nie jestem

fachowcem, jednak jak powyżej nadmieniałem Zarząd Bibliotekarzy ocenił bibliografię pozytywnie. Mogę dostać, jeśli kogoś te sprawy interesują. Wykazy są aktualne i powinny być na rynku wydawniczym.

Łączę wyrazy szacunku,

Henryk CZAJKOWSKI
200 Jackson St. West, Apt 2301
Hamilton Ontario, L8P 4R9 Canada

Lund, 17 czerwca 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Sztokholmskie *Wiadomości Polskie* poświęciły mojej osobie obszerny, ogłoszony w dwóch odcinkach w numerach z kwietnia i z maja br., artykuł pt.: „Perfidna gra”. Z artykułu tego można się dowiedzieć iż przyjechałem do Szwecji aby zmonopolizować działalność emigracyjną, a następnie hamować pracę niepodległościową.

Wiadomości Polskie przeżyły niedawno kolejną zmianę redaktora naczelnego i obecnie przedstawiają się jako emigracyjny organ KPN. Współpracownicy *Wiadomości Polskich* podchwycili przede wszystkim te wypowiedzi Leszka Moczulskiego i innych krajowych działaczy KPN, które wzywają do polaryzacji opozycji, a które wydają się być wyrazem głębokich frustracji.

Tu na Zachodzie frustracje emigracyjne nakładają się na frustracje krajowe, co w końcu przynosi efekty tragi-komiczne.

Charakter i poziom wypowiedzi w *Wiadomościach Polskich* nie pozostawia miejsca na jakąkolwiek dyskusję. Otwarty pozostaje natomiast problem analizy tego typu postaw i poglądów. Wydają się one być stałym składnikiem wszelkich prób odbudowy niezależnej, demokratycznej i niepodległościowej myśli politycznej w naszym społeczeństwie.

Tragizm losów naszej ojczyzny, spleciony z tragizmem losów jednostkowych, prowadzi często do dominacji zachowań frustracyjnych nad zachowaniami racjonalnymi.

Z poważaniem,

Andrzej KORASZEWSKI

Sztokholm, dnia 7 maja 1980 roku.

W.Pan Zygmunt Michałowski
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa
MONACHIUM

W związku ze zorganizowaną nagonką na Andrzeja Koraszewskiego, mającą na celu uniemożliwienie mu podjęcia pracy w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, pragniemy stwierdzić, że Andrzej Koraszewski, socjolog, dziennikarz, prezes Towarzystwa Przyjaciół Kultury (paryskiej) w Lund, członek szwedzkiej Grupy Kontaktowej z Opozycją Demokratyczną w Kraju — prowadzi od lat bardzo pożyteczną działalność społeczno-polityczną. Z inicjatywy w/w odbyło się na południu Szwecji wiele spotkań z wybitnymi Polakami, jak np. z prof. Wiktorem Sukiennikiem czy z członkiem KOR-u Haliną Mikołajską. Andrzej Koraszewski był współtwórcą, a często i inicjatorem, szeregu audycji szwedzkiego radia i telewizji omawiających sytuację polityczną w PRL oraz zawierających wywiady z czołowymi opozycjonistami z Kraju. Jako członek Grupy Kontaktowej, Andrzej Koraszewski pośredniczył częstokroć w przekazywaniu pomocy opozycjonistom w Pol-

sce (sprzęt, pieniądze) oraz w przejmowaniu pozacenuralnych wydawnictw krajowych i rozpowszechnianiu ich na zachodzie.

Andrzej Koraszewski jest atakowany imiennie w prasie reżymowej i w niektórych piśmiskach emigracyjnych. Pragniemy podkreślić, że jeśli chodzi o pisma powielane w Szwecji, to nie reprezentują one nawet części polskiej opinii publicznej w tym kraju: ani „anonimowy” Polak ani *Wiadomości Polskie* nie są głosem tej opinii.

Reprezentant
Polskiej Grupy Etnicznej
w Radzie d/s Emigracji przy
Rządzie Szwedzkim
Jakub ŚWIĘCICKI

Towarzystwo Przyjaciół Kultury
Ewa LIPKO-LIPCZYŃSKA,
w/z Prezesa

Grupa Kontaktowa z Opozycją
Demokratyczną w Kraju
Maria BOROWSKA

Polska Partia Socjalistyczna
w Szwecji
Aleksander ORŁOWSKI, Prezes

Wydawnictwa Jedność/Arka
Ludomir GARCZYŃSKI-GASSOW-
SKI, Redaktor

Federacja Uchodźstwa Polskiego
w Szwecji
Jerzy URBANSKI, Prezes

Do wiadomości: Redakcja Kultury.

Australia, Double Bay, 21 maja 1980.

Drogi Panie Redaktorze,

Przeczytawszy sprawozdanie z wycieczki do Chin profesora Elliotta (maj 1980), pragnąłbym zgłosić kilka uwag w sprawie niesprawiedliwego moim zdaniem potraktowania przez autora osoby dra Pierre Ryckmansa (Simon Leys).

Według profesora Elliotta słynna książka Leysa „Chińskie Cienie” jest „kwaśna i nieczuła”. „Unaocznia (ona) poglądowo ślepą łatwowierność powierzchownego turysty” itd.

Nie mogę dyskutować oceny indywidualnej, czy książka jest „kwaśnawa” czy słodka, czy jest czuła czy „nieczuła”. O książce tej można jedynie powiedzieć, iż miała nieprawdopodobny sukces w świecie i to nie wśród ludzi ślepych na niewolnictwo komunistyczne, ale przede wszystkim wśród takich, co z nim walczyli. Władze partii komunistycznej Chin zacytowały obszerny urywek tej książki w biuletynie rozsyłanym do kadr partyjnych jako miarodajną opinię Zachodu, z którą należy się liczyć.

Czytałem ją z wielkim wzruszeniem, albowiem ogień gniewu, który z niej przebiega, przypomina George Orwella. Byłem też bardzo dumny, gdy wielu większych ode mnie znawców literackich porównało autora z George Orwellem.

Co do osoby autora profesor Elliott popełnił wiele omyłek.

Pierre Ryckmans jest istotnie „historykiem sztuki”, ale specjalizowanym w historii sztuki i kultury chińskiej, co nie jest bynajmniej nieistotne w wypadku autora książki „Chińskie Cienie”. Nie był on nigdy turystą w Chinach, lecz był radcą kulturalnym Ambasady Belgijskiej w Pekinie. Książka napisana była po jego powrocie z placówki. Trudno więc nazwać autora „powierzchnowym turystą”. Obecnie dr Ryckmans wykłada chiński na Uniwersytecie Narodowym w Canberra (Australia). Odwiedza on też stale świeżych uciekinierów w Hong Kongu.

Simon Leys napisał ponadto dwie inne książki o dzisiejszych Chinach i wielką ilość obszernych artykułów i monografii. Analiza zawarta w tych książkach, pisanych za życia Mao, została dzisiaj z nawiązką potwierdzona w oficjalnych oświadczeniach reżymu i Partii Chińskiej. Tak więc dr Ryckmans, mimo tego, iż nie jest profesorem polityki w Pomona College, stał się ekspertem do spraw chińskich na skalę światową, a przy tym wielkim moralistą politycznym na miarę Orwella.

Zasylam miłe ukłony,

Ryszard KRYGIER

Chicago, 27 maja 1980.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kulturze* (maj 1980) jest art. Zespołu Problemowego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego pt. „O stosunkach z Niemcami”. W artykule tym jest mowa o pojednaniu polsko-niemieckim „na bazie wspólnie przyjętej wizji przyszłości. Wizja ta może w praktyce być tylko jedna i powinna sprowadzać się do zasady całkowitej otwartości obecnych granic przy wzajemnej normalnej migracji ludności i zabezpieczeniu wszystkich praw mniejszościowych”. Jestem zdumiony tego rodzaju sugestią. Wszak autorzy przyznają, że Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe orzekł, że Niemcy istnieją w granicach 1937, że Strauss i jego CSU, a także wielu działaczy CDU głoszą po prostu powrót do granic z 31 grudnia 1937 roku. Trzeba dodać, że to samo głoszą różni inni rewizjoniści i związki wysiedleńców.

Oświadczenie PPN przyjmuje, że nikt tego rodzaju planów politycznych nie traktuje serio, ponieważ powrót Niemców do granic z 1937 jest obecnie niemożliwy. Autorzy opracowania starają się więc chyba znaleźć sposób zrealizowania tego za zgodą Polaków przez otwarcie granic dla migracji Niemców do Polski. Wprawdzie w innym miejscu powiedziano „Chcemy, aby granice, także i granica polsko-niemiecka, były równie przezroczyste i przenikalne jak dzisiejsze granice Niemiec z Francją, Belgią i Holandią...”. Szkoda tylko, że nie podano źródeł tego stwierdzenia. Jednak porównanie granic z Francją czy Holandią budzi zdziwienie. Wszak wspomniane wyżej elementy rewizjonistyczne nie domagają się rewizji granic z tymi państwami, i Niemcy, z tego co wiadomo, nie migrują do tych krajów. Natomiast sformułowanie PPN o całkowitym otwarciu obecnej granicy polsko-niemieckiej bardzo odpowiada Niemcom. W 1978 roku ukazała się książka pt. *Über die Weichsel — Eine deutsche Rückkehr*. Poprzez Wisłę — Niemiecki powrót. (Autorem jest Fritjof Berg, wydawcą NWZ-Verlag Düsseldorf NRF). Ostatni rozdział tej książki ma tytuł „Spojrzenie w przyszłość”. Końcowe zdania brzmią: „Moja żona i ja (autor — rocznik 1931, urodzony w Królewcu) nie jesteśmy zbyt młodzi. Bylibyśmy jednak wystarczająco młodzi, ażeby w naszym kraju po tamtej stronie Wisły zacząć od nowa, gdybyśmy tylko mogli, gdyby tylko nam było wolno. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w takim wypadku niezliczone rzesze innych Niemców — i nie tylko Niemców — w przeciągu niewielu lat wyruszą w drogę na wschód. Dla młodzieży byłby niemiecki wschód znów krajem przyszłości”. Czy można to lepiej ująć? A przecież, ażeby zachęcić do nowego pochodu na wschód, czy to ułatwić, bogate Niemcy mogą utworzyć specjalny fundusz. Mają przecież doświadczenie. W 1886 roku rząd pruski utworzył w Poznaniu Komisję Kolonizacyjną, zaopatrzoną w fundusz 100 milionów marek na wykup ziemi z rąk polskich i na osiedlenie Niemców.

Są i inne problemy w tym opracowaniu PPN, nad którymi trudno przejść do porządku dziennego. Na przykład zjednoczenie Niemiec. Żaden kraj na zachodzie czy wschodzie nie głosi tego hasła. Nie czynią tego

oficjalnie nawet sami Niemcy, świadomi realiów politycznych. Kanclerz H. Schmidt powiedział w wywiadzie telewizyjnym w Berlinie Zachodnim: „Wierzę, że pewnego dnia Niemcy znajdą się pod wspólnym dachem, prawdopodobnie będzie to wspólny europejski dach” (*Die Welt* z 1-2 września 1979). Trudno więc zrozumieć, dlaczego Polacy mają kruszyć kopie o zjednoczenie Niemiec?

Wszyscy chyba Polacy tak w Kraju jak i na emigracji pragną pojednania polsko-niemieckiego, najchętniej być może w zjednoczonej Europie, przy nienaruszalności obecnej granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie i bez prawa powrotu Niemców na tereny polskie, by uniknąć jakichkolwiek kłopotów w przyszłości. Jakies zabezpieczenie praw mniejszości narodowych zostało przecież całkowicie skompromitowane w okresie międzywojennym.

Łączę wyrazy szacunku,

Stefan MARCINKOWSKI

Rzym, 28 maja 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dla sprostowania pewnych niedomówień, zawartych w liście pani Aleksandry Kurczab opublikowanym w 5 numerze *Kultury* z br. pragnę dodać, że istnieje jeszcze jeden, pierwszy tłumacz dramatu poetyckiego „Przed sklepem jubilera”. Tłumaczenie ukazało się już w listopadzie 1978 roku, w rzymskim wydawnictwie Logos, a autorem jego był młody polonista włoski, Renzo Panzone. Oto opis bibliograficzny tej edycji:

Karol Wojtyła, *La bottega dell'orafo. Meditazioni sul sacramento del matrimonio che assumono a volte la forma d'un drama*. Traduzione di Renzo Panzone, Edizioni Logos (1 edizione novembre 1978), str. 105.

Wstęp do wyżej wymienionego przekładu napisał prof. Stanisław Piekut, prowadzący przez szereg lat lektorat języka polskiego w Neapolu. Renzo Panzone jest właśnie jego uczniem. Wiadomość zatem, jakoby dopiero w grudniu 1978 roku ukazał się przekład dramatu, jest fałszywa. Jej i p. Jerzego Pomianowskiego przekład jest przekładem drugim.

Łączę wyrazy poważania,

STAŁY CZYTELNIK WŁOSKI

Warszawa, 28 maja 1980.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą radością biorę do ręki każdy numer *Kultury*, jaki od czasu do czasu udaje się tutaj — choćby na parę godzin — zdobyć. W ostatnio przeczytanym numerze marcowym z br. w dziale „Dokumenty” z satysfakcją napotkałem pismo Komitetu Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu z 17 stycznia 1980 do Rady Państwa PRL, domagające się zmiany przepisów prawa wyborczego oraz odpowiedniego ustalenia terminu wyborów. W obu kwestiach w oryginale używaliśmy oficjalnego zwrotu „wnosimy przeto...”, „wnosimy aby...”. Tymczasem w *Kulturze* omyłkowo zamiast słów „wnosimy” wydrukowano „prosimy”. Ponieważ ta omyłka druku nadaje inny charakter temu dokumentowi — oraz postawie sygnatariuszy — uprzejmie proszę o opublikowanie niniejszego sprostowania w najbliższym numerze Pańskiego pisma.

Jednocześnie pragnę oświadczyć Panu Redaktorowi — i za pośrednictwem *Kultury* wszystkim Rodakom gorąco podziękować za okazaną solidarność i braterską pomoc w naszej wspólnej walce o Niepodległość.

Wojciech ZIEMBIŃSKI

OD REDAKCJI

Pp. Andrzej Pleszczyński i Maciej Saryusz-Bielski nadesłali obszerną polemikę, wyjaśnienia oraz szereg fotografii z Polskiej Wystawy w Los Angeles, uważając że omówienie p. Puacza w nr. 4/391 *Kultury* było tendencyjne i nie odpowiadało prawdzie. P. Pleszczyński jako dowód przytacza m.in. bardzo pochlebne sprawozdanie miesięcznika *L. A. Architect* z marca bież. roku. Pismo to jest organem L. A. Chapter of American Institute of Architects. Nie możemy zamieścić tych listów z powodu ich objętości, a tym bardziej fotografii. Pragniemy tylko wyjaśnić, że Redakcja *Kultury* nie była poinformowana, że p. Puacz ze swego artykułu zrobił odbitkę i że ją rozpowszechniał.

P. Maciej Pstrąg-Bieleński z Monachium, reprezentant Konfederacji Polski Niepodległej, w obszernym liście uważa za całkowicie nieprawdziwą notatkę w „Kronice niemieckiej” (*Kultura*, maj 1980 r.) o jego wystąpieniu na sympozjum w Wesseling, tym więcej, że A. Chylecki nie był na sympozjum obecny. Zdaniem p. Pstrąg-Bieleńskiego notatka miała na celu podważenie zaufania do niego i do organizacji którą reprezentuje.

Andrzej Chylecki podtrzymuje w całej rozciągłości swoje uwagi. Jakkolwiek nie był na sympozjum, miał wiarygodne informacje od uczestników (polski naukowiec, czeski dziennikarz emigracyjny i dwóch niemieckich redaktorów). Ponadto stwierdza A. Chylecki, że przypisywane mu opinie p. Pstrąg-Bieleński identycznie formułował w wywiadzie udzielonym pismu *Criticon* (nr 1-2/1980) oraz w wypowiedziach w organie „Związku Wypędzonych” *Deutscher Ostdienst* (nr 1/1980) i w *Deutsche Umschau* (nr 4/1980).

Przepraszamy naszych Prenumeratorów we Francji, którzy nie otrzymali majowego zeszytu *Kultury*. Był on ekspediowany 12 maja po południu a 13-go był strajk m.in. i poczty. Wskutek strajku jeden worek pocztowy na Francję zaginął i dotąd się nie odnalazł. Jeżeli ktoś jeszcze nie reklamował tego zeszytu prosimy o wiadomość, a natychmiast go prześlemy.

WPŁATY NA KONFEDERACJĘ
POLSKI NIEPODLEGŁEJ

Krystyna S. (Szwecja) — K.S. 50,00	F. 50,00
Antoni Rozpedzik, Lund (Szwecja), K.S. 100,00	F. 100,00
Wpłata nadesłana z Australii przez Władysława Dembskiego, przekazana przez następujące osoby: J. Mizia — \$ A. 60,00, Piaskowski — \$ A. 50,00, H. Sęk-Sekalski — \$ A. 5,00, J. Groncki — \$ A. 20,00, W. Dembski — \$ A. 15,00	
razem: \$ A. 150,00	F. 706,35

Czytelnicy i przyjaciele *Pomostu* z USA i Kanady przekazali

\$ 650,00 z czego dla:	
Redakcji <i>Robotnika</i> — \$ 150,00	F. 615,00
Redakcji <i>Opinii</i> — \$ 100,00	F. 410,00
Redakcji <i>Drogi</i> — \$ 100,00	F. 410,00
Redakcji <i>Aspektu</i> — \$ 100,00	F. 410,00
Redakcji <i>Interpelacji</i> — \$ 100,00	F. 410,00
NOW-ej (na wydanie książki o Katyniu) — \$ 100,00	F. 410,00

Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przewodniczący Komitetu Bonawentura Miagała, skarbnik — Jan Jurewicz nadesłali:

na Ruch Młodej Polski — \$ 250,00	F.1.025,00
na <i>Bratniaka</i> (Gdańsk) — \$ 250,00	F.1.025,00
na KSS „KOR” — \$ 250,00	F.1.025,00
na ROPCiO (Czuma) — \$ 250,00	F.1.025,00
na Komitety Chłopskie — \$ 250,00	F.1.025,00
na PPN — \$ 250,00	F.1.025,00
na TKN — \$ 200,00	F. 820,00

Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili:

Oddział Boston: J. Doz, R. Bogusławski i W. Ostrowski po \$ 10,00; J. Paliwoda, A. Żołądkowski, A. Golda, K. i T. Grabowscy i K. Gotowicka po \$ 5,00; Danuta z Polski — \$ 2,00. Razem: \$ 57,00.

Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76”: Koło Weteranów Armii Polskiej z Camden, E. Zaratuba, R. Winowski i W. Sosulski po \$ 25,00; G. Jezierski — \$ 20,00. Razem: \$ 120,00.

W redakcji *Listów do Polaków* złożyli: zebrane na obchodzie katyńskim w Stamford — \$ 17,00; z Arizony — \$ 10,00; L. Zimny — \$ 5,00; J. Macieja z Niemiec — \$ 3,00. Razem: \$ 35,00.

Ogółem: \$ 212,00.

Z czego na:

Konfederacja Polski Niepodległej (Moczulski) — \$ 57,00	F. 233,70
ROPCiO (Czuma) — \$ 55,00	F. 225,50
KSS „KOR” — \$ 25,00	F. 102,50
PPN — \$ 25,00	F. 102,50
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 25,00	F. 102,50
Towarzystwo Kursów Naukowych — \$ 25,00	F. 102,50

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w USA A.P., New York

— \$ 2.500,00 z czego na:

KSS „KOR” — \$ 200,00	F. 820,00
Fundusz Pomocy Naukowej TKN — \$ 200,00	F. 820,00
Konfederację Polski Niepodległej (Moczulski) — \$ 200,00	F. 820,00
Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu (Ziemiński) — \$ 200,00	F. 820,00
Rada Sygnatariuszy ROPCio (Czuma) — \$ 200,00	F. 820,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 200,00	F. 820,00
Wolne Związki Zawodowe — \$ 200,00	F. 820,00
Komitety Chłopskie — \$ 200,00	F. 820,00
Komitety Katyńskie — \$ 200,00	F. 820,00
NOW-a (na publikację pracy „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów” — pierwsza nagroda publicystyczna S.P.K. w USA im. Stanisława Gierata) — \$ 700,00	F.2.870,00

Andrzej Koraszewski, Lund (Szwecja) — DM 4.011,00 z czego

na:

KSS „KOR” — DM 2.005,50	F.4.612,65
ROPCio (Czuma) — DM 2.005,50	F.4.612,65

Przepraszamy p. Stefana Jachnę z Parsippany, N.J. (USA),

którego nazwisko zostało zniekształcone w majowym numerze

Kultury przy podaniu jego daru \$ 100,00 na KSS „KOR”.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 3^e trimestre 1980.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi

par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA: O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA: do nabytca w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1099 Queen str. W Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY: St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dzienawowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145 Tél 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA: Bookstore 2886 Milwaukee Ave Chicago II 60618, tel. 312) 489-2554; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St. Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.			
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27. Tel. 75-67-241	F 17,00	F. 95,00	F 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.180; półroczna — F.95.

Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 316 — ANTONI T. REKULSKI

CZY DRUGI KATYŃ?

Wstęp Józefa Czapkiego

Sprawa zaginionych w Rosji oficerów polskich z obozu jenieckiego
w Starobielsku. Szesnaście fotografii.

Str. 48.

Cena F. 20,00.



TOM 318 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Tom drugi

1973 - 1979

Str. 360.

Cena F. 75,00.



TOM 319 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

(ukaze się w sierpniu)

Zawiera m.in. opracowania: T. Klempskiego — *Polaków z historią kłopoty*; A. Alberta — *Wschodnie granice Polski*; St. Swianiewicza — *Refleksje geopolityczne*; J. Łojka: *Konstytucja i federacja*; K. Sójki-Wilmańskiego — *Gdyby alianci dotrzymali obietnic*; Z. S. Siemaszki — *Sergiusz Pritycki*; bogate działy DOKUMENTÓW, WSPOMNIENI, POLEMIK i RECENZJI oraz OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 320 — W PRZYGOTOWANIU

JAK Z TEGO WYJŚC?

Druga część „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach do jej naprawy” opracowanego przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

Cena 28 F